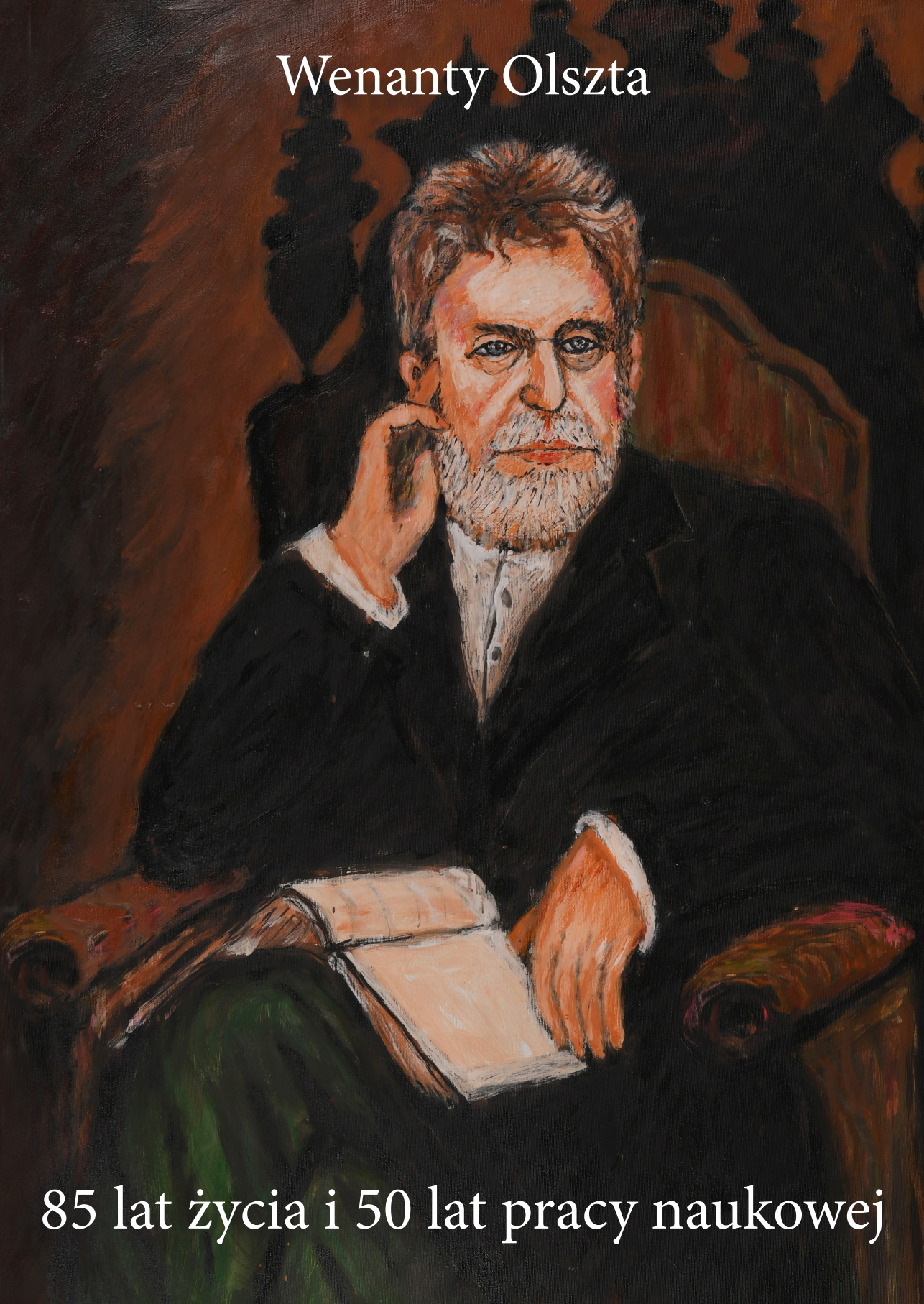


Wenanty Olszta



85 lat życia i 50 lat pracy naukowej

Zapisuję moje wspomnienia z nadzieją,
że dzięki temu nie zostaną one zapomniane.

Wnukom Hani i Antkowi jako testament

Wenanty Olszta

85 lat życia i 50 lat pracy naukowej



POLITECHNIKA
LUBELSKA
WYDAWNICTWO

Lublin 2023

Redakcja i korekta językowa: Magdalena Chołojczyk

Skład i łamanie: Katarzyna Pełka-Smętek

Zdjęcia: Archiwum Politechniki Lubelskiej i zbiory prywatne autora

Publikacja wydana za zgodą Rektora Politechniki Lubelskiej

ISBN: 978-83-7947-551-3

Wydawca: Wydawnictwo Politechniki Lubelskiej
www.wpl.pollub.pl
ul. Nadbystrzycka 36C, 20-618 Lublin
tel. (81) 538-46-59

Druk: Agencja Reklamowa TOP Agnieszka Łuczak
www.agencjatop.pl

Elektroniczna wersja książki dostępna w Bibliotece Cyfrowej PL www.bc.pollub.pl
Książka udostępniona jest na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe (CC BY-SA 4.0)

Nakład: 50 egz.

Spis treści

WPROWADZENIE	7
DZIECIŃSTWO. Lata 1938–1951	11
OKRES POWOJENNY. Lata 1951–1961	25
Nauka w Liceum i Studium Nauczycielskim.....	25
Liceum w Zaklikowie. Lata 1951–1955.....	25
Praca w Biłgoraju. Lata 1955–1959.....	32
Nauka w Studium Nauczycielskim. Lata 1959–1961	37
STUDIA WYŻSZE W SGGW. Lata 1961–1967.....	41
PRACA ZAWODOWA W IMUZ. Lata 1968–1993.....	61
Zatrudnienie w lubelskim Oddziale IMUZ.....	61
Wyjazd na staż i pobyt w USA	68
Podróż dookoła USA.....	78
Powrót do Polski – kontynuacja pracy w IMUZ	84
Przygotowanie pracy habilitacyjnej, prace statutowe, publikacje, wyjazdy zagraniczne	86
Nominacja na stanowisko docenta.....	107
Wszczęcie postępowania o nadanie tytułu profesora	126
PRACA NA POLITECHNICE LUBELSKIEJ. Lata 1993–2009	147
Kierownik Katedry ZWiUS	151
Powołanie na stanowisko profesora zwyczajnego Politechniki Lubelskiej	163
Prodziekan Wydziału Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej.....	192
Praca na Wydziale Inżynierii Środowiska Politechniki Lubelskiej i w Wyższej Szkole Jańskiego w Chełmie.....	196
EMERYTURA. Lata 2009–2023	205
FILOZOFIA ŻYCIA.....	223
ZAKOŃCZENIE.....	231
BIBLIOGRAFIA	235

WPROWADZENIE

Decydując się na tę opowieść przeczytałem wiele autobiografii znanych postaci nauki, kultury i polityki. Zdałem sobie przy tym sprawę, jak trudno napisać opowieść, a opowieść o własnym życiu w szczególności, utrudnia to brak dokumentów archiwalnych, doradców, a własne myśli i przekazy świadków mogą okazać się nie do końca prawdziwe. Nasze życie jest opowieścią. Także ta biografia to opowieść o moim niełatwym życiu i życiu mojej rodziny. Piszę ją jako przekaz wiedzy dla potomnych i do ich ewentualnej oceny. Spisuję te dzieje zbyt późno, ale na ważne sprawy i myśli nigdy nie jest zbyt późno. Te ważne sprawy to prawda, sprawiedliwość i uczciwość.

Każdy z nas jest przez całe życie dotknięty na swój sposób pasją tworzenia, jest ponadto uwikłany w tryby codziennych obowiązków, w sieci spraw wielkich i banalnych. Niezależnie od pasji twórczej, niezależnie od ustawicznej, trwającej do ostatnich dni życia walki z czasem, którego jest zawsze za mało, istnieje w człowieku chęć przekazania przyszłym pokoleniom nie tylko swoich dokonań i odkryć, lecz także doświadczeń i przemyśleń, widzianych przez pryzmat tak osiągnięć, jak i niepowodzeń. Ta chęć zapisania bilansu swojego życia w czasie i przestrzeni staje się właśnie bodźcem skłaniającym nas do mówienia o sobie, do znalezienia w swoim pracowitym życiu chwili czasu na retrospekcję.

Lata mijają szybko, czas nie zwalnia, lecz przyspiesza, tak więc przekonanie o potrzebie przekazania współczesnym i przyszłym pokoleniom wiedzy o sobie przezwy ciężyło wszelkie opory i wahania. Poczulem chęć powiedzenia rzeczy, o których wcześniej nie mówiłem, a nawet bałem się wspomnieć.

Życie to ciągle zmaganie się z przeciwnościami losu o lepszą przyszłość. Ta autobiografia to trudna próba pisania o sobie, każde wypowiedziane tu słowo może mieć wielki ładunek różnych znaczeń i odczuć. Nie uważam się za osobę nostalgiczną czy sentymentalną, ale z pewnością ulegam silny emocjom, co, jak sądzę, jest efektem mojego trudnego dzieciństwa.

Jako autor autobiografii muszę też zmierzyć się z pytaniem, czy nie buduję przypadkiem fałszywego obrazu samego siebie, umniejszając swoje wady i porażki oraz przesadnie eksponując swe osiągnięcia. Usprawiedliwieniem dla mnie może być to, że wspomnienia w samej swej naturze mają charakter subiektywny i wybiórczy, nie są obliczone na kreacje wizerunku, a na danie dowodu, jako jednego z ostatnich świadków tamtych czasów.

Pomysł napisania wspomnień zrodził się na początku dwa tysiące osiemnastego roku, kiedy to musiałem napisać tekst, będący wstępem do katalogu wystawy mojego malarstwa, którą zorganizowano z okazji moich osiemdziesiątych urodzin w Galerii Sztuki Nowoczesnej na Wydziale Budownictwa i Architektury Politechniki Lubelskiej. Wspomnienia, które zamierzam tu opisać, są prawdziwe, choć nie zawsze precyzyjne i z pewnością niekompletne, bowiem będzie to opowieść o osobistych przeżyciach oraz przekazach zasłyszanych od naocznych świadków tamtych czasów.

Każda autobiografia jest odzwierciedleniem związków rodzinnych i osobistych, które definiują w jakiś sposób dzieje autora. Nie wiem, jak potoczyłyby się moje losy gdyby żył ojciec, wiem natomiast, że moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej bez miłości i wsparcia mojej niezłomnej i odważnej mamy, mojej siostry Marii i żony Hanny, synów Mariusza i Bartka oraz wielu przyjaciół, współpracowników i krewnych, którzy pomogli mi iść przez życie naprzód i zachować wiarę i siłę w podejmowaniu i realizacji kolejnych wezwań oraz celów. Matczyne wychowanie, dorastanie w skrajnej biedzie i upokarzaniu oraz zagrożeniu, ukształtowały moją osobowość i wrażliwość. Widzę więcej, czuję mocniej, często się wzruszam. Pisząc tę biografię dzielę się tym, co mam w sobie, a więc chwilami przeżyć i przemyśleń, zarówno osobistych, zawodowych, jak i artystycznych.

Większość swojego życia, bo około pięćdziesiąt lat, poświęciłem nauce. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku ukończyłem siedmioletnią Szkołę Podstawową w Borowie, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku czteroletnie Liceum Ogólnokształcące w Zaklikowie, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku dwuletnie Studium Nauczycielskie na kierunku matematycznym w Ostrowcu Świętokrzyskim, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku ukończyłem studia na Wydziale Melioracji Wodnych Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW) w Warszawie, uzyskując stopień magistra inżyniera, natomiast stopień doktora nauk technicznych otrzymałem w Instytucie Melioracji i Użytków Zielonych (IMUZ) w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, a doktora habilitowanego nauk technicznych w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku na SGGW, tytuł profesora nauk rolniczych otrzymałem z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej Polski w Belwederze w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku.

Ważnym okresem w mojej pracy naukowej był piętnastoletni pobyt na Politechnice Lubelskiej, gdzie już jako profesor tytularny mogłem przekazać licznej rzeszy studentów swoje doświadczenia naukowe i życiowe. Moich wykładów na dwóch Wydziałach Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej (IBiS) oraz Inżynierii Środowiska wysłuchało kilka tysięcy studentów, wypromowałem kilkuset magistrów i kilku doktorów nauk technicznych.

Pełniłem funkcje kierownika Katedry i prodziekana Wydziału IBiS do spraw ogólnych i nauki, co wymagało poświęcenia czasu na koordynację pracy naukowej pracowników Katedry i całego Wydziału. Było to dla mnie ważne doświadczenie i wyzwanie logistyczne w kierowaniu dużym zespołem ludzkim, złożonym z pracowników naukowych i administracyjnych na Wydziale. Wykorzystałem tu wiedzę pedagogiczną i psychologiczną zdobytą w Studium Nauczycielskim i organizacyjną z czasów pracy społecznej na studiach w Zrzeszeniu Studentów Polskich (ZSP).

Życie dużo mnie nauczyło, wiele doświadczyłem zwłaszcza podczas piętnastu miesięcy spędzonych na stażu naukowym w USA: wypadek samochodowy, pobyt w szpitalu w obcym kraju, samotność i strach. Choć te wydarzenia z pewnością mnie osłabiły, to dały mi ostatecznie broń do przetrwania i walki o lepszą przyszłość w trudnych chwilach.

Sporo miejsca poświęciłem tu również podróżom zagranicznym, głównie służbowym, choć także turystycznym, jeszcze z czasów studenckich, do krajów bliskich i odległych. Podróże zagraniczne w poprzednim systemie były marzeniem wielu Polaków, ograniczenia wizowe limitowały wyjazdy zwłaszcza do krajów zachodnich, był to zupełnie inny zakazany świat, leżący za żelazną kurtyną. Pobyty zagraniczne wzbudzały marzenia i pragnienia. W programie każdego wyjazdu służbowego były wycieczki krajobrazowe, zwiedzanie miast i okolic, muzeów i miejsc historycznych. Spotkania towarzyskie z ludźmi różnych profesji, poznawanie ich kultury, historii, warunków życia i mentalności były wtedy dla nas wyjątkowo kształcące i poznawcze. Wiele mnie nauczyły, zmieniły moje myślenie o świecie, postrzeganie ludzi, ich życia, potrzeb i problemów w skali globalnej i lokalnej. Wychowując się na głębokiej prowincji, byłem ciekawy takich kontaktów i doświadczeń, być może dlatego poświęciłem tu tyle miejsca na dzielenie się swoimi wrażeniami na temat tego innego świata, tak odległego światopoglądowo i materialnie od naszego.

Po pięćdziesięciu latach pracy naukowej nadszedł czas emerytury, wszystko uległo zmianie, pojawiły się różne ograniczenia. Więcej czasu pozostało też na refleksje, postanowiłem zatem poświęcić się moim hobby: malarstwu i rzeźbie oraz opisać swą historię w tej autobiografii, by w ten sposób zakończyć ostatni etap wspinaczki do niebytu. Moja próba samookreślenia własnych dokonań badawczych i nie tylko, jest dążeniem do utrwalenia w czasie i przestrzeni naukowej drogi, którą przeszedłem. Czytelnik zaś, obok moich dokonań, może dostrzec ponadto mój proces dojrzewania, poznać mnie bliżej jako twórcę, w którego życiu sukcesowi towarzyszyły zawsze wyrzeczenia i obowiązki.

Pisanie, czytanie i zwiedzanie to dla ciekawych świata sposób na pogłębianie wiedzy. Mam wiele przemyśleń, przeżyć i doświadczeń życiowych, byłoby grzechem zachować je dla siebie, dlatego niech ta autobiografia będzie nauką dla przyszłych pokoleń, głównie moich wnuków Hani i Antosia, gdyż, kto nie zna przeszłości, nie potrafi stworzyć własnej przyszłości.

Niepowodzenia są wpisane w nasze życie, co zmusza nas do poświęceń, wykształcenia odporności psychicznej i fizycznej. Przeznaczenie bywa przewrotne, często trudno stawić mu czoła, wiele doświadczyłem w życiu, szczególnie we wczesnym dzieciństwie, szybko musiałem przejąć obowiązki ojca, piętno to długo mi ciążyło, ale aby żyć i funkcjonować zrozumiałem, że należy wybaczać nawet wrogom. Życie nauczyło mnie, by cieszyć się z osiągnięć i być przygotowanym na najgorsze. Trzeba być cierpliwym, czekać na okazje i w odpowiednim momencie je wykorzystać, bowiem wiele zależy od przypadku. Osiągnięcie życiowych celów wymaga silnej motywacji, organizacji i dyscypliny, oto wskazówki dla moich wnuków Hani i Antkowi, którym tę książkę dedykuję.

Sztuka zmusza do obserwacji, subtelnego postrzegania bogactwa i różnorodności tego świata, zmusza do poruszenia wyobraźni i poszukiwania głębokiego znaczenia. Mam nadzieję, że moje prace, tak malarskie, rzeźbiarskie, jak i te oto wspomnienia,

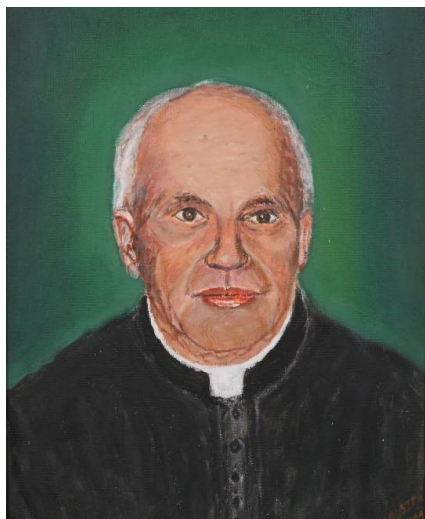
poruszą fantazję, wrażliwość artystyczną, pozwolą dotknąć tajemnicę ulotności i kruchości piękna i wzruszeń przyszłym pokoleniom, a przede wszystkim moim wnukom Antkowi i Hani.

Piszę tę opowieść ponieważ, ale na ważne sprawy i myśli nigdy nie powinno być za późno. Te ważne sprawy to sprawiedliwość, uczciwość i prawda, wyrażone poprzez moją historię, zapisaną na stronach tej książki i ukazaną na płótnach z mojej kolekcji. Uczciwym ludziom los często przeznaczą samotną drogę. Tak było w moim przypadku, sam przemierzałem przez wiele lat długą drogę z domu do liceum w Zaklikowie, później samotnie jeździłem na studia do Ostrowca Świętokrzyskiego i Warszawy, a potem odbywałem liczne wyjazdy zagraniczne, a teraz już czternasty rok spędzam samotnie na emeryturze w Borowie. Reasumując, wierzę, że sekret udanego życia to wiara, miłość, nadzieja, nieobciążone niczym sumienie, pokora, prawda, ale również odwaga w postępowaniu.

DZIECIŃSTWO

Lata 1938–1951

Urodziłem się dwunastego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku w Borowie, w gminie Kosin – obecnie to jest gmina Annapol, w powiecie kraśnickim, w województwie lubelskim. Moi rodzice Wincenty i Feliksa, z domu Olszówka, posiadali dwu hektarowe gospodarstwo rolne, ojciec dodatkowo, aby utrzymać rodzinę, był pracownikiem leśnym. Borów to mała wioska położona na granicy dawnego województwa rzeszowskiego, dziś podkarpackiego i lubelskiego, a więc na dawnej granicy zaboru austriackiego i rosyjskiego. Wieś leży nad środkową Wisłą w rejonie Kotliny Sandomierskiej. Jest rozległa, a tereny sąsiedzkie od początku istnienia związane były pod względem administracyjnym, gospodarczym i kościelnym z Zawichostem, jak pisze ksiądz Zygmunt Marian Grabiec (Fot. 1) w swojej książce *Dzieje Borowa nad Wisłą i jego okolic*¹.



Fot. 1. Ks. Zygmunt Marian Grabiec

Jest to mój dobry kolega. Podobnie jak ja w czasie wojny stracił ojca, został pólsierotą, mieliśmy po sąsiedzku pole zwane „pod Kopcem”, on pomagał tam swojej matce w koszeniu żyta, a ja mojej, teraz rośnie tam las. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku ukończył liceum w Zaklikowie i wstąpił do Seminarium Duchownego w Lublinie, ja zaś wtedy rozpocząłem naukę w tym liceum. Pracując w Biłgoraju w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym odwiedziłem go w parafii św. Marii Magdaleny w Puszczy Solskiej, gdzie pełnił funkcje proboszcza. W dwa tysiące szóstym roku po przejściu na emeryturę wrócił do korzeni – do Borowa. Często spotykamy się jako emeryci przy lampce wina czy koniaku, wspominając ciężkie dzieciństwo w cza-

¹ Zob. Z. M. Grabiec, *Dzieje Borowa nad Wisłą i jego okolic*, Sandomierz 2016, s. 7, 13, 31, 40, 67, 106.

sach okupacji niemieckiej, dzieląc się doświadczeniami i wiedzą na temat historii Borowa i okolic. Piękno krajobrazu Borowa i okolic kształtują liczne rzeki i strumyki, a zwłaszcza Wisła, San i Sanna, mająca swe źródło w Wierchowiskach, płynęła ona od Borowa i rozlewała się, tworząc rozlewiska. Miały one, jak pamiętam, krystalicznie czystą wodę, latem łowiliśmy w nich ryby, kąpaliśmy się, a zimą jeździliśmy na łyżwach na dużych powierzchniach lodu.

Grabiec w swej książce pisze, że podstawowym zajęciem mieszkańców Borowa i sąsiednich wsi było rolnictwo oraz przydomowa hodowla bydła i ptactwa². Ziemię uprawiano za pomocą pługa i bron, używając jako siłę pociagową jednego lub dwu koni. W okresie żniw zboże ścinano sierpem lub kosą. Pamiętam, jak w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku matka ścinała sierpem żyto, ja pomagałem jej w formułowaniu snopków, a następnie w układaniu ich w mendle po piętnaście lub po dziesięć sztuk. Żniwa trwały od dwóch do trzech tygodni w spiekocie upalnego lata, pod ich koniec matka, płacząc pytała, kiedy wreszcie urosnę i będę mógł chwycić za kosę. Zaczęłem kosić zboże, mając zaledwie dziesięć lat, aż do początku lat sześćdziesiątych. Podobnie było z orką, nie mieliśmy konia, dlatego całymi dniami musiałem chodzić za pługiem u sąsiadów, by odrobić wynajęcie konia do zaorania własnej parceli. Z podobnych przyczyn matka całymi dniami pracowała u obcych lub rodziny, aby w ten sposób zarobić na inne prace, jak zwożenie zboża do stodoły, omloty, wykopki, wywożenie obornika na pole. Niektórzy ją przy tym oszukiwali, broniła się płaczem, a ja z siostrą, pocieszając ją, też wtedy płakaliśmy.

Pamiętam, że rodzinie ojca kolegi, który w czasie zaborów służył w carskim wojsku jako felczer, a po wojnie jako jedyny na wsi praktykował usługi lekarskie, dobrze się powodziło, w spizarce zawsze wisiała u nich sucha wiejska kiełbasa. W moim domu, przypominającym raczej szałas niż budynek, było zimno i panował głód, dlatego chętnie przebywałem poza domem, wynajmując się do młocki żyta za wikt. Prawie przez całą zimę w dzień młóciliśmy z moim kolegą Irkiem żyto, a wieczorem graliśmy w karty, a zwłaszcza w preferansa podobnego do brydża. Przyjaźniliśmy się do dwudziestego roku życia, służyliśmy razem jako ministranci do mszy świętych, chodziliśmy po kołędzie jako kołędnicy, a później na randki i zabawy wiejskie.

Wracając do zbiorów, pozostałą po omlotach słomę wiązano w snopy i wykorzystywano jako paszę dla zwierząt, ściółkę w oborach lub na pokrycia dachów, zboża w części przemiałano na mąkę w miejscowym młynie, a w części zostawiano na zasiew. Wypiek chleba i świątecznych ciast odbywał się w chlebowych piecach, które były w każdym domu. Chleb w tamtym czasie był podstawowym pokarmem, do dziś pamiętam jego smak, suchą kromkę zanurzałem w wiadrze z wodą, a następnie w cukiernicy. Nie było masła ani wędlin, za to funkcjonowały obowiązkowe dostawy płodów rolnych, zarówno w okresie okupacji dla Niemców, jak i po wojnie dla komunistów. Oto uroki i smaki życia w tamtych czasach na wsi, jakie mógł doświadczyć mały chłopiec wraz z młodszą siostrą, bez ojca, pod opieką jedynie matki.

² Zob. tamże.

Wspólne, ciasne mieszkania, spanie w jednym łóżku, brak dostępu do wody (którą musieliśmy czerpać ze studni na zewnątrz), słońca i powietrza (co było spowodowane małymi oknami), słabe odżywianie, ciężka praca w gospodarstwie, to wszystko przyczyniło się do różnych chorób. Jako dziecko miałem zaawansowaną krzywicę nóg. Na miejscu nie było ani lekarza, ani apteki, mieszkańcy Borowa i okolic po pomoc lekarską musieli iść pieszo lub jechać konno do Zawichostu, Zaklikowa, a nawet do Kraśnika. Występowała duża śmiertelność dzieci, gdyż porody odbywały się w złych warunkach sanitarnych. Choć rodziło się dużo dzieci, to wiele z nich umierało, przeżywały tylko zdrowe i odporne na choroby i złe warunki.

Istotnym elementem odróżniającym miasta od otaczających je wiosek był handel, oprócz codziennej sprzedaży w kramach, jatkach i szynkach niezwykle ważne były cotygodniowe targi i jarmarki. Mieszkańcy Borowa jeździli w środy na targ do Zaklikowa i Zawichostu, w czwartki do Annopola, a we wtorki do Kraśnika. Na jarmarki przyjeżdżali ludzie nie tylko z okolicznych wsi, ale i z odległych miejscowości, najważniejsza część targu odbywała się na rynku, gdzie rzędem stawały chłopskie wozy wypełnione korcami ze zbożem, warzywami, drzewem, sianem, a nawet słomą. Wiejskie kobiety trzymały w koszach wiklinowych na sprzedaż nabiał, miody, drób, grzyby i owoce leśne, głównie jagody. Pamiętam, jak moi wujowie ze strony matki Gienek i Paweł jeździli z warzywami do Zaklikowa, bieda na wsiach powodowała, że chłopci na jarmarkach głównie sprzedawali swe produkty, niewiele w miastach kupując. Stan głębokiej zapaści gospodarczej, jaki nasilił się w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku, trwał przez kolejne lata do tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Po latach kryzysu, trudna dotychczas dla mieszkańców sytuacja zaczęła się poprawiać. Wielu bezrobotnych znalazło pracę w Zakładach Przemysłowych w hucie w pobliskiej Stalowej Woli, Odlewni Metali Półszlachetnych w Gożycach i w Fabryce Amunicji w Kraśniku.

Od tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku, w związku z postępującymi działaniami inwestycyjnymi Centralnego Okręgu Przemysłowego, trudna dotychczas dla mieszkańców Borowa i nie tylko sytuacja materialna zaczęła się poprawiać. Ojciec był pracownikiem leśnym, rodzice w tym czasie wybudowali dwuizbowy dom oraz budynek gospodarczy, który łączył w sobie oborę i stodołę. Nie cieszyli się długo dopiero co zbudowaną budowlą. Pamiętam jak przez mgłę, gdzie stały i jak wyglądały te budynki. Niemcy w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku spalili całą wieś, miałem wtedy sześć lat, okres względnego spokoju nie trwał zatem długo. Mówiąc o okresie międzywojennym nie sposób nie wspomnieć o Żydach, żyli oni przez wiele wieków w naszym kraju, tworzyli własną kulturę, kultywowali religię. Wielu z nich wrosło w polskie środowisko, wnieśli też duży wkład do naszej kultury i nauki, znałem kilku profesorów żydowskiego pochodzenia, a podczas pobytu w USA pracowałem z kilkoma na Uniwersytecie w Clemson, z niektórymi nawet się przyjaźniłem.

W Borowie żyło kilka rodzin żydowskich. Na skrzyżowaniu ulic po lewej stronie, w kierunku Kosina, w pobliżu kościoła mieszkały trzy rodziny. Chyle i Tobiasze byli

właścicielami sklepów tekstylnych, a Berki prowadzili sklep spożywczy. Za domami mieli działki rolne, gdzie uprawili głównie ziemniaki. Za rzeką Sanną, w stronę Chwałowic, stał folwark z pałacem i dworskimi zabudowaniami, należący do Żyda Zielonki. Posiadał on osiemdziesiąt hektarów ziemi ornej rozciągającej się do Łysej Góry i łąki w pobliżu Wisły na tzw. Pstrągach. Uprawiał on jako jedyny rolę i hodował bydło. W okresie okupacji niemieckiej stacjonowały w jego folwarku oddziały partyzanckie. Na Gąsiorach pod lasem, w kierunku Łążka, mieszkała rodzina Suchrów, trudnili się oni handlem zboża, owocami i drzewem. W krajobrazie Borowa mieszkało jeszcze kilka innych rodzin żydowskich, których nazwisk nie pamiętam. Ówczesna trudna sytuacja ekonomiczna w Polsce, a także słaba znajomość obyczajów, w szczególności wierzeń religijnych, często nie sprzyjały kształtowaniu się dobrej atmosfery między społecznościami. A przecież rodziny żydowskie nie różniły się wiele od rodzin polskich, dzieci ich uczęszczały do polskiej szkoły razem z dziećmi polskimi.

W czasie okupacji niemieckiej niemal cała społeczność żydowska w Borowie zginęła. W pobliskim Janiszowie w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku Niemcy zorganizowali obóz dla Żydów, zwożąc ich z bliższych i dalszych okolic. W listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku do Janiszowa przybyli policjanci z SS-manami, zwołano więźniów na apel, a potem pogoniono ich do Annopola, skąd Żydów załadowano na ciężarówkę i wywieziono do obozu koncentracyjnego w Budzynie. Przed wojną w Annopolu populacja Żydów stanowiła osiemdziesiąt procent jego mieszkańców.

W niedzielę trzeciego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku w Borowie zaczęli pojawiać się uchodźcy, zmierzający od strony Krakowa, Śląska i Małopolski, początkowo przyjeżdżali samochodami, potem bryczkami lub zwykłymi konnymi wozami, rowerami, a na końcu także szli pieszo. Przynosili niepokojące wieści o postępkach Niemców, o ich przewadze w bombardowaniach nie tylko wojsk, ale i cywilnej ludności. Całkowicie zawiedli zachodni sojusznicy Polski, Polacy walczyli i ginęli w osamotnieniu, był to dramat polskiego narodu. Dekretem Adolfa Hitlera z dnia dwunastego października tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku zostało otworzone Generalne Gubernatorstwo, podporządkowane władzom Rzeszy. Językiem urzędowym był niemiecki, ale w kontaktach z Polakami dopuszczano język polski. Borów znalazł się w dystrykcie lubelskim.

Okupacja niemiecka pogorszyła warunki życia mieszkańców Borowa. Osoby pełnoletnie musiały wyrobić sobie dwujęzyczny dowód osobisty zwany kenkartą, którą zawsze trzeba było mieć przy sobie i okazywać na każde żądanie władz niemieckich. Posiadanie broni, radia, udział w partyzantce, korzystanie z tajnego nauczania, ukrywanie Żydów, uciekinierów więziennych oraz łamanie zarządzeń okupanta groziło śmiercią względnie obozem koncentracyjnym.

Rolników obciążono wysokim kontyngentem w zakresie dostaw: zboża, mięsa, ziemniaków, mleka i innych produktów. Niemcy zachęcali do wyjazdu do Rzeszy, a przy braku chętnych wywozili młodych na przymusowe roboty. Wiosną tysiąc dzie-

więćset czterdziestego pierwszego roku zaczęły funkcjonować placówki Służby Budownictwa, których celem było pozyskiwanie taniej siły roboczej do melioracji gruntów rolnych, budowy dróg, kolei i fortyfikacji obronnych.

Pamiętam dobrze, jak w pierwszych dniach lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku do Borowa wkroczyło wojsko niemieckie, wchodzili do domów, zabierali całe rodziny na plac pod kościołem, mężczyzn ustawiali w czwórki, a kobiety i dzieci wsadzali do podstawionych wozów konnych. Pamiętam też, jak siedzący wtedy na koniach Niemcy wjeżdżali do kościoła, wypędzając modlących się w środku ludzi na zewnątrz. W godzinach południowych wyruszył pod eskortą wojska pochód, idący przez las do stacji kolejowej w Zaklikowie, odległym około piętnastu kilometrów. W ostatniej chwili, kiedy pochód zbliżał się już do starego cmentarza, przybył posłaniec z rozkazem, aby matki z dziećmi wypuścić do domów.

Mężczyzn wywieziono do Lublina, gdzie – po przeprowadzeniu pośród nich selekcji – chorych przewieziono do obozów koncentracyjnych, a zdrowych wysłano do Niemiec: do pracy w gospodarstwach rolnych lub fabrykach. W pochodzie tym byli moi wujowie Paweł Olszówka i Piotr Wojewoda, mąż siostry mojej matki Janiny. Piotr zdołał zbiec z transportu, a Paweł po kilku tygodniach wrócił do domu.

Rok wcześniej, w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku Niemcy w podobnych okolicznościach z ulicy zabrali mojego ojca, przewieźli go do Lublina, a następnie do obozu pracy w Pustkowie, gdzie zmarł. Pamiętam, jak w połowie lata tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku w domu zjawiono się konno dwóch Niemców, którzy poinformowali matkę o śmierci ojca. Zebrała się rodzina, płaczom nie było wtedy końca. Matka do końca swego życia nie przestała cierpieć, w czasie okupacji i po wojnie wychowując dwoje małych dzieci, a później żyjąc samotnie na wsi.

Już w pierwszych tygodniach okupacji niemieckiej kształtowała się postawa ludności wiejskiej. Wprowadzono daleko idące ograniczenia w zakresie oświaty, kultury i religii, co doprowadziło mieszkańców do różnych form przeciwdziałania. Wieś stała się głównym uczestnikiem ruchu oporu, w lasach pod Borowem stacjonowało wiele oddziałów partyzanckich. Była tu też organizacja zbrojna Armii Krajowej, pod komendą kapitana Władysława Jaśkiewicza, ale mało doceniana. Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku miały tu miejsce dramatyczne wydarzenia, związane ze stacjonowaniem partyzanckich oddziałów, doszło do krwawych zająć między częścią obozu narodowego a komunistami.

Tereny wiejskie zostały szczególnie dotknięte polityką niemieckiego okupanta. Na dużą skalę stosowano zasadę odpowiedzialności zbiorowej, co skutkowało tragediami i akcjami terrorystycznymi na polskich wsiach. W rozkazie z dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Henrich Himmler, szef SS, zalecał, aby wszystkich podejrzanych o popieranie partyzantów rozstrzeliwać, a dzieci odsyłać do obozów i do prac przymusowych. Tym sposobem zginął mój ojciec, pojmany na ulicy w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku i zabity w obozie niemieckim, tylko dlatego że był Polakiem i mieszkał na wsi, wokoło której w lasach stacjonowali partyzanci.

Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty przyniósł nasilający się okrutny terror, w tym czasie całkowitej zagładzie uległo dwadzieścia pięć wsi lubelskich, a sześćdziesiąt osiem zostało dotkliwie zniszczonych. Szczególnej dewastacji dokonano w powiecie kraśnickim, gdzie całkowicie zrujnowano siedem wsi, w tym Borów, który w ten sposób został brutalnie ukarany za pomoc udzieloną partyzantom. Badacze historii wymieniają wiele powodów niemieckiej akcji, ale najważniejszym zapewne było kwaterowanie w tym rejonie oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych, dowodzonych przez pułkownika Leonarda Zdanowicza, pseudonim „Ząb”.

Drugiego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, w święto Matki Boskiej Gromnicznej, Niemcy niespodziewanie dokonali okrutnej akcji pacyfikacyjnej w Borowie, Wólce Szczuckiej, Karasiówce, Łążku Chwałowskim i Zaklikowskim i Szczecynie. Wczesnym rankiem miejscowości te zostały otoczone przez żołnierzy żandarmerii i SS oraz jednostki SS – Galizien, w sile około trzech tysięcy żołnierzy, wyposażonych w broń pancerną i artyleryjską. Tego tragicznego dnia mszę odprawiał ksiądz Stanisław Skulimowski – proboszcz parafii. Pod jej koniec do kościoła wrócił z Łążka, gdzie sprawował mszę, ksiądz Władysław Stańczak i oznajmił, żeby każdy, kto może jak najszybciej uciekał, gdyż Łążek płonie, a Niemcy zbliżają się do Borowa. Ludzie zaczęli krzyczeć i rzucili się do ucieczki. Część osób pobiegła w stronę rzeki Sanny, aby ukryć się w zaroślach, a ja z siostrą i matką wróciliśmy do domu, by schować się nieopodal. Pamiętam, że wpierw matka wypuściła krowę z obory, by następnie szybko udać się do lasu. Słychać już wtedy było od strony Gąsiorów krzyki, ryk bydła, grzmoty wystrzałów artylerii i karabinów maszynowych. Starcy i wszyscy, którzy nie zdołali zbiec, zostali zapędzeni przez hitlerowców do obór, polani benzyną i podpaleni. Oprawcy mordowali wszystkich, bez względu na wiek i płeć, to była prawdziwa rzeź.

Podobny los spotkał moją babcię Mariannę Olszówkę, która mieszkała na Rakówce za kościołem. Tych, którzy nie dali rady tam uciec, Niemcy układali twarzą do ziemi i strzelali im w tył głowy. Babcia cudem ocalała. Opowiadała, że kula trafiła ją obok ucha. Pozostała rodzina babci zbiegła wcześniej, w kierunku rzeki Sanny, by ukryć się w zaroślach. My, czyli ja, moja siostra Maria i matka, ukryliśmy się w lesie, przyłączając się do oddziału partyzantów. Pamiętam, jak siedząc w wozach na brzegu lasu, w odległości około dwóch kilometrów od wsi, patrzyliśmy, jak ta płonie, łuna ognia była tak wysoka, że widać ją było z odległości kilkunastu kilometrów. Wieś paliła się tak całą noc. Bez wątplenia przeprowadzona przez hitlerowców zakrojona na szeroką skalę akcja eksterminacyjna została celowo wymierzona w polskie wsie położone w zachodniej części Lasów Janowskich, które stanowiły oparcie dla pokąźnych w tym rejonie oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych. Zamordowano wtedy około tysiąca trzystu osób, a suma strat materialnych przedstawiała się przerażająco.

Wieś paliła się całą noc, a następnego dnia Niemcy wrócili, dopalając budynki i zabijając napotkanych ludzi. W Borowie ocalał kościół, młyn pod lasem, pięć domów mieszkalnych i remiza ochotniczej straży pożarnej. W jednym z tych domów

po wojnie była szkoła, a na wierzy kościoła rok później, już w czasie frontu rosyjskiego, Niemcy stworzyli punkt obserwacyjny, sterując stamtąd pociskami padającymi na Borów z Zawichostu, gdzie przez sześć miesięcy, utrzymywała się linia frontu.

Tylko w samym Borowie zginęło osiemset osób, spalono dwieście osiemdziesiąt budynków mieszkalnych i gospodarczych, w tym nasze. Pacyfikacja dotknęła również sąsiednie miejscowości. W Wólce Szczuckiej zabito dwieście osób, spalono dwieście budynków; w Łązkach – Chwałowskim i Zaklikowskim zamordowano dwieście siedemnaście osób i spalono sto trzynaście gospodarstw; w Szczecynie zginęło sto dziewięćdziesiąt dwie osoby, spalono sto czterdzieści dwa domy; w Karasiówce zamordowano sześćdziesiąt osób. Należy jeszcze dodać, że w Borowie w tym czasie przebywali też „wygnańcy” – ludzie przesiedleni siłą z Wielkopolski, wielu z nich również poniosło śmierć.

W tych trudnych dla Borowa dniach wielce zasłużył się Wojciech Lipowski, lekarz z Zawichostu, który na drugi dzień po pacyfikacji, przeprawił się przez Wisłę i razem z doktorem Włodzimierzem Zagajewskim opatrzyli na miejscu lekko rannych, a ciężko rannych przewieźli do szpitala w Sandomierzu. Wykonali także fotografię zgliszcz Borowa. Po drewnianych, krytych słomą budynkach pozostały tylko kominy, z naszego domu pozostała zaś tylko pasyjka – krzyż przełamany w połowie, który jako jedyna pamiątka stoi na moim oknie do dnia dzisiejszego, przypominając o pacyfikacji Borowa. W ramach twórczości zbiorowej ktoś ze wsi dla upamiętnienia tych wydarzeń napisał pieśń zatytułowaną

W dzień Matko Boskiej Gromnicznej

*W dzień Matki Boskiej Gromnicznej straszne się tam rzeczy działy,
Na wioskę Borów nad Wisłą spadły germańskie oddziały.*

*Zaczęli palić, mordować, nikogo tam nie szczczędzili,
Podczas Mszy Świętej w kościele księdza wraz z ludźmi zabili.*

*Potem przyszli do wioski, wszystkie dziewczęta spędzili,
Zaczęli rzucać granaty, a resztę kulami dobili.*

*W wiosce Borów pod lasem stała tam malutka chatka,
Przy stole i przed obrazem z dziećmi modliła się matka.*

*Poszedł tam Niemiec z benzyną i chciał tę chatkę podpalić,
Zdjęty głęboką litością, musiał się od niej oddalić.*

*W wiosce Borów pod lasem stoją tam same kominy,
Nie znajdziesz tu żadnego starca ani też dziewczyny³.*

³ S. Świrko, *Z pieśnią i karabinem: pieśni partyzanckie i okupacyjne z lat 1939–1945: wybór materiałów z konkursu ZMW i „Nowej Wsi”*, Warszawa 1971, s. 428.

Ocaleni cudem mieszkańcy wrócili, by pogrzebać pomordowanych bliskich, trumny zbijano ze spalonych desek. Ciała ofiar pacyfikacji zostały złożone w Borowie w zbiorowej mogile na starym cmentarzu, a w Łążku przy kaplicy kościelnej.

Akcja drugiego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku posiada wyraźne znamiona działań o charakterze ludobójstwa, okupanci czynili wszystko, by zniszczyć wsie będące oparciem ruchu partyzanckiego. To, co się wtedy wydarzyło, było nie tylko dowodem męczeństwa narodu, lecz również świadectwem ruchu oporu i patriotyzmu. Po pochówku zmarłych, ludzie udali się do swych krewnych lub dobrych ludzi z pobliskich wiosek, aby przetrwać zimę, była to tułaczka, jakiej towarzyszył płacz. Nasza wędrówka zaczęła się wtedy na wozach partyzantów, którzy – podobnie jak mieszkańcy Borowa w czasie pacyfikacji – ukryli się w lesie i pod osłoną nocy, w blasku palącej się wsi, skierowali swoje pojazdy konne w kierunku Łążka Zaklikowskiego. Po dotarciu na miejsce, cały oddział zatrzymał się obok młyna nad rzeką Sanną, w odległości około dwustu metrów od drogi łączącej Zaklików i Borów. Okazało się wtedy, że drogą tą w kierunku Borowa maszerują ostatnie oddziały wojsk niemieckich, zapamiętałem ich charakterystyczny głośny śpiew w czasie przemarszu. Mało brakowało, a doszłoby do spotkania tych dwóch wrogich grup. Po raz drugi w tak krótkim czasie uniknęliśmy śmierci. Po pewnym czasie partyzanci przekroczyli rzekę Sanną i trakt Borowski, kierując się w stronę lasów Janowskich, dotarli na dużą polanę, gdzie zarządzone postój.

Pamiętam, że była gwieździsta i chłodna noc, gdy dowódca oddziału oświadczył nam, że cywile muszą opuścić obóz, ponieważ czeka ich walka z Niemcami. Nie wiem, w jaki sposób w ciemną noc, podróżując po głębokim lesie, matka z dwójką małych dzieci dotarła do wsi Witkowice. Tam trafiliśmy do szkoły, gdzie udzielono nam schronienia. Następnego dnia spadł śnieg, siostra pozostała w szkole, a ja z matką wyruszyliśmy pieszo w dalszą drogę do wsi Chwałowice, gdzie mieszkała rodzina matki. Pamiętam, że aby nie opóźnić marszu pokonywałem biegiem kilkanaście metrów, po czym odpoczywałem na przydrożnym kamieniu, żeby po dojściu mamy znów wybiec do przodu, ten naprzemienny bieg z odpoczynkiem trwał około pięciu kilometrów. Teraz, po latach, rozumiem już, że dzieci szybko się męczą i szybko odpoczywają. Na miejscu okazało się, że rodzina jest liczna i dla nas brakuje tam miejsca. Wyruszyliśmy w dalszą drogę do Janiszowa, idąc pieszo około siedem kilometrów. Mieszkała tam bliższa rodzina ze strony matki – Szczepaniakowie i ze strony nieżyjącego ojca – Strawińscy, oczywiście z podobnych powodów nie mogli nas przyjąć, dlatego musieliśmy zamieszkać u zupełnie obcych ludzi – u Cwikliskich, którzy mieli jednego syna.

Następnego dnia matka wyruszyła w dwunastokilometrową drogę do szkoły w Witkowicach, by sprowadzić stamtąd moją czteroletnią siostrę do Janiszowa. Na wiosnę ocaleni mieszkańcy Borowa wracali do swoich spalonych domostw, budowali prowizoryczne szałas i obsiewali pola. Drewno na budowę pozyskiwano z pobliskiego lasu, którego nikt nie pilnował. Problemem był brak siły roboczej, odpowiedniego

sprzętu i koni potrzebnych do zwózki drewna. Gospodarze ciosali siekierami sosny ręcznie, a piłami na tzw. sztalugach piłowali je na bale i deski. Wymagało to dużego wysiłku organizacyjnego, finansowego i fizycznego, nie wiem, jak moja samotna matka sobie z tym radziła. Nie dysponując finansami i męską siłą roboczą podjęła prace związane z budową szalasu mieszkalnego i zasadzeniem ziemniaków na polu.

Pojawiały się informacje o nadejściu wojsk Armii Radzieckiej. Niemcy zarządzili wtedy budowę okopów, tzw. bunkrów żelbetonowych, za Wisłą na wzgórzu od Zawichostu do Sandomierza. Prace te wykonywali przymusowo mieszkańcy miasta i okolicznych wiosek. Pod koniec czerwca niemieccy saperzy zaczęli budować w Zawichosćce pontonowy most na Wiśle, przez który pod koniec lipca nadciągały od wschodu cofające się wojska niemieckie, długie kolumny taborów, czołgów, armat i innych pojazdów, które przemieszczały się w kierunku Opatowa i Ostrowca Świętokrzyskiego.

Ziemia lubelska stanowiła dla Armii Radzieckiej ważny teren strategiczny. To właśnie przez jej obszar miało przebiegać główne uderzenie w kierunku Wisły oraz szlaków komunikacyjnych. Ofensywa wzdłuż całego brzegu rzeki ruszyła w nocy dwudziestego czwartego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

Dwudziestego siódmego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku na miasto Zawichost i okolice, w tym także Borów, spadły pierwsze pociski rosyjskie. Żołnierze radzieccy wkroczyli do Borowa dwudziestego ósmego lipca w godzinach porannych. Władze wojskowe zarządziły wzdłuż linii Wisły strefę przyfrontową. Mieszkańców tych terenów, w tym Borowa, ewakuowano dwadzieścia kilometrów od linii frontu. Ludzie udali się do swoich krewnych, znajomych lub w ostateczności do obcych. Był to początek naszego kolejnego koszmaru, życia w biedzie, niedostatku i w ciągłym strachu, spowodowanych tym razem obecnością wojsk rosyjskich.

Zamieszkaliśmy wtedy we wsi Baraki, odległej od Borowa o około piętnaście kilometrów, u obcych ludzi. Okres ten zapamiętałem bardzo źle, jako pełen głodu, brudu i wszawicy, do tego dochodziły napady i kradzieże żołnierzy rosyjskich. We wrześniu matka udała się pieszo do Borowa, by zebrać ziemniaki, które wczesną wiosną tam posadziła, podczas gdy mieszkaliśmy wciąż w Janiszowie. Część urobku ukryła na polu, maskując to miejsce, z resztą niesioną na plecach wróciła zaś pieszo na Baraki. Gdy następnego dnia przybyła ponownie na pole w Borowie okazało się, że po ziemniakach nie było śladu. Rosjanie zrobili swoje.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej na wschodnie tereny Polski i zatrzymaniu frontu niemiecko-rosyjskiego na linii Wisły, życie mieszkańców Borowa było ciężkie. Podczas gdy my mieszkaliśmy na Barakach, wielu pozostało na miejscu, budując na zgłiszczach budynki i pracując na roli, mimo że byli narażeni na niebezpieczne działania bojowe w strefie frontu. Po pewnym czasie my też wróciliśmy do Borowa.

W tym czasie w Borowie pojawili się NKW-dziści, którzy przebywali na terenach wyzwolonych, by wylapywać członków oddziałów AK i NSZ. Drugiego sierpnia w tzw. krzakach za Rakówką natrafili na wóz konny wyładowany bronią. Zatrzymali dowódcę Władysława Jaśkiewicza, wywieźli do lasu i rozstrzelali.

W Borowie Rosjanie po drugiej stronie starego cmentarza, w wąwozie na Skarpie rozmieścili baterię artylerii, cztery działa, z których ostrzeliwali pozycje niemieckie za Wisłą. Od Kraśnika przez Annopol i Borów w stronę Sandomierza przejeżdżały prawie codziennie kolumny samochodów, czołgów, dział artyleryjskich i żołnierzy. W Zawichoście za Wisłą Niemcy zainstalowali działo ruchome na szynach, z którego na przejeżdżających padały pociski, ich celnością kierował z wierzby kościelnej w Borowie niemiecki zwiadowca. Mieszkańcy Borowa kryli się w pozostałych po spaleniu murowanych piwnicach lub ziemiankach. My mieszkaliśmy blisko lasu, dlatego też to tam szukaliśmy schronienia przed ostrzałem niemieckim.

Zapamiętałem zwłaszcza jeden z takich nalotów: uciekaliśmy do lasu przed bombami, gdy w pewnej chwili w czasie biegu matka padła na ziemię, a my z siostrą biegliśmy dalej. Dopiero po jakimś czasie matka dołączyła do nas w lesie, okazało się, że uratowała ją pierzyna, którą niosła na plecach. To był kolejny przypadek, kiedy cudem uniknęliśmy śmierci.

Poczynając od wieczoru z jedenastego na dwunastego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku przez całą noc trwał ostrzał z dział armatnich wojsk rosyjskich w Opoce i Borowie w kierunku pozycji niemieckich za Wisłą. Wojska Radzieckie w godzinach rannych przeszły przez Wisłę, kierując się bez większego oporu na zachód do Berlina. Już wtedy było wiadomo, że Niemcy tę wojnę przegrali. Dnia ósmego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku w Berlinie podpisali kapitulację.

Borów i okolice znalazły się na długie lata w nowej rzeczywistości politycznej, społecznej i gospodarczej – Polskiej Rzeczypospolitej. Gdy nastały czasy PRL-u zaczęły się nowe porządki i rozliczenia, Borów był wtedy szczególnie atakowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Nowe władze mściły się na jego mieszkańcach za stacjonujące tam wciąż oddziały NSZ i AK i ich walką z Gwardią Ludową i Armią Ludową.

Dziewiętego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku do Borowa i sąsiednich wiosek przybyły oddziały Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW). Doszło do przeszukań i aresztowań, w Zaklikowie na posterunku padły strzały, od kul padli wtedy Bolesław Wilkosz i Paweł Kamecki, obaj z Borowa. Do podobnych rozliczeń i potyczek między partyzantami a siłami bezpieczeństwa dochodziło też w kolejnych latach.

Następnie aresztowano księdza Władysława Stańczaka, proboszcza parafii Borów, za głoszenie kazań o treści antykomunistycznej oraz nawoływanie do zwalczania organizacji lewicowych. Zatrzymano także członków organizacji zbrojnej NSZ, którym postawiono zarzuty pomagania Niemcom i walki z członkami GL oraz AL.

Ostateczne wyroki zapadły piątego listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku skazując L. Cybulskiego na karę śmierci, R. Ławryszczuka na dożywotnie więzienie, K. Wybrańskiego na piętnaście lat pozbawienia wolności, a J. Wtykała na dwanaście lat więzienia. Najniższą karę otrzymał ksiądz Stańczak – sześć lat pozbawienia wolności. Liczne interwencje mieszkańców parafii sprawiły jednak, że po pra-

wie trzech latach spędzonych w więzieniu, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku proboszcza z Borowa wypuszczono na wolność.

Pozostali więźniowie, członkowie oddziałów NSZ i AK, zostali uwolnieni w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku po tzw. przełomie październikowym. Natomiast w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku, za czasów „Solidarności” i po odzyskaniu przez Polskę pełnej suwerenności zostali zrehabilitowani, a ich potomkowie otrzymali wysokie odszkodowania.

W czasie powojennym władza długo jeszcze nękała mieszkańców Borowa, piątego grudnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku do wsi przybyli funkcjonariusze UB z Lublina i Kraśnika i zdewastowali pomnik Józefa Piłsudskiego. Większość ludzi żyła niejako obok tych wydarzeń, byli pochłonięci odbudową swych spalonych domów i budynków gospodarczych, pozyskaniem sprzętu i koni do pracy w polu. W rodzinach dysponujących męską siłą roboczą i końmi odbudowa trwała względnie szybko, ale w przypadku mojej samotnej matki gromadzenie materiałów budowlanych, a później wznoszenie budynków trwało około dziesięć lat. W międzyczasie mieszkaliśmy w prowizorycznym pomieszczeniu, przypominającym raczej szałas niż prawdziwy budynek, bez fundamentów, zbudowany z kołków o średnicy dziesięciu centymetrów, ocieplony słomą, a następnie otynkowany od wewnątrz i na zewnątrz gliną, gdyż wtedy tylko taki materiał tynkarski był dostępny, a przynajmniej dla nas. Zimą woda zamrażała tam w wiadrze, podłogę stanowiło klepisko z ubitej gliny, spało się na łóżkach zbitych z desek wypełnionych słomą. Budowa stanowiła wtedy duży wysiłek: organizacyjny, finansowy i fizyczny, w naszym przypadku brakowało zaś wszystkiego. Nie wystarczyło zgromadzić fundusze, należało włożyć również wiele czasu i inwencji w pozyskanie trudnodostępnych materiałów, transportu i siły roboczej.

W Borowie po przejściu frontu, ludzie zaczynali od zera, dominowała pomoc sąsiedzka. Matka miała trzech braci, niektórzy jej pomagali, ale w ramach wdzięczności matka całymi dniami musiała dla nich pracować poza domem. W tym czasie siedmioletni ja wraz z moją o dwa lata młodszą siostrą wędrowaliśmy pod rękę głodni i na bosaka od jednej babci do drugiej, prosząc o jedzenie, najczęściej była to tylko zupa z kromką chleba.

Do przyjemniejszych wspomnień z dzieciństwa należą spotkania wigilijne u ocalałej cudem babci na Rakówce. Matka, z domu Olszówka, miała czworo rodzeństwa: trzech braci – Stanisława, Pawła i Eugeniusza oraz starszą siostrę Janinę. Na gospodarstwie dziadków pozostał wuj Paweł, który czasem wsparł mnie złotówką. Dobrze mu się powodziło, po wojnie został na wsi sołtysem, a później prezesem Gminnej Spółdzielni w Kosinie (dziadek Michał, jego ojciec, był tam wcześniej wójtem gminy). Szybko odbudowali spalony dom, pomagał mu w tym młodszy brat Eugeniusz, który był o dziesięć lat starszy ode mnie, ale pamiętam, że odnosiłem się do niego po imieniu. Nie wiem, dlaczego byłem tak śmiały w stosunkach z nim. Często nas odwiedzał, był młodszym i ukochanym bratem matki, pomagali sobie nawzajem, a gdy zacząłem pracować, to często był moim dłużnikiem. Byliśmy ze sobą blisko, dawniej pomaga-

łem jego dzieciom, ale teraz już tego nie potrzebują. Żyjemy w niewielkiej odległości, ale w pewnym dystansie, nie odwiedzają mnie na wsi, ja od pewnego czasu również unikam kontaktów.

Wspomnienia z dzieciństwa na trwałe wryły się w mojej pamięci, przywołuję w myślach atmosferę tamtych świąt, w kuchni na podłodze leżała słoma, choinka była ustrojona, pamiętam też szopkę, śpiew kolęd, dzieci bawiące się na podłodze przy choince, a dorosłych siedzących przy stole. Nie mogę sobie przypomnieć, czy były prawdziwe prezenty, ale i tak było wesoło. Na choince wisały jabłka i orzechy włoskie i to właśnie je otrzymaliśmy jako podarki, gdyż owoców nie było na co dzień, a smak pierwszego banana poznałem, gdy miałem dwadzieścia pięć lat. Święta, zarówno te zimowe, jak wiosenne, były wyczekiwany istotnym wydarzeniem religijno-duchowym, rodzinnym, ale przede wszystkim kulinarnym, duże ilości jedzenia i picia podawane wtedy rekompensowały okres postu i przednówka.

Inną atrakcją świąteczną byli kolędnicy – chłopcy i dorośli mężczyźni, przebrani za diabła, pasterza, anioła i złego króla Heroda, którym zwykle przewodził chłopiec z gwiazdą z kolorowego papieru. Kolędnicy wędrowali po wsi od domu do domu, mówiło się, że chodzą po kolędzie. Przygotowywali specjalne przedstawienia zwane herodami, składali życzenia, które miały przynieść gospodarzowi szczęście i obfite plony. Oczywiście, gospodarz musiał się odwdziżyć darami: jedzeniem czy drobnymi monetami. Pamiętam, że gdy ja chodziłem po kolędzie, to te drobne były najważniejsze, na końcu rozdzielaliśmy monety pomiędzy siebie. Dziś na wsi zwyczaj ten niestety już zanika.

W połowie lata życie mieszkańców Borowa i okolic zaczęło się normalizować, potwierdzały się pogłoski o tworzeniu się władz państwowych i zapewnieniu ludziom pracy, a także opieki lekarskiej, nauki i innej pomocy.

Ludzie zaczęli się organizować, bardzo ważnym problemem, z którym przyszło się zmierzyć po wojnie, były trudności związane z powszechnym nauczaniem. W latach od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego obowiązywała siedmioletnia szkoła podstawowa. W roku szkolnym w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym i tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym naukę w szkole w Borowie rozpoczęło stu dwunastu uczniów w pięciu oddziałach. Stary budynek szkolny został spalony w czasie pacyfikacji w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku, więc nauka odbywała się w domu prywatnym na Gąsiorach, jedynym ocalałym przed pożogą.

Lata od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego były dla mnie jako dziecka szczególnie trudnymi, rozpocząłem naukę w szkole podstawowej w drugiej klasie, po lekcjach pod nieobecność matki w domu opiekowałem się siostrą, latem pasłem krowy, a zimą pomagałem matce w szkole, gdyż pracowała tam jako dozorczyńni. Gdy kończyły się zajęcia w salach lekcyjnych należało zgromadzić opał – drewno na rozpałkę i węgiel. Następnego dnia wczesnym rankiem o godzinie czwartej należało wstać, ja zajmowałem się paleniem w piecach,

a matka porządkowaniem klas lekcyjnych. Zimy wtedy były mroźne i śnieżne, zaspasy sięgały metra, były kłopoty z wyjściem z domu i dotarciem do szkoły. W domu nie było zegarka, dlatego bywało że matka budziła się o trzeciej rano, siostra zostawała często w domu sama. Gdy skończyłem dziesięć lat przejąłem obowiązki ojca i zacząłem pomagać matce także w pracach polowych, kosząc zboże i orając w polu.

Jak sięgam pamięcią, matka zawsze płakała z różnych powodów, a zwłaszcza z powodu naszego cierpienia i ubóstwa. Moje pierwsze wspomnienia o ojcu również kojarzą się z łzami matki, płynącymi, gdy Niemcy przybyli konno do naszego domu z informacją o śmierci ojca w obozie pracy jenieckiej w Pustkowie. Nie pamiętam, czy ojciec pochylał się nad moim łóżkiem i mnie głaskał, nie pamiętam, czy brał mnie na rękę i przytulał. W dodatku nie zachowały się żadne zdjęcia z tego okresu. Zanim zdążyłem zapamiętać ojca, zniknął z naszego życia, pojmany z ulicy, gdy miałem zaledwie cztery lata. Wiem tylko z opowieści matki, że był troskliwym ojcem, co sprawiało, że tym bardziej za nim tęskniłem.

Miłość ojcowska powinna dawać rosnącemu dziecku coraz większe poczucie siły i wreszcie pozwolić mu kierować się własnym rozumem i obywać się bez autorytetu ojca. Ja tego uczucia doświadczyłem zbyt wcześnie, aby móc je zapamiętać i jako dziecko musiałem szybko dojrzeć, tracąc smak dzieciństwa. Matka, zastępując mi ojca, starała się tę rolę wypełnić z nadmiarem, stąd często dostawało mi się porządne lanie. Osłoda były jej tkiwość, łagodność i ciepło, a czasem nawet pieszczoty. Jej miłości zostawiła we mnie niezatarte ślady iście kobiecej czułości i oddania innym, te cechy mogły sprawić, że stałem się później bezbronny wobec ciosów, rozczarowań i zgryzot, jakie niosły ze sobą związki z ludźmi w dorosłym życiu.

Wracając do czasów powojennych, to życie w Borowie zaczęło się normalizować, jedni przybywali z tułaczki, a inni wyjeżdżali na Zachód. Na ziemię odzyskane wyruszali także mieszkańcy Borowa, zajmowali ponemieckie gospodarstwa rolne lub pracowali w fabrykach. Sąsiedzi, rodzina Kowalskich, równie biedna jak my, zdecydowała się na emigrację. Ojciec z najstarszym synem Stanisławem i córką Felicją wyjechali na ziemię odzyskane na Zachodzie, gdzie rodzeństwo już pozostało, przejmując wraz z dobytkiem ponemieckie gospodarstwo, a ojciec wrócił z licznym sprzętem domowym i zegarem ściennym. Opuszczone tereny wschodnie kraju zasiedlali także repatrianci – ludzie z ubogich stron Polski. Miała wtedy miejsce wielka powojenna wędrówka ludów.

Moja rodzina pozostała w Borowie, podejmując się odbudowy od podstaw spalonego przez Niemców gospodarstwa. Jedynym istotnym dobrodziejstwem dla nas było zatrudnienie matki w szkole jako dozorczyńi, co jednak oznaczało dla mnie dodatkowe obciążenie. Pomagałem jej do trzynastego roku życia, kiedy to zacząłem naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Zaklikowie. W okresie lata spadały na mnie inne obowiązki, które odciągały mnie od nauki, poza tym nie było książek, z którym mógłbym się uczyć. Pomimo tych przeciwności losu musiałem sobie radzić w szkole.

W szkole podstawowej uczyło nas dwoje nauczycieli: Michał Pierzchała i jego żona Anna. Po wojnie brak nauczycieli odczuwało się na każdym poziomie edukacji, dlatego Pierzchała był dyrektorem i nauczycielem fizyki, matematyki i muzyki, a jego żona Anna uczyła pozostałych przedmiotów. Poziom nauczania, jak na warunki wiejskie, był średni, z matematyki byłem najlepszy w klasie, podczas gdy koledzy rozwiązywali równania z dwoma niewiadomymi, ja rozwiązywałem z pięcioma. Gorzej było z przedmiotami humanistycznymi, głównie z językiem polskim i historią, brakowało książek, a w moim przypadku również czasu na ich czytanie. Dyrektor był bardzo wymagający, a w stosunku do niegrzecznych uczniów wręcz surowy. Po lekcjach często przebywałem w szkole, pomagając matce, wtedy to Michał Pierzchała nauczył mnie gry w szachy. Wiele lat później, kiedy byłem już w liceum, w czasie wakacji w Borowie, gdy koledzy grali w piłkę, ja musiałem grać w szachy ze swoim nauczycielem. Gdy przegrywał starał się szybko odegrać, gdyż okazywało się, że uczeń przerastał mistrza.

Wysiłek i starania oraz troska o szkołę, systematyczne podnoszenie poziomu nauczania Michała i jego żony Anny spotkały się z wielkim uznaniem społeczności lokalnej. Jego pogrzeb czwartego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku był wielką manifestacją mieszkańców Borowa i okolic, a w szczególności byłych uczniów i wychowanków. Dziwię się, że teraz tak mało ludzi o tym pamięta. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku skończyłem naukę w Borowie i rozpocząłem uczęszczać do Liceum Ogólnokształcącego w Zaklikowie.

OKRES POWOJENNY

Lata 1951–1961

Nauka w Liceum i Studium Nauczycielskim

Liceum w Zaklikowie. Lata 1951–1955

Po skończeniu szkoły podstawowej moje życie radykalnie się zmieniło. Musiałem opuścić dom rodzinny i zamieszkać w Zaklikowie, prowincjonalnym miasteczku odległym o piętnaście kilometrów od Borowa. Pieszko – idąc piaszczystą drogą – pokonywało się ten dystans w trzy godziny.

Chodziłem do Liceum Ogólnokształcącego, które mieściło się przy ulicy Kościelnej w centrum miasteczka. Znajdowało się ono w zwykłej dwupiętrowej kamienicy, w pomieszczeniach przerobionych z mieszkalnych na szkołę. Były tam małe sale i wąskie i krótkie korytarze, przerwy lekcyjne spędzaliśmy poza budynkiem na ulicy. Pamiętam, że nie było sali gimnastycznej, dobrze wrył mi się w pamięć również obraz ciasnego pokoju z czteroosobowymi ławkami i tablicą.

Obok stał prywatny domek, w którym z dwoma kolegami zamieszkaliśmy na stacji. Ci koledzy to Antoni i Szczepan Pierzchała, synowie mojego nauczyciela z Borowa, który pół roku później dołączył do nas na stacji, jako czwarty lokator w pokoju. W liceum również brakowało nauczycieli, dlatego Michał Pierzchała gościł tu czasowo, ucząc nas fizyki. Pamiętam dobrze okres pobytu na stacji: przez pierwsze dwa lata mieszkałem w czteroosobowym pokoju, a przez kolejne dwa lata w internacie w dwunastoosobowych salach z piętrowymi łózkami, to był – jak pamiętam – koszmar o każdej porze dnia i nocy.

W owym czasie w liceum uczyło się, jeśli dobrze pamiętam, około pięciu kolegów i trzy koleżanki. Byłem jedynym bez ojca, w sobotę po lekcjach ze szkoły do domu wszyscy podążali pieszo, ale już wracali w niedzielę odwożeni przez ojców wozami konnymi, ja jako jedyny wracałem na piechotę, obciążony suchym prowiantem na cały tydzień, dla gospodyni, która przygotowywała nam posiłki na stacji. W następnym tygodniu z prowiantem na plecach pieszo przychodziła matka. W ciągu dwu lat pobytu na stacji mama musiała dostarczać gospodyni mąkę, kaszę, ser, jajka itp., a wtedy brakowało przecież wszystkiego.

Lekcja pokory towarzyszyła mi całe dzieciństwo, wiele razy unikałem jako dziecko śmierci. To zagrożenie minęło, ale poczucie bycia półsierotą pozostało na długo. Różniłem się od rówieśników także ubiorem, brakowało mi również radości życia cechującej inne dzieci. Nie stać nas było na kupno w sklepie spodni lub marynarki, dlatego moje stroje były z materiału pochodzącego z odzysku. Pamiętam zwłaszcza spodnie uszyte przez mamę z pałatki wojskowej, podczas spaceru ich szelest było sły-

chać na odległość. Nie mieliśmy środków na zakup odzieży podczas całego czteroletniego okresu mojego pobytu w liceum – nawet na balu maturalnym uczestniczyłem w samych spodniach i koszuli, bez marynarki, a zamiast butów miałem tenisówki.

Rozpoczęcie nauki w liceum to nowy rozdział w moim życiu, to nowe środowisko, nowi koledzy, inne zwyczaje, wymagania, nauka, to życie w zupełnie odmiennych uwarunkowaniach niż na wsi. Na każdym odcinku musiałem nadrabiać zaległości, tak w szkole, jak i w kontaktach i obcowaniu z kolegami. Zaklików był pierwszą większą miejscowością, poza domem, w której zamieszkałem, wszystko było tam dla mnie obce. Początki tego pobytu wspominam bardzo dobrze, pamiętam, jak wtedy formowały się moje kontakty z obcymi ludźmi i jak uczyłem się nowych wyrazów.

Wynikało to poniekąd z tego, że wcześniej mało czytałem, gdyż i w domu, i w szkole podstawowej brakowało książek, ale także dlatego, że nie miałem na to czasu, zmuszony pomagać matce w gospodarstwie. Miałem więc trudności w płynnym czytaniu oraz w poprawnej wymowie, np. zamiast „człowieku” mówiłem, „cłowieku”. Dziś wiem, że czytanie to początek drogi na szczyt, zapewnia bogatsze słownictwo i rozwija wyobraźnię, czytamy więc dzieciom bajki i zachęcamy ich do samodzielnej lektury. Przez trzysta lat życia na wsi nie tylko mało czytałem, ale nigdzie też nie wyjeżdżałem. Szkoła nie organizowała zbiorowych wycieczek jak dziś, a wiemy, że podróże kształcą. Nie było na to funduszy i środków transportu, poza tym dzieci w okresie wakacji pomagały rodzicom w pracach polowych.

Teraz, gdy oceniam tamte lata z perspektywy czasu, to sądzę, że dzieciństwo i nauka w liceum, gdzie pozbawiony opieki matki, sam musiałem sobie radzić z trudami dnia codziennego, stanowiły dla mnie prawdziwą lekcję dojrzałości i wrażliwości.

Początki mojego pobytu w liceum, choć były trudne, to z czasem przerodziły się we wspaniały czas, czuliśmy się młodzi, niezależni, niczym niezwiązani, nie wiedzieliśmy, co to zachłanność, zazdrość, skąpstwo czy ambicja. Nasze obcowanie z lokalnym światem było tak radosne, że nie mieliśmy żadnego wyobrażenia, jaka będzie nasza przyszłość jako ludzi dojrzałych. Miało to tę dobrą stronę, że nie mieliśmy żadnych powodów do zazdrości i do rywalizacji, zatargów. Byliśmy dla siebie życzliwi, na co mogła wpłynąć pamięć o okrucieństwie wojny.

Ludzie zaczęli się cieszyć życiem, chociaż dla mnie, po wcześniejszych doświadczeniach, bywało to trudne. Tańczyliśmy w zespołach tanecznych (Fot. 2 moja partnerka Basia), graliśmy w piłkę, chodziliśmy na wycieczki do lasu czy nad rzekę (Fot. 3). Życie towarzyskie i kulturalne było skromne, nie było teatru, kina, klubów młodzieżowych, kawiarni, spotykaliśmy się w domach koleżanek mieszkających w mieście lub w internacie na świetlicy. Kino objazdowe przyjeżdżało raz w tygodniu, a do teatru w Lublinie jechaliśmy pociągami raz w roku. Życie towarzyskie byliśmy zmuszeni organizować zatem we własnym zakresie.



Fot. 2. Partnerka Basia Iljaszyk z zespołu tanecznego w Liceum w Zaklikowie, 1953 r.



Fot. 3. Zdjęcie z koleżankami i kolegami z Liceum w Zaklikowie, 1954 r.

Nie ja wtedy kierowałem warunkami życia, lecz warunki mną kierowały. Teraz wiem, że życie to szereg zbiegów okoliczności i przypadków, należy być przygotowanym na najgorsze i godzić się z pokorą na to, co nas spotyka. Wtedy w liceum, nie mając planów, niczego od ludzi i losu nie oczekiwałem i to było źródłem pewnego spokoju, a spokój to równowaga wewnętrzna niezbędna do budowania lepszego życia i dalszego doskonalenia się.

Już wtedy zadawałem sobie pytania o to, kim jestem, gdzie jest moje miejsce na ziemi, na jaki odcinek historii przypadło moje życie i do jakiego należą pokolenia. Moje pokolenie to Polacy urodzeni w mroku drugiej wojny światowej, żyjący w skrajnym ubóstwie w okresie okupacji niemieckiej, później w ucisku komunistycznym, wreszcie, od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, w wolnym i niepodległym kraju. Nadzwyczajnym było to, że żyłem nie w jednym okresie, lecz w wielu.

Istotną rolę w tym, że tamten czas był tak szczęśliwy, odegrali nasi nauczyciele, których nazywaliśmy profesorami. Z początku byli to nauczyciele kształceni w okresie międzywojennym, cechowała ich naturalna życzliwość, uczyli nas patriotyzmu, otwartości na człowieka, dobroci i przyzwoitości, to cechy, które chciałbym przekazać moim wnukom. Byli to nauczyciele z poprzedniego systemu politycznego, nie forsowali więc socjalistycznej wiedzy na siłę. Z czasem przybywało jednak grono nowych i młodych pedagogów. Zaczęli nam wpajać ideologię Polski Ludowej, rodził się więc dylemat mej egzystencji: czy postępować w zgodzie z zasadami wyniesionymi z domu, zasadami Polski niepodległej rodziców, Polski okupowanej i walczącej czy zasadami Polski Ludowej, obcej tamtemu pokoleniu.



Fot. 4. Zdjęcie pracowników szkoły

Pamiętam niewielu nauczycieli z tego okresu. Dobrze wspominam dyrektora szkoły Antoniego Rajtara (Fot. 4), który uczył nas matematyki, jego żonę Bronisławę, uczącą języka rosyjskiego, Marię Pilecką, nauczycielkę języka polskiego, z którym miałem pewne kłopoty, wynikające z zaległości za szkoły podstawowej w Borowie.

Pewnego razu na lekcji matematyki, gdy profesor Rajtar wyprowadzał na tablicy wzory trygonometryczne, popełnił błąd, zwróciłem mu na to uwagę, za co w odpowiedzi usłyszałem „siadaj, Olszta, durniu”. Dopiero pod koniec lekcji stwierdził, że być może to ja miałem rację. Fakt ten musiał się odbić echem w pokoju nauczycielskim. W kolejnych latach byłem z matematyki najlepszy w klasie, z protekcji dyrektora udzielałem korepetycji kolegom, a w czasie przygotowań do matury nocami w kilkusobowych grupach rozwiązywałem zadania z matematyki i fizyki.

Inny nauczyciel, profesor Stefan Ślączyński, uczył nas łaciny, należał do starszego pokolenia i miał określone nawyki. Moje początki z tym językiem nie były szczęśliwe, borykałem się z trudnościami składni łacińskiej, przymiotnikami, rzeczownikami, deklinacjami, koniugacjami itp. Na szczęście Ślączyński był wyrozumiały i tolerancyjny, a przy tym naiwny, co niekiedy wykorzystywaliśmy. Przykładowo, profesor w drodze do szkoły zawsze wstępował na plotki do fryzjera, a ponieważ w budynku, gdzie odbywały się lekcje, było ciasno, przerwy spędzaliśmy przeważnie na ulicy. Przed lekcjami łaciny większość klasy wylegała na róg ulicy tak, abyśmy byli widoczni z zakładu fryzjerskiego. Profesor, widząc nas przez okno, kontynuował pogaduszki, przekonany, że nadal trwa przerwa. Wracaliśmy do klasy dopiero dwadzieścia minut przed końcem lekcji, wtedy po pięciu minutach zjawiał się profesor, który był bardzo zdziwiony tym, że już po chwili dało się słyszeć dzwonek na kolejną przerwę.

Okres spędzony w liceum to wspaniałe lata młodości, istniały wtedy kółka teatralne, zespoły taneczne, graliśmy w piłkę nożną i siatkówkę, urządzaliśmy wspólne spacer-y i wycieczki, zawody sportowe – klasowe i międzyszkolne. We wszystkich tych wydarzeniach brałem czynny udział, pamiętam zwłaszcza zawody lekkoatletyczne w Kraśniku – biegłem wtedy na sto metrów, innym razem brałem udział w zawodach zimowych w Chełmie – ścigałem się w jeździe szybkiej na lodzie. W reprezentacji szkoły w piłce nożnej stałem na bramce, w siatkówce grałem w składzie drużyny szkolnej. Nauczycielem wychowania fizycznego był wtedy profesor Karst, który świetnie grał w siatkówkę, po maturze spotykaliśmy się w Borowie na polowaniach, gdyż był myśliwym. W zespole tanecznym moją partnerką była koleżanka z klasy Barbara Iljaszyk (Fot. 2), wspólnie występowaliśmy na akademiach szkolnych i poza szkołą, uczyliśmy się też razem. Bywałem u niej w domu, była jedynaczką, jej rodzice mieszkali w kamienicy w rynku miasta, przyjaźniliśmy się, a nawet podkochałem się w niej na odległość. Byłem siedemnastolatkiem bez ojca, biednym chłopcem za wsi, nie sądziłem, że mógłbym mieć u niej szansę. To przekonanie to kolejny uraz i piętno, które pozostawiło ślady w mojej psychice. Przez cztery lata nauki w liceum spędzałem każde wakacje w Borowie, pomagając matce w pracach polowych oraz przy kończeniu budowy domu, gdyż nadal mieszkaliśmy w ziemiance zbudowanej po spaleniu

wsi przez Niemców w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku. Po tym, jak moja siostra rozpoczęła naukę w Lublinie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku, matka pozostała sama na wsi i wiem, że było jej trudno. Ja mieszkałem wtedy w internacie, wszystkie obowiązki domowe spadały więc na jej ręce.



Fot. 5. Zdjęcie rodzinne – siostra, matka, babcia i kuzyn, Borów 1948 r.

Wcześniej rodzina zaproponowała jej przyjęcie do siebie umierającego w przytułku w Zaklikowie starca, byłego parobka z domu rodzinnego matki Wawrzyńca Ścipienta, którego nazywaliśmy dziadkiem (Fot. 5). Po jakimś czasie odzyskał siły i okazał się pomocny, strzegł domu, zbierał drewno w lesie i wyręczał nas w pilnowaniu krowy na pastwisku. W tym czasie zbierał też zioła, które suszył na strychu, ludzie często korzystali z jego pomocy medycznej. Pamiętam, jak kiedyś bardzo się rozchorowałem po zjedzeniu dużej ilości śliwek, wysokiej temperaturze towarzyszyły wtedy majaczenia, podał mi wywar z kory dębu, dzięki czemu szybko odzyskałem przytomność. Wiedzę czerpał z zielnika, otrzymanego od kuzyna z USA. Zmarł w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat. Zielnik, z którego wtedy korzystał, był na wsi rzadki i pomocny, przekazał go przed śmiercią siostrze.

Nie mam wątpliwości, że czas liceum był to początek moralnego przełomu, który zaczął się we mnie dokonywać, pozbywałem się kompleksów, zaczynałem wierzyć w siebie. Wkładałem coraz więcej pracy w przygotowywanie się do zajęć szkolnych, a jednocześnie podświadomie pozbywałem się poczucia wyrządzonej mi przez los krzywdy, odzyskując pewność siebie i radość życia. Proces ten dokonywał się powoli i niedostrzegalnie, rosła jednocześnie we mnie świadomość, że jestem tu nadal pozostawiony samemu sobie, przez co stawałem się bardziej odporny na niepowodzenia. Te przemiany wewnętrzne spowodowane były też moim zainteresowaniem się nauką, które przekładało się na dobre wyniki z matematyki – byłem z niej najlepszy w klasie.

W poprawie mojej kondycji psychicznej i wzroście pewności siebie rolę odegrały również kontakty koleżeńskie i zawarte przyjaźnie. Już od pierwszej klasy liceum byłem odważny, zaprzyjaźniając się kolegami ze starszych klas, co mnie dodatkowo dowartościowało i poprawiało moje samopoczucie.

Doświadczony w dzieciństwie bolesnymi przeżyciami, ciągle musiałem wypędzać z siebie demony wspomnień z czasów wojny: ucieczki przed bombami, głodu i chłodu tułaczki po pacyfikacji Borowa oraz pięciu lat okupacji niemieckiej i sześciu miesięcy trwania frontu na Wiśle. Zaklików, odległy o piętnaście kilometrów od linii frontu, nie doświadczył tego koszmaru, miasto pozostało niezniszczone, ludzie żyli tam dalej w swoich domach jak w czasie okupacji. Bardzo różnił się od swych rówieśników z Zaklikowa, mentalnie i wyglądem, różnice te z czasem zacierały się, rodziły się przyjaźnie, a życie wracało do względnej normalności.

Gdy rozmawiam o czasach swojego dzieciństwa i panujących wtedy warunkach do nauki ze swoimi rówieśnikami, profesorami z Zachodu, np. z USA czy Anglii, to widzę, że mieli oni nieporównywalnie lepsze warunki do życia i nauki na każdym etapie rozwoju, poczynając od żłobka, a na studiach kończąc. W przypadku Anglii wyboru szkoły należało dokonać bardzo wcześnie, bo były tam różne ścieżki edukacji – prywatna i państwowa, szkoły z internatem lub bez niego, szkoły tylko dla dziewczynek lub tylko dla chłopców bądź koedukacyjne, szkoły prowadzone przez kościół albo osoby prywatne. Naukę rozpoczynało się w różnym wieku, a programy kontrastowały ze sobą, dzieci mogły uczęszczać do kółek zainteresowań, uczyć się gry na instrumentach, korzystać z zajęć sportowych, wycieczek, teatru, kina bądź wielu innych atrakcji.

Ja takiego wyboru nie miałem, brakowało wszystkiego: nauczycieli, pomieszczeń do nauki, książek, wyposażenia klas, pomocy naukowych, obcowania z „kulturą” czy sztuką. Te różnice trwały dekadami, dopiero po roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym nastąpiły pewne zmiany, ale przepaść istnieje nadal, bo odbudowa zniszczeń i grabieży trwa latami.

Łączyła nas po wojnie w liceum bieda, większość kolegów w klasie pochodziła z okolicznych wsi, z rodzin chłopskich, nie odczuwało się więc różnic ze względu na pochodzenie, szybko nawiązywaliśmy kontakty i przyjaźnie koleżeńskie. Uczyliśmy się doceniać to, co mamy, bowiem wiedzieliśmy, że w życiu wszystko się zmienia, a chwilowe szczęście potrafi prysnąć jak bańka mydlana. Już wtedy myślałem, jak połączyć przeszłość z nową przyszłością, gdyż wtedy ważnym było nie tylko to dokąd zmierzamy, ale też skąd pochodzimy. Dziś z perspektywy czasu wiem, że wszystko przemija, z wyjątkiem pamięci, jedno co mamy to wspomnienia, naszym obowiązkiem jest przekazać je z pokolenia na przyszłe pokolenie.

Wracając do wspomnień z pobytu w liceum, muszę choć wspomnieć kolegów i koleżanki z tamtych czasów: Artek Zakościelny świetnie grał w piłkę nożną, w drużynie szkolnej zajmował pozycję w ataku, Broniek Janiec dobrze grał w siatkówkę, pamiętam, że zalecał się do Elżuni Pac, bliskiej koleżanki mojej siostry. Po latach Bronka

spotkałem w Lublinie, gdzie pracował naukowo jako docent na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Elżunia natomiast po maturze wyszła za mąż za Ireneusza Kozłowskiego, mojego bliskiego kolegę, mieli huczne wesele, na którym byłem jego starszym druhną. Wtedy obie rodziny, Paców i Kozłowskich, jak na tamte warunki były zamożne, dziś żyją skromnie w małym mieszkaniu w Zawichoście. Dla porównania, moja koleżanka Barbara Sadlejówna pochodziła z biednego domu, a dziś jest nieprzystojnie bogata w USA. Inni dwaj koledzy z klasy: Rysiek Wołoszczuk i Władysław Delekt wstąpili do Seminarium Duchownego w Lublinie i zostali kapłanami, poświęcającymi się duszpasterstwu w parafiach.

Z tego, co mi wiadomo, większość moich kolegów nie ukończyła studiów wyższych. W podobnej sytuacji znalazłem się również ja, gdyż po maturze nie dostałem się na Politechnikę Krakowską i w wieku siedemnastu lat zmuszony byłem iść do pracy. Po liceum niełatwo było dostać odpowiednią posadę, ale miałem szczęście, gdyż przez dwa pierwsze lata w liceum mieszkalem na stacji po sąsiedzku z pewnym starszym inżynierem Janem Nikorowiczem, z którym spotykaliśmy się w kuchni przy stole w czasie obiadów. Pamiętał o mojej trudnej sytuacji domowej i zaproponował mi pracę jako jego pomoc w biurze i na budowie w terenie.

Praca w Biłgoraju. Lata 1955–1959

Pierwszą pracę rozpocząłem jako konserwator w Rejonowym Przedsiębiorstwie Robót Wodno-Melioracyjnych w Janowie Lubelskim. Początki nie były łatwe, budowa, którą kierował Nikorowicz, mieściła się w Harasiukach, w powiecie biłgorajskim, mój kierownik mieszkał na stałe w Zaklikowie, a ja z matką w Borowie, problemem była zatem logistyka, czyli dojazdy na miejsce budowy. U gospodarza na wsi w Harasiukach mieściła się kwatera, do której z Borowa należało dojechać, a po tygodniu wrócić do domu. Mój szef poruszał się motorem, a ja na miejsce budowy musiałem dotrzeć środkami komunikacji publicznej. Z Borowa szedłem pieszo do Kosina, tu czekałem na okazję lub jechałem ciężarówką z pocztą do Kraśnika, dalej PKS-em do Biłgoraja, skąd – po odczekaniu na kolejny środek lokomocji – autonaprawą-PKS do Harasiuk na kwarterę wynajętą u gospodarza. Budowa była prowadzona w kilku miejscach, na początku poruszałem się pieszo, po którejś z wypłat musiałem kupić rower, który znacznie ułatwiał mi pracę.

Odległość piętnastu kilometrów z domu w Borowie do Zaklikowa pokonywałem więc już rowerem, na stacji PKP nadawałem go jako bagaż i jechałem pociągiem – z przesiadką w Rozwadowie – do stacji Rudnik, dalej wsiałem na rower i przeprowiałem się promem przez rzekę San do Krzeszowa. Oczekując na połączenie autobusowe, pokonywałem ostatni odcinek podróży do wsi Harasiuki, trasa okazała się w ten sposób znacznie szybsza i krótsza. Do moich obowiązków należał przede wszystkim dozór robotników przy regulacji rzeki, wykopach i konserwacji rowów melioracyjnych oraz pracach geodezyjnych, tyczeniu i niwelacji terenu. Zatem po dotarciu na miejsce, rowe-

rem objeżdżałem teren budowy, sprawdzając i wydając dyspozycje robotnikom. Pracę tę dzieliłem z zadaniami w gospodarstwie matki, pomagając jej w pracach polowych i w wykonaniu domu, którego budowa trwała około dziesięciu lat.

Pamiętam, jak za moją pensję kupowaliśmy okna i drzwi, by czym prędzej przeprowadzić się do nowego, jednoizbowego mieszkania. Wtedy, po czterech latach pobytu w liceum, już jako dorosły młodzieniec patrzyłem z podziwem na dokonania matki, uświadamiając sobie jej wysiłek, determinację oraz odporność fizyczną i psychiczną niezbędne do tego, by tak długo walczyć samotnie z przeciwności, jakimi obdarzyło ją życie. W okresie zimowym, gdy prace melioracyjne na budowie były przerywane, przebywałem w domu, poświęcając się – podobnie jak w dzieciństwie – działaniom związanym z ogrzewaniem sal lekcyjnych w szkole, gdyż matka nadal pracowała tam jako dozorczyńni. Moja siostra w tym czasie nadal uczyła się w Lublinie.

Po roku pracy w Rejonowym Przedsiębiorstwie Robót Wodno-Melioracyjnych w Janowie Lubelskim, z dniem piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku rozpocząłem pracę na stanowisku inspektora technicznego w Referacie Wodnych Melioracji, Powiatowej Rady Narodowej, Wydziale Rolnictwa i Leśnictwa w Biłgoraju.

Było to samodzielne stanowisko, jako kierownik grupy robót nadzorowałem pracami konserwatorskimi urzędzeń melioracyjnych na terenie dwóch gmin Harasiuki i Hucisko. Osobiście musiałem zorganizować ekipę robotników i koordynować ich prace, jeżdżąc po terenie, rower już zatem nie wystarczał. Wtedy stać mnie już było na szczęście na kupno motoru marki SHL. Dojazd z Borowa do miejsca pracy trwał około dwóch godzin, po sprawdzeniu stanu i przebiegu robót, prowadzonych na kilku budowach, jeszcze tego dnia mogłem wracać do domu. Tak przebiegał okres letni, zimą musiałem wynająć stancję w Biłgoraju i pracować w biurze.

Życie znów zaczęło się od nowa: nowy szef, koledzy, warunki pracy, mieszkania i życia w mieście powiatowym. Należało się zaadaptować, poznać środowisko i obowiązki w biurze. Ponownie znalazłem się w nowej sytuacji, z pytaniem, co przyniesie przyszłość. Mój niepokój wynikał z obaw, czy sprostam oczekiwaniom. Byłem osiemnastoletnim chłopcem po maturze, bez przygotowania do zawodu, czekało na mnie wiele niewiadomych, martwiłem się o to, jak się sprawdzę i jak zostaną przyjęty.

Moim kierownikiem był inżynier Edward Adamczyk, absolwent Wydziału Rolnego, Wyższej Szkoły Rolniczej w Lublinie. Stosunki służbowe w pracy układały się poprawnie, zarówno z kierownictwem, jak i z pracownikami Referatu Wodnych Melioracji oraz innych działów starostwa powiatowego w Biłgoraju. Nie pamiętam, kto był starostą w tamtym czasie, ale pamiętam, że sekretarzem powiatowego Komitetu PZPR był Józef Dechnik. Była to znana i lubiana w powiecie postać, mieszkańcy wiele mu zawdzięczali, był bardzo życzliwy dla ludzi. Osobiście go nie znałem, ale wiele lat później – już jako profesor w Lublinie – poznałem jego brata Józefa, który był profesorem i zastępcą dyrektora Instytutu Agrofizyki PAN w Lublinie. Obaj byliśmy członkami Rady Naukowej

Instytutu i spotykaliśmy się na posiedzeniach naukowych Rady, a jego żona pracowała ze mną w Oddziale IMUZ w Lublinie jako pracownik techniczny.

Zamieszkałem na stacji w domku jednorodzinny, w odległości około kilometra od pracy, z posiłków korzystałem w stołówce urzędu miasta. Pamiętam, że w tym domu zetknąłem się z kalendarzem salezjańskim z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku, gdzie pod datą szóstego maja znalazłem imię Wenanty. Od tego czasu swoje imieniny celebrowałem właśnie szóstego maja, podczas gdy wcześniej obchodziłem je dwunastego maja, tj. w dniu moich urodzin. W skali kraju i nie tylko jest to bardzo rzadkie imię, z tego powodu miałem wiele kłopotów, głównie z jego przekształcaniem, np. na Walenty. Oprócz dwóch starszych kolegów na wsi, zetknąłem się tylko z jednym moim imiennikiem, był to aktor Wenanty Nosul, który grał rolę Dziwisza w filmie o papieżu Janie Pawle II.

Imię to miało też swoje zalety, było wielokrotnie pretekstem do nawiązywania rozmowy przy pierwszym kontakcie. Pytano mnie o to, co to za imię, zwracano uwagę na to, jak jest rzadkie. Miałem również kłopoty administracyjne związane z jego znieszktałaniem na różnego rodzaju dokumentach. Horoskop głosi, że osoby o imieniu Wenanty lubią piękne otoczenie i przyrodę, gromadzą książki naukowe, zwłaszcza psychologiczne i filozoficzne, nie zmieniają łatwo zdania. Osoby o tym imieniu są bezpośrednie, odważne i wrażliwe na społeczne zjawiska. Są to ludzie ambitni, energiczni, hojni, kochają wolność, szukają wyzwań, są otwarci na nowe pomysły i odkrywanie nieznanego świata. Imię Wenanty symbolizuje przemiany, zdobywanie większej świadomości samego siebie, co wiąże się ze zrozumieniem świata, a także wprowadzaniem harmonii we własnym życiu.

Wracając do początku mojego pobytu w Biłgoraju, to moje niepokoje i obawy nie potwierdziły się. Okazało się, że zostałem dobrze przyjęty i szybko się zaadaptowałem. Prace biurowe okazały się prostymi czynnościami, a kontakty ze współpracownikami były koleżeńskie. Dla tych pracowników, którzy latem pracowali w terenie, zimą organizowano różnego rodzaju szkolenia. Jedno z takich szkoleń utkwiło mi w pamięci, był to tygodniowy kurs w Zamościu, zorganizowany przez Wojewódzki Zarząd Wodnych Melioracji w Lublinie. Zajęcia przeprowadzali inspektorzy nadzoru prac wodno-melioracyjnych, wtedy w województwie lubelskim prowadzonych na szeroką skalę. Byli to młodzi inżynierowie, niektórych z nich pamiętam bardzo dobrze, np. Zbyszka Kowalewskiego i Janusza Bratka. Spotkałem ich po około dziesięciu latach, ale w innej roli: będąc już po studiach i zatrudnieniu w Oddziale IMUZ w Lublinie, jako pracownik naukowy Instytutu organizowałem dla projektantów i inspektorów nadzoru prac melioracyjnych szkolenia w zakresie odwodnień i nawodnień oraz gospodarki wodnej torfowisk, na badanie których poświęciłem około dwudziestu pięciu lat życia.

Inne wspomnienie z tego szkolenia ma charakter morału, otóż na ten kurs pracownicy byli delegowani służbowo, zabezpieczono zatem dla nich lokum w hotelu i wypłacono im gotówkę na posiłki w restauracji. W tygodniu szkolenia wypadła akurat środa popielcowa, wszyscy zgodnie z tradycją w tym dniu pościliśmy, z wyjątkiem

jednego kolegi, który demonstracyjnie zaserwował sobie w tym dniu suty mięsny obiad i kolację, w ten sposób wydając większość gotówki, w rezultacie czego musiał pościć do końca tygodnia.

W okresie zimowym przebywałem w domu w Borowie. Oprócz palenia w piecach w szkole, nie miałem wtedy innego zajęcia, wieczorami graliśmy więc w karty, a w ciągu dnia młócili cepami żyto w stodole u kolegi Irka Kozłowskiego. Nadal się przyjaźniliśmy, chodziliśmy razem na podwójne randki i zabawy wiejskie, a latem jeździliśmy motorami na wycieczki do Kazimierza, Sandomierza czy nawet do Łańcuta.

Życie towarzyskie w Biłgoraju było również ograniczone, m.in. dlatego, że koledzy w pracy byli starsi i mieli rodziny. Jedynym miejscem spotkań towarzyskich był Powiatowy Dom Kultury, w którym spotykała się przy grze w bridża śmietanka miasta: sędziowie, adwokaci, inżynierowie. Byli niewiele starsi ode mnie, ale byli po studiach i na odpowiednich stanowiskach, otrzymanych nieraz przy pomocy władz partyjnych, podczas gdy ja nigdy nie dołączyłem do żadnej partii. Nie należałem zatem do tego towarzystwa, mogłem się tylko przyglądać, śledzić jak licytują i grają oraz wsłuchiwać się w ich rozmowy i dyskusje. Czasami grałem z nimi, gdy brakowało im czwartego do bridża.

Wtedy zrozumiałem, że aby uczestniczyć w tym życiu i korzystać z jego dobrodziejstw, jego smaku i kolorytów, słowem, być tam, gdzie się coś dzieje, muszę skończyć studia. Już zimą, w Biłgoraju, rozpocząłem przygotowania do egzaminu wstępnego z matematyki i fizyki na studia, tym razem na Politechnikę Warszawską, na Wydział Geodezji. Dobrze pamiętam ten egzamin, który niestety zakończył się dla mnie nieomyślnie, był rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szósty, wybuchł pierwszy w PRL strajk robotników w Poznaniu, w Zakładach Metalowych H. Cegielskiego, nazwany później „poznańskim czerwcem”. Był to początek niepokojów okresu stalinizmu.

Zbliżała się wiosna, czas powrotu w teren na budowę i na wieś do domu, gdzie czekały na mnie prace wiosenne w gospodarstwie matki i wykończeniowe roboty przy budynku mieszkalnym. Właściwie był to budynek gospodarczy, obejmujący jedną izbę mieszkalną, pomieszczenie dla krowy obok za ścianą, dalej tzw. bojowisko z klepiskiem z gliny do omłotów zboża, wreszcie na końcu zapole z piwnicą na ziemniaki.

Po dziesięciu latach spania i nauki przy świecy i lampie naftowej, przeprowadziliśmy się z ziemianki do pomieszczenia o powierzchni około dwudziestu metrów kwadratowych, z podłogą i powałą z desek. Ściany wykonane były z bali sosnowych, był tam też piec i kuchnia, woda w wiadrze zimą już więc nie zamarzała. Nasza sytuacja materialna stawała się coraz lepsza, mieszkaliśmy w ogrzewanym pomieszczeniu, skromnie, bez wygód, ale nie odczuwaliśmy już głodu i poczucia biedy.

W latach sześćdziesiątych wieś została zelektryfikowana, matka zbudowała w tym czasie oddzielny budynek gospodarczy – stodołę z oborą dla krowy, a pomieszczenie dla krowy w poprzednim budynku zamieniła na kuchnię, w której spał dziadek Wawrzyniec.

Siostra w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku skończyła liceum pedagogiczne i podjęła pracę w szkole jako nauczycielka języka rosyjskiego, początkowo na wsi, a po roku przeniosła się do szkoły podstawowej w Kraśniku. Tam w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku wyszła za mąż za mojego starszego kolegę, a jak się później okazało, wujka mojej przyszłej żony – Stanisława Jaśkiewicza. Małżeństwo nie trwało długo, zmarła w szpitalu podczas operacji woreczka żółciowego w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku. Odeszła w bardzo młodym wieku. Była to kolejna tragedia dla całej rodziny, a dla matki szczególnie. Ja także bardzo przeżyłem utratę siostry, którą opiekowałem się od wczesnych lat dzieciństwa aż do jej śmierci.

W okresie zimowych pobytów w Biłgoraju, grając w Domu Kultury w bridża, ciągle myślałem o studiach. W kolejnych latach próbowałem sił na różnych uczelniach. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku starałem się dostać na Wydział Melioracji Wodnych we Wrocławiu, gdzie studiował mój kolega z liceum Zbyszek Chrzanowski. Pamiętam dokładnie tamten wyjazd do Wrocławia na egzaminy. Chrzanowski mieszkał wtedy na stacji u profesora Wierzbickiego w dużej ponemieckiej kamienicy, w której zatrzymałem się na czas egzaminów. W tamtym czasie nazwisko profesora nic mi nie mówiło, dopiero po zgoła dwudziestu latach, pracując w IMUZ, zetknąłem się z Wierzbickim jako specjalistą w zakresie rolniczego oczyszczania ścieków. Z tego wyjazdu pamiętam również problemy z dostaniem się do pociągu w relacji Lublin–Wrocław, do wagonów wsiadaliśmy przez okna, podobnie było w drodze powrotnej do Lublina, trudne warunki podróży nie zmieniły się jeszcze przez wiele lat.

Ze wspomnieniami tymi wybiegłem nieco w przyszłość, zatem wróćmy do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym: ja kontynuuję pracę w Biłgoraju, a siostra zaczyna uczyć w szkole, wyprowadza się, ale wciąż jesteśmy blisko. Mieszkam z matką w nowym domu, a siostra odwiedza nas w soboty, układa nam się coraz lepiej, mama jest z tego powodu zadowolona. Bywają u nas koledzy koleżanki, nawiązują się przyjaźnie, uczestniczymy w zabawach wiejskich, które odbywały się niemal każdej niedzieli w remizie strażackiej. W tamtym czasie nie było na wsi kawiarni, restauracji ani klubów towarzyskich, dlatego głównym miejscem spotkań była właśnie remiza strażacka, ewentualnie prywatny dom, na szczęście mama nigdy nie sprzeciwiała się takim spotkaniom. Życie towarzyskie kwitło, nawiązywaliśmy do tradycji, wspólnie kolędując po domach w okresie świąt Bożego Narodzenia, a w czasie Wielkanocy chodziliśmy po całej wsi, oblewając się wodą. Celebrowaliśmy wspólnie w domach ostatki, zapusty czy imieniny, wypierając w ten sposób z głowy koszmar wojny. Wróciliśmy do normalności, pragnęliśmy cieszyć się życiem i być kochanym.

Pracując już trzeci rok w terenie, moja pozycja społeczna i ekonomiczna poprawiła się. Polepszyło się również moje samopoczucie. Zacząłem zmieniać swój wizerunek, garnitury zamawiałem na miarę u krawca, mój poprzedni motor zastąpiłem czeską jawą. Ludzie zaczęli mnie doceniać i postrzegać jako człowieka sukcesu, a moje koleżanki jako potencjalnego partnera. Mój status zmieniał się, na wsi stałem

się chętnie wybieranym na ojca chrzestnego i družbę na śluby, w rezultacie w Borowie mam czterech chrześniaków, a w Lublinie trójkę. Matka była z tego powodu dumna, a ja w jakiś sposób czułem się dowartościowany. Większość czasu spędzałem poza domem. Z kolegami, którzy pozostali na wsi, traciłem kontakt, gdyż byli zajęci pracą w gospodarstwach ojców. Przyjaźń na wsi utrzymywałem nadal z Irkiem Kozłowskim, wciąż razem chodziliśmy na zabawy w sąsiednich wsiach, jeździliśmy motorami na wycieczki, a wieczorami graliśmy u jego rodziców w karty. Spotykaliśmy się również u mnie w domu, moja siostra Maria była bliską koleżanką jego dziewczyny Elżuni Pac, która była również moją koleżanką z liceum. W międzyczasie nie zaniechałem przygotowań do kolejnych egzaminów, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku zdawałem na Wydział Melioracji Wodnych w Krakowie, a w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku na ten sam Wydział w Warszawskiej SGGW, niestety w obu przypadkach bez powodzenia.

Latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku otrzymałem kartę poborową do wojska, w poprzednich latach, ze względu na to, że byłem jedynym żywicielem rodziny, przysługiwały mi odroczenia. Dowiedziałem się wtedy przypadkowo, że w Ostrowcu Świętokrzyskim ogłoszono nabór do nowo otwartego Studium Nauczycielskiego. Bez większego namysłu wsiadłem na motor i ruszyłem w tamtym kierunku. Złożyłem odpowiednie dokumenty i zostałem przyjęty na pierwszy rok studium na kierunku matematycznym, co automatycznie zwalniało mnie z poboru do wojska.

Znów musiałem zmienić środowisko, czekały mnie nowe obowiązki, uczestnictwo w zajęciach, nowi koledzy i nauczyciele oraz przygody studenckiego życia.

Nauka w Studium Nauczycielskim. Lata 1959–1961

Wiedziałem, że nowo rozpoczęty etap edukacji to szansa na lepszą przyszłość, ale wtedy jeszcze nie myślałem, że lata nauki będą trwać tak długo i nie sądziłem, że jest to jedynie początek mojej długiej drogi do Belwederu, gdzie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku otrzymałem z rąk prezydenta Lecha Wałęsy nominację i tytuł profesora.

Dyrektorem studium był Florian Szozda, który uczył nas wielu przedmiotów: algebry, geometrii analitycznej, trygonometrii, analizy matematycznej, metodyki matematyki oraz prowadził seminarium z matematyki. Zapamiętałem go jako starszego pana, wyglądem przypominającego dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Zaklikowie Rajtara, który również uczył mnie matematyki. Ze studium pamiętam także Danutę Batory, która uczyła nas arytmetyki, geometrii elementarnej i geometrii wykreślnej. Pracowała na pełnym etacie w liceum, a w studium wykladała jedynie gościnnie. Ponieważ byłem studentem wyróżniającym się w nauce, ciągle proponowała mi udzielanie korepetycji z matematyki swoim uczennicom. Wcześniej w liceum również udzielałem korepetycji, ale bezpłatnie, tym razem korepetycje stały się dla mnie dodatkowym źródłem dochodu na całe dwa lata studiów.

Pobyt i nauka w studium były bardzo kształcące. Oprócz przedmiotów kierunkowych w programie było wiele przedmiotów zawodowych takich jak: pedagogika, psychologia ogólna, rozwojowa oraz dążeń ludzkich, wybrane zagadnienia z filozofii, metodyka nauczania początkowego, śpiew, gra na pianinie, prace ręczne, historia wychowania czy teoria wychowania i wiele innych pomocnych w wychowaniu dzieci przedmiotów. Oprócz matematyki prowadzone były tam zajęcia na dwóch innych kierunkach: filologii polskiej i wychowaniu fizycznym. W sumie na trzech kierunkach studiowało tam około stu studentów. W budynku mieściło się również liceum pedagogiczne, w większości uczęszczały tam dziewczyny, które często organizowały wieczorki taneczne w okazałej świetlicy przeznaczonej zwykle do nauki. Pamiętam, że chętnie korzystaliśmy z ich zaproszeń, gdyż nasze koleżanki z roku były znacznie starsze, wszystkie były po maturze, a niektóre z nich były już nawet mężatkami.

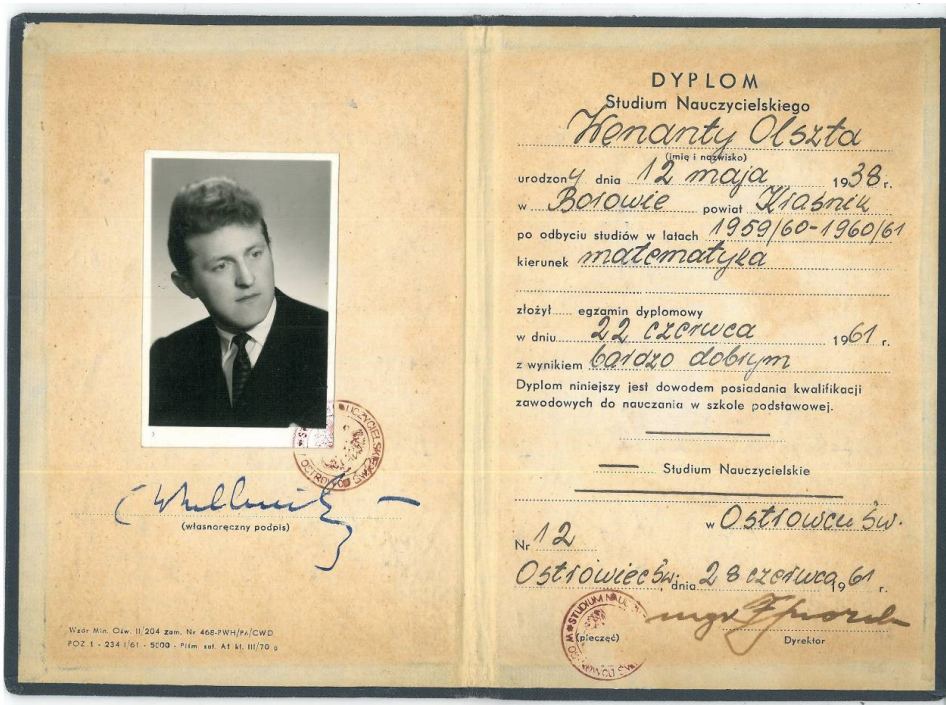
Innym ważnym dla mnie wspomnieniem z pobytu w studium były obozy zimowe w górach. Wyjazdy te były organizowane w ramach programu nauczania na kierunku wychowania fizycznego, ja zaś chętnie w nich uczestniczyłem ze względu na możliwość nauki jazdy na nartach. Nigdy wcześniej nie miałem nart na nogach, to właśnie tam odbyły się moje pierwsze lekcje jazdy na nich. Mieszkaliśmy w Poroninie na kwaterach prywatnych, a stołowaliśmy się w miejscowej gospodzie, w której głośne śpiewy górali przy piwie były dla nas dużą atrakcją.

Najbardziej utkwily mi w pamięci długie wycieczki na nartach przez szczyty gór do Zakopanego. Szczególnie pamiętam dni, kiedy padał śnieg, a wiatr utrudniał widoczność, wędrówka w takich warunkach była nie lada wysiłkiem, a radość oraz uczucie ulgi po powrocie do gospody na posiłek i grzane piwo – wielkie. Innym razem pojechalśmy pociągiem do Zakopanego, uczyliśmy się jeździć na Gubałówce i wróciliśmy szczytami gór do Poroniny. Te przeżycia wryły się w moją pamięć. Obóz trwał dwa tygodnie, mieliśmy wiele atrakcji i dużo czasu, by opanować podstawy jazdy na nartach, zachwycać się pięknem widoków górskich, panoramą Tatr. Byłem oczarowany górami na tyle, by w przyszłości, jeszcze wiele razy tam wracać, najpierw jako student, a potem ojciec z synami i żoną.

Studium w ramach programu nauczania zapewniało nam gry sportowe, uczestnictwo w kółkach teatralnych, wycieczkach zbiorowych, a w okresie wakacji w koloniach z dziećmi. Pamiętam kolonie w Białogardzie, na które pojechałem jako wychowawca. Organizowaliśmy podczas nich wycieczki dla dzieci nad morze do pobliskiego Mielna (Fot. 6). Wypady te były dla dzieci kształcące i poznawcze. W ich czasie ujawniały się również różnice wychowawcze dzieci, część z nich szybko się nudziła, domagając się powrotu do bazy w mieście, a część chciała zostać aż do zachodu słońca, zachwycając się pięknym widokiem i szumem morza. Dzieci zaniedbane przez rodziców, mniej wrażliwe na piękno, nie potrafiły się cieszyć urokami przyrody i doświadczać jej wpływu na rozwój emocjonalny człowieka, a dzieciaka na wczesnym etapie rozwoju w szczególności.



Fot. 6. Kolonie 1960 r.



Fot. 7. Dyplom ukończenia Studium Nauczycielskiego

W studium, podobnie jak w liceum, wyróżniałem się wiedzą z przedmiotów kierunkowych, głównie z trygonometrii i analizy matematycznej. Koleżanka z roku Teresa Kowalska wróżyła mi już wtedy karierę naukową, stwierdzając, że kiedyś sięgnie na półkach księgarni po książkę mojego autorstwa.

Nauka trwała tam dwa lata, z obowiązkowym uczestnictwem w zajęciach, napisaniem pracy dyplomowej i złożeniem egzaminu dyplomowego w obecności członków komisji w składzie: dyrektora Szozdy jako przewodniczącego i promotora prac oraz Zygmunta Kałużny i Danuty Batory jako członków komisji. Zarówno pracę, jak i egzamin dyplomowy, złożyłem z wynikiem bardzo dobrym, uzyskując kwalifikacje zawodowe do nauczania w szkołach podstawowych oraz dodatkowe w zakresie obranej specjalności (Fot. 7). Temat mojej pracy dyplomowej brzmiał: *Różne dowody twierdzeń o funkcjach trygonometrycznych sumy i różnicy dwóch kątów*.

STUDIA WYŻSZE W SGGW

Lata 1961–1967

Już w Biłgoraju zrozumiałem, że edukacja i ciężka praca oraz oszczędzanie jest drogą do życiowego sukcesu. Czas spędzony w Studium Nauczycielskim tylko mnie w tym utwierdził. Wtedy jeszcze nie znałem celu, ku któremu zmierzałem, ale miałem marzenia i pragnienie życia w dobrobycie i spokoju.

W studium zyskałem pełniejszą wiedzę matematyczną, dowiedziałem się, czym jest analiza matematyczna, a także tego, że skuteczność każdego działania, również leczenia, opiera się na trafnej diagnozie. Nauczyłem się stawiania właściwych pytań i formułowania tezy przy rozwiązywaniu problemu, co później wykorzystałem w pracy naukowej.

Mój wybór był oczywisty, postanowiłem szósty raz przystąpić do egzaminu wstępnego na wyższe studia, tym razem na Wydział Melioracji Wodnych na SGGW w Warszawie. Egzamin zakończył się z powodzeniem, zostałem przyjęty na pierwszy rok studiów. Jako pierwszy w historii powojennej zostałem tam później stypendystą naukowym, co potwierdza tezę o losowości dostawania się na studia, w moim przypadku dopiero za szóstym razem.

Na pierwszym roku byłem jednym ze starszych studentów, miałem dwadzieścia trzy lata i właśnie dlatego zostałem wybrany starostą roku, którym pozostałem już do końca studiów. Naszym opiekunem roku była doktor Maria Tołwińska, z Katedry Podstaw Przyrodniczych Melioracji, kierowanej przez profesora Józefa Prończuka, któremu wiele zawdzięczam, gdyż stał się później moim mentorem (Fot. 9).

Byłem zdyscyplinowanym studentem, w przeciwieństwie do moich kolegów chodziłem na wszystkie wykłady, nie tylko dlatego, że byłem starostą, ale dlatego, że okres młodzięcych szaleństw miałem już za sobą i po wielu latach starania się, aby dostać się na uczelnię, miałem świadomość, w jakim celu tu przyjechałem. Nie mogłem tej okazji zaprzepaścić, korzystając z atrakcji życia studenckiego.

Zacząłem się angażować społecznie w Zrzeszenie Studentów Polskich (ZSP), był to związek zawodowy studentów, przypominający dzisiejsze samorządy studenckie. Dzięki wsparciu kolegów zostałem członkiem Rady Wydziałowej tej organizacji, nie należałem do innych organizacji funkcjonujących na uczelni jak ZMS czy PZPR.

Byłem świadkiem wielu nieprawości, jakie działy się w latach pięćdziesiątych, czas ten obfitował w dramatyczne wydarzenia w kraju. Pierwszym sekretarzem partii został Władysław Gomółka. Wiele się zmieniło, ale nadal o wszystkim decydowała partia, na uczelni również. Na drugim roku studiów zostałem wybrany na przewodniczącego Rady Wydziału ZSP, w związku z czym, jako przedstawiciel studentów, brałem udział w radach naukowych wydziału, miałem kontakty z profesorami, dziekanami i innymi władzami uczelni.

Uczestnicząc w radach naukowych wydziału, uświadomiłem sobie, jaki wpływ na nasze życie ma aparat partii. Dziś zapewne już niewiele osób pamięta, że np. procedura awansów profesorskich miała nie tylko stronę głęboko merytoryczną, ale także polityczną. Wniosek awansowy skierowany do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, a w przypadku instytutów badawczych do odpowiedniego resortu, wracał do Komitetu Wojewódzkiego partii po opinię, ten zaś zwracał się w tej sprawie do Komitetu Uczelnianego partii (w połowie lat osiemdziesiątych nieco to uproszczono). W przypadku pozytywnej opinii partii wniosek poprzez Ministerstwo wędrował do Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, stąd ponownie do Ministerstwa lub odpowiedniego resortu. Wnioski z pozytywną opinią CKK były przygotowywane i kierowane do Urzędu Rady Ministrów, a stamtąd do Rady Państwa. Jeśli dobrze pamiętam, to wniosek z Urzędu Rady Ministrów, przed przesłaniem do Rady Państwa, trafiał jeszcze do KC partii. Tak więc prześwietleń przez różne ogniwa partii było sporo. Nie mam też wątpliwości, że w opiniowaniu kandydata na profesora swoją rolę odgrywały Służby Bezpieczeństwa (SB). Nie dziwię się, że podczas naszych pobytów na stażach w zachodnich krajach, traktowano tam nas jak potencjalnych agentów.

Już wtedy miałem świadomość, jaką rolę spełnia partia w życiu każdego z nas, a mimo to nigdy do niej nie wstąpiłem, nawet pomimo licznych propozycji. W latach sześćdziesiątych funkcjonowało powiedzenie, że trudno zostać profesorem, ale już łatwo nim być, oraz to, że jeśli chce się zostać profesorem, będąc bezpartyjnym, trzeba wyjechać za granicę. To ostatnie w moim przypadku się potwierdziło.

Jak już wspomniałem, na trzecim roku studiów otrzymałem stypendium naukowe, jako pierwszy na Wydziale w historii jego powojennego funkcjonowania, oraz zostałem wybrany na wiceprzewodniczącego do spraw nauki Rady Uczelnianej ZSP. Moje życie nabrało pędu, wkroczyłem w nową fazę pracy społecznej, pełnej zebrań, narad, kontaktów z władzami uczelni, ministrami, a nawet z ambasadorami innych krajów, zaczęły się wyjazdy krajowe i zagraniczne.

Zmienił się również mój status materialny, stypendium, które dotychczas otrzymywałem wynosiło pięćset złotych, a naukowe tysiąc złotych, dodatkowo jako wiceprzewodniczący RU ZSP miałem zasiłek w wysokości dwustu złotych, udzielałem także korepetycji z matematyki, a gdy miałem wolny czas podczas sesji egzaminacyjnej pracowałem w Studenckiej Spółdzielni Bonus. Egzamininy zawsze zdawałem bowiem przed terminem, a w okresach sesji i ferii pracowałem lub jeździłem na wczasy studenckie w góry bądź nad morze.

Po trzecim roku studiów pierwszy raz wyjechałem do Holandii na studencką praktykę z geodezji, w ramach programu *The International Association for the Exchange of Students for Technical Experience*. Siedziba biura mieściła się w Arnheim, a praktykę odbywałem w Harllem. Wyjazd ten pamiętam z wielu powodów, jednym z nich jest to, że w tamtym czasie podróż na zachód Europy, za żelazną kurtynę, była wielkim wydarzeniem. Pamiętam jazdę pociągiem, kontrole graniczne na granicy z NRD i w Berlinie Zachodnim, tu wsiadła do mojego wagonu pewna mieszkanka tego mia-

sta, która poczęstowała mnie bananem, wtedy, w wieku dwudziestu trzech lat, pierwszy raz w życiu spróbowałem tego owocu. Taka była polska rzeczywistość, cytryny jedliśmy dwa razy w roku z okazji świąt. Holandia to mały, ale piękny kraj, wspaniały pod wieloma względami, jeszcze kilka razy tu wracałem po studiach, o czym będę później pisał. Zwiedzałem go, jeżdżąc rowerem, byłem zachwycony połaciami tulipanów w różnych kolorach i kształtach, wiatrakami, kanałami, szklarniami i dużą liczbą rowerów na ulicach. Tu pod stosami owoców cytrusowych ugięły się półki, czystość miast zachwycała. Był to dla mnie inny świat, który pobudzał mnie do marzeń. Praca społeczna na szczelnie uczelnianym wymagała więcej czasu, kontaktów z radami wydziałów ZSP oraz dziekanami siedmiu wydziałów uczelni. Pewnym ułatwieniem dla mnie była możliwość mieszkania w akademiku na ulicy Kazimierzowskiej, blisko uczelni. Moi koledzy, którzy mieszkali na Jelonkach, dojeżdżali na zajęcia w godzinę.

Pewnym atutem i ułatwieniem w kontaktach z władzami uczelni i w ogóle z profesorami było moje stypendium naukowe, szczególnie że w RU ZSP zajmowałem się sprawami nauki. W ramach tej działalności opiekowałem się również studentami zaocznymi. Funkcjonowanie takich studiów w pierwszych latach po zakończeniu wojny było niezbędne. Wielu z tych, którzy byli zmuszeni w czasach okupacyjnych zawiesić edukację, teraz miało już często swoje rodziny, pracowali i tylko w ten sposób mogli uzupełnić wykształcenie. Byli również ci, którzy podobnie jak ja przez wiele lat nie mogli dostać się na dzienne studia. Utrzymywanie studiów zaocznych w latach sześćdziesiątych było zatem oczywiste, problem tkwił w traktowaniu takich studentów i kryteriach doboru kandydatów. Zabiegaliśmy, by studia zaoczne nie były traktowane jako gorsze od stacjonarnych. Wynikały z tego odpowiednie działania ze strony władz wydziałowych i uczelnianych. Obok właściwych programów nauczania ważnym było zapewnienie kompetentnej kadry wykładowców i asystentów, zajęcia mieli prowadzić profesorowie i docenci, a nie wyłącznie pomocniczy pracownicy dydaktyczni, z czym były duże problemy.

W latach sześćdziesiątych studenci studiów zaocznych w Warszawie borykali się z poważnymi problemami, zwłaszcza związanymi z zakwaterowaniem, pamiętam, że staraliśmy się im z tym pomagać. Dążyłem też do uporządkowania różnych spraw administracyjnych oraz formalnych, zabiegałem przykładowo o to, aby studenci zaoczni odbierali dyplom absolwenta uroczyście, wraz ze studentami stacjonarnymi. Już wtedy miałem świadomość, że jestem obserwowany przez UB. Jako nienależący do partii, a mający kontakt ze studentami i władzami uczelni, mogłem stanowić zagrożenie dla systemu, zresztą inwigilowani byli również członkowie partii. Nie robiło to na mnie większego wrażenia, zawsze działałem w dobrej sprawie, byłem obowiązkowy, pracowity i do bólu punktualny, dotrzymywałem też słowa. Zasady te, które przestrzegam do dnia dzisiejszego, wyniosłem z domu rodzinnego, w którym pomagałem matce, już jako dziesięciolatek, wstając o czwartej rano, by w szkole rozpalić ogień w piecach, zanim pojawią się dzieci.

Wracając do moich studiów, to wiem, że dla młodych ludzi wybór kierunku bywa często rezultatem nie tyle określonego zamiłowania, co przypadku. U mnie było inaczej. Po zdaniu matury starałem się dostać na architekturę, w kolejnym roku na budownictwo wodne, w międzyczasie, oczekując na kolejną szansę, pracowałem przy budowie małych budowli piętrzących i przy regulacji rzek w Rejonowym Przedsiębiorstwie Melioracyjnym w Janowie Lubelskim. Przez kolejne lata byłem związany z pracami melioracyjnymi, w zakresie odwodnień i nawodnień oraz eksploatacji urządzeń piętrzących. Zatem wybór kierunku nie był przypadkowy, chciałem zostać inżynierem jak moi partnerzy od brydża w Biłgoraju.

Na pierwszym roku studiów było około stu słuchaczy, w większości byli to mężczyźni. Po pierwszym roku część się wykruszyła, ale przychodzili nowi, głównie z Wydziału Budownictwa Wodnego Politechniki Warszawskiej. Kształcono nas wszechstronnie, na początku mieliśmy przedmioty ogólne: matematykę, fizykę, chemię, geodezję, geometrię wykreślną, rysunek techniczny, języki obce i oczywiście nie ominęło mnie też szkolenie wojskowe. Przez trzy lata jeden dzień w tygodniu spędzałem w mundurze wojskowym na wykładach i musztrze na Polach Mokotowskich. Po ukończeniu studiów i odbyciu miesięcznego szkolenia wojskowego na poligonie wojskowym w Skierniewicach, zostałem przeniesiony do rezerwy w randze kapral podchorąży. W kolejnych latach przybywały przedmioty kierunkowe, takie jak meteorologia i klimatologia, mechanika budowli, mechanika teoretyczna, hydraulika, hydrogeologia, hydrologia, ekonomia polityczna oraz gleboznawstwo i gruntoznawstwo. Potem doszły także: budownictwo ogólne, ekologia, budownictwo stalowe, fundamentowanie, gruntoznawstwo i budowle ziemne, melioracje rolne, regulacje rzek, budownictwo wodne, konstrukcje żelbetowe i odwodnienia budowli czy maszynoznawstwo melioracyjne, kanalizacje i wodociągi. Ten ostatni przedmiot wykładałem już jako profesor i wykładowca na Wydziale Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej Politechniki Lubelskiej wiele lat później.

Ostatnie dwa lata studiów to kolejne nowe przedmioty specjalistyczne: organizacja i mechanizacja robót wodno-melioracyjnych, uprawa łąk i pastwisk, budownictwo wiejskie, drogi i mosty, torfoznawstwo, planowanie gospodarki wodnej, rolnicze zagospodarowanie terenów zmeliorowanych, rolnicze wykorzystanie ścieków, eksploatacja urządzeń melioracyjnych, melioracje leśne, budownictwo wiejskie, oczywiście dodatkowo filozofia, nauki polityczne, seminaria, działy wybrane i inne zagadnienia i zajęcia w kołach naukowych. Zakres przedmiotów wskazywał na typowo techniczny charakter, co wyróżniało nas na tle innych wydziałów uczelni rolniczej, jakim była SGGW. Poza tym, był to szeroki wachlarz zajęć jak na jedną specjalizację. Wiązało się to z ówczesnymi czasami powojennymi, polska rzeczywistość nie oferowała wielu możliwości rozwoju i kariery, dlatego absolwenci tego Wydziału często wyjeżdżali do Afryki, pracując na pustyni. Musieli być w związku z tym przygotowani wszechstronnie, umieć zaprojektować i wykonać oprócz kanału melioracyjnego również przykładowo drogę dojazdową, garaż, budynek mieszkalny czy zbiornik wodny.

Chciałem przywołać jeszcze atmosferę, jaka panowała w czasie studiów. Mimo że czasy nadal należały do ciężkich, wszyscy byli serdecznie wobec siebie nastawieni, nie odczuwało się różnic, wynikających z racji pochodzenia. Tylko dwóch kolegów miało nazwiska magnackie, reszta miała pochodzenie robotniczo-chłopskie lub wywodziła się z inteligencji pracującej. Na tę dobrą atmosferę pewien wpływ mógł mieć fakt, iż nie dzieliły nas zbyt duże różnice polityczne, większość godziła się z tym porządkiem, jako jedynym możliwym w tamtym czasie. Na Wydziale zdecydowanie przeważali mężczyźni, rozpiętość wieku była niewielka, z wyjątkiem mnie i Józefa Bartczuka, który był jeszcze starszy ode mnie. Po studiach nasze drogi się rozeszły, z niektórymi utrzymywałem kontakt, teraz coraz rzadszy i tylko telefoniczny.

Na studiach uczyło mnie znakomite grono profesorów, niektórzy z nich to postaci skrajnie niepowtarzalne, od tolerancyjnych nawet koleżeńskich, na wzór amerykański, po wymagających i zdystansowanych wobec studentów. Niejednego z nas z powodu tego zdystansowania spotykały przykrości, a ja, jako starosta roku, musiałem w tym uczestniczyć, jednak – tak jak wielu moich kolegów – nadal pozostawałem pod wrażeniem naszych profesorów.

Gdy zaczynałem studia rektorem był profesor Kazimierz Krysiak, a gdy je kończyłem rektorem SGGW był profesor Antoni Kleszczycki, obydwu pamiętam jako doskonałych specjalistów, a poza tym przystojnych, eleganckich i świetnie się prezentujących mężczyzn. Natomiast dziekanem Wydziału na początku moich studiów był profesor Jerzy Ostrołęcki, a pod ich koniec docent Stanisław Białynicz. Obydwaj byli moimi wykładowcami, pierwszy z nich był oschły i służbowy, a drugi to elegancki pedant i wymagający nauczyciel.

Na drugim roku studiów zgłosiłem się u Białynicza na ochotnika zdawać egzamin z matematyki w sali wykładowej, w której znajdował się cały nasz rocznik, czyli około stu osób. Egzamin trwał godzinę, w tym czasie na dwóch dużych tablicach rozwiązywałem zadania i wyprowadzałem wzory z teorii rachunku całkowego i różniczkowego, oczywiście bez sięgania do ściąg. Otrzymałem czwórkę w indeksie i zwolnienie z zaliczenia przedmiotu. Inni wykładowcy, którzy pozostali w mojej pamięci, to profesor Władysław Parczewski, uczący meteorologii i klimatologii, ten przedmiot okazał się pomocny w mojej pracy naukowej, wykładałem go już jako profesor na Politechnice Lubelskiej czterdzieści lat później. Do grona znakomych wykładowców i postaci niepowtarzalnych muszę zaliczyć również profesora Jerzego Mandesa i jego asystenta doktora Romana Kamińskiego, obaj niezwykle inteligentni, wykłady prowadzili z pamięci, pierwszy z mechaniki budowli, a drugi z mechaniki teoretycznej. Do tego grona zaliczę także profesora Kazimierza Dębskiego z hydrologii (Fot. 8), był powszechnie szanowanym i znanym człowiekiem, po jego śmierci w nowym pawilonie Wydziału na Ursynowie nazwano jego imieniem aulę wykładową, w której postawiono jego popiersie. Profesora zapamiętałem jako człowieka niezwyklej kultury, a przy tym niebawalej prostoty, żył więcej niż skromnie.



Fot. 8. Popiersie prof. K. Dębskiego mojego wykładowcy z czasów studiów, SGGW w Warszawie

Bardzo serdecznie wspominam również docenta Leonarda Skibińskiego, który prowadził zajęcia z rolniczego wykorzystania ścieków, miał co prawda nieco kłopotów z wymową, ale posiadał solidną wiedzę. Prowadził na moim roku seminarium, często zabierałem głos w prowadzonych przez niego dyskusjach, to on pierwszy wskazał mi drogę rozwoju, nakłaniał mnie, bym się poświęcił nauce. Wtedy praca na uczelni była w pewnym sensie misją ze względu na niskie zarobki, niektórzy z profesorów, zachęcając do pracy naukowej, mówili, że krzywa wzrostu zarobków po pewnym czasie przecina się, by dalej tylko rosnąć. Oczywiście potwierdziło się to w moim przypadku, ale dopiero po dwudziestu latach, gdy zostałem docentem.

Wspominam też bardzo dobrze profesora Józefa Prończuka z ekologii, którego podziwiam jako człowieka ogromnej wiedzy przyrodniczej i ogólnej, wysokiej kultury osobistej, o niezwykłej osobowości, bezpośredniego i życzliwego, a szczególnie dla mnie. Mówiąc wtedy „profesor” miało się na myśli pewnego rodzaju doskonałość, takim był właśnie Prończuk, nauczyciel, uczony, wychowawca i opiekun (Fot. 9). Był moim mentorem. Zorganizował mi staż naukowy na Uniwersytecie w Wageningen w Holandii, a po powrocie ze stażu zasugerował, bym rozpoczął pracę w Lubelskim Oddziale IMUZ, kierowanym wtedy przez profesora Saturnina Zawadzkiego (Fot. 10).



Fot. 9. Prof. Józef Prończuk SGGW.
Mój mentor i sponsor naukowy



Fot. 10. Prof. Saturnin Zawadzki.
Mój mentor i promotor

Przed moim wyjazdem do Wageningen Jerzy Ostromęcki nie dawał mi nadziei na zatrudnienie w Katedrze. Zmieniło się to po moim powrocie i sukcesie naukowym, wtedy Ostromęcki zabiegał poprzez swoich asystentów, bym został w jego Katedrze, gdyż wiedział, że staram się o pracę w lubelskim oddziale IMUZ.

Dyrektorem IMUZ w Falentach i moim wykładowcą na studiach był wtedy profesor Zygmunt Sochoń, pracowała tam również profesor Kalina Smólska, która znała mnie z wykładów i zajęć z eksploatacji urządzeń melioracyjnych, egzamin u niej zdałem na piątkę. Obydwoje pracowali również w katedrze Ostrołęckiego, wiem, że zabiegał on u nich, bym pozostał na Wydziale, Smólska powiedziała mi wtedy, że jest to decyzja, którą muszę podjąć sam.

Dla mnie wybór był łatwy. Po sześciu latach pobytu w Warszawie znałem tam wszystkich, zdążyłem się zaaklimatyzować. Przemówił do mnie jednak pragmatyzm i rady Prończuka, który zwrócił mi uwagę na to, że w Warszawie trudno było uzyskać stały meldunek, jeszcze trudniej dostać mieszkanie, a ja miałem dwadzieścia dziewięć lat i myślałem o założeniu rodziny. Zdecydowałem się więc zatrudnić w IMUZ w Lublinie, co okazało się ostatecznie trafnym wyborem.

Był rok 1966, trwał PRL, z reguły to, co mówiono nam oficjalnie, różniło się znacznie od tego, co działo się w praktyce. Taki stan nie mógł sprzyjać prawidłowemu wychowaniu młodzieży, mnie również mógł przeszkadzać w podejmowaniu trafnych decyzji, co do mojej przyszłości.

ZSP od samego początku była organizacją zawodową ruchu studenckiego. W latach sześćdziesiątych, w wyniku nabytych doświadczeń, organizacja wypracowała swoje programowe hasło: „ZSP szkołą obywatelskiego wychowania”. Obywatelskość i społeczeństwo stały się bowiem podstawowym wyznacznikiem istoty działania ZSP. Przyswiecała nam rozbudzona potrzeba samodoskonalenia. Tak prowadzona

aktywność przynosiła pożądane pozytywne efekty, zarówno dla środowiska studenckiego, jak i społeczeństwa oraz państwa.

ZSP zachowała umiar i możliwy dystans, proponując pragmatyzm i solidaryzm środowiskowy młodej inteligencji. Spełniała wobec systemu rolę specyficzną opozycji moralno-intelektualnej. Aprobując generalne założenia systemu, organizacja wyrażała wobec niego specyficzną dystans w praktycznej działalności. Odrębność i autonomiczność ZSP sprawiło, że stało się ono zalegalizowaną postacią opozycyjności w tamtym systemie. Zapisano się w nurcie działań reformatorskich, modernizacyjnych, inspirując zmiany. Dla mnie ta działalność była niczym drugi kierunek studiów, a dokładniej socjologia zarządzania zasobami ludzkimi na poziomie uniwersyteckim, to właśnie dawały mi udział w naradach, konferencjach, szkoleniach, kongresach, dyskusje i kontakty z profesorami, władzami Uczelni, ministrami i ambasadorami różnych krajów, podróże krajowe i zagraniczne, tu spełniły się moje marzenia z Biłgoraja.

Większość moich kolegów z roku nie udzielało się społecznie, a po studiach wybrało pracę w zawodzie w terenie, kilku z nich spotkałem w IMUZ, między innymi Janka Olejniczaka i Franka Misiewicza. Inni koledzy, których pamiętam, to Stasio Rejment, Stasio Joniec i Czesław Czekanowski, ten ostatni również wybrał ścieżkę naukową i został profesorem na Uniwersytecie Przyrodniczym w Bydgoszczy, gdzie dawno temu się spotkaliśmy.

Na moją szczególną sympatię zasługuje profesor Zygmunt Sochoń, który uczył mnie na studiach, a po ich ukończeniu, jako dyrektor IMUZ w Falentach, przyjął mnie do pracy w lubelskim oddziale IMUZ, kierowanym wtedy przez Zawadzkiego. Sochoń był to człowiek wyjątkowo serdeczny, życzliwy, zawsze chętny służyć radą. W tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku ukończył Wydział Inżynierii Politechniki Warszawskiej, brał czynny udział w kampanii wrześniowej, w wyniku czego został wzięty do niewoli, gdzie przebywał do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Po wojnie pracował w Departamencie Wodno-Melioracyjnym Ministerstwa Rolnictwa, współpracował przy organizacji Biura Projektów Wodno-Melioracyjnych oraz w IMUZ, którego był dyrektorem od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, skąd na własną prośbę przeszedł do SGGW. Z tą uczelnią był związany od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku uzyskał stanowisko docenta, a w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku profesora nadzwyczajnego, zaś profesora zwyczajnego w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Ma ogromny dorobek naukowy w zakresie hydrauliki ruchu w korytach otwartych, gospodarki wodnej w systemach nawadniających oraz w planowaniu i organizacji nauki. Był aktywnym działaczem społecznym, członkiem różnych komitetów naukowych PAN, IMUZ, NOT, SITWM, został uhonorowany wieloma odznaczeniami państwowymi i resortowymi, w tym Krzyżem Oficerskim OOP.

Wtedy nie sądziłem, że profesor Sochoń będzie moim pracodawcą w IMUZ, a w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku, kiedy na SGGW otworzę swój przewód habilitacyjny, to właśnie on będzie recenzentem mojej pracy, podkreślając jej duże walory poznawcze i utylitarne.

Dużą sympatią darzyłem profesora Józefa Prończuka, wspominam go mile z czasów, kiedy był prodziekanem Wydziału, a ja starostą roku i działaczem ZSP, a na piątym roku studiów – słuchaczem jego seminarium. Był człowiekiem nauki w całym tego słowa znaczeniu, o wysokim poziomie kultury osobistej i dużej wiedzy przyrodniczej, był to przykład nauczyciela z powołania oraz prawego człowieka. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku został przeniesiony służbowo do IMUZ, był współorganizatorem i do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku kierownikiem Zakładu Przyrodniczych Podstaw Melioracji. Kierował również Katedrą o tej nazwie, a później Instytutem w SGGW.

W SGGW i IMUZ Prończuk pracował na wielu polach, zajmował się m.in. dydaktyką, doświadczalnictwem i opracowywaniem różnych ekspertyz. Brał udział w pracach organizacyjnych uczelni i Instytutu. Był promotorem wielu prac magisterskich i doktorskich, recenzentem kilku prac habilitacyjnych. Był dwukrotnie prodziekanem na Wydziale Melioracyjnym. Opublikował ponad sto trzydzieści prac naukowych i doświadczalnych. Był członkiem rad naukowych wielu instytutów: Ochrony Środowiska, Ekologii oraz rad techniczno-naukowych przy ministrze rolnictwa, w fundacjach PAN i Komisji Planowania Gospodarczego. Został uhonorowany wieloma odznaczeniami państwowymi i regionalnymi, w tym Krzyżem Kawalerskim OOP.

Reasumując, mógłbym tu wymienić wielu znakomitych nauczycieli akademickich, każdy był inny, ale pewną cechą mieli wspólną – byli ludźmi wielkiej życzliwości i uczciwości.

Aby osiągnąć w życiu sukces trzeba mieć odpowiedniego mentora. Moim pierwszym opiekunem był docent Michał Skibniewski, który przekonał mnie do poświęceń na nauce, drugim – Prończuk, który dostrzegł we mnie potencjał. Za jego sprawą odbyłem asystencki staż naukowy na Uniwersytecie Rolniczym w Wageningen w Holandii, a po powrocie do Katedry, w której odbywałem staż jako stypendysta naukowy, to właśnie on przekonał mnie bym zatrudnił się w lubelskim Oddziale IMUZ. Powiedział mi wówczas, że zna dobrze Zawadzkiego, ówczesnego kierownika oddziału, który pokieruje moim rozwojem naukowym. Decyzja nie była łatwa, ale okazała się trafna, gdyż Zawadzki na wiele lat stał się moim kolejnym mentorem.

Na czwartym roku studiów brałem udział w wycieczce do byłego ZSRR. Był to dwutygodniowy pobyt na Krymie, a konkretniej w Gurzufie – międzynarodowym ośrodku wypoczynkowym dla młodzieży. Uczestnikami obozu byli studenci z krajów Europy Wschodniej, z Polski przyjechali na niego działacze ZSP ze wszystkich ośrodków akademickich w kraju. Zaprzyjaźniłem się tam ze Zbyszkiem Lewackim, studentem z Politechniki Warszawskiej, pochodzącym z Lublina. Innym razem, zimą, widzieliśmy się na Słowacji, poznałem wtedy jego dziewczynę Jołę, która studiowała

w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Po kilku latach spotkałem ich już jako małżeństwo na ulicy w Lublinie, zostaliśmy wtedy przyjaciółmi na dłużej.

Wracając do pobytu na Krymie, to były to wspaniałe wczasy. Pamiętam tę krystalicznie czystą i ciepłą wodę, nurkowanie, wieczorne spotkania poetyckie i międzynarodowe towarzystwo, dyskusje, wycieczki autokarowe do Jałty i okolic wzdłuż wybrzeża Morza Czarnego. Wielkim wydarzeniem podczas tego wyjazdu było spotkanie z Jurijem Gagarinem pierwszym kosmonautą, który rozpoczął wyścig podboju kosmosu między USA a ZSRR.

Działo się to w latach sześćdziesiątych, mimo pewnej odwilży i złagodzenia przepisów przez Nikitę Chruszczowa, wjazd i podróże po ZSRR nadal były wielkim wydarzeniem. Był to kraj nie tylko ogromny i tajemniczy, ale przede wszystkim zróżnicowany pod każdym względem, także geograficznym. Równocześnie pozostawał szczelnie zamknięty tak dla całego zewnętrznego świata, jak i dla własnych obywateli, przez wiele lat nie wolno im było bez przepustki pojechać do sąsiedniej miejscowości.

Wyjazdy z Polski do Rosji w tamtym czasie należały do rzadkości, a kontrole na granicy były niezwykle rygorystyczne. Na stacji granicznej po naszej stronie wagony były zamykane na klucz, okna też musiały być zamknięte i nie pozwalano na ich uchylanie. Po stronie rosyjskiej pociąg był starannie sprawdzany. Oprócz tego dochodziła długa procedura wymiany osi wagonów, z wąskich na szerokie tory. Był to prawdziwy pokaz przyjaźni w wydaniu wielkiego mocarstwa.

Następnego lata wyjechałem na trzymiesięczną praktykę studencką do Arnhem w Holandii, wtedy okazało się, że podobne kontrole odbywały się na granicy z NRD w Berlinie Zachodnim, ale już bez procedury wymiany osi wagonów.

Innym ciekawym wyjazdem zagranicznym z czasów studiów była wycieczka do byłej Jugosławii, a w drodze powrotnej zwiedzanie Sofii i Budapesztu. Był rok tysięc dziewięćset sześćdziesiąty piąty, Jugosławia należała do krajów Demokracji Ludowej, mimo twardego reżimu Josip Broz Tito prowadził politykę niezależną od Moskwy. Panował tam ustrój socjalistyczny, ale jakże inny niż u nas czy w krajach sąsiednich. Obywatele Jugosławii korzystali pod pewnymi względami z większej swobody, przykładowo mogli bez problemów wyjeżdżać legalnie do krajów zachodnich w poszukiwaniu pracy. Jugosławia była także lepiej zaopatrzona w różne towary, odnosiło się wrażenie, że to kraj zachodni o wysokim standardzie życia.

Trasa wycieczki po tym kraju zaczęła się w Belgradzie, gdzie dotarliśmy bardzo zmęczeni po długiej podróży pociągiem z Warszawy. Kolejnego dnia pojechaliśmy autokarem do Dubrownika, w którym spędziliśmy tydzień, następnie udaliśmy się statkiem do Splitu, skąd czekał nas powrót pociągiem do Warszawy z przerwami w Sarajewie, Belgradzie i Budapeszcie. Była to najbardziej męcząca podróż w moim życiu, noce spędzaliśmy w pociągu, a dni na zwiedzaniu zabytków, pamiętam, że łóżko było wtedy dla mnie największym wynalazkiem na świecie.

Niezapomniana była też podróż autokarem z Belgradu do Dubrownika, perły Adriatyku, wzdłuż jego wybrzeża, szosą dopiero co oddaną do użytku. Jej budowa nie

została jeszcze całkiem zakończona, w wielu bowiem miejscach droga biegła nad stromymi brzegami i nie miała żadnych zabezpieczeń. Ta podróż dawała niektórym moim kolegom sporo niechcianych emocji i wrażeń. Wybrzeże nadmorskie zajmuje wąski pas, do którego wliczają się liczne wyspy i wysepki, ciągnące się wzdłuż wybrzeża od Dubrownika po Rijekę. W efekcie linia brzegowa jest tu kręta i zawiła. Region Dalmacji charakteryzuje się śródziemnomorskim klimatem z wysoką temperaturą letnią i dużym usłonecznieniem. Sprzyja to występowaniu tropikalnych roślin, takich jak drzewa oliwne i cytrusowe oraz figowce. Wybrzeże Dalmacji to region niezwykle interesujący również pod względem historycznym. W obfitości występują tam zabytkowe obiekty budownictwa średniowiecznego oraz z lat późniejszych. Należy tu wymienić kilka najważniejszych miast: Split, Rijekę, a szczególną pozycję zajmuje Dubrownik, który był miejscem naszego tygodniowego odpoczynku. Stare miasto z rynkiem i wąskimi uliczkami, zbudowane z białych kamieni, otoczone wysokimi murami z bastionami i basztami, warowny zamek, gotycko-renesansowe pałace, a między nimi pałac rektorów z czternastego wieku, gotyckie klasztory, katedra i wiele innych budynków nadawały miastu niepowtarzalny urok. Do tego należy dodać bujną, niemal zwrotnikową roślinność z palmami, cyprysami i kaktusami. Latem jest tu upalnie, więc dla ochłody zażywaliśmy kąpiele morskich, podobnie jak w Morzu Czarnym woda była tam cudowna, niebieska i przezroczysta na kilka metrów w głąb. Kolejną przygodą był całodzienny rejs statkiem do Splitu, ze wspaniałymi widokami z boczny wybrzeża Dalmacji i towarzystwem skaczących po falach delfinów.

Jugosławia przeżywała w owych latach ogromny napływ turystów, była modna i tania. Spotykaliśmy tam gości z całej Europy, najliczniejsze grupy pochodziły z RFN, byli to ludzie zamożni i rozrzutni, stać ich było na hotele i jedzenie w luksusowych restauracjach, a przy tym zachowywali się niekiedy dość hałaśliwie. Podobnie było w Bułgarii, gdy przebywałem tam w Warnie na wczasach, na plażach i hotelach dominowali głównie właśnie Niemcy, którzy również zachowywali się dość butnie. Chociaż Niemcy przegrały wojnę, to jednak my – zwyczajcy, wyglądaliśmy na ich tle jak żebracy.

Studencka aktywność sportowa, turystyczna i wypoczynkowa początkowo była organizowana przy finansowym wsparciu państwa. Później, po utworzeniu specjalnych agend pod nazwą Biuro Podróży i Turystyki „Almatur”, samodzielnie planowaliśmy wypoczynek i rekreację. Począwszy od lat sześćdziesiątych, w granicach przewidzianych prawem, ZSP angażowało się w różne formy biznesu, handlu i marketingu własnych przedsiębiorstw turystycznych i wypoczynkowych. Pomnażało to wypracowywany własnymi siłami majątek organizacji, służący dobru całego środowiska studenckiego. Dotyczyło to nade wszystko wakacyjnych hoteli studenckich, ośrodków turystyki, domów rehabilitacji i agencji pośrednictwa pracy.

W ramach swojej działalności w ZSP, z ramienia Rady Naczelnej, w czasie wakacji jeździłem na kontrole takich ośrodków nad morzem w Mielnie, Łebie i Międzyzdrojach, była to lekcja organizacji, a zarazem okazja do odpoczynku.

Demokratyzm funkcjonowania struktur organizacyjnych ZSP stał się unikalnym zjawiskiem w życiu politycznym owych lat. Był niepowtarzalną szkołą społecznego przygotowania młodej inteligencji polskiej. Intelktualne i naukowe aspiracje studentów znajdowały swoje koordynacyjne i materialne wsparcie w inicjatywach ZSP, takich jak konferencje, sympozja, seminaria, stypendia, nagrody naukowe, wydawnictwa. Inspirując rozwój studenckich zainteresowań naukowych, ZSP związała się z międzynarodowymi stowarzyszeniami, na których forum dokonywała się wymiana dotycząca m.in. wakacyjnych praktyk studentów, staży zawodowych i stypendiów. Te formy współpracy stały się początkiem więzi ze światową nauką i postępem naukowo-technicznym. Naukowa aktywność studencka uzyskiwała dużą autonomię w ramach działalności ZSP, a ja, będąc wiceprzewodniczącym RU ZSP na uczelni i członkiem Komisji Nauki RN ZSP, uczestniczyłem czynnie w tym ruchu. Moje wakacyjne praktyki w Holandii były właśnie przykładem tej działalności. Organizowaliśmy również ogólnopolskie konferencje ruchu naukowego, obozy naukowe i wypoczynkowe: latem – nad morzem i na Mazurach, a zimą – w Górach Wysokich i w Bieszczadach.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku miałem przywilej uczestniczyć w dwutygodniowym rejsie żeglarskim po jeziorach mazurskich. Było to wspaniałe przeżycie i doświadczenie aktywności oraz współpracy załogi średniej wielkości jachtu na wielkich jeziorach. Niezwykłe doznania zapewniły zwłaszcza rejsy nocne i momenty gwałtownych i nieoczekiwanych wiatrów, była to prawdziwa przygoda, walka z żywiołem i samym sobą. Długi rejs zaczęliśmy, płynąc z Giżycka kanałami do Mikołajek, wokół jeziora Śniardwy, z biwakiem w Popielnie, dalej długą trasą do Rucianego-Nida, skąd czekał nas powrót do Giżycka, dalej przez jezioro Kisajno i Mamry do Węgorzewa i z powrotem do Giżycka. Podczas tego rejsu doświadczyłem wiele mrozących krew w żyłach przygód, atrakcji, wywrotek na jeziorze, biwaków przy ognisku, zaznałem wysiłku, ale i radości. Świat bywa okrutny, ale jednocześnie wspaniały, podróże, jeziora, góry, morza, oceany dodawały uroku życiu.

Bardzo istotne było dla mnie również uczestniczenie w studenckim życiu kulturalnym. W Warszawie funkcjonował Studencki Teatr Satyryków, studenckie kluby „Hybrydy” i „Stodoła”, często tam bywałem na tańcach i rozmaitych spotkaniach.

Koordynacyjną samodzielność ruchu kulturalnego w ramach ZSP, podkreślała powołana przez nią Agencja Kulturalna „Alma-Art”. Stała się ona organizatorem tradycyjnych imprez ogólnopolskich, środowiskowych i uczelnianych, a także okolicznościowych spotkań i występów. Cała plejada znakomitych piosenkarzy, aktorów, artystów kabaretowych i animatorów kultury zapisała w swoim życiorysie związki z ruchem kulturalnym ZSP. Pamiętam przykładowo z czasów pierwszego roku studiów występy Wojciecha Młynarskiego w Sali Kongresowej, Jana Pietrzaka w „Hybrydach” i Andrzeja Rosiewicza w innych klubach studenckich.

Osobą towarzyszącą mi w cieszeniu się życiem kulturalnym była koleżanka z sąsiedniej wioski Halinka Janiszowa, poznałem ją u mojego krawca, a jej wujka. Była moją pokrewną duszą, ja wychowywałem się bez ojca, a ona bez matki, nie jestem przekonany,

które z nas było w lepszej sytuacji. Ja miałem w rezultacie cechy matczyne, opiekuńcze, a ona – bardziej ojcowskie, wychowywała ją ciocia, ojciec miał drugą żonę. Studiowała stomatologię na Akademii Medycznej. Spotykaliśmy się w kinie, teatrze i imprezach studenckich oraz na wczasach studenckich. Miałem dostęp do darmowych biletów oraz możliwości organizacji wczasów, pomagałem jej w uzyskaniu pobytu nad morzem. Ostatni raz spotkaliśmy się w Międzyzdrojach, ona była tam na wczasach, a ja wizytowałem ten ośrodek wypoczynku studentów. Darzyłem ją po cichu sympatią, z nadzieją na wzajemność, ale bez szczęśliwego finału. Byłem w kontaktach z nią delikatny i wstydliwie ostrożny, oczekując z niepokojem na gest wzajemności.

Pod koniec studiów angażowałem się w organizację studenckiego ruchu spółdzielczości pracy, stwarzającego studentom możliwości dodatkowego zarobkowania w czasie zdobywania edukacji. Powołany został Związek Studenckiej Spółdzielni Pracy oraz Studencki Ośrodek Usługowy „Student Service”. W owym czasie środowisko studenckie Warszawy liczyło około czterdziestu tysięcy studentów, dziś jest ich ponad dwieście tysięcy, to duży rynek pracy, wymagał więc odpowiedniej organizacji.

Miałem już temat pracy dyplomowej, brzmiący *Projekt urządzeń melioracyjnych na obiekcie Krochmalnia Niewolno pow. Mogilno*. Jak na moje możliwości nie był to temat ambitny, co było związane z tym, że miałem już ustalony termin wyjazdu do Holandii na asystencki staż naukowy, zależało mi więc na szybkim napisaniu i obronie pracy jeszcze przed wyjazdem, co też się udało. Egzamin magisterski z wynikiem bardzo dobrym złożyłem dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, promotorem pracy był docent Czesław Somorowski, a przewodniczącym komisji egzaminacyjnej profesor Jerzy Ostrołęcki. Otrzymałem wtedy dyplom z tytułem: magistra inżyniera melioracji wodnych.

Po skończeniu studiów obowiązywało mnie miesięczne szkolenie wojskowe na poligonie, które byłem zmuszony przełożyć na następny rok, po powrocie z Holandii. W związku z tym musiałem załatwić mnóstwo formalności. Również procedury uzyskania paszportu, wizy pobytowej i tranzytowej nie były proste i trwały wiele miesięcy. Przygotowania związane z wyjazdem na stypendium do Holandii trwały łącznie cały rok.

Wyjazd ten był dla mnie wielką szansą, roczny pobyt w Holandii umożliwił mi otwarcie się na świat i – jak się okazało – stał się nowym początkiem mojego życia osobistego, towarzyskiego oraz naukowego. Pobyt ten zapamiętałem na długo, gdyż okazał się być startem do mojej długiej drogi naukowej i inspiracją do pewnych zachowań: oszczędności i skromności, a nawet do mało prawdopodobnych marzeń, które w większości się spełniły.

Holandia to mały kraj, ale może stanowić dla nas wzór, warto naśladować ich czystość w domu i na ulicy, wysoki poziom życia, oszczędność, już wtedy wysoką świadomość ekologiczną, sprawiedliwość społeczną i pracowitość, dyscyplinę oraz życie bez pośpiechu. Są to walory, których nam brakuje. Miejscem mojego pierwszego pobytu w Holandii było miasto Herllem, blisko Amsterdamu. Zamieszkałem w Kampen, w pobliżu wielkich polderów odebranych morzu, z siedzibami władz lokalnych w Lelystad i Dronten.

Po przyjeździe we wrześniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, spotkałem tu starszego kolegę z Wydziału, który kończył właśnie trzymiesięczny staż i mieszkał prywatnie u rodziny ukraińsko-holenderskiej. Żona z tej rodziny w czasie okupacji przebywała w obozie w Niemczech, tam się spotkali, a po wojnie wrócili razem do Holandii, gdzie mieli dwoje dzieci. Kobieta bardzo tęskniła za krajem. Utrzymywała kontakt listowny z kimś bliskim, w wyniku czego powstała pokaźna kolekcja ukraińskich znaczków pocztowych. Po powrocie do kraju sam zacząłem zbierać polskie znaczki pocztowe, być może z zachwytu lub z zazdrości, a może z obu tych powodów. Zaniechałem tego po trzydziestu latach, a teraz tego żałuję.

Po wyjeździe kolegi do Polski, poczułem się bardzo samotny wśród obcych ludzi, w zimnym nieogrzewanym pokoju, wyobcowany pochodzeniem z komunistycznego, wrogiego Zachodowi kraju. Gospodarz domu w Kampen był robotnikiem na budowie, a jego żona pracowała w zakładzie, w którym odbywałem staż. Mieszkali skromnie, na dole mieli salon z kominkiem i niewielką kuchnią, na górze trzy małe nieogrzewane zimą pokoiki. Jeden z nich zajmowałem ja, zimą gospodyni przynosiła butelkę z ciepłą wodą do łóżka, żebym choć trochę mógł się rozgrzać. Miałem u nich zapewnione całodzienne wyżywienie: rano śniadanie, kanapkę na lunch zawiniętą w papier śniadaniowy, a po powrocie do domu obiadokolację, w niedzielę na obiad samą zupę, choć nieco gęściejszą. Byli bardzo oszczędni, posiłki podawali skromne i starannie wydzielane, do obowiązkowej kawy dostawałem jedno małe ciasteczko lub kawałek czekolady, oczywiście kawa była bez cukru. Nie widziałem wyrzucania resztek jedzenia, a papier śniadaniowy po lunchu, zamiast do kosza, trafiał do kieszeni, by go wykorzystać jeszcze kilkukrotnie. Tu właśnie potwierdzała się ich świadomość ekologiczna, polegająca na wiedzy, ile trzeba wyciąć lasów w Amazonii, by w skali globalnej zaspokoić zapotrzebowanie na papier. Zachowanie tamtejszych rodzin potwierdzało hasło z raportu rzymskiego z lat siedemdziesiątych, które mówiło, że należy „myśleć globalnie, a działać lokalnie”, sądzę, że dziś jest ono szczególnie aktualne.

Holandia była krajem z pewnością ciekawym, ale też zaskakującym. Pełno na ulicy było rowerów i stróżów prawa, pieszy przechodzący na przejściu przez jezdnię był osobą niemal świętą. Zimy bywają tu łagodne, bez mrozów i śniegu, deszcze padają często. W większości domach opalało się zimą tylko salon, w którym koncentrowało się życie całej rodziny. Odnosiło się wrażenie, że Holendrzy żyją na pokaz, duże okna na parterze pozostawały niezastonięte, wszystko było widać jak na dłoni, szczególnie wieczorem. Nic nie mieli do ukrycia.

Wieczorami często spacerowałem po mieście, aby odciążyć domowników od mojego towarzystwa. Robiłem to szczególnie zimą, kiedy cała rodzina przebywa w jedynym ogrzewanym pomieszczeniu na parterze, z dużymi oknami bez firanek. Mogłem zatem obserwować swobodnie życie rodzinne Holendrów, doskonale widoczne przez ich szerokie i wysokie na całą ścianę okna. Podziwiałem obrazki rodzinnych sianek szczególnie bogatych domów: nastrojowe oświetlenia, palące się kominki, wspólne kolacje przy stole, po czym biesiady przy barku z trunkami, bez pośpiechu i z uśmiechem na twarzy. Nawet wąskie ogródki nie chroniły ich przed wzrokiem przechodnia.

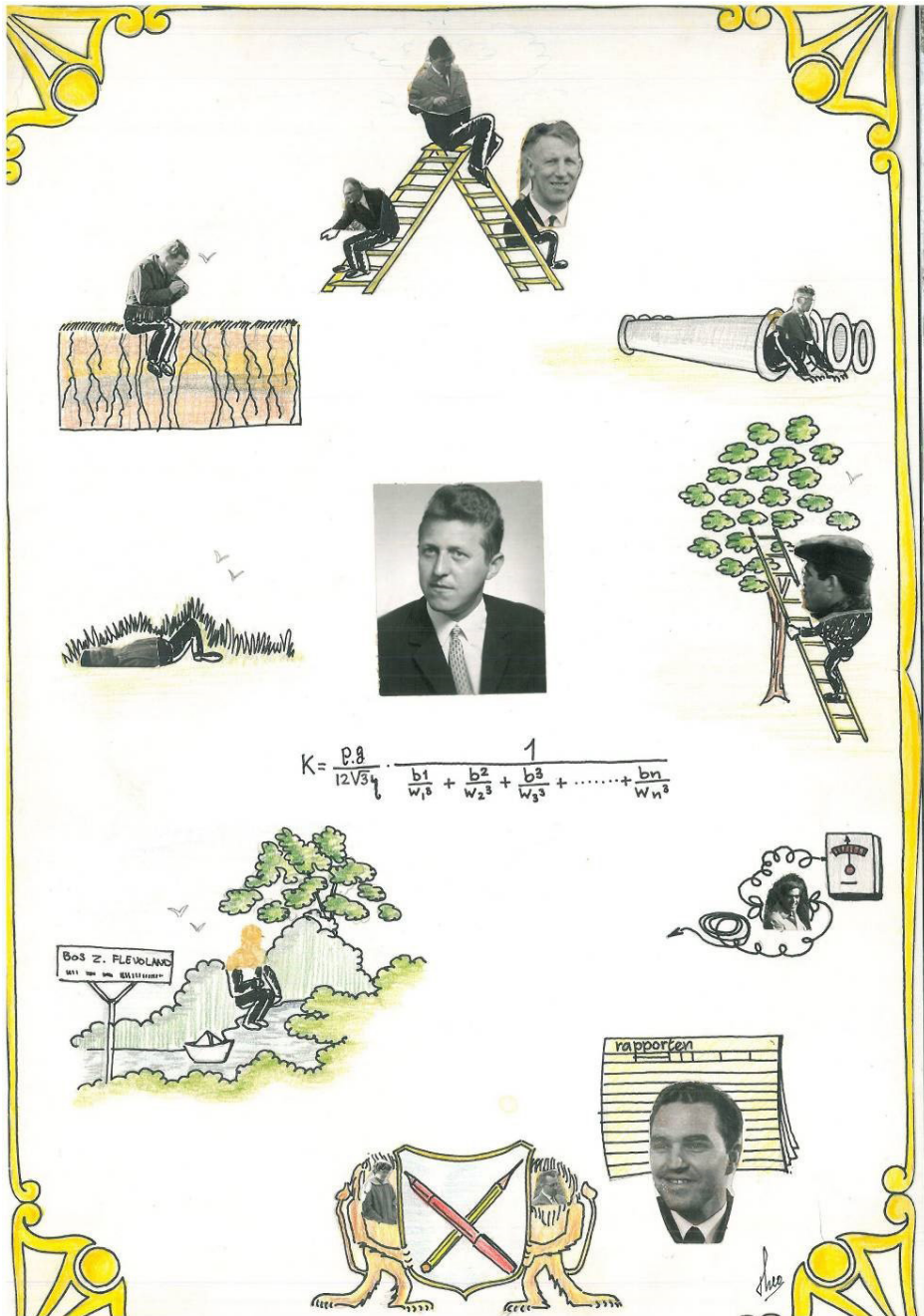
Zaskoczeniem dla mnie było cotygodniowe, niemal obowiązkowe, pranie we wszystkich rodzinach i mycie proszkiem OMO chodników przed każdym domem. Wszędzie panował tam ład i porządek. Zgoła inny krajobraz zastałem, kiedy wróciłem tam po dwudziestu latach. Na ulicach w Wageningen wały się wtedy śmieci, a w kanałach płynęły ścieki, ale o tym będę pisał później, teraz wrócę do tego, co było głównym celem mojego przyjazdu i rocznego pobytu w Holandii.

Otóż na Wydziale w SGGW byłem pierwszym w historii powojennej stypendystą naukowym, władze uznały zatem, że powinienem swój staż asystencki odbyć w Holandii. Dla mnie była to okazja do skonfrontowania wiedzy zdobytej na polskiej uczelni z realiami krajów zachodnich. Holandia posiadała duże doświadczenie w zakresie gospodarki wodnej i odwodnienia polderów. W polskich warunkach klimatycznych drenaż funkcjonują tylko wiosną i w czasie długotrwałych opadów, natomiast w Holandii są wykorzystywane przez cały rok, a szczególnie w okresie zimowo-wiosennym.

Poldery to tereny depresyjne, zasilane wodą z morza i z opadów atmosferycznych, szczególnie intensywnych zimą. W tym okresie straty na ewapotranspirację spadają do zera, całość zasilania przejmują drenaż i rowy odpływowe, a stąd pompami woda tłoczona jest do morza. Zatem do systemu drenażu i ich sprawne funkcjonowanie decyduje o wielkości produkcji rolnej na polderach. Plony tysięcy hektarów pszenicy, kukurydzy, ziemniaków, buraków, sadów owocowych, tulipanów, warzyw oraz łąk i pastwisk są zależne od sprawnego funkcjonowania systemu drenażu. Każdy centymetr wody gruntowej powyżej optymalnej głębokości ma w okresie zimowo-wiosennym wpływ na obniżkę plonów.

Zadaniem, jakie otrzymałem na początku od bezpośredniego szefa i mojego opiekuna naukowego inżyniera W. Segerena, było znalezienie odpowiedniej formuły (wzoru) opisującej właściwości hydrauliczne osadów spękaných, zalegających na dużych obszarach polderowych. Zapoznałem się z dotychczasowymi pracami na ten temat, ale nie byłem wpuszczany do biblioteki, gdyż na początku traktowano mnie tam jako potencjalnego agenta ze Wschodu. Potwierdzała to moja gospodyni, która wyjawiała mi w dodatku, że jestem obserwowany. Miałem oddzielny pokój, ale nikt mnie nie odwiedzał poza szefem oraz bezpośrednim współpracownikiem Vtfehenem, z którym jeździłem w teren na poldery, celem prowadzenia polowych pomiarów przewodnictwa hydraulicznego (przepuszczalności) gleb oraz odpływów z drenażu i głębokości stanów wody gruntowej w studzienkach pomiarowych.

Moje prace obejmowały badania teoretyczne i modelowe, opisujące obieg wody w procesie odwodnienia drenażami. Prowadzono równoległe obliczenia numeryczne oraz prace w laboratorium na modelach fizycznych w specjalnych zbiornikach oraz na modelach elektrycznych na taśmach przewodzących, a następnie wyniki te weryfikowano z pomiarami prowadzonymi bezpośrednio w terenie na polderach w Dron-ten. Prace te trwały zimą i latem, bowiem to sprawność funkcjonowania drenażu zimą decydowała o wielkości plonów latem.



Fot. 11. Laurka pożegnalna z pobytu na asystenckim stażu naukowym w Clemson, Holandia 1967 r.

Moje badania na początku polegały na matematycznym opisie przepływu wody w szczelinach o kształcie poligonalnym, kwadratu i sześcioboku foremnego. Po nieoczekiwanym uzyskaniu formuły na przepuszczalność hydrauliczną (wodną) utworów szczelinowych, opracowałem wzór na kształt krzywej depresji odwodnienia drenami utworów szczelinowych spękanych (Fot. 11). Fakt ten wywołał w biurze duże zaskoczenie i zamieszanie, nagle wzbudziłem sobą duże zainteresowanie współpracowników, drzwi do mojego pokoju nie przestawały się zamykać, pytano, kim jestem i skąd pochodzę. Moje notowania i samopoczucie poszły w górę, a szef wystąpił do swego ministra o podwyżkę mojego stypendium.

Mój pobyt w Holandii nabrał rumieńców i innego wymiaru, wprowadzono mnie do biblioteki i laboratoriów, pozyskałem też przychyłność otoczenia, co miało dla mnie istotne znaczenie tak prestiżowe, jak psychologiczne. Nie czułem się już samotny, zdobyłem przyjaciół i byłem zapraszany do ich domów, na spotkania towarzyskie i wycieczki po kraju, co było tu rzadkością, szczególnie w odniesieniu do osób z żelaznej kurtyny. Ciekawą atrakcją był również nocny marsz w grupach na azymut, trasa biegła lasem i przez nieznaną okolice do celu, jakim była wybrana wcześniej restauracja, gdzie czekała na nas syta kolacja ze śpiewem i tańcami.

Wiele razy jeździłem po Holandii, oglądając płaskie tereny, głównie pola uprawne, sady, kolorowe połacie tulipanów oraz szklarnie z warzywami i kwiatami. Drogi tam są bardzo dobre, szczególnie dużo – w stosunku do powierzchni kraju – jest tam autostrad. W Hadze mieści się siedziba rządu, natomiast stolicą konstytucyjną kraju jest Amsterdam, w którym byłem wiele razy, mieszkalem też w jego pobliżu podczas pierwszego pobytu w Harlem. Zwiedzałem również Hagę z zespołem pałacowym Binnekof (XIII w.) i ratuszem (XVI w.). Częste i interesujące były wyjazdy na poldery, najpierw do Harderwijk, Lelystad, a potem po wielokroć do Drontem.

Prace związane z pozyskaniem nowych terenów: ich osuszeniem i zagospodarowaniem były bardzo kosztowne, czasochłonne i prowadzone z dużym rozmachem i ogromnym nakładem środków skarbu państwa. Szczególne zasługi należały się inżynierowi Cornelisowi Lely, który pod koniec ubiegłego wieku opracował plan osuszenia Zatoki Zuiderzee. Prace te zostały zakończone w połowie dwudziestego wieku. Osuszone tereny podzielono na działki o wielkości od dziesięciu do dwudziestu hektarów, na których budowano domy mieszkalne i okazałe budynki gospodarcze na płody rolne i maszyny.

Dzierżawca, który musiał mieć co najmniej średnie wykształcenie rolnicze, otrzymywał klucz do gotowego gospodarstwa. W przypadku niewłaściwego zarządzania dzierżawę mu wymawiano. Wśród chętnych do podjęcia ryzyka nie brakowało ludzi z wyższym wykształceniem rolniczym. Najemca musiał się bowiem wykazać jako kierownik, ekonomista, księgowy, zaopatrzeniowiec i robotnik w jednej osobie, podczas gdy u nas rolnikami zostają często ci, którzy nie sprościli wymogom liceum.

Początkowo domy mieszkalne i budynki gospodarcze stawiano na wydzielonych działkach. Stwarzało to różne problemy, dlatego postanowiono zmienić ten system

i zaczęto budować małe osady, przypominające niewielkie miasteczka. Tak powstały Lelystad i Dronten, pierwsze planowano docelowo jako stutysięczne miasto z uniwersytetem, a drugie jako osadę. Dzisiaj oba są dużymi miastami. W Drontem, w szeregowym nieokazałym domku, mieszkał mój szef. Poldery zajmują jedną trzecią powierzchni kraju, osuszanie trwa od tysiąca lat, od trzynastego wieku budowano wały ochronne, a w piętnastym wieku zastosowano wiatraki do wypompowania wody z kanałów. Przez wiele stuleci stanowiły one stały element w krajobrazie Holandii, dziś większość z nich pełni rolę zabytków. Widziałem z bliska życie na polderach, budowę kanałów, wielkich wałów ochronnych i budowli wodnych. Byłem pełen uznania dla Holendrów za ich pracę, organizację i walkę z żywiołem morskim, która trwa do dziś.

Wageningen jest niedużym miasteczkiem, położonym w dolinie Renu, mieszczącej się tam Uniwersytet Rolniczy należy do najlepszych i to nie tylko w Holandii. Odbywały się na nim międzynarodowe szkolenia w zakresie nawodnień i odwodnień, zajęcia prowadził tu mój szef Segeren, a ja, korzystając z okazji, brałem udział w niektórych jego wykładach. Pozostałymi uczestnikami tych szkoleń byli głównie Hindusi i obywatele Trzeciego Świata z Azji i Afryki. Na tle naszej polskiej szarzyzny reprezentowali oni sobą nieznaną mi świat pełen barw. Podobnie wyglądały holenderskie stragany, pełne kolorowych kwiatów, owoców cytrusowych oraz niewidzianych wcześniej przeze mnie owoców morza. Nie myliłem się więc, myśląc przed tym wyjazdem, że Holandia będzie dla mnie wejściem w nieznaną, kolorowy świat, pełen niespodzianek i nowych doświadczeń życiowych i naukowych.

Do Brukseli wybrałem się pociągiem z Amsterdamu przez Hagę na dwa dni, które poświęciłem na zwiedzanie miasta, pełniącego od tysiąc osiemset trzydziestego roku funkcję stolicy królestwa belgijskiego, po oddzieleniu się z Królestwa Beneluksu. Miasto liczy około miliona mieszkańców, powstało w dziesiątym wieku, a jego nazwa pochodzi od dwóch flamandzkich słów: *broek* (bagnó) i *sella* (osiedle).

Po powrocie do Kampen czekał mnie smutny okres świąteczno-noworoczny z dala od najbliższych. Dla nas jest to szczególnie czas, który spędza się na świętowaniu wspólnie z rodziną w domu. Tu, na stacji, na której mieszkałem, świąt Bożego Narodzenia nie celebrowano wcale, pani domu była Ukrainką – protestantką, a w ogóle w Holandii niewielu było katolików. Jedyne kościół katolicki w mieście, do którego uczęszczałem, gromadził niezbyt wielu wiernych. Interesującym jest to, że każda ulica miała tu odrębny język – *slang* i własny kościół, a mimo takich różnic wszyscy się tolerowali. Wędrując w okresie bożonarodzeniowym ulicami miasta, z leżką w oku mogłem obserwować różne sposoby spędzania świąt w rodzinach holenderskich. Moim spacerom nie było końca, łzom również, starałem się przebywać poza kwatery jak najdłużej, tym bardziej, że czekał tam na mnie jedynie zimny pokój, z butelką gorącej wody pod kołdrą. Było to dla mnie bolesne doświadczenie, które powtórzyło się dziesięć lat później w USA, ale tam mogłem przeżyć święta z rodziną żony w Chicago, lecąc z dalekiego południa USA z nogą w gipsie, aby tylko uniknąć ponownych świąt w samotności. W Holandii takiej możliwości nie było, gdyż wizy były do jednorazo-

wego użytku. Przemierzając wtedy ulice miasta zauważyłem, że Holendrzy wieczory spędzają głównie w domach. W barach siedziały z piwem pojedyncze osoby, a restauracje były puste, co było dla mnie zaskoczeniem, bo w Polsce restauracje były przeważnie przepełnione.

Zbliżała się jesień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, mój pobyt w Holandii zmierzał ku końcowi. Doświadczyłem licznych uroków tego kraju, zimą na zewnątrz było szaro i deszczowo, natomiast w licznych szklarniach królowały barwne kwiaty i warzywa. Latem zachwycały mnie kolorowe płaskie krajobrazy z wiatrakami, pastwiska z całorocznym wypasem bydła oraz rozległe dywany różnokolorowych tulipanów. Onieśmiały również bazyry z ich bogactwem kwiatów, warzyw i owoców cytrusowych. W Polsce tulipanów nie było wcale, stąd mój zachwyt nad ich pięknem, nieliczni właściciele szklarni – nazywano ich badylarzami – byli gnębieni podatkami. Świeże warzywa pojawiły się w Polsce dopiero wiele lat później, właściwie już po zmianie systemu. Mój pobyt w Holandii, mimo pewnych niedogodności, uważam za bardzo udany i korzystny poznawczo, turystycznie, a przede wszystkim naukowo. Badania, które tam wykonałem, stały się tematem mojej pracy doktorskiej w IMUZ pięć lat później.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym wróciłem do Warszawy, aby skończyć asystencki staż na uczelni i odbyć zaległy miesięczny obóz wojskowy na poligonie w Skierniewicach. Przed powrotem do kraju zorganizowano dla mnie spotkanie pożegnalne w zakładzie, był to mały poczęstunek, przemówienia oraz drobne upominki. Dużym zaskoczeniem była laurka, wykonana przez jednego z pracowników, na której w centralnym miejscu umieszczono moje zdjęcie, a pod nim wzór matematyczny mojego autorstwa (Fot. 11). Było to dla mnie istotne wyróżnienie, laurka ciągle wisi na ścianie jako pamiątka z pobytu w Holandii. Na jej górze jest drabina, na której znajduje się kierownictwo zakładu z jej szefem Segerenem na szczycie, na dole sekretariat, zaś po prawej i lewej stronie współpracownicy z graficzną charakterystyką ich profesji. Dyrektorem naczelnym przedsiębiorstwa był doktor Ir. B. Verhoeven.

Na Wydziale czekały już na mnie obowiązki, miałem pilotować wycieczkę czteroosobowej delegacji z Moskwy. Byli to wysocy urzędnicy rosyjskiego Ministerstwa Melioracji, a trasa ich wizyty biegła przez Warszawę – Gdańsk – Koszalin – Szczecin – Poznań i z powrotem do Warszawy. Organizatorami pobytu na miejscu były Wojewódzkie Zarządy Wodnych Melioracji bądź Rejonowe Przedsiębiorstwa Wodnych Melioracji, moim zadaniem, oprócz roli przewodnika i tłumacza, była także logistyka, a więc zadbanie o transport, hotele i posiłki w restauracjach. Oczywiście do posiłków obowiązkowo podawany był alkohol, kelnerzy serwowali go w pięćdziesięciomililitrowych kieliszkach, co dla gości okazało się uciążliwe. Wreszcie nie wytrzymali i w Poznaniu w czasie obiadu zażyczyli sobie do trunków szklanki, wtedy atmosfera wyraźnie się rozluźniła. Trudno im było funkcjonować bez alkoholu, wieczorami lub wczesnym rankiem braku trunku w organizmie uzupełniali w pokojach hotelowych. Byłem światkiem podobnych zachowań gości z byłego ZSRR, pracując w IMUZ w latach siedemdziesiątych oraz przebywając w tym czasie w Moskwie.

Po moim powrocie z Holandii do Katedry Ostromięckiego wpłynęła bardzo pozytywna opinia opiekuna mojego holenderskiego stażu Segerena. W rezultacie Ostromięcki silnie naciskał na dyrekcję IMUZ, bym pozostał w Katedrze na uczelni. Natomiast wszyscy mi przychylni, na czele z Prończukiem, odradzali mi to. Będąc jeszcze w Kampen, w styczniu napisałem do Ostromięckiego list, w którym informowałem go o przebiegu mojego stażu, wspominając o wyprowadzonym wzorze teoretycznym oraz smutnym okresie świątecznym. Po miesiącu otrzymałem odpowiedź. Dziś, z perspektywy czasu, czytając ten list, śmieję się z zawartego w nim pocieszenia, że satysfakcja z pracy powinna mi poprawić samopoczucie, ale wtedy, gdy w czasie świąt samotnie spacerowałem ulicami miasta, było mi nie do śmiechu oglądać przez niezastłonięte okna rodziny, siedzące przy świątecznych stołach.

Mój staż asystencki w Katedrze na uczelni dobiegał końca, pozostało mi jeszcze szkolenie wojskowe na poligonie w Skierniewicach, którego się wcześniej obawiałem. Moi towarzysze z roku zaliczyli te ćwiczenia rok wcześniej, zatem ja odbyłem je z kolegami z niższego rocznika. Pamiętam, że uczestniczył w nim Andrzej Rosiewicz, znany piosenkarz kabaretowy. Koledzy w koszarach rozrabiali, żartowali, używając mocnych słów, Andrzej, aby ich uciszyć, śpiewał piosenki, a ktoś inny recytował wiersze. Moje obawy, co do wysiłku i trudów szkolenia wojskowego, okazały się przedwczesne. Podczas zajęć na uczelni byłem dowódcą drużyny, a na obozie major mianował mnie dowódcą plutonu. Koledzy w pełnym obciążeniu wojskowym biegali w okopach po lesie, a ja, jadąc w gaziku na przednim siedzeniu, asystowałem majorowi. Moje wcześniejsze przeświadczenie o idealnej sytuacji organizacyjnej i sprzętowej w wojsku legły wtedy w gruzach, bałagan okazał się podobny do tego znanego mi z innych dziedzin naszego cywilnego życia. Zakończenie szkolenia wojskowego na poligonie w Skierniewicach oznaczało dla mnie przejście do rezerwy i zamknięcie związków z wojskiem. Pobyt na uczelni zmierzał ku końcowi, zbliżał się czas wyboru i wyjazdu w kolejną w moim życiu, już siódmą, podróż w nieznaną. Wybór nie był łatwy, propozycja pracy na uczelni w Warszawie była kusząca, dla wielu zamieszkanie w stolicy było spełnieniem marzeń. Niestety, jak już wspominałem wcześniej, obowiązywał tam zakaz meldunku na pobyt stały. Wyruszyłem zatem w kolejną podróż, tym razem na wiele dekad, do Lublina, blisko rodziny, gdzie, jak się okazało, spotkałem znajomych ze studiów i liceum.

Intuicja i tym razem mnie nie zawiodła, wybór pracy w IMUZ okazał się trafny i korzystny tak zawodowo, jak życiowo. W Lublinie spotkałem miłość mojego życia, zbudowałem wymarzony dom, miałem wspaniałe perspektywy rozwoju naukowego oraz bliskość rodziny, matki i siostry, choć nie na długo, bowiem los znów mnie doświadczył nieoczekiwaną utratą bliskich. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, w wieku zaledwie dwudziestu dziewięciu lat, nieoczekiwanie umarła moja siostra, kilka lat później w wieku sześćdziesięciu jeden lat odeszła matka. Mój świat runął w gruzach, pozostałem sam.

PRACA ZAWODOWA W IMUZ

Lata 1968–1993

Zatrudnienie w lubelskim Oddziale IMUZ

Zanim podjąłem pracę w IMUZ, zaraz po powrocie z Holandii zgłosiłem się do Zawadzkiego z zapytaniem o możliwościach i warunkach pracy w Oddziale, gdyż wtedy to on był jego kierownikiem. Prończuk, który polecił tę pracę, ocenił go bardzo pozytywnie, bowiem wcześniej współpracowali w IMUZ, kiedy Prończuk kierował Zakładem Kształtowania Środowiska Przyrodniczego.

Zawadzki przyjął mnie serdecznie. Miał już na mój temat szczegółowe informacje, nie musiałem więc zbyt wiele o sobie mówić. Powołując się na Prończuka wspominałem o pobycie w Holandii, okazało się, że Zawadzki także wcześniej przebywał tam na stażu naukowym, wymieniliśmy się zatem wrażeniami o Holendrach, urokach i pięknie tego kraju, a na koniec rozmowy wyraziłem chęć pracy w Oddziale.

Zaproponował mi pracę w swoim zespole i przeszedł do historycznego opisu jednostki, którą kierował oraz zakresu prac badawczych prowadzonych w placówce Instytutu Melioracji i Użytków Zielonych. Tzw. Terenowy Oddział Badawczy (TOB) miał początkowo siedzibę w Puławach i prowadził badania w zakresie gleboznawstwa, fitomelioracji i erozji gleb. Pracami tymi kierowali wówczas doktor Henryk Mitosek, doktor Awit Reniger, profesor Bohdan Dobrzański, profesor Stefan. Ziemiński i profesor Saturnin Zawadzki.

Po przeniesieniu TOB IMUZ do Lublina i częściowej reorganizacji, co nastąpiło w styczniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, utworzone zostały dwie pracownie:

- Pracownia Melioracji Przeciwerozyjnych, którą kierował Ziemiński,
- Pracownia Gleboznawstwa Melioracyjnego, kierowana przez Dobrzańskiego.

W lutym tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku kierownictwo Pracowni Gleboznawstwa Melioracyjnego, a także TOB IMUZ w Lublinie powierzone zostało Zawadzkiemu. Prace badawcze, jakie podjęto w zakresie ochrony gleb przed erozją, przyczyniły się do powstania nowej dyscypliny naukowej – melioracji przeciwerozyjnych. Problematyką tą zajmowali się oprócz Ziemińskiego także: profesor Czesław Józefaciuk, profesor Anna Józefaciuk, doktor Feliks Łacek i doktor Jan Naklicki.

Na początku września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, po wakacjach, przyjechałem do Lublina i rozpocząłem pracę w Pracowni Gleboznawstwa Melioracyjnego na stanowisku pracownika inżynieryjno-technicznego, pod kierownictwem Zawadzkiego, który stał się moim mentorem i opiekunem naukowym na wiele lat. Był to początek nowego rozdziału w moim życiu, włączyłem się niejako z marszu w działalność statutową Pracowni i Zakładu Przyrodniczych Podstaw Melioracji IMUZ w Falentach, kierowanego przez profesora Henryka Okruszko.

Kierunek badawczy gleboznawstwo melioracyjne rozwijał się tu od podstaw. W kraju bowiem brakowało dla tej dyscypliny gotowych, dających się powielić wzorców, zarówno metodycznych, jak i sprzętowych. Należało więc najpierw wypracować własne metody badawcze bądź zmodyfikować te stosowane już w gleboznawstwie rolniczym i innych dyscyplinach. Mój dziesięciomiesięczny pobyt w Holandii okazał się bardzo owocny, bowiem mogłem włączyć się w opracowanie tematyki badawczej oraz wyposażyć Oddział w niezbędną, a zarazem unikalną, jak na ówczesne warunki krajowe, aparaturę do oznaczania:

- Ciśnienia ssącego utworów glebowych (tzw. krzywe pF), umożliwiającego ocenę zdolności retencyjnych gleb i zasobów wody użytecznej dla roślin.
- Współczynnika przepuszczalności wodnej gleb nasyconych i nienasyconych, intensywności podsiąku kapilarnego metodą laboratoryjną i polową.

Te dwa zagadnienia znajdowały się w kręgu moich zainteresowań, przepuszczalność hydrauliczna była tematem mojego doktoratu, a podsiąg kapilarny i krzywe pF – habilitacji. Kolejna tematyka pracowni to: właściwości powietrzne gleb, w tym składu powietrza glebowego i ODR, których znajomość jest niezbędna przy oznaczaniu potrzeb melioracji gleb. Były one treścią zainteresowań doktora Jana Gawlika, który zajmował się badaniem genezy oraz ustalaniem zasad rozpoznawania, podziału i klasyfikacji gleb i siedlisk hydrogenicznych, wydzielaniem kompleksów wilgotnościowo-glebowych oraz określaniem typów hydrologicznego zasilania siedlisk i wielkości dopływu gruntowego, a także wyznaczaniem wskaźników określających stan pierwotnego (stopień rozkładu torfu) i wtórnego przeobrażenia gleb torfowych.

Kierownikiem Pracowni Melioracji Przeciwerozryjnych był Czesław Józefaciuk z zespołem, w skład którego wchodził: Feliks Łacek, Jan Naklicki i Anna Józefaciuk. Po przejściu Czesława i Anny Józefaciuk do Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach (IUNG), pozostali pracownicy włączeni zostali do realizacji zadań agromelioracyjnych, dotyczących ulepszania gleb pyłowych o niewłaściwych stosunkach powietrzno-wodnych, poprzez głębokie ich spulchnianie.

Na kilka dni zatrzymałem się w pokoju gościnnym w budynku IMUZ, a po załatwieniu mieszkania, przenieśliśmy się na stację do domku jednej z pracownic sekretariatu Oddziału. Mieszkałem tam ponad rok, do pracy miałem stamtąd blisko, dojście pieszo zajmowało mi pięć minut. Śniadania i kolacje przygotowywałem sobie sam, a na obiady chodziłem do stołówki nauczycielskiej w Domu Nauczyciela blisko mojej pracy. Posiłki były tam względnie tanie, ale i skromne, z dodatkiem octu i innych przypraw, które po czterech latach okazały się zabójcze dla mojego żołądka. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku ożeniłem się i obiady stołkowe zamieniłem na domowe, problemy gastryczne ustąpiły wtedy natychmiast na wiele lat.

W pracy od samego początku moje stosunki były poprawne, zarówno z szefem, jak i z kolegami, szczególnie blisko zaprzyjaźniłem się z profesorem Janem Gawlikiem, który do końca okazał się być człowiekiem niezwykle rzeczowym i uczynnym, uczciwym, obiektywnym, prawym i koleżeńskim dla wszystkich, a dla mnie szczegól-

nie. W budynku był jeden pokój gościnny, szef koniecznie chciał go zatrzymać dla wizytujących, po jakimś czasie Gawlik przekonał go jednak, abym mógł w nim zamieszkać. Przebywałem tam do czasu otrzymania mieszkania spółdzielczego w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, żona z synem do tego czasu zatrzymała się z rodzicami i siostrą w dwupokojowym mieszkaniu czynszowym.

Zawadzki i Gawlik mieli rodziny i zajmowali trzypokojowe mieszkania służbowe w budynku Oddziału oraz przydzielono im garaże. Szef, mieszkając na miejscu, w zasadzie nie wychodził z zakładu, był tam od godziny siódmej rano do dwudziestej drugiej wieczorem, z godzinną przerwą na obiad, podobnie było ze mną, chciał mnie mieć pod ręką w każdej chwili i potrzebie. Mieszkając samotnie, również bez reszty zaangażowałem się w prace programowe i badawcze Oddziału.

Tworzyłem plany i programy dla pracowni oraz pracowałem nad publikacjami przed otwarciem przewodu doktorskiego. W pierwszej kolejności zaangażowałem się w przygotowanie do wydania materiałów z okresu pobytu w Holandii. Teksty te najpierw należało napisać w języku polskim, potem przetłumaczyć na język angielski, wysłać do Holandii celem uzyskania akceptacji współautora, a dopiero potem – po otrzymaniu dwóch pozytywnych recenzji w kraju – opublikować w polskim międzynarodowym czasopiśmie: „Polish Journal of Soil Science”⁴.

Oczywiście ani Zawadzki, ani ja nie otrzymaliśmy żadnych uwag i ewentualnej korekty tekstu do publikacji. Podobnie było rok wcześniej, kiedy wróciłem po stażu do Warszawy, napisany raport z mojego pobytu miał po korekcie wrócić do Katedry, co się nigdy nie stało. Była to moja pierwsza publikacja w czasopiśmie o zasięgu międzynarodowym.

Na ulicy spotkałem kolegów ze studiów Zbyszka Wieczorka i Zbyszka Lewackiego. Przedstawili mi swoje rodziny, narzeczone, spotykaliśmy się towarzysko i zaprzyjaźniliśmy się na wiele lat, aż do końca lat dziewięćdziesiątych. W tym czasie poznałem również moją przyszłą żonę Hannę Hurko. Kontakty towarzyskie w owym czasie to oddzielny rozdział życia, trudno było bez nich funkcjonować, nawet butelkę piwa kupowało się z niemałym wysiłkiem i tylko przy udziale znajomych, nie wspominając o pralce, lodówce czy nawet podstawowych artykułach spożywczych. Z Jolą, żoną Zbyszka Lewackiego, poznaliśmy się na studiach w Warszawie, była księgową w Lubelski Browarze i to właśnie ona pomagała mi w kupnie piwa. Jola musiała napisać podanie, które podpisywał następnie dyrektor browaru, z tym dokumentem należało stać w kolejce do kasy, a potem jeszcze odczekać swoje w magazynie. Oto proza życia codziennego, panująca w niemal każdej dziedzinie życia w poprzednim systemie. Większość czasu spędzało się na czekaniu w kolejkach i szukaniu dojsć do wpływowych ludzi. Przykładowo, żeby kupić pianino żona z teściem na zmianę stali dwie noce, aby rano, gdy towar trafi do sklepu, być pierwszymi w kolejce. Podobnie było z kupnem cementu, gdy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku

⁴ Zob. W. Olszta, W. Segeren, *An attempt to determine the permeability coefficient of crecked soils (Próba określania współczynnika przepuszczalności gleb spękanych)*, „Polish Journal of Soil Science” 1968, vol. I, no. 2, s. 85–95.

rozpocząłem budowę domu, kilka razy musiałem stawać o trzeciej rano w kolejce na ulicy Krochmalnej, by wreszcie, po kilku dniach, nabyć tonę lub maksymalnie dwie. Niewiele łatwiej było również pozyskać transport i dowieźć towar na miejsce budowy, ale o tym później.

Wracając do pracy w IMUZ, mając doświadczenie zdobyte podczas pobytu w Holandii w zakresie odwodnienia polderów, podjąłem próbę oceny projektowania i funkcjonowania systemów drenarskich w kraju. W dotychczasowej praktyce w Polsce zarówno typowanie miejsc, jak i rodzaju gleb do odwodnienia drenami oraz jego parametrów (rozstawy i głębokości) określano w oparciu o skład mechaniczny. W holenderskich warunkach drena funkcjonują cały rok, w Polsce zaś tylko w sezonie wiosennym i jesienno-zimowym i tylko w okresach mokrych, suche pozbawione opadów lata wykluczają możliwość prowadzenia obserwacji, zatem badania mogą ciągnąć się latami. Innym istotnym problemem był wybór obiektów do badań, a także uzyskanie zgody inwestorów, zwykle indywidualnych rolników oraz projektanta. Projekt wymagał bowiem odpowiedniej powierzchni i ukształtowania terenu.

W pierwszej kolejności zgłosiłem się do Biura Projektów Melioracji Wodnych, by uzyskać informacje o aktualnie prowadzonych i planowanych pracach projektowych na terenie województwa lubelskiego, aby następnie wykonać projekt próbnych drenowań o zróżnicowanej rozstawie i głębokości sączków z wylotami bezpośrednio do rowów. To oczywiście wymagało wielu rozmów, uzasadniania takich badań, uzyskania zgód i decyzji na różnych szczeblach administracji i Instytutu, łącznie z Komitetem Wojewódzkim PZPR. Zajęło mi to wiele czasu, wysiłku i nerwów, w końcu udało się wybrać pięć obiektów: dla lessów – Setniki w powiecie hrubieszowskim, pyły ilaste w Aleksandrowie i w powiecie Biłgorajskim, dla mad wiślanych tereny w Wilkowie, w powiecie opolskim, oraz dwa obiekty w rejonie Kanału Wieprz-Krzna. Badania trwały kilka lat i przyniosły oczekiwane wyniki.

Włączyłem się aktywnie w opracowanie i realizację innych tematów w Instytucie, poczułem się potrzebny i dowartościowany, co jest bardzo ważne w każdej pracy. Zakres moich obowiązków rozrastał się, tym bardziej, że równolegle rozpocząłem badania związane z przygotowaniem pracy doktorskiej. Wtedy nieoczekiwanie otrzymałem wezwanie na szkolenie wojskowe. Ku memu zaskoczeniu i zadowoleniu, nie zostałem powołany na to szkolenie, ale w tym samym czasie spotkało mnie inne dotkliwe przeżycie – nieoczekiwana i nagła śmierć siostry Marii. Z siostrą łączyła mnie szczególna więź, zbudowana na dzieciństwie w skrajnym ubóstwie i strachu podczas okupacji niemieckiej.

Angażując się aktywnie w prace Instytutu względnie szybko awansowałem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku z pracownika inżyniersko-technicznego, z wynagrodzeniem dwa tysiące czterysta złotych, na stanowisko starszego projektanta, z uposażeniem trzy i pół tysiące złotych. Decyzją Rady Naukowej Instytutu z dnia dwudziestego dziewiątego lipca tysiąca dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku zostałem powołany na stanowisko adiunkta, z uposażeniem zasad-

niczmy cztery tysiące sto sześćdziesiąt jeden złotych. Oczywiście nie były to wysokie zarobki i wszyscy musieliśmy dorabiać na pracach zleconych, za każdym razem występując o zgodę do kierownika Oddziału lub dyrektora Instytutu w Falentach. Były to prace usługowe dla Polskiego Towarzystwa Geograficznego, dotyczące oznaczeń składu mechanicznego gleb przy opracowywaniu ekspertyz dla celów melioracyjnych. Niekiedy te prace, wykonywane po godzinach, zapewniały mi drugie pobory i stanowiły główne źródło moich oszczędności. Okazały się też dla mnie impulsem do podjęcia w kolejnych latach badań nad projektowaniem i funkcjonowaniem drenów w Polsce.

Mój przewód doktorski został otwarty w Instytucie Melioracji i Użytków Zielonych dwudziestego trzeciego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Pracę *Przepuszczalność wodna hydrogenicznych spękanych utworów glebowych o poligonalnej budowie w dolinie Huczy* przekazałem promotorowi, którym był Zawadzki, w maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, egzamin z ekonomii politycznej zdałem w czerwcu, a z przedmiotu kierunkowego w grudniu tego roku. Egzaminy te były dużym przeżyciem i odbywały się w co najmniej trzyosobowych komisjach. Skład komisji i egzaminatorów powoływała Rada Naukowa Instytutu, moim egzaminatorem z ekonomii był profesor Aleksander Kierek z lubelskiej Wyższej Szkoły Rolniczej (WSR), miał on szczególne wymagania, przed przystąpieniem do egzaminu należało przez semestr uczyć się na jego wykład. Z przedmiotu kierunkowego egzaminatorem był profesor Stefan Ziemnicki z Katedry Melioracji Rolnych z WSR w Lublinie.

Recenzentami pracy doktorskiej byli: profesor Tadeusz Skawina z AGH w Krakowie, doktor habilitowany Wojciech Wolski z SGGW w Warszawie oraz profesor Zygmunt Sochoń, dyrektor IMUZ w Falentach.

Większość swojego czasu poświęcałem pracy, bardzo mało pozostawało mi go na życie prywatne. W zakładzie spędzałem wiele godzin, tak w ciągu dnia, jak i w godzinach wieczornych, gdyż musiałem być pod ręką szefa, który zasypiał o dwudziestej drugiej przy biurku. Nie zapomniałem mimo to o życiu towarzyskim, trudno było wtedy funkcjonować bez przyjaciół. Poznałem swoją przyszłą żonę, latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku zdobyłem patent sternika jachtowego pod dowództwem kapitana Żeglugi Wielkiej profesora Kazimierza Goebła, w latach osiemdziesiątych prorektora za kadencji profesora S. Uziaka, a w kolejnej kadencji już rektora Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku ożeniłem się i zacząłem myśleć o budowie własnego domu, aby zrealizować marzenie z czasów pobytu w Holandii. Życzenie to się spełniło, ale był to dla mnie duży wysiłek finansowy, organizacyjny i – jak się okazało – również fizyczny. Działkę budowlaną o powierzchni czterystu metrów kwadratowych otrzymałem od Urzędu Miasta w wieczyste użytkowanie, projekt według mojej koncepcji wykonał mój teść Władysław Hurko, który był architektem. Budowę rozpocząłem sposobem gospodarczym i trwała przez cztery lata,

do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, czyli do czasu mojego wyjazdu na stypendium do USA. W międzyczasie żona zamieszkała z rodzicami i siostrą na Starym Mieście, a ja dalej pomieszkowałem w pokoju gościnnym Instytutu. W związku z tym poczyniłem starania o przyspieszenie przydziału mieszkania spółdzielczego, pomógł mi w tym mój szef, występując z pismem do władz miasta.

Oczywiście starania te i inne zabiegi niewiele pomogły, przydział mieszkania spółdzielczego otrzymałem dopiero w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku, a budowę własnego domu ukończyłem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku, przed wyjazdem na roczny staż podyplomowy do USA. Budowa domu w tamtym czasie był to nie lada wysiłek. Szczególnie w zakresie zakupu materiałów budowlanych, dostępu do transportu i sprzętu budowlanego oraz pozyskania siły roboczej, gdyż nie było ekip budowlanych na wzór dzisiejszych, państwo miało monopol w każdej dziedzinie życia Polaków.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku zostałem zakwalifikowany do grupy pracowników naukowo-badawczych, kierownik Oddziału w uzasadnieniu pisał:

Biorąc pod uwagę nieprzeciętne uzdolnienia magistra Olszty, ogromne zaangażowanie w pracach badawczych, dużą inicjatywę twórczą i dotychczasowy dorobek naukowy składam wnioszek o przesunięcie Go do grupy pracowników naukowo-badawczych w Pracowni Gleboznawstwa Melioracyjnego IMUZ w Lublinie.

Starania o uzyskanie stypendium i zgodę na wyjazd do Stanów Zjednoczonych nie były łatwe i trwały kilka lat. Nic wtedy nie było zresztą łatwe, szczególnie dla bezpartyjnych. Mój kolega doktor Feliks Łacek, sekretarz komórki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR) w Oddziale, doradzał mi, abym zapisał się do partii, wtedy łatwiej mógłbym awansować, gdyż nic nie działo się bez akceptacji czynnika partyjnego. Radził mi wstąpienie do Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL), była to przybudówka PZPR, dołączyłem więc do Stronnictwa Demokratycznego (SD), kierowanego przez profesora Henryka Jabłońskiego, Przewodniczącego Rady Państwa. Kiedy podczas kolejnych wyborów SD ogłosiło Front Jedności Narodu z PZPR i PSL, zrezygnowałem z członkostwa. Gdybym wtedy posłuchał dobrej rady Łacka i wstąpił do PSL, być może zostałem z rekomendacji tego stronnictwa senatorem RP. Wielu moich kolegów z czasów działalności w ZSP wybrało drogę polityczną, ja wolałem ścieżkę naukową, jak się okazało znacznie trudniejszą, ale uczciwą i jak sądzę znacznie ciekawszą.

Starania o staż w USA należało rozpocząć od znalezienia sponsora i odpowiedniego miejsca pobytu w Stanach. Formalności rozpocząłem po otrzymaniu od profesora Szczepana Pieniążka pisma następującej treści:

Jeszcze w roku ubiegłym został Pan zatwierdzony przez Ministerstwo Rolnictwa jako kandydat na roczny staż naukowy w Stanach Zjednoczonych w ramach prowadzonej przeze mnie Polsko-Amerykańskiej Wymiany Rolniczej. Miał Pan wyjechać wiosną bieżącego roku. Niestety jednak dopiero obecnie udało mi się znaleźć dla Pana miejsce na staż.

Staż ten będzie Pan odbywał na Uniwersytecie stanu Południowa Karolina w Clemson. Kierownik tematu, nad którym będzie Pan pracował, prosi, aby przyjechał Pan albo pierwszego września, albo pierwszego października bieżącego roku.

Był to początek bogatej służbowej korespondencji, jaką zgromadziłem z okresu sprzed wyjazdu, pobytu w USA i po powrocie.

Przed wyjazdem odbyliśmy z Pieniążkiem spotkanie informacyjne w Skierniewicach, dotyczące celów, obowiązków, zwyczajów i zachowań oraz niespodzianek, jakie mogą nas czekać w USA, była to pouczająca lekcja, a Pieniążek okazał się być niezwykle kłopotliwą postacią i osobowością. Udzielono nam tam wskazówek, jak mamy godnie reprezentować Polskę podczas pobytu.

Wymiana ta została zapoczątkowana w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, a od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego prowadzona była systematycznie. W jej ramach do wiosny tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku wyjechało do USA czterystu piętnastu Polaków, a do Polski przyjechało pięćdziesięciu czterech Amerykanów. Jej sukces polegał na tym, że była korzystna dla obu stron. Najczęściej zdarzało się, że profesor na uniwersytecie czy właściciel farmy prywatnej, który miał w danym roku polskiego stażystę, prosił w następnym roku o kolejnego. Polak to pracownik bardziej niż przeciętnie inteligentny, dobrze wykształcony, chcący pokazać, że może pracować lepiej od miejscowych, a w dodatku za wynagrodzenie trochę niższe od ich. Dla naszego stażysty najważniejszą korzyścią było poznanie świata, nowych metod pracy badawczej i praktycznej oraz lepsze opanowanie języka. Stronami ujemnymi było oderwanie od rodziny, wynagrodzenie na ogół nieco niższe od tego, jakie otrzymywali amerykańscy koledzy, ale nam i tak wydawało się ono wysokie. Porównując wady i zalety, zarówno amerykański sponsor, jak i nasz stażysta byli zatem przekonani, że korzyści dla obu stron znacznie przewyższają minusy.

Wymiana nasza, jak poinformował nas Pieniążek podczas spotkania w Skierniewicach, była prowadzona ze stroną amerykańską przez organizację Brethron Service Commission. Była to pacyfistyczna organizacja, dobrze usposobiona do państw socjalistycznych. Stanowiła emanację sekty religijnej Church of the Brethren, zbliżonej do Kwaków, nie uprawiała jednak propagandy religijnej wśród stażystów, za co zasługiwała na szacunek. Rola tej organizacji polegała na niesieniu pomocy w otrzymaniu wiz amerykańskich, upowszechnianiu naszej wymiany na uniwersytetach amerykańskich i ogólnej opiece nad stażystami, włączając w to ubezpieczenia od wypadków. Tej ostatniej formy pomocy doświadczyłem najbardziej po tym, jak sam uległem wypadkowi.

Pieniążek przekazał nam podczas tego spotkania, że stażysta musiał wyjechać sam, bez najbliższych. Początkowo nie zgadzano się na wyjazd żony czy innych członków rodziny razem ze stażystą z wielu powodów. Jednak okazało się, że w związku z tą wymianą zdarzyło się kilka rozwodów. Dlatego też zdecydowano, że po uzgodnieniu ze stroną amerykańską, żona stażysty na jego zaproszenie i na jego koszt mogła przyjechać do niego na ostatni miesiąc jego pobytu w Ameryce.

Pieniążek podkreślił także konieczność utrzymywania korespondencyjnych kontaktów z przyjaciółmi, jakich stażysta w czasie swej podróży pozyskiwał. Regularna wymiana listów pomagała w zaopatrzeniu w literaturę naukową oraz w śledzeniu postępów w danej dziedzinie nauki. Ja utrzymywałem kontakt ze swoim opiekunem w Clemson profesorem Jerry'm R. Lambertem. On zapraszał mnie na międzynarodowe sympozja, a ja zachęcałem go do przyjazdu do Polski, czego niestety nie udało się zrealizować, mimo że koszty jego pobytu w kraju zobowiązałem się pokryć osobiście.

Głównym sponsorem i organizatorem stażu było Brethren Sernice Commission, na czele której stał Hiram Lamar Gible. Osobiście odwiedziłem go w biurze w Elgin zaraz po przyjeździe do Chicago. Otrzymałem od niego wtedy obszerne i wyczerpujące materiały informacyjne o warunkach, obowiązkach i przywilejach, związanych z tą podróżą, dotyczyły one praktycznie wszystkich dziedzin życia Amerykanów. Wiele z tych treści już pozapominałem, ale był to pouczający i praktyczny materiał, a także, jak się okazało, bardzo pomocny. Pamiętam, jak Gible na koniec spotkania zaprosił mnie na obiad do chińskiej restauracji. Było tam tak dużo potraw, że nie wiedziałem, od czego zacząć, wcześniej nawet w Holandii nie widziałem takiej ilości i różnorodności dań. Dopiero wiele lat później, przebywając w Chinach, mogłem zobaczyć, jak stoły jeszcze bardziej uginają się pod bogactwem potraw.

Wyjazd na staż i pobyt w USA

Wyjechałem dopiero dwudziestego dziewiątego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku, pełen nadziei i oczekiwań. Wyprawa ta okazała się być pełna niespodzianek i wielu atrakcji, które czekały na mnie w ciągu, jak się okazało, piętnastu miesięcy pobytu. Czas spędzony w USA odmienił moje życie, pozbyłem się nerwicy, polepszył się nie tylko mój stan psychiczny, ale także mój status materialny.

Wcześniej podróżowałem jedynie pociągami, to był mój pierwszy lot samolotem, przez dziesięć godzin lecieliśmy przez Atlantyki, dodatkowe trzy godziny krążyliśmy wokół lotniska, przywiązani pasami w ciasnych fotelach. Było to dla mnie niezwykle doświadczenie, które na długo zapadło mi w pamięć.

Ameryka okazała się być światem wielkich kontrastów, tak ubóstwa, jak i niewyobrażalnego bogactwa, wszystko tu zachwycało, budziło podziw, ale i przerażało, w Holandii nie spotkałem się z takimi dysonansami.

Już przylot do Nowego Jorku przyniósł mi pierwszy szok. Zadziwił mnie natłok ludzi, miałem trudność w porozumieniu się, w dodatku nikt na mnie na miejscu nie

czekał, musiałem więc samodzielnie dostać się do Chicago i w tym celu dotrzeć na odległe lotnisko, tam odszukać odpowiedni terminal i czekać na połączenie do Chicago. Byłem zupełnie zagubiony, w Warszawie istniał wtedy jeden terminal i było niewiele pasażerów, tu w tłumie łatwo się było pogubić. Sądziłem, że znam dobrze angielski, a w kontakcie z rzeczywistością okazało się, że jestem bezradny. Podobnie było po przylocie do Clemson, zupełnie nie rozumiałem, o czym tam do mnie mówią. Trwało to kilka miesięcy, wszystko to mnie przerażało i przytłaczało.

Łądowanie w Chicago i spotkanie znajomych rozładowało napięcie, oczekiwało na mnie tam wiele osób: mój były szwagier Stanisław Jaśkiewicz, wujek mojej żony Tadeusz Baran z żoną Barbarą i August Olszowy, u którego zatrzymałem się na kilka dni. W tym czasie zwiedziłem ogromne miasto, centrum z drapaczami chmur, jego okolice, dzielnice slumsów, bogaczy i pospolite ulice klasy średniej. Najbardziej uderzył mnie widok wielopasmowych ulic pełnych samochodów stojących w korkach, w Polsce ulice i drogi były wtedy zupełnie puste – był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty, samochody były na talony i tylko dla zasłużonych członków dominującej partii.

Po otrzymaniu biletu lotniczego do Greenville od Gible'a wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Na lotnisku czekał na mnie Lambert i razem już wyruszyliśmy do odległego około siedemdziesiąt kilometrów Clemson, gdzie zakwaterowano mnie w pokoju gościnnym Uniwersytetu.

Była to krótka, ale pełna wrażeń i atrakcji podróż, wszystko na południu Ameryki zachwycało i budziło podziw, panował tropikalny klimat, mimo początku października. Po drodze mijaliśmy bogate okolice, okazałe domy ukryte w lesie i wspaniałe nieznanne mi wcześniej krajobrazy południa Stanów, a także – dla kontrastu – przydrożne slumsy oraz skrajne ubóstwo, rzadko spotykane w Polsce.

Następnego dnia odbyło się spotkanie z załogą Katedry, a później dziekanem i pracownikami Wydziału. Wszyscy tu okazali się być uprzejmi, wyluzowani i sprawiali wrażenie jakbyśmy znali się od dawna. Podobnie było na ulicy, gdzie każdy mi się kłaniał, wołał „cześć” albo pytał „jak się masz?”.

Clemson to miasteczko akademickie zlokalizowane w lesie, było tam dużo zieleni, wszyscy chodzili na skróty po trawnikach. Panował pełny luz, również w stosunku studentów do wykładowców, w Polsce takie zachowanie byłoby skandaliczne, gdyż my żyliśmy w reżimie ustrojowym, zwyczajowym i do przesady grzecznościowym.

Znalazłem się w nowym środowisku, pośród obcych ludzi, nie rozumiałem, o czym mówią, a mimo to poczułem się tu wolnym człowiekiem. Musiałem się odnaleźć w świecie bez fałszu i obłudy, podejrzeń i strachu. Wszystko tam wydawało się być prawdziwe i realne: pieniądze, ludzie i ich przyjazne zachowania, poczucie wartości, szacunek dla innych. Każdy był tam sobą, podczas gdy w Polsce każdy odgrywał swoją rolę niczym aktor w teatrze. U nas po zachowaniu od razu można poznać, kto jest kim. Natomiast na Kampusie trudno było określić, kto jest rektorem, profesorem, studentem, zarówno po ubiorze, jak i po zachowaniu.

Po kilku dniach pobytu na uczelni i w hotelu studenckim, zaczęliśmy z moim opiekunem Jerryem szukać dla mnie miejsca stałego zamieszkania. Mój przewodnik naukowy zaproponował mi, abym zwracał się do niego po imieniu, to nas zbliżyło, poczułem się dowartościowany i jak partner w pracy. Tej bliskości w kontaktach nikt tam nie nadużywał, stwarzała ona natomiast przyjazną atmosferę owocnej współpracy, która panowała do końca mojego tam rocznego stażu.

Poszukiwania lokum dla mnie nie trwały długo, po obejrzeniu kilku domów wybrałem willę z basenem ukrytą w lesie w odległości około dwóch kilometrów od centrum Uniwersytetu. Miałem do dyspozycji praktycznie cały parterowy dom, składała się na niego kuchnia, salon z telewizorem, sypialnia z oddzielną łazienką. Właścicielką była starsza pani, która prowadziła mały sklepik i ciągle była poza domem. Również jej samotny niepracujący syn rzadko bywał w domu, gdyż ciągle wyjeżdżał na ryby albo polowania. Zaskoczeniem był dla mnie widok niezabezpieczonej broni myśliwskiej i krótkiej broni wielostrzałowej, dom na uboczu w lesie nie był zamykany nawet na klucz. Poważnym ograniczeniem była dla mnie bariera językowa, nie sądziłem, że język angielski używany w Holandii będzie się tak różnił od tego, jakim mówi się na południu Stanów. Przed wyjazdem rozmawiałem w Polsce z kilkoma osobami po angielsku, wszyscy zapewniali mnie, że dam sobie radę. Pewnym pocieszeniem było to, że na podobnym stażu, przebywał tu z rodziną – żoną i dwójką małych dzieci, niejaki Itzhak Wolf z Izraela. Spotykaliśmy się na Radach Wydziału, zapytany, czy rozumie, o czym rozmawiają, pocieszył mnie, że też ma z tym kłopoty, mimo dobrej znajomości języka angielskiego. By oswoić się z tutejszą wymową zacząłem chodzić na wykłady, od zera rozpocząłem też naukę *Fortranu* – języka programowania komputerowego. Powiedziano mi bowiem, że warunkiem włączenia się do programu pracy w Katedrze jest właśnie znajomość *Fortranu*. Nauka ta zajęła mi trochę czasu, równoległe studiowałem literaturę i zastanawiałem się, co chcę tu robić, nikt mi tu niczego nie narzucał, ode mnie zależał wybór tematu pracy, tępo oraz czas pracy.

Po pewnym czasie poznałem tu w Clemson rodzinę polskiego pochodzenia – Aurelię i Andrzeja Sobczyków. Aurelia była emerytką, a jej mąż profesorem matematyki na Uniwersytecie. Ona mówiła po polsku, a z jej mężem porozumiewałem się po rosyjsku. Zaprzyjaźniłem się z nimi i większość weekendów spędzaliśmy razem w ich dużym domu w Clemson lub w domku letnim odległym od Clemson o pięćdziesiąt kilometrów. Mieli liczną rodzinę: trzech synów i dwie córki, którzy mieszkali ze swoimi rodzinami już poza domem. Miałem okazje ich wszystkich poznać podczas rodzinnych zgromadzeń. Uczestniczyłem również w spotkaniach towarzyskich z ich znajomymi. Niektórzy z nich posiadali jachty i zapraszali mnie na rejsy po pobliskich jeziorach, chętnie korzystałem z tych propozycji, aby odświeżyć wiedzę i wrażenia z rejsów po jeziorach mazurskich w okresie studiów.

Sobczykowie zadbali, aby dzieci poznały kraj ich przodków. Ich syn Gerard, fizyk z wykształcenia, trafił do Polski w czasie stanu wojennego, pomagał Solidarności i został wydalony z kraju. Aurelia odwiedziła Polskę z wnuczką i synem Stanleyem już po moim

powrocie z żoną do kraju, gościliśmy ich w domu w Lublinie i na wsi w Borowie. Stanley usiłował nawiązać współpracę handlową z fabryką śmigłowców w Świdniku.

Pierwszy miesiąc pobytu i aklimatyzacji do nowych warunków pogodowych, mieszkaniowych i pracy na Wydziale zmierzał ku końcowi. Otrzymałem wtedy propozycję wygłoszenia prelekcji o Polsce i zreferowania zakresu badań, nad którymi chciałbym tu pracować. Tam każda prelekcja poparta była ilustracjami bądź slajdami, a ja nie dysponowałem żadnymi materiałami. Zwróciłem się zatem z prośbą do ambasady o przezrocza o Polsce, a do IMUZ w Lublinie o slajdy typowych profili glebowych występujących w Polsce. Kilka dni później uległem jednak wypadkowi, jadąc rowerem do pracy zostałem potrącony autem, znalazłem się w szpitalu z urazem głowy, bardzo bolesnym pęknięciem obojczyka i lewą nogą w gipsie. Czekał mnie dwutygodniowy pobyt w szpitalu i dwa miesiące przerwy w pracy.

Wypadek i pobyt w szpitalu na samym początku stażu był dotkliwym i bolesnym fizycznie, ale także psychicznym doświadczeniem, szczególnie dla kogoś tak wrażliwego jak ja. Dopiero co oswoiłem się z nowym miejscem, zacząłem się wtapiać w środowisko, a tu kolejny pech, strata czasu i długa rekonwalescencja w osamotnieniu i w dodatku z obawami o to, jaki będzie jej finał.

Wieści o wypadku szybko dotarły do różnych instytucji tu w Stanach i w Polsce. Po pewnym czasie zaczęły napływać listy pocieszające, z wyrazami współczucia i życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Szczególnie pokrzepiające słowa pisał Pieniążek, byłem z nim w stałym kontakcie, na bieżąco informując go o mojej sytuacji. W podobnym kontakcie byłem również ze swoim przełożonym i mentorem Zawadzkiem, który wspierał mnie, motywował i pomagał w potrzebie.

W pierwszych dniach pobytu w szpitalu byłem obolały, cierpiałem przez silny ból obojczyka, głowy i nogi w gipsie, byłem także wystraszony, nie wiedziałem, jakie mam urazy i rokowania na przyszłość. Kontakt z lekarzami przez barierę językową był utrudniony. Odwiedził mnie wtedy w szpitalu sprawca wypadku z żoną i kwiatami, przepaszając za to wydarzenie. Czulem się osamotniony, dlatego te odwiedziny przyniosły mi pocieszenie, potrzebowałem takiego kontaktu i współczucia. Były też wizyty pracowników Wydziału z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, które również były krzepiące.

Po pięciu tygodniach w szpitalu wróciłem na kwaterę z nogą w gipsie, jak zwykle nie było tam nikogo. Zbliżały się święta, na Uniwersytecie było pusto, wszyscy wyruszyli na ferie, również Sobczykowie wyjechali do swoich dzieci. Zostałem sam. Pamiętając okres świąteczny w Holandii spędzony głównie na ulicy, postanowiłem wyjechać do Chicago autobusem z nogą w gipsie, była to długa i uciążliwa podróż. Opłaciło się jednak. Spędziłem te święta po polsku, wśród dużej rodziny mojej żony i innych znajomych z Polski. Były kolędy, polskie potrawy, prezenty pod choinką i zwiedzanie miasta pełnego świątecznych dekoracji. Wtedy w Polsce w domach też świętowano, ale na ulicach było znacznie skromniej. Tu witryny sklepowe, budynki i ulice były peł-

ne kolorowych świateł, reklamowanych towarów, a także zwiedzających i kupujących ludzi, muzyki i zespołów artystycznych.

Po Nowym Roku wróciłem do Clemson, była noc, dom jak zwykle był otwarty, podczas gdy w środku było pusto. Ponownie zostałem sam, z ograniczonymi możliwościami poruszania się. Można było się załamać, ale postanowiłem sobie, że będę silny i przetrwam.

Na Wydziale w Clemson, na podobnym stażu do mojego, przebywał wspomniany już wcześniej Itzhak Wolf z Izraela, który przyjechał do Stanów z rodziną, żoną i dwójką małych dzieci. Oprócz stypendium z Uniwersytetu, otrzymał również comiesięczną zapomogę w wysokości tysiąca dolarów od pozarządowych organizacji żydowskich. Dla porównania polonia była tam skłócona i nie potrafiła się podobnie zorganizować i zjednoczyć. Wolf wynajął duży wygodny dom, kupił samochód i żył wraz z rodziną w dostatku, zwiedzając w weekendy sąsiednie stany Ameryki jak na wczasach. Często zapraszali mnie do siebie, żona Itzhaka była Rumunką, mieliśmy wspólny temat do rozmowy: porównywaliśmy nasze kraje, ich ubóstwo, ucisk, zakazy, nakazy i wiele innych ograniczeń, jak brak towarów na rynku, np. piwa i kiełbasy. Rozumieliśmy się doskonale.

Natomiast Amerykanom trudno było pojąć, że w Polsce z jednej strony nie było na co wydawać pieniędzy, a z drugiej strony, że kupienie niektórych koniecznych do życia produktów wymagało nadzwyczajnych starań. Zdziwił wszystkich brak logiki w codziennym życiu państwa, które na każdym kroku podkreślało równość obywateli. Lepsze produkty można było kupić w sklepie banku Pekso, w którym płaciło się dewizami albo bonami dolarowymi. Były też osobne sklepy dla wyżej postawionych członków partii, niedostępne dla zwykłych ludzi. Towarzysze partyjni tworzyli klasę rządzącą wbrew propagandzie o społeczeństwie bezklasowym. Z opowieści żony Itzhaka dowiedziałem się jednak, że w Rumunii było znacznie gorzej było.

Po dwóch miesiącach rekonwalescencji po wypadku wróciłem do pracy na Uniwersytecie, moja kondycja mentalna i fizyczna była jednakże nadal kiepska, dlatego korzystałem z porad psychologa i ortopedy. Musiałem też uczęszczać na ćwiczenia fizyczne, masaże i kąpiele w basenie uniwersyteckiego centrum sportu. Poczucie winy i stres ograniczały moje możliwości, co pogłębiało niepokój i przygnębienie, a to z kolei prowadziło do bezsenności, stąd wizyty u psychologa. Rozmowy z psychologiem i terapia fizyczna wyciszały moje emocje i wzmacniały fizycznie. Mogłem kontynuować naukę *Fortranu* i zastanawiać się nad tematem mojej pracy.

Przed wyjazdem do Stanów prowadziłem badania wazonowe na Stacji Lizymetrycznej w Sosnowicy, nad ruchem (podsiąklęm) wody w systemie gleba-roślina-atmosfera, przy zróżnicowanym poziomie lustra wody gruntowej. Pomyślałem, że zajmę się opracowaniem modelu matematycznego symulującego dynamikę procesów zachodzących w tym systemie w czasie wzrostu traw. Otrzymałem akceptację opieku-na Lamberta i wstępnie nazwaliśmy go GRAGRO, skrót od słów *Grass Grow*.

Pracę rozpocząłem od prostego modelu SMUCEW, symulującego układ wilgoci w profilu przy stałym poziomie wody gruntowej i stałej transpiracji. Sam pisałem programy, drukowałem na maszynie karty perforowane, znosiłem do centrum komputerowego, następnego dnia odbierałem wyniki, nanosiłem je na wykresy i analizowałem. Rezultaty okazały się bardzo interesujące i prawdopodobne do rzeczywistych. Istotą każdego modelu jest jego weryfikacja empiryczna, dlatego potrzebowałem wielu danych pomiarowych ze stacji lizymetrycznej w Sosnowicy. Rozpoczęła się długa korespondencja z IMUZ w Lublinie i Falentach. Należało zebrać wiele danych klimatycznych i parametrów fizyko-wodnych badanych gleb, a następnie uzyskać odpowiednie pozwolenia na wysłanie ich do USA. Była to długa wymiana listów, bardzo istotna dla przebiegu i wyników mojej pracy.

Powrót do zdrowia był powolny, dlatego też właściwy staż mogłem rozpocząć dopiero w kwietniu. Codzienne zabiegi fizjoterapeutyczne uniemożliwiały mi kontynuowanie studiów. W liście poinformowałem zatem Pieniążka, że na dokończenie badań potrzebuję jeszcze dwa i pół miesiąca. Zdecydowałem się prosić dyrektora IMUZ o przedłużenie mojego pobytu na Uniwersytecie w Clemson do piętnastego grudnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Pozytywna odpowiedź na moją prośbę nadeszła dopiero w październiku, utrzymując mnie w niepewności, co do moich planów wobec dalszego pobytu.

Wysłałem list do Pieniążka z prośbą nie tylko o przedłużenie mojego stażu, ale także o zaproszenie mojej żony. Wcześniej musiałem uzyskać zgodę pracodawcy i sponsora Gible'a, bowiem wiązało się to z dodatkowymi kosztami mojego pobytu i uzyskaniem wizy pobytowej w Departamencie Stanu. Formalnościom nie było końca, niewiele czasu pozostawało przez to na właściwą pracę.

Duże zainteresowanie, troskę i pomoc w czasie stażu w Clemson okazywał mi Zawadzki. Informowałem go o postępach mojej pracy badawczej, a także o tym, że chciałem zatrzymać się na kilka dni w Holandii i zapoznać się tam z niektórymi pracami, głównie interesowały mnie doświadczenia pomiarów fotosyntezy, przewodnictwa cieplnego gleb i zjawisk termicznych na powierzchni liści, istotny parametr plonowania roślin.

W grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku F.W. T. Penning de Vries organizował w Wageningen międzynarodowe seminarium na temat programowania i modelowania procesów ekologicznych. Miało to być spotkanie dyskusyjne dla ścisłego grona specjalistów. Ze Stanów brały udział tylko trzy osoby, w tym dwie z zespołu, w którym uczestniczyłem i ja, tj. mój opiekun stażu Lambert oraz doktor Baker z Mississippi State. Otrzymałem zaproszenie do udziału w tym wydarzeniu i chciałem się z nimi zatrzymać na kilka dni w Wageningen, a potem wrócić do Lublina na święta.

Podczas całego pobytu w Clemson uczestniczyłem w licznych seminariach i konferencjach na Wydziale i Uniwersytecie. Jedno z takich seminariów prowadził Hyde Murray, który omawiał zagadnienia rolnicze sprzed sesji z Kongresu Stanów Zjednoczonych w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku.

Wracając do mojego ewentualnego uczestnictwa w seminarium w Holandii, to było ono oczywiście uzależnione od tego, czy otrzymam bilet lotniczy na lot zagraniczny. Polski LOT zatrzymywał się tylko tranzytem w Irlandii, Holandia odpadała. Dowiedziałem się w Orbisie przed wyjazdem do USA, że prawdopodobnie można wykupić bilet za polskie złotówki na Pan Am, miałem więc nadzieję, że uda mi się taki bilet zdobyć.

Wystąpiłem do Ministerstwa Rolnictwa o wykupienie biletu powrotnego na trasę Greenville – Chicago – Nowy Jork – Amsterdam – Warszawa, podkreślając, że zależy od niego mój udział w seminarium w Holandii. Napisałem również do Ministerstwa Rolnictwa z prośbą o pomoc dla mojej żony w załatwieniu paszportowo-wizowych dokumentów, w związku z jej przyjazdem do USA w odwiedziny do Clemson. Oczywiście nic z tego nie wyszło, żona takiej pomocy nie otrzymała. Sprawę zakupu biletu powrotnego dla mnie zupełnie inaczej potraktował Zawadzki, angażując się w nią osobiście. Finał tych starań był taki, że bilet dostałem, ale zbyt późno, przez co nie mogłem uczestniczyć w seminarium w Holandii. Co więcej, niedopilnowanie kupna biletu w odpowiednim czasie spowodowało, iż miałem dużo szczęścia, że w ogóle kupiłem bilet w Nowym Jorku i do Warszawy wróciłem przez Frankfurt. Wcześniej otrzymałem obszerny list instruktarzowy Zawadzkiego, który doskonale obrazuje realia życia w komunizmie. Proste oczywiste sprawy musiały być rozstrzygane na szczeblu ministerialnym:

Drogi Panie Wenku!

dziękuję serdecznie za list z dwunastego sierpnia b. r. Natychmiast zająłem się sprawą przedłużenia Pana pobytu i wyjaśnienia wyjazdu Pana żony. Byłem bowiem przekonany, że sprawa jest ostatecznie załatwiona, gdyż przed wyjazdem na urlop prosiłem Dyrektora o [jej] poparcie i możliwie szybkie załatwienie. Okazało się po kilku telefonach, że sprawa ugrzęzła w Ministerstwie. Okres urlopowy [trwa], prosiłem bardzo o odszukanie pańskiego zaproszenia oraz pisma IMUZ o załatwieniu oficjalnej zgody. Dziś, przed chwilą, dzwoniłem znowu i uzyskałem odpowiedź, że Minister wyraził zgodę na pomoc żonie zgodnie z Pana prośbą. Oficjalne pismo będzie do Pana wysłane. Wyjaśniłem ostatecznie sprawę w Ministerstwie Rolnictwa, że oni nie będą się zajmować formalnościami związanymi z wyjazdem Pani Hani. Ministerstwo Rolnictwa wystawi zaświadczenie, że przebywa Pan na stażu w USA i że ma Pan przedłużony okres pobytu o dwa i pół miesiąca. Zaświadczenia takie dziś wyślę na adres Pani Hani do Lublina i załączę zaproszenie, które Pan przesłał do Ministerstwa Rolnictwa.

W rozmowie z Panią Hanią, przeprowadzonej w dniu dwudziestego siódmego sierpnia, dowiedziałem się, że władze dla wydania paszportu wymagają od żony:

- 1. Zaproszenia wystosowanego przez Pana i potwierdzonego przez Konsulat PRL, [gdym] zaproszenie, które Pan przesłał nie jest potwierdzone.*
- 2. Zaświadczenia z Ministerstwa Rolnictwa, że przebywa Pan w USA w określonym terminie (zaświadczenie, o którym mowa wyżej).*

Pytałem w Ministerstwie Rolnictwa, czy może Pan otrzymać bilet lotniczy na trasie N.Y.–Amsterdam–Warszawa, w związku z zamiarem wzięcia udziału w seminarium w Wageningen. Odpowiedziano mi, że [po pierwsze] musiałby Pan uzyskać zgodę Ministerstwa Rolnictwa na wyjazd do Holandii, uzasadniając mocno powiązaniem go z programem realizowanym w ramach stażu, a po drugie uzyskać zgodę Ministerstwa Rolnictwa na przelot samolotem innej firmy aniżeli LOT (ta sprawa wiąże się z dewizami).

Poinformowano mnie, że realnie biorąc sprawa będzie bardzo trudna do załatwienia. Proszę się dobrze nad tym zastanowić. Nie wiem, jak Pan zamierza pogodzić to ze wspólną podróżą z żoną. Obawiam się, że według dotychczas uzyskanych informacji z różnych źródeł Pani Hania będzie musiała wykupić bilet tylko na LOT.

Jeśli Pan będzie miał realny zamiar wyjazdu do Wageningen, wówczas z przyjemnością napiszę do znajomych o umożliwienie Panu zwiedzenie laboratoriów.

Bardzo się cieszę, że dobrze idzie Panu praca, proszę dbać o zdrowie, u nas praca spokojna, lato wyjątkowo piękne.

Serdecznie Pana pozdrawia moja cała rodzina, dziękujemy za pamięć o nas.

Ściskam Pana i życzę szczęśliwego powrotu.

Lublin 29. 08. 1975

Saturnin Zawadzki

To, co opisałem wyżej, działo się niejako na marginesie mojej pracy, chociaż kosztowało mnie to dużo nerwów, lęku i niepewności, co do przyjazdu żony i powrotu do kraju. Ta sytuacja doskonale ukazuje realia, jakie wówczas panowały w Polsce.

Sprowadzenie żony wiązało się z wieloma formalnościami w kraju i w Stanach, w pierwszej kolejności należało uzyskać zaproszenie dla niej. Kolejne pismo dotyczyło wypełnienia odpowiednich dokumentów na jej wjazd do Stanów. Następnie wszystkie niezbędne dokumenty musiały być potwierdzone przez Ambasadę PRL w Waszyngtonie i wysłane do Polski. Przy tych pismach wysłałem również oddzielny druk pełnomocnictwa dla Banku Polska Kasa Opieki S.A. w Lublinie, z uprzejmą prośbą o potwierdzenie własnoręczności podpisu i przesłanie go również na wskazany adres do Polski, za co po pewnym czasie otrzymałem fakturę za legalizację dokumentu, wystawioną na piętnaście dolarów. Muszę nadmienić, że w tamtym czasie, licząc rynkowy kurs dolara, kwota piętnastu dolarów stanowiła blisko miesięczne uposażenie asystenta na uczelni w Polsce. Władze amerykańskie traktowały swoich zagranicznych gości bardziej ulgowo, nie pobierały podatku od wynagrodzenia ani opłat za potwierdzenie własnoręczności podpisu, zamiast tego pomagały na różne sposoby, również materialnie.

Zaplanowałem, że kiedy moja żona przyjedzie do Clemson wyruszymy na wycieczkę autokarową na Florydę, później na zachodnie wybrzeże Stanów, następnie do Chicago i Nowego Jorku. Tu zamierzałem zabukować żonę do samolotu LOT do Warszawy i samemu czekać na lotnisku na bilet do Amsterdamu. Na razie jednak był wrzesień, byłem bardzo zajęty pisaniem sprawozdania końcowego, przygotowywaniem rysunków, wykresów i ich analizą. Pierwsze zestawienia i porównania danych

modelowych z pomiarowymi okazały się zaskakująco zbliżone. Ten fakt zainteresował również mojego szefa Lamberta, który wcześniej nie zajmował się zbytnio tym, co robię, sam narzucałem sobie zakres i tempo pracy. Najwięcej kłopotów sprawiało mi pisanie tekstu, gdyż mój angielski nie był najlepszy, szczególnie w piśmie, ciągle musiałem sięgać do słownika. Był to najtrudniejszy i najbardziej męczący etap całego stażu, pomijając czas spędzony w szpitalu i późniejszy okres rekonwalescencji. Nie było łatwo, ale wszystko skończyło się w sumie szczęśliwie. Czekala nas jeszcze długa podróż dookoła Ameryki. Niezałatwiona pozostawała jedynie sprawa odszkodowania za wypadek. Dużym wsparciem i pomocą była dla mnie wtedy wspomnianą już wcześniej polska rodzina – Aurelia i Andrzej Sobczykowie. Większość weekendów spędzałem z nimi, a po przyjeździe mojej żony zamieszkaliśmy w ich domu. Udawaliśmy się też wraz z żoną na spotkania towarzyskie na Uniwersytecie, pikniki w plenerze oraz wizyty domowe. Panie zachwycaly się jej urodą, szczególnie naturalną cerą bez makijażu. Otrzymywaliśmy liczne zaproszenia do amerykańskich domów, każdego dnia do innego. Niektóre z tych kontaktów zachowały się do dziś i przejawiają się w wymianie świątecznych życzeń.

Mojej żonie utkwiły w pamięci zwłaszcza dwa takie spotkania, pierwsze to wizyta w posiadłości wiejskiej Lamberta, odległej od Clemson o około pięćdziesiąt kilometrów, a drugie to przyjęcie u mojego lekarza psychiatrii Donalda K. Freemana jr, który mieszkał z żoną Polką i czwórką dzieci w okazałym domu ukrytym głęboko w lesie w Clemson. Od lutego do września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku spotykaliśmy się u niego w gabinecie na długich psychoterapeutycznych rozmowach. W sumie odbyłem około dwudziestu pięciu takich jednogodzinnych sesji, ich efektem był obszerny raport końcowy o stanie mojego zdrowia psychicznego dla Kampanii Ubezpieczeniowej.

Dom Freemana zachwycał architekturą i wielkością, były tam pokoje do zabaw i gier oraz nauki dla dzieci, siłownia w piwnicy, pomieszczenia gospodarcze i biblioteka. Na parterze znajdował się stumetrowy salon z kominkiem i aneksem stołowym oraz kuchnię. Przestrzeń nad salonem była otwarta, sięgająca dwuspadowej połaci dachowej, a na wysokości piętra znajdowała się antresola ze ścianami zabudowanymi regałami, były tam też wnęki na książki, bibeloty, rzeźby i inne dzieła sztuki. Dom, z jego położeniem na skarpie, wystrojem i wielkością oraz starymi drzewami wokół, stwarzał niezwykle widok. Przyjęcie u Freemana, w porównaniu do innych, okazało się jednak dość skromne, pani domu była niezbyt rozmowna, sądzę, że wstydzila się swego pochodzenia, twierdząc, że nie rozumie polskiego.

Mój czas w Clemson zbliżał się ku końcowi, a kwestia odszkodowania przedłużała się, co było dla mnie dodatkowym i dotkliwym obciążeniem. Koszty pobytu w szpitalu i opieki lekarskiej pokryto z ubezpieczenia sponsora stażu Gibbla, tu jednakże chodziło o odszkodowanie Kampanii Ubezpieczeniowej, od sprawcy wypadku Paula Newtona za przeżyte cierpienia, utratę na dłuższy czas możliwości kształcenia się oraz za nadwyżenie zdrowia. Sprawa pozostawała nierozwiązana niemal do końca mojego pobytu.

Już w grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku otrzymałem od przedstawiciela Newtona Donalda Wayne Moora propozycję spotkania, celem omówienia spraw dotyczących wypadku. W spotkaniu tym uczestniczył także mój opiekun naukowy Lambert, który po krótkiej rozmowie zaproponował mi wynajęcie prawnika, aby ten reprezentował mnie w tych trudnych i zawiłych prawnie negocjacjach. Oczywiście, przyjąłem tę sugestię.

W korespondencji z Giblem pisałem, iż moja żona wkrótce przyjedzie z Polski i planujemy wspólną podróż po Stanach, w czym przeszkadza nam firma ubezpieczycielka, która nie chce wypłacić mojego odszkodowania nim opuścę Clemson. Przed wyjazdem z Clemson w podróż po Stanach wysłałem mu ostatni list, w którym informowałem go o tym, iż ukończyłem mój raport i nie mogąc dłużej zwlekać wyjeżdżam wraz z żoną.

Jeszcze przed wyruszeniem otrzymałem od Giblea kolejny list, zawierający zaproszenie do odwiedzenia go wraz z żoną w biurze w Elgin i wyrazy nadziei na zakończenie mojej sprawy jeszcze przed powrotem do Polski.

Kolejny list w sprawie mojego odszkodowania Gible wysłał do Lamberta i mojego prawnika G. W. Thomssona, kopia trafiła do moich rąk na spotkaniu z Giblem w Elgin w drodze powrotnej do kraju. Gible wyrażał w nim wyraźną troskę o moje zdrowie i przedłużający się spór z ubezpieczycielem. List ten może świadczyć o dużej życzliwości, wrażliwości i empatii tych ludzi, o ich bezinteresownej pomocy dla znajdujących się w potrzebie. Od samego początku pobytu podobał mi się stosunek Amerykan do innych, są oni życzliwi, sympatyczni i bezpośredni w kontaktach z innymi, dzięki czemu nie czułem się tam obcym. Wykazują przy tym wiele inicjatywy, przedsiębiorczości i umiejętności organizacyjnych oraz dużo swobody bycia w miejscach publicznych. Przykładowo, do czytelni i bibliotek studenci przychodzili z dziećmi, siedzieli lub nawet leżeli na dywanach rozłożonych na podłogach, odpoczywając w ten sposób, gdyż spędzali tam dużo czasu. Krócej przebywali zaś w salach wykładowych. Uczestniczyłem w wykładach, na których w pomieszczeniach nie było zbyt wielu słuchaczy.

Mało pisałem o tamtejszym kampusie, to małe miasteczko akademickie z dużą przestrzenią leśną, z budynkami dydaktycznymi i administracyjnym oraz kilkoma domami studenckimi. Miało dość dużą bibliotekę, ze sporymi czytelniami z wygodnymi krzesłami, fotelami, a nawet kozetkami, choć studenci – jak już wspominałem – czuli się swobodniej, odpoczywając na podłodze, a na zewnątrz – na trawniku. Nie widziałem tu żadnej służby porządkowej ani policjantów. Do tego należy dodać obiekty sportowe, stadion akademicki, hale z basenami i sprzętem do różnego rodzaju ćwiczeń. W wyznaczonych miejscach znajdowały się darmowe parkingi, a na obrzeżach kampusu stał duży samoobsługowy magazyn spożywczy (to właśnie w nim robiłem zakupy), z rozległym parkingiem, gdyż każdy miał tu samochód, tylko ja chodziłem pieszo. Wtedy kupno auta nie stanowiło tam problemu, już za sto dolarów można było zdobyć grata nadającego się do jazdy. Należało mieć jedynie prawo jazdy, które było również dowodem osobistym.

Z zazdrością patrzyłem na okazałą samoobsługową stołówkę, oferującą duży wybór dań na zasadzie szwedzkiego stołu, chodziłem tam na wspaniałe lody, lepsze nawet od rosyjskich. Całodzienne wyżywienie wynosiło tu około pięciu dolarów, dużo żywności się przy tym marnowało, podobnie zresztą jak dziś. Ja stołowałem się na kwaterze, przygotowując sobie posiłki sam, co kosztowało mnie znacznie taniej. Większość weekendów spędzałem u Sobczyków, korzystając z ich gościny na miejscu w Clemson lub na wyjeździe do ich domku letniego poza miastem. Odbywaliśmy też dłuższe wycieczki, zwiedzając ciekawe okolice i ich dawne siedziby, gdyż często się przeprowadzali.

Uczelnią zarządzał prezydent – odpowiednik naszego rektora. Administracja była tam skromna, ale sprawna. Dziekan Wydziału miał do pomocy dwie panie: sekretarkę do prowadzenia dziekanatu i księgową. Nie było tam za to prodziekanów, kierowników katedr i ich sekretarek, byli szefowie zespołów badawczych, które zmieniały się w zależności od potrzeb i możliwości finansowych.

Studia tam trwają cztery lata i są płatne, istnieją jednak liczne możliwości uzyskania różnych form wsparcia i stypendiów. Wielu studentów podejmuje pracę w okresie wakacji, ferii i wolnych dni, np. koszą trawniki, sprzątają mieszkania, ja zresztą też w Polsce w czasie studiów pracowałem w spółdzielni Bonus.

Jest tu kilka małych kościołów różnych wyznań, brak jednak było świątyni katolickiej, dlatego zapraszano mnie do uczestnictwa w spotkaniach modlitewnych innych religii. Brałem udział w tzw. szkółkach niedzielnych, podczas których czytano fragment Pisma Świętego, a następnie interpretowano jego znaczenie. Był to rodzaj zebrań dyskusyjnych, wymiany poglądów, własnych doświadczeń i myśli oraz indywidualnego rozumienia Słowa Bożego. Były śpiewy, a na zewnątrz małej świątyni czekał skromny poczęstunek i rozmowy towarzyskie, na końcu pastor z żoną i dziećmi żegnał zaś każdego z osobna.

Te niedzielne zgromadzenia prowadził Charlie D. Fiskeaux wraz z żoną Patti, mieli dwoje małych dzieci i byli głęboko wierzący. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Do dnia dzisiejszego wysyłamy sobie życzenia świąteczne i kontaktujemy na Facebooku, wymieniając się zdjęciami dzieci i wnuków oraz wrażeniami z pobytu na wakacjach.

Czas w Clemson zbliżał się ku końcowi, była połowa listopada, jednak pogoda na południu przypominała nasze lato. Przykro było się żegnać, ale czas naglił, przed nami była miesięczna wyczerpująca podróż autobusem dookoła Stanów.

Podróż dookoła USA

Mieliśmy możliwość zobaczenia południowo-wschodniej części amerykańskich stanów. Wyjechaliśmy z Greenville w Południowej Karolinie, jadąc przez Columbię, do Charleston, położonym nad wybrzeżem Atlantyku. Na tym etapie podróży naszym punktem docelowym było miasteczko Key West, leżące na najbardziej południowej wysypce klucza Florydy, rozciągniętego między Atlantykiem a Zatoką

Meksykańską. Trasa wiodła wzdłuż wschodniego wybrzeża Florydy, poczynając od Charleston przez Jacksonville, Cape Canaveral i Palm Beach. Dalszy etap to pobyt w Miami, a stąd wypadły do Miami Beach oraz dalej na półwysep Florydy – trasa obok południowo-wschodniego terenu Parku Narodowego Everglades i do końcowego celu, jakim było Key West.

W Charleston zatrzymaliśmy się u Gareta, syna Państwa Sobczyków z Clemson, mieszkał tam z przyjaciółką z Holandii, poznaną w Polsce. Miasto zostało założone w tysiąc sześćset siedemdziesiątym roku, a nazwę nadano mu na cześć Karola II Sturta. Garek był naszym przewodnikiem po okolicy, oprowadzał nas po licznych parkach i secesyjnych budowlach. Ciekawym doświadczeniem był całodzienny pobyt na jachcie kolegi Gareta, który mieszkał na nim ze swoją dziewczyną.

W Miami zatrzymaliśmy się na parafii u polskiego księdza, zwiedzaliśmy tam miasto i jego okolice, a także ogród botaniczny z tropikalną roślinnością. Stąd robiliśmy wypadły do Key West i do Miami Beach – miasta emerytów, plaże były tam wydłudnione, ale za to hotele pełne gości. Przez wiele kilometrów od Miami Beach do Palm Beach wybrzeże usiane było hotelami i ładnymi domami ze szkła, ukrytymi w tropikalnej zieleni.

Po kilku dniach ruszyliśmy dalej w długą podróż wzdłuż wybrzeża Florydy nad Zatokę Meksykańską przez południowe stany: Georgię, Alabamę, Missisipi, Luizjanę, rozległy Teksas aż do Kalifornii na zachodnim wybrzeżu Ameryki. Południe to prawdziwa Ameryka, skrajne bogactwo występuje tam obok skrajnego ubóstwa. Podziwiałem rozległe przestrzenie, tereny pustynne, mokradła i pola naftowe oraz duże parki narodowe położone na południu Teksasu i Luizjany, a także w Utah i Kalifornii, w kierunku której podążaliśmy.

Była to dość męcząca podróż, przejazd przez niektóre stany trwał ponad dobę bez dłuższych postojów. W praktyce oznaczało to, że co trzecią lub czwartą noc spędzaliśmy w autobusie. Czas nas naglił, z zachodniego wybrzeża na wschodnie – do Nowego Jorku droga była daleka.

W Phoenix zatrzymaliśmy się w małym pensjonacie z meksykańską obsługą. Było to miasto z dużą ilością palm i sporym obszarem miejskim. Był koniec listopada, a tam panowała letnia pogoda i klimat oraz nastrój meksykański. Nieopodal znajdował się Wielki Kanion, który wywarł na nas ogromne wrażenie, ma on swój niepowtarzalny urok na skalę światową.

Stan Arizona pod względem powierzchni jest zbliżony do obszaru Polski, na niektórych odcinkach droga biegnie tam przez kompletne pustkowia. Arizona jest niezwykle atrakcyjna turystycznie, oprócz Wielkiego Kanionu znajduje się tam Park Narodowy Skamieniałego Lasu oraz Pustynia Pstra. Stan ten charakteryzuje się malowniczymi krajobrazami gór stołowych z czerwonego piaskowca. Na jego terenie położone są liczne rezerwaty Indian, których plemiona zamieszkują to miejsce od tysięcy lat. W odległości stu kilometrów na północ, w Nevadzie, leży królestwo hazardu i wszelkich rozrywek – Las Vegas.

Piękna Kalifornia przywitała nas słońcem, licznymi odcieniami tropikalnej zieleni i pracującymi deszczownikami, oczekiwała tam na nas pogoda letnia. Granicę ze stanem Kalifornia przekraczaliśmy na szerokiej na kilkadziesiąt metrów rzece Kolorado, która płynie na południe, by ujść do Zatoki Kalifornijskiej już na terenie Meksyku. Kolejnym przystankiem na trasie naszego przejazdu było Los Angeles.

Wjeżdżając do Kalifornii znaleźliśmy się na pustyni o rzeźbie przeważnie pagórkowej i o pokrywie roślinnej złożonej z nielicznych krzewów. Przed San Bernardino krajobraz zaczął się zmieniać, przybierając odcienie zieleni, a gdy dotarliśmy do Los Angeles mogliśmy już podziwiać soczystą zieleń i lazur Oceanu Spokojnego.

Los Angeles jest jednym z największych miast świata i drugim największym po Nowym Jorku w USA. Zostało założone w tysiąc siedemset osiemdziesiątym pierwszym roku przez Hiszpanów, jego rozwój był wyjątkowo dynamiczny, tak jak zresztą całej Kalifornii. W tysiąc dziewięćset trzydziestym roku powstał tu ogromny przemysł filmowy w Hollywood. Los Angeles jest też potężnym ośrodkiem przemysłu lotniczego, elektrotechnicznego, elektronicznego, chemicznego, ważnym międzynarodowym portem lotniczym oraz handlowym portem morskim na zachodnim wybrzeżu Stanów. Miasto ciągnie się dziesiątkami kilometrów, jest w dużej części malowniczo położone na licznych wzgórzach, zajmuje powierzchnie ponad siedmiu tysięcy kilometrów kwadratowych. Ma gęstą sieć autostrad, co ogromnie ułatwia poruszanie się. Na co dzień nie sposób tu żyć bez własnego samochodu, ruch samochodowy jest ogromny, przejazdy do pracy zajmują dużo czasu mimo wielopasmowych autostrad.

Po dwóch dniach pobytu, udaliśmy się w całodniową podróż z Los Angeles do San Francisco. Spędziliśmy około dziesięciu godzin w autobusie, podziwiając gęsto zaludnione wybrzeże i widoki na Ocean Spokojny. Dodatkową atrakcją były krajobrazy Gór Nadbrzeżnych od strony oceanu oraz rozległa Kotlina Kalifornijska z Górami Sierra Nevada po drugiej stronie. Nocleg polecono nam w małym hoteliku nad brzegiem Zatoki San Francisco, dostaliśmy tam wygodne, czyste i niezbyt drogie pokoje.

San Francisco, położone na półwyspie między Oceanem Spokojnym a zatoką o tej samej nazwie co miasto, powstało z osady, założonej w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym roku przez hiszpańskich franciszkanów, później należało zaś do Meksyku. Liczna imigracja z Chin i Japonii przyczyniła się w znacznym stopniu do wzrostu liczby ludności, byłem zaskoczony liczbą Chińczyków na ulicach, w sklepach i restauracjach. Miasto jest wielkim punktem przemysłowym oraz jednym z głównych portów handlowych. Stanowi wiodący ośrodek naukowo-kulturalny z Uniwersytetem Kalifornijskim i Uniwersytetem Stanforda oraz innymi szkołami wyższymi.

San Francisco jest malowniczo rozłożone na wzgórzach w obszarze falistym i zalicza się do najładniejszych w USA. Szczególnego uroku dodają mu urzeźbione wybrzeża i zatoczki pełne jachtów i przystani. Najpiękniejszy jest jednak wiszący most o długości blisko trzech kilometrów, zwany Złote Wrota – Golden Gate, rozciągający się nad cieśniną o tej samej nazwie. Zbudowano go w tysiąc dziewięćset trzydziestym

síódmym roku według projektu Rudolfa Modrzejewskiego – syna naszej rodaczki Heleny Modrzejewskiej.

Nie sposób było nawet pobieżnie zwiedzić całe miasto, centrum było nowe, zwarte, pełne domów handlowych i wieżowców, podobnie jak w innych dużych metropoliach. Dużo tam było małych i większych skwerów, zieleni, kwiatów. W parku Golden Gate widzieliśmy okazałe drzewa – palmy, sosny i sekwoje. Na jego terenie znajduje się muzeum Kalifornijskiej Akademii Nauk, ze wspaniałymi zbiorami głównie z zakresu nauk przyrodniczych: geologii, flory i fauny i życia różnych plemion. Osobliwy obraz przedstawiało nabrzeże rybackie, z całym bogactwem gatunków ryb i innych rzadkich owoców morza.

Po trzech dniach pobytu z zalem opuszczaliśmy piękne San Francisco, było tu ciepło jak na tę porę roku, świeciło słońce, temperatura wynosiła dwadzieścia stopni Celsjusza. Dalsza droga wiodła przez masyw Sierra Nevada do Reno już w Nevadzie. Jest to stan o dużych kontrastach – suchy, rzadko zaludniony, a mimo to jeden z najbogatszych w USA. Powierzchnią dorównuje obszarowi Polski, ale liczba jego mieszkańców przekracza zaledwie milion. Ludność skupiona jest głównie w Las Vegas i w Reno.

Kolejnym przystankiem na naszej trasie było miasto Salt Lake City nad Wielkim Jeziorem Słonym w stanie Utah. Po dwudziestu czterech godzinach podróży zastała nas tam zima, śnieg i temperatura poniżej zera. Taki skok temperatury zniechęcił nas do pozostania w tym miejscu na dłużej i zwiedzania okolicy. Pobyt w mieście ograniczyliśmy do kilku godzin, które wystarczyły nam na poznanie jego centrum i kilku domów handlowych, zjedzenie ciepłego posiłku i oczekiwanie na kolejne połączenie autobusowe do Chicago w Illinois.

Wieczorem wyjechaliśmy z Salt Lake City do Chicago, drogą prowadzącą przez środkowe stany: Kolorado, Nebraskę, Iowa i Illinois. Podróż przebiegała bez dłuższych przerw, gdyż mieliśmy do pokonania kilka tysięcy kilometrów w zimowych warunkach drogowych i atmosferycznych. Przypomniałem sobie podobnie męczącą podróż pociągiem sprzed dziesięciu laty, gdy jeszcze jako student jechałem ze Splitu, w dawnej Jugosławii, przez Belgrad, Sofię, Budapeszt do Warszawy, noc była przeznaczona na podróż, a w czasie dnia odbywało się zwiedzanie miasta.

Teraz było podobnie, noce spędzaliśmy w autokarze, a w dzień podziwialiśmy przez okno krajobrazy środkowych stanów Ameryki. Stan Iowa ze stolicą Des Moines oglądaliśmy właśnie przez szybę, jego duży obszar zajmują uprawy, głównie kukurydzy, soi i lucerny. Nad ranem dotarliśmy do odległego o ponad pięćset kilometrów Chicago, gdzie zaopiekował się nami Tadek Baran, cioteczny brat mojej żony.

Zatrzymaliśmy się podobnie jak poprzednio u wujka żony Augusta Olszowego, który mieszkał w domku na przedmieściach miasta z żoną pochodzenia arabskiego. Znaleźliśmy się w komfortowej sytuacji, gdyż mieszkanie i przewodnika po mieście mieliśmy za darmo, w dodatku mieliśmy sporo czasu na odpoczynek przed kolejną podróżą autokarem z Chicago do Nowego Jorku.

Opiekujący się nami Tadek był świetnym kierowcą, poznaliśmy się wcześniej w Borowie, jego żona Barbara była moją koleżanką z liceum w Zaklikowie. Spotkaliśmy się po latach, wspominaliśmy czasy liceum i kolegów z Zaklikowa i okolicznych wsi.

Tadek zawiózł nas do Gibbla w Elgin, abym mógł podziękować mu za troskliwą opiekę i pomoc podczas całego pobytu w Clemson. Musiałem ponadto rozliczyć się z zaległych rachunków za leczenie i omówić sprawy przedłużającego się odszkodowania, które ciągnęły się jeszcze miesiące po moim powrocie do kraju.

Chicago stanowi centrum amerykańskiej polonii, mieszka tam podobno około półtora miliona Polaków, a według innych szacunków około siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy. Miasto to wielki ośrodek przemysłu, hutnictwa, handlu i komunikacji, a także kultury i nauki, znajdują się w nim liczne wyższe uczelnie i instytuty badawcze. Chicago, wraz z zespołem przyległych miast, tworzy wielką aglomerację, zamieszkaną przez ponad osiem milionów ludzi. Miasto jest ogromne, w jego centrum stoją bardzo wysokie budynki, z jednego z najwyższych wieżowców obejrzelśmy całą panoramę. Niektóre dzielnice, zwłaszcza południowe, zamieszkane są głównie przez czarnoskórych, są to przeważnie dzielnice slumsów.

Był początek grudnia, przed nami znajdował się ostatni etap podróży autobusem do Nowego Jorku, na czternastego grudnia miałem planowany stamtąd lot do Amsterdamu, a wcześniej musiałem odprawić żonę na lot do Warszawy. Była pora zimowa, autostrady były śliskie, a do pokonania mieliśmy stany Indianę, Ohio, Pensylwanię, aby wreszcie dotrzeć do Nowego Jorku, miejsca, od którego rozpoczęła się ta podróż.

Człowiek może się tam czuć absolutnie zagubiony wśród natłoku ludzi i powodzi pojazdów, a także przytłoczony drapaczami chmur. Poza tym Nowy Jork powitał nas stosami śmieci na ulicach, gdyż strajkowały służby porządkowe miasta. Tygodniowy pobyt tam wykorzystaliśmy na poznanie, a raczej na obejrzenie miasta, głównie jego centrum tj. Manhattanu. Tam mieszkał nasz znajomy, brat Aureli Sobczyk, u którego zamieszkaliśmy na czas naszej wizyty, w mniej niż skromnym lokum, śpiąc na materacach. Był on częściowo naszym przewodnikiem, wędrowaliśmy pieszo ulicami Manhattanu, zwiedzając przy okazji galerie i muzea. Naszemu przewodnikowi zdarzało się w czasie oprowadzania nas nieraz nagle usiąść i odprawić medytacje. Miał problemy mentalne, zażywał marihuanę i wokół niego unosiły się opary pałeczek wonnych, z których kopce popiołu zalegały w pokoju, gdzie mieszkał. Byliśmy przerażeni widokiem, jaki zastaliśmy w jego lokum i bałaganem, jaki tam panował. Żona dała się mu namówić na jednorazowe zażycie narkotyku, ja się na to nie odważyłem, nigdy w życiu nie próbowałem palić trawki.

Nowy Jork jest jedyny w swoim rodzaju i nieporównywalny z innymi miastami, niektórym może się podobać, ale dla mnie życie tam byłoby zesłaniem. Miasto zostało założone na wyspie Manhattan w tysiąc sześćset dwudziestym czwartym roku przez Holendrów jako ich kolonia, nazwana przez nich Nowym Amsterdamem. Wyspę tę otacza od zachodu rzeka Hudson, a od wschodu rzeki East i Harlem. Po zaję-

ciu jej przez Anglików zmieniono jej nazwę na Nowy Jork. W latach od tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego do tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego miasto było stolicą nowoutworzonego państwa – USA. Nowy Jork rozrastał się dynamicznie, głównie na trzech wyspach: Manhattanie, Long Island i Staten Island. Obecnie w jego skład wchodzi pięć potężnych dzielnic: Manhattan, Bronx, Queens, Brooklyn i Richmond. Liczba ludności przekracza tam osiemnaście milionów – to największe miasto USA, uważane za najbardziej kosmopolityczne na świecie.

Jego dzielnice są poza centrum, mają zabudowę w większości niską. Przez miasto przebiega wiele autostrad, a pod nim rozciąga się gęsta sieć linii metra. Miasto ma trzy lotniska, najbardziej znane są międzynarodowe J.F.K. Kennedy'ego i La Guardia. Dopiero z samolotu widać jego ogrom tego pierwszego, doświadczyłem tego uczucia, oczekując w powietrzu przez kilka godzin na lądowanie przy wlocie do USA, we wrześniu tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

Ogólne wrażenia z mojego pobytu w Stanach mógłbym podsumować jako pozytywne. Kraj jest piękny, wielki i egzotycznie bogaty, wart obejrzenia i poznania, ale mieszkanie tam, zwłaszcza w dużych miastach, nie było dla mnie. Podobał mi się stosunek Amerykanów do innych, szczególnie ludzie na prowincji są bezpośredni, życzliwi i sympatyczni w kontaktach, ale jednocześnie każdy żyje w swoim świecie.

Amerykanie wykazują dużo inicjatywy, przedsiębiorczości i umiejętności organizacyjnych. Najlepiej świadczy o tym stworzenie w ciągu zaledwie stu lat tak potężnego państwa. Nie do końca odpowiada mi za to panujący tam kult pieniądza. Oczywiście bez niego nie da się tam żyć, zwłaszcza na odpowiednim poziomie, ale nie powinien być on naczelną wartością. Zarazili się tym również niektórzy nasi rodacy, którzy osiedli tam na stałe, żyją izolując się od siebie i innych społeczności, zazdroszcząc im dobrobytu.

Stany Zjednoczone stały się w dwudziestym wieku światową potęgą, dysponują dużym potencjałem gospodarczym, mają wielkie sukcesy w dziedzinie techniki i nauki, a standardy życia Amerykanów należą do najwyższych na świecie. Jednocześnie są w tym społeczeństwie wielkie dysproporcje, obok bogactwa występuje skrajne ubóstwo. Mimo zniesienia w całym kraju segregacji, nadal istnieją konflikty na tle rasowym. Ludzie bezrobotni, poszkodowani w różnych wypadkach, chorzy, korzystają z opieki społecznej. Opieka medyczna dla wszystkich jest odpłatna, co odczułem wyraźnie na własnym przykładzie.

W USA rozbudowano sieć szkolnictwa wyższego i placówek badawczych, dawno rozumiano tu, jakie korzyści przynosi nauka. Dzięki odpowiedniej polityce kadrowej (obsadzaniu stanowisk drogą konkursów) oraz finansowej, zapewniono zatrudnienie najzdolniejszych ludzi świata. Rozumiano, że wykształcenie kadr wymaga czasu, wysiłku własnego i dużych nakładów. Jeśli nasze władze nie będą o tym pamiętać, będziemy tracić najwartościowszych ludzi, tak było dawniej, a i dziś jest podobnie, widoczne jest to chociażby w służbie zdrowia i braku lekarzy w Polsce.

Była to długa i bogata w wydarzenia wyprawa, pełna nowych wrażeń, doświadczeń życiowych, cierpienia, radości, niepokoju, oczekiwania i nadziei na spełnienie mojego własnego amerykańskiego snu. Mój pobyt tam oceniam jako bardzo owocny i korzystny dla mnie pod każdym względem, tak poznawczym, naukowym, emocjonalnym, turystycznym, jak również materialnym. Trudno by oczekiwać czegoś więcej po tak krótkim i urozmaiconym w przeżycia wojażu. Praca, którą tam wykonałem we względnie niewielkim okresie, okazała się być pierwszą tego typu w Polsce i stała się potem tematem mojej rozprawy habilitacyjnej.

Powrót do Polski – kontynuacja pracy w IMUZ

Wraciałem do kraju z poczuciem dobrze wykorzystanego w Stanach czasu, dwustu stronnicowym raportem z pobytu, przekazanym do druku, a także ze wspaniałymi wspomnieniami z wycieczek. Siedząc na walizkach czekałem na lotnisku w Nowym Jorku na wolne miejsce w samolocie do Europy. W ostatniej chwili takie miejsce się znalazło i po dziesięciu godzinach lotu przez Atlantyk wróciłem do Warszawy.

Do Lublina przyjechałem zmęczony, ale zdrowy i szczęśliwy. Był to okres przedświąteczny, żona już od kilku dni była w domu. Dużym zaskoczeniem było dla mnie powitanie z rodziną, gdyż mój syn Mariusz zapytał mnie o to, kim jestem. Wyjeżdżałem do Stanów, kiedy miał trzy lata, a teraz miał już cztery i pół roku. Moja nieobecność musiała się odbić na jego psychice. Taka była cena wyjazdów na dłużej do krajów zachodnich: życie w odosobnieniu i w izolacji, z dala od rodziny.

Był koniec tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku, zbliżały się święta, po miesięcznym urlopie wróciłem do pracy w IMUZ, gdzie czekało na mnie wiele obowiązków statutowych w oddziale, sprawozdania i raporty z pobytu na stażu, kontynuacja prac rozpoczętych wcześniej w zakresie drenowań oraz badań lizymetrycznych, spotkania i wyjazdy służbowe w delegacje i w teren na obiekty badawcze. Poza pracą zawodową, wykańczałem i urządzałem dodatkowo dom. Możliwości nabycia towarów na rynku nie uległy zmianie, brakowało materiałów budowlanych, które można było kupić za złotówki, ale były one dostępne za dewizy. Niespodziewanie znalazłem się w grupie ludzi uprzywilejowanych. Po wielu latach oczekiwań, otrzymałem przydział na mieszkanie spółdzielcze, w stanie surowym, które należało wykończyć i umeblować, zanim można było w nim zamieszkać wraz z rodziną. Teraz każdy zarobiony grosz okazał się bardzo potrzebny, tym bardziej, że trwały prace wykończeniowe wymarzonego domu.

Sprawozdanie z przebiegu stażu naukowego obejmowało szczegółowy opis zakładu, celu i zakresu prowadzonych tam badań, zarówno teoretycznych, jak i doświadczalnych. Kilkustronicowe opracowanie zamknąłem siedmioma wnioskami końcowymi, w których podkreślałem, że podczas całego mojego pobytu spotkałem się z bardzo przychylnym stosunkiem władz Wydziału, jak również większości pracowników. Szczególne słowa wdzięczności należały się Lambertowi za jego troskę i opie-

kę naukową, zaś kierownictwu Wydziału za wsparcie finansowe przeprowadzonych badań oraz ich późniejsze opublikowanie w zeszytach naukowych Uniwersytetu jako raportu kończącego staż. Czułem się w miłym obowiązku uprzejmie podziękować na końcu sprawozdania także Zawadzkiemu i dyrekcji IMUZ za udostępnienie danych badawczych, Pieniżkowi za umożliwienie mi uczestnictwa w tej wymianie oraz głównemu sponsorowi Brethren Service Exchange Program, reprezentowanemu przez Lamara Gibbla, za jego troskliwą opiekę podczas mojego nieoczekiwanego wypadku w czasie stażu w Stanach.

Istotna po powrocie była również kontynuacja tematów rozpoczętych przed wyjazdem, o których wspominałem już wcześniej, a więc drenowanie i prowadzenie badań lizymetrycznych w Sosnowicy. W przypadku próbnych drenowań doczekałem się – jak się później okazało – zaskakująco rewelacyjnych wyników, natomiast pomiary lizymetryczne miały mi posłużyć do pełnej weryfikacji modelu GRAGRO, opracowanego podczas pobytu w Stanach. Przygotowując sprawozdanie z pobytu w Stanach otrzymałem przesyłkę, zawierającą sto egzemplarzy mojego raportu ze stażu. Książka, później nazywana czerwoną, ze względu na kolor okładki, stała się wydarzeniem w środowisku, wysłałem ją do różnych osób i instytucji w kraju, a także znajomym za granicą.

Odzew był szeroki, inżynier Bortkiewicz z Centralnego Biura Wodnych Melioracji (CBWM) w Warszawie informował mnie, że koledzy z SGGW przekazują sobie moją czerwoną książkę na korytarzu z ręki do ręki. Napływały też listy z gratulacjami, m.in. od Piotra Kowalika, znanej postaci w świecie nauki w zakresie modelowania matematycznego, a także od panów R.A. Feddes i P.E. Rijtema z Holandii. Byli to bliscy znajomi mojego opiekuna ze Stanów Lamberta, który kiedyś przebywał u jednego z nich na stażu naukowym, podobnym do mojego. Mieliśmy się spotkać w tym gronie na grudniowym seminarium w Waganingen, o którym pisałem wcześniej, ale z powodów ode mnie niezależnych nie mogłem w nim uczestniczyć, czego do dziś bardzo żałuję, gdyż była to okazja do bliższego poznania się.

Publikacja ta sprawiła, że nieoczekiwanie znalazłem się w gronie specjalistów, zajmujących się numerycznym opisem złożonych procesów obiegu wody w systemie gleba-roślina-atmosfera. Otworzyły się dla mnie drzwi do współpracy międzynarodowej, rok później zostałem zaproszony na seminarium w Oxfordzie, gdzie ponownie spotkałem Lamberta.

Zawadzki, po przeczytaniu listu gratulacyjnego od Kowalika, stwierdził, iż można wskazać go jako recenzenta mojej przyszłej pracy habilitacyjnej. Sądziłem, że sprawy otwarcia przewodu habilitacyjnego potoczą się szybko, dlatego, nie odkładając sprawy, zabrałem się do pisania, a raczej tłumaczenia pracy habilitacyjnej, wykorzystując uwagi Kowalika, a także uzupełniając ją dodatkowymi obliczeniami ZETO w Lublinie, literaturą oraz brakującymi danymi empirycznymi ze stacji lizymetrycznej w Sosnowicy. Pisanie habilitacji trwało około roku i na początku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku wstępną wersję miałem już przygotowaną do druku, taki był wymóg otwarcia przewodu. Okazało się jednak, że na jego otwarcie musiałem czekać jeszcze długo.

Oprócz pracy naukowej miałem też inne zainteresowania. Aby nie tracić czasu, dla urozmaicenia i relaksu, doskonaliłem swoje umiejętności artystyczne w zakresie malarstwa i rzeźby oraz kontynuowałem budowę domu. Moją dewizą życiową jest zasada, że odpoczynek polega na zmianie rodzaju pracy, pod warunkiem, iż to, co robimy, daje nam satysfakcję, realizację określonych celów oraz wymierne korzyści.

Pisałem wcześniej, że trudno było funkcjonować w poprzednim systemie bez znajomości i tzw. układów, po moim powrocie ze Stanów niewiele się zmieniło. Towarzystwo, z którym się zaprzyjaźniłem, to m.in. Zbyszek Lewacki, kolega jeszcze ze studiów w Warszawie, poznałem też jego siostrę Krystynę, nauczycielkę języka polskiego i rysunku, amatorsko zajmującą się malarstwem. Kazia Drzewieckiego poznałem na wystawie jego obrazów, gdyż on również malował amatorsko. Mam kilka jego płócien, to właśnie on stał się moją inspiracją do sprawdzenia umiejętności artystycznych w wolnym czasie i tak też zaczęła się moja przygoda z malarstwem. Jej początki to kopiowanie portretów znanych malarzy ze średniowiecza, pejzaży, architektury, a koniec to malarstwo współczesne.

Życie nauczyło mnie, aby niczego nie oczekiwać i spodziewać się wszystkiego, ale jednocześnie nie rezygnować z marzeń. Jeśli masz wizję, wyobraźnię i nadzieję, to jesteś w stanie dokonać wiele. Moje pierwsze marzenia się spełniły, były to studia i własny dom, kolejnym celem była profesura. Realizacja wytyczonych planów wymagała czasu, dyscypliny, odwagi, umiejętności słuchania, pracowitości, organizacji i wytrwałości w działaniu oraz bycia wiernym zasadom nabytym w dzieciństwie.

Skromność, pracowitość, dyscyplina i cierpliwość to cechy, w które szczególnie musiałem się uzbroić w kolejnych latach. Podczas gdy w Stanach po doktoracie zostaje się profesorem bez zbędnych procedur, to u nas niezbędne są publikacje, recenzje, opinie i wiele głosowań na posiedzeniach rad naukowych instytutu oraz ich akceptacje na kolejnych szczeblach administracji państwowej, z prezydentem włącznie. Procedura ta w naszych polskich warunkach trwa średnio około dwudziestu lat, tyle tracimy czasu na niepotrzebny ceremonial. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku obroniłem doktorat, a w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku otrzymałem nominację na profesora z rąk prezydenta Lecha Wałęsy. Dla porównania: mój opiekun naukowy w Clemson Jerry Lambert, dwa lata starszy ode mnie, został profesorem już trzy lata po doktoracie.

Przygotowanie pracy habilitacyjnej, prace statutowe, publikacje, wyjazdy zagraniczne

Nie odkładając sprawy w czasie, zaraz po powrocie do Polski zabrałem się do pisanja rozprawy habilitacyjnej, w międzyczasie uzupełniłem obliczenia numeryczne, wykorzystując wtedy jedyny komputer Odra w lubelskim Zakładzie Elektronicznej Techniki Obliczeniowej. Wzbogaciłem również tekst pracy o nowe dane pomiarowe, weryfikację empiryczną modelu GRAGRO, nowe pozycje literatury oraz uwagi Kowalika dotyczące merytorycznych treści podstawowych. Sądzę, że to właśnie uznanie

ze strony Kowalika sprawiło, że w ciągu roku miałem pracę przygotowaną do druku, pozostało więc czekać cierpliwie na kolejny sygnał.

Miałem jeszcze wiele planów czekających na realizację, często odwiedzałem matkę na wsi, zwłaszcza w czasie wakacji, zakładaliśmy, że po przeprowadzeniu się do własnego domu, matka zamieszka z nami. Życie ciągle nas jednak zaskakuje i niweczy nasze projekty – w lutym tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, nagle w wieku sześćdziesięciu jeden lat matka umarła, zostałem sam, potrójnie osierocony. Śmierć bliskich to bolesny czas, ojca nie pamiętam, ale z matką i siostrą łączyła mnie szczególna więź. Matka wiele wycierpiała w okresie okupacji: głód, strach, walkę o przeżycie, nadludzki wysiłek fizyczny i psychiczny. Przetrwiała też okres odbudowy powojennej i czasy komunizmu, również będące koszmarem. Kiedy po latach mozolnej pracy fizycznej i wychowawczej, cierpień po stracie córki i oczekiwań na spokojny odpoczynek na emeryturze, pojawiła się dla niej perspektywa lepszego życia, z udziałem kolejnych pokoleń, musiała odejść.

Nadal ciągnęła się sprawa odszkodowania po wypadku w USA, co dodatkowo obciążało mnie psychicznie, wciąż byłem w kontakcie z adwokatem i Jerryem Lambertem z Clemson, którzy informowali mnie na bieżąco o przebiegu postępowania. Podtrzymywałem kontakt również z kierownictwem Wydziału na Uniwersytecie w Clemson, deklarując drobne darowizny na fundacje i stypendia. Po pewnym czasie otrzymałem od nich list z podziękowaniami za odbycie stypendium, które przyniósł tak wspaniały wkład w naukowy rozwój tamtego ośrodka i – jak się okazało – otworzyło drogę kolejnym stypendystom. Znalazło się w nim także zaproszenie, żebym w przyszłości odwiedził Clemson.

Być może była to kwestia przypadku, ale wkrótce po wiadomości z Clemson przyszedł kolejny list z informacją o polubownym zakończeniu sprawy mojego odszkodowania za wypadek samochodowy. To sprawiło, że stałem się jak na polskie warunki dobrze sytuowanym pracownikiem naukowym. Nie musiałem już zabiegać o zlecenia i dodatkowe zajęcia, mogłem spokojnie poświęcić czas pracy badawczej, która jak się okazało nie była łatwa i spokojna, wymagała dyscypliny, wytrwałości, czasu, zaangażowania oraz odporności psychicznej i fizycznej.

Istotny udział i wpływ na mój dalszy rozwój miał z pewnością Lambert, który wykazał się dużą odwagą, zatrudniając człowieka z kraju bliżej mu nieznanego, systemowo wrogiego. Dodatkowo obdarzył mnie dużym zaufaniem, umożliwiając mi zajęcie się dziedziną niezwiązaną z jego projektem. Dał mi wolną rękę w wyborze tematu pracy i jego zakresu, co rzutowało na ocenę obliczeń. Koszty mojego pobytu i projektu były wysokie, same obliczenia komputerowe wyniosły ponad dziesięć tysięcy dolarów i nie były częścią programu RHIZOS, jak wcześniej zakładano. Jeśli do tego dodam jego bezinteresowną i życzliwą pomoc prawną po wypadku samochodowym, zarówno w Stanach, jak i już po moim powrocie do kraju, to dopiero teraz, z perspektywy czasu, dostrzegam jak wiele zawdzięczam Lambertowi, tak poznawczo, nauko-

wo, jak i finansowo. Przez kilka lat po powrocie z USA zapraszałem go do Polski, ale do wizyty nie doszło, czego bardzo żałuję, gdyż zasługuje on na uznanie i szacunek.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku mijała dwudziesta rocznica polsko-amerykańskiej wymiany rolniczej, z tej okazji Pieniążek oraz Gibble wystosowali do stażystów listy następującej treści:

W związku z dwuziesticem Polsko-Amerykańskiej Wymiany Rolniczej chciałbym uporządkować dane dotyczące naszych stażystów. Kto wie, może kiedyś warto byłoby opracować historie tej wymiany.

Dlatego też proszę uprzejmie o podanie mi możliwie dokładnych dat przebywania na stażu, miejsca, nazwiska profesora lub farmera, pod kierunkiem którego staż się odbył. Dla ułatwienia odpowiedzi na te pytania proszę o wypełnienie podanego na odwrocie kwestionariusza i odesłanie go na mój adres.

Łączę uprzejme pozdrowienia

Prof. S. Pieniążek

W pełni popieram te działania, pisząc dużo o tej wymianie w swojej biografii sam też dążę do upamiętnienia tego projektu, który w moim przypadku stał się istotnym impulsem do rozwoju na mojej drodze naukowej.

Amerykanie bardziej dbają o swoją historię i potrafią celebrować dokonania, zarówno te małe, na szczeblu lokalnym, jak i wielkie. Oto jako przykład list jubileuszowy sponsora wymiany Gibbla kierowany do stażystów:

Dear Friends!

thousand nine hundred and seventy-seven marked the celebration of twenty years of the Brethren Service Polish Agricultural Exchange Program. A highlight of that celebration was the opportunity that some friends of the exchange from the United States had to visit Poland. That was a memorable experience and it was a pleasure to see and visit so many of you who have been a part of the exchange over the years. We continue to be very grateful for this experience and thank you for it.

As part of this anniversary celebration we choose to prepare this twentieth anniversary exchange brochure, Seedtime and Harvest. I am happy to share it with you in the hope that it bring back many fond memories to you as it does to those of us who related to you through this program over the years.

I extend every good wish to you and look forward to the years ahead as this program continues to build lasting bonds of friendship, good will and peace.

Sincerely,

H. Lamar Gibble, Director

Brethren Service Exchange Programs

Spotkanie z działaczami Brethren Service Commission z okazji dwudziestolecia Polsko–Amerykańskiej Wymiany Rolniczej odbyło się w Warszawie jedenastego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku w Sali Kolumnowej SGGW przy ulicy Rakowieckiej.

Wróciłem tu po dziesięciu latach od ukończenia studiów, organizatorami spotkania był bowiem Instytut Sadownictwa w Skierniewicach oraz SGGW – moja uczelnia. Jak się okazało, wiele się tam zmieniło, mój Wydział Melioracji Wodnych przeniesiony został do nowego budynku z zapleczem laboratoryjnym na Ursynowie. Na uroczystości spotkałem kolegów ze studiów: Julka Gawła i Janka Osipiuka, z którymi działaliśmy wspólnie w Radzie Uczelnianej ZSP. Gawel odbywał na Cornell University staż w tym samym czasie co ja i czterdziestu innych stażystów z Polski na innych amerykańskich uniwersytetach. Koledzy zostali na uczelni, zdobyli tytuły profesorów na SGGW, Janek na Wydziale Technologii Drewna, a Julek Technologii Żywności. Natomiast Maciek Hoffman z Wydziału Leśnego, przewodniczący Rady Uczelnianej, wybrał drogę polityczną. Będąc już dziesięć lat na emeryturze nadal utrzymuję kontakty z uczelnią, spotykamy się przynajmniej dwa razy w roku: na inauguracji roku akademickiego oraz spotkaniu noworocznym. Decyzją dyrektora IMUZ z dniem pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku zostałem powołany na stanowisko adiunkta. Rok później zostałem kierownikiem Pracowni Fizyki Gleb Meliorowanych w Zakładzie Przyrodniczych Podstaw Melioracji na okres pięciu lat, czyli do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy był trudnym rokiem, śmierć matki bardzo mocno mnie dotknęła, żona była w zaawansowanej ciąży, a w dodatku na głowie miałem wykańczanie pracy habilitacyjnej i przeprowadzkę do dużego domu. Chciałem, aby drugi syn urodził się w nowym domu i tak też się stało, pierwszego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku przyszedł na świat Bartosz. Był to dzień Wszystkich Świętych, żona rodziła w szpitalu, podczas gdy ja byłem na cmentarzu w Borowie przy świeżousypanym grobie matki. Dzień wcześniej zawiozłem żonę do szpitala na ulicy Jaczewskiego, poród okazał się ciężki, dziecko ważyło cztery kilogramy. Smutek przeplatał się z niepokojem o przebieg porodu i późniejszą radością z narodzin nowego potomka.

Zbliżające się święta Bożego Narodzenia świętowaliśmy już w nowym wygodnym domu, z wystrojem przygotowanym z namysłem i pietyzmem, przy choince oraz z prezentami, ale bez udziału matki, która odeszła przed narodzinami drugiego wnuka i zanim zdążyła się z nami tam wprowadzić, co uważam za bardzo smutne i niesprawiedliwe. Nie był to dla mnie dobry czas, zamiast się cieszyć, musiałem się zmierzyć z cierpieniem i smutkiem, śmierć matki była dla mnie brutalnym ciosem. Silna motywacja do życia łagodziła ból, zachęcając do wysiłku i twórczej działalności. Żona nie pracowała zawodowo, dlatego mogła zająć się domem i wychowaniem dzieci, ja natomiast w całości wypełniałem każdy dzień pracą zawodową. Nierzadko wracałem do domu po dwudziestej drugiej, szef lubił mieć mnie pod ręką do późna w nocy, a ja czas ten wykorzystywałem na kończenie rozprawy habilitacyjnej.

Po śmierci matki odziedziczyłem w Borowie dwuhektarowe gospodarstwo z domkiem oraz budynkiem gospodarczym, oborą ze stodołą. Właśnie tam spędzaliśmy wakacje, uprawiając latem maliny i czarną porzeczkę. Po zbiorach jechaliśmy na wczasy do Karwi nad morze, a zimą do Jaworek położonych kilka kilometrów za Szczawnicą. Tak mijały lata, z czasem gospodarstwo powiększyłem do czterech hektarów, a działkę budowlaną do jednego hektara. Połowę powierzchni posesji zajmuje dwudziestoletni las, w którym zbieram grzyby, a pozostała część to trawnik z nowym domem i zróżnicowanym drzewostanem wokół budynków.

Pisząc pracę habilitacyjną byłem nadal w kontakcie z Lambertem, który informował mnie o swoich bieżących publikacjach, spotkaniach i zaproszeniach na seminaria zagraniczne. Przygotowywałem wtedy kilka publikacji do druku w czasopiśmie krajowych i zagranicznych oraz na konferencje. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku skorzystałem z zaproszenia do udziału w seminarium w Cambridge na temat symulacji procesów wodno-termicznych i plonowania roślin. Była to kontynuacja spotkania seminaryjnego w Wageningen z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, w którym miałem uczestniczyć, wracając ze stażu w Stanach. Zależało mi na tym wyjeździe, gdyż była to okazja do spotkania z byłym szefem, a teraz kolegą, gdyż zwracaliśmy się do siebie po imieniu. To on odmienił moje życie, a teraz pomógł w nawiązaniu nowych kontaktów z jego kolegami, uczestnikami seminarium z zachodniej Europy.

Uzyskałem zgodę dyrektora IMUZ na wyjazd, zgłosiłem udział w seminarium i wyruszyłem na własny koszt pociągiem do Londynu. Byłem jedynym uczestnikiem seminarium ze wschodniej części Europy. Przypomnę, że żyliśmy w bloku państw, których system sprawiał ból, cierpienie, biedę i strach, o czym na Zachodzie wiadano. Przyjmowano nas dlatego ze współczuciem, ale też rezerwą, podobnie było w czasie mojego stażu w USA. Odczułem tę nieufność boleśnie już na granicy, podczas odprawy celnej przy wjeździe do Anglii. Oczekując w długiej, kilkusetosobowej kolejce, w pewnym momencie zostałem poproszony o przejście do pomieszczenia obok, widziałem, że wszyscy pasażerowie się na mnie gapią. Poczułem się upokorzony i wystraszony tym, że mogę zostać zawrócony do kraju. To zatrzymanie trwało około godziny, tyle też zajęła cała odprawa celna pozostałych pasażerów, dopiero gdy zostałem tam sam, celnicy się mną zajęli. Sądzę, że podczas długiego czekania dokładnie mnie sprawdzili, bo sama odprawa nie trwała długo. Już wtedy przyrzekłem sobie, że więcej tam nie wrócę i słowa dotrzymałem. Drugi raz byłem w Londynie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, tranzytem w drodze do Acapulco w Meksyku.

Podróż pociągiem z Lubina, z noclegiem w Warszawie, trwała prawie dwa dni z przesiadką na prom płynący przez Kanał La Manche. W drodze do Londynu wody kanału były spokojne, ale powrotny rejs statkiem zniósłem fatalnie, po tym doświadczeniu już zawsze unikałem podróży morskich.

W drodze do Cambridge nie miałem czasu i nastroju na zwiedzanie Londynu, odłożyłem to na moment przed powrotem do kraju. Jadąc pociągiem, wciąż zdener-

wowany i zniesmaczony odprawą celną, podziwiałem płaskie i rozległe połacie zieleni z jej wieloma odcieniami oraz ukrytymi w oddali starymi budowlami zamkowymi i fermami rolniczymi.

W Cambridge zakwaterowałem się w hotelu akademickim w okazałym wiekowym budynku, z dużą liczbą starych mebli oraz dawnych obrazów i portretów na ścianach. Miejsce to było niczym duże muzeum, szczególnie utkwiła mi w pamięci okazała stolówka z niezliczonymi portretami rodziny królewskiej wiszącymi na wysokich ścianach. Zabytkowe obiekty miasta i Uniwersytetu robiły wrażenie i świadczyły o potęgze Wielkiej Brytanii, a mnie przyprawiły o poczucie małości.

Podobnie było na sali obrad, nikogo tam nie znałem i czułem się obcym. Lambert, który zaprosił mnie na to seminarium, był zajęty w prezydium organizacyjnym spotkania, a poza nim nikt nie zwracał na mnie uwagi. Uczestnicy stanowili ściśle grono znawców z wielu różnych zagadnień dotyczących modelowania obiegu wody w ekosystemach i plonowania roślin.

Dyskusje toczyły się w małych grupach specjalistów, ja dołączyłem do zespołu zajmującego się ruchem wody w strefie nienasyconej profilu oraz zjawiskami fotosyntezy i parowania. Wadą spotkania był brak materiałów konferencyjnych, natomiast rekompensował to wyjazd w teren i możliwość obejrzenia stanowisk badawczych na stacjach doświadczalnych Uniwersytetu. Zwiedziłem również słynną stację doświadczalną – Rothamsted Eeperimental Station w Harpenden. Została ona założona w tysiąc osiemset czterdziestym trzecim roku przez Johna Benneta Lawesa i jest najstarszą rolniczą stacją naukową na świecie, a zarazem jedną z największych – zatrudnia około siedemset pracowników.

Po konferencji w Cambridge zatrzymałem się tam na dwa dni, by dojeżdżając szybką koleją do Londynu zwiedzić to rozległe miasto, mające około dwunastu milionów ludzi. Zaliczane jest ono obok Meksyku, Los Angeles, Nowego Jorku, Tokio i Szanghaju do największych miast świata. Jest zatłoczone, a dym i zanieczyszczenia zmieszane z parą morską tworzą tam gęste mgły, utrudniające widoczność i poruszanie się. Miasto przechodziło różne koleje losu, takie jak epidemie czy pożary, co jednak nie przeszkodziło mu w szybkim rozwoju, by wreszcie stać się znaczącym ośrodkiem kulturalnym i naukowym. Londyn pełni funkcję stolicy Anglii od jedenastego wieku, w siedemnastym wieku powstało tam Królewskie Towarzystwo Naukowe, wielkie obserwatorium astronomiczne w Greenwich, później Muzeum Brytyjskie i Galeria Narodowa, a w tysiąc osiemset trzydziestym czwartym roku Uniwersytet Londyński. Miasto spełniało ważną rolę w życiu politycznym i kulturalnym Europy.

Londyn zrobił na mnie duże wrażenie, ale trudno porównywać Wielką Brytanię ze Stanami Zjednoczonymi, zarówno pod względem wielkości, jak i historii tych krajów. USA to kontynent, kraj młody, nowoczesny, zamożny, z dwustuletnią historią. Natomiast w Anglii wszystko jest stare, naznaczone wielowiekową historią, nie widać zniszczeń ostatniej wojny, jest to mały kraj dobrobytu i spokoju, istniejący na poboczu Europy.

Uświadomiłem sobie, że choć te dwa kraje są położone stosunkowo niedaleko od siebie, to dzieli je duże różnice w rozwoju i warunkach życia ludzi z dwóch systemów: kapitalizmu i socjalizmu, który, jak nam długo wmawiano, miał być ustrojem równości i sprawiedliwości społecznej. Zastanawiałem się wtedy, dlaczego, mimo ciężkiej wieloletniej pracy po wojnie, oddziela nas od Zachodu przepaść pod względem rozwoju kraju i stanu posiadania ludzi. Pobyt w Londynie upłynął szybko, powrót do szarej rzeczywistości w drodze powrotnej okazał się dotkliwy. Pogoda na kanale była sztormowa, bardzo ciężko zniosłem przeprawę na promie, leżałem w bezruchu, nie mogąc poruszyć nawet palcem u ręki. To kolejny powód, który sprawia, iż nadal nie lubię Anglii.

Po powrocie do Lublina nie było chwili na odpoczynek, należało zabrać się do pracy, aby nadrobić stracony czas, wykorzystując do tego doświadczenia zdobyte zagranicą. W Polsce wiele zmieniło się już na lepsze, także warunki mojego życia uległy poprawie, ale trudno było szybko nadrobić zaległości i zniwelować dysproporcje wobec gwałtownie rozwijającego się świata zachodniego. Zrozumiałem jednak, że uprawianie wszelkiej sztuki, a nauki w szczególności, wymaga przede wszystkim dyscypliny. Jest to zasada odnosząca się nie tylko do pracy zawodowej, ale dotycząca również organizacji całego życia.

To, co nie wymaga pracy, wysiłku i bólu nie ma wielkiej wartości. Bez złych doświadczeń nie poznamy pełni życia, jego smaku, złych i dobrych stron. Życie to zmaganie się z przeciwnościami, niepowodzenia są więc wpisane w nasze działania. Złe doświadczenia mogą czasem przynieść dobre rezultaty, gdyż to w odpowiedzi na cierpienie rozwijają się w człowieku pozytywne cechy, jak empatia czy mądrość. Z taką właśnie świadomością wkraczałem w realizację kolejnego celu, jakim była habilitacja.

Czasy były trudne, oprócz wysiłku i dyscypliny warunkiem osiągnięcia zamierzonego zadania była koncentracja i cierpliwość. Ta ostatnia okazała mi się najbardziej potrzebna. Oczekując na wszczęcie postępowania habilitacyjnego, kończyłem przygotowanie do druku kilku publikacji oraz obserwacje działania i analizę wyników badań polowych próbnich drenowań, wykonanych jeszcze przed wyjazdem do USA, na obiektach w Setnikach, Aleksandrowie i Wilkowie nad Wisłą. Z uwagi na suche lata, badania przedłużały się, ale wstępne wyniki były obiecujące, wymagały więc powtórzenia pomiarów, koniecznych w obliczeniach statystycznych.

Czas wiele zmienia, w przeszłości, głównie w dolinach wskazujących nadmiar wilgoci, stosowano odwodnienia systemem rowów otwartych. Grunty orne odwadniano, wykorzystując system drenów, zaliczany do tzw. melioracji szczegółowych, opłacanych przez rolników. Mechanizacja prac polowych, szczególnie dużych gospodarstw rolnych – PGR-ów, wymagała likwidacji rowów otwartych oraz poprawienia warunków wilgotnościowych gleb, przy użyciu systemu drenów. Nadmiar wilgoci obniżał plony oraz opóźniał wiosną wczesne rozpoczęcie prac polowych. Zdrenowano wtedy tysiące hektarów lessów hrubieszowskich oraz innych rejonów Lubelszczyzny. Do ba-

dań utworów lessowych wytypowano grunty PGR w Setnikach w powiecie hrubieszowskim oraz okolice jeziora Piaseczno pod Lublinem.

Podstawowym kryterium kwalifikacji gruntów do odwodnienia, jak również do obliczeń rozstaw i głębokości drenów, było oznaczenie składu mechanicznego utworów glebowych planowanych do odwodnienia. Pamiętam, że w IMUZ wykonywaliśmy wiele takich oznaczeń poza godzinami pracy, za zgodą kierownika Oddziału, a nawet dyrektora IMUZ, w ramach zleceń.

Oczywiście, oznaczanie frakcji uziarnienia gleby było daleko uproszczonym parametrem, decydującym o potrzebie odwodnienia w ogóle, a już w szczególności przy obliczeniach właściwych rozstaw drenów. Jeszcze przed podjęciem tych badań miałem świadomość, że w projektowaniu drenowań na świecie do oznaczenia składu uziarnienia gleby analizuje się rzeczywiste warunki glebowe, tj. układ warstw w profilu i ich właściwości przewodzące, a nie jedynie ich wyizolowane próbki.

Nie wnikając w szczegóły funkcjonowania i skuteczności działania drenów, zauważę jedynie, że w przypadku lessów hrubieszowskich oraz mad wiślanych w Wilkowie wstępna hipoteza się potwierdziła: drenowanie tych utworów okazało się zbędnym i kosztownym zabiegiem melioracyjnym. W obu przypadkach nie było fizycznych możliwości przedostania się wody do wnętrza drenów. Natomiast dla utworów glebowych występujących w Aleksandrowie, w powiecie biłgorajskim, badania wykazały, że skuteczna rozstawa drenów wyniosła osiemnaście metrów, czyli była dwukrotnie większa od projektowanej. Mogło to oznaczać, że koszty inwestycji można było zmniejszyć o pięćdziesiąt procent, co w skali kraju mogło przynieść znaczące oszczędności.

W przypadku Wilkowa, rolnicy sprzeciwiali się drenowaniu już na etapie projektowania, a później także w czasie realizacji inwestycji. Być może znali przekazy przodków bądź czuli intuicyjnie, że dreny nie spełnią tu swojej roli – odwodnienia. Byłem świadkiem ich sprzeciwu w czasie nadzorowania i układania próbnych sączków (ciągów) drenarskich. Ich obawy i obiekcje sprawdziły się w trakcie moich badań i obserwacji polowych. Znacznie później wyniki te potwierdziły się również w badaniach modelowych, opublikowanych w „Wiadomościach IMUZ” w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku⁵.

Upowszechnienie tych wyników spotkało się wówczas z dużym oporem ze strony władzy partyjnej w Lublinie. Obawiano się, że rolnicy przestaną płacić za wykonane melioracje oraz że może to wstrzymać już realizowane bądź dopiero planowane inwestycje dla podobnych gleb w przyszłości. Było to marnowanie dużych środków, które mogły być wykorzystane na inne cele gospodarcze i społeczne.

Podobnym naciskom partyjnym uległ dyrektor IMUZ profesor Czesław Somowski, zabraniając publikacji wyników tych badań w czasopiśmie Instytutu, co było dla nas dużym zaskoczeniem, bowiem jako specjalista od drenowań powinien był nasze starania poprzeć.

⁵ Zob. W. Olszta, H. Zaradny, *Określenie rozstawy i głębokości drenów metodą symulacji numerycznej*, „Wiadomości IMUZ” 1996, t. XIX, z. 1, s. 33.

Dodatkowo zostaliśmy ukarani w tym czasie wstrzymaniem wojewódzkiej nagrody, wyróżnienia Naczelnej Organizacji Technicznej za wybitne osiągnięcia naukowo-techniczne. Na uroczystości wręczenia nagród w lubelskim NOT, Zawadzki jako jedyny z zaproszonych gości nie otrzymał nagrody, również nam w ostatniej chwili z polecenia telefonicznego Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (KW PZPR) wstrzymano wręczenie nagrody. To tylko kolejny dowód na to, że w tamtym czasie nic nie mogło się wydarzyć bez wiedzy i aprobaty czynnika partyjnego. Po tych wydarzeniach często nachodzili nas agenci Urzędu Bezpieczeństwa, prosząc o opinie na temat celowości różnego rodzaju inwestycji rolniczych w regionie. Wcześniej takiego zainteresowania pracami oddziału ze strony służb bezpieczeństwa nie było. Oddział IMUZ w Lublinie był małym zakładem pracy, zatrudniającym kilkanaście osób, a jego kierownik Zawadzki był bezpartyjny, co wtedy było wyjątkiem. Dyrektorami dużych instytucji i urzędów państwowych oraz naukowych byli bowiem przeważnie ludzie z nadania partyjnego. Po naszych doniesieniach o nieskuteczności drenowań lessów i mad wiślanych, zainteresowanie służb nami nasiliło się. Każdego z pracowników, również tych swoich, partyjnych, traktowano jako potencjalnego przeciwnika systemu. Stąd agencyjne nieoficjalne zbieranie informacji na temat nie tylko melioracyjnych inwestycji planowanych, ale również tych już realizowanych.

Po pewnym czasie dyrektor IMUZ w Falentach zreflektował się i aby złagodzić napięcie przyznał mi na pocieszenie nagrodę pieniężną w wysokości trzech tysięcy złotych za wykraczającą poza zakres obowiązków inicjatywę w pracach Oddziału i Instytutu oraz za wyjątkową ilość publikacji oryginalnych. Krótco po tym dyrektor zaskoczył mnie kolejnym awansem na stanowisko kierownika Pracowni Fizyki Gleb Meliorowanych. W tym czasie byliśmy jako oddział w pewnym konflikcie merytorycznym z dyrektorem IMUZ, wyróżnienia te miały więc za zadanie łagodzić nastroje.

Zdumiała mnie też wtedy prośba Zawadzkiego o to, abym wskazał temat rozprawy habilitacyjnej. Mój smutek i niepokój wynikały z tego, że praca ta napisana w języku polskim po powrocie ze Stanów, czekała już kilka lat w biurku na publikację. Przygotowałem ją w języku angielskim podczas piętnastomiesięcznego pobytu na stażu w USA. Zawadzki wcześniej zaś wyraźnie dawał mi do zrozumienia, iż widzi w niej potencjał na rozprawę habilitacyjną.

Dotychczas szef był mi przychylny i wyjątkowo życzliwy, dlatego do dziś nie wiem, jak to wydarzenie tłumaczyć. Czy rzeczywiście zapomniał, co powiedział przed czterema laty, czy chciał przedłużyć czas mojego kolejnego awansu i zatrzymać mnie na dłużej przy sobie. Szefowie podobnie jak żony potrafią ubarwić życie na wszelkie sposoby. Na szczęście okazało się, że było to tylko nieporozumienie i po moim oświadczeniu, że praca od kilku lat leży w szufladzie, szef na moment zaniemówił ze zdziwienia, a następnego dnia bez wahania wysłał pismo do dyrektora IMUZ w Falentach, z prośbą o wszczęcie postępowania przewodu habilitacyjnego. Był początek tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, a obrona odbyła się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Trwało to zdecydowanie za długo, zwłaszcza, że była

to pierwsza tego typu praca w Polsce, leżąc przez cztery lata w szufladzie, a następnie oczekując przez dwa lata trwania przewodu, zestarzała się i mogła stracić na oryginalności oraz wartości.

Poza tym, napięcie i niepewność, czy i kiedy będę samodzielnym pracownikiem naukowym, były stratą czasu i obciążeniem, które nie sprzyjało rozwojowi i efektywności pracy. Habilitacja dawała pewną niezależność dalszego wyboru tematyki i rozwoju własnego warsztatu badawczego. Zjawiska obiegu wody w przyrodzie, zwłaszcza w systemie gleba-roślina-atmosfera, są złożone. Ich złożoność polega na dynamice procesów zachodzących w tym systemie, takich jak: warunki pogodowe (temperatura, opad, wilgotność itp.), glebowo-wodne hydrologiczno przewodzące oraz roślinne, a także dobowe przyrosty zielonej masy i korzeni. Procesy te występują jednocześnie na różnych poziomach tego systemu. Opis tych zjawisk matematycznie, obliczenia numeryczne przy wykorzystaniu wysokowydajnych maszyn liczących w Stanach i wreszcie weryfikacja empiryczna tych obliczeń były treścią mojej pracy habilitacyjnej.

Wszeczhronny rozwój człowieka, fizyczny, jak również mentalny, jest w dużym stopniu, a może przede wszystkim, uzależniony od stanu środowiska naturalnego. Stan środowiska to czyste powietrze, zdrowa żywność i czysta woda. Woda to podstawowy surowiec w przyrodzie, ma wymiar społeczny, gospodarczy, o czym można by dużo pisać, mnie natomiast interesowała w wymiarze fizycznym. Woda, stanowiąca najważniejszy surowiec ziemi, staje się materiałem deficytowym i komercyjnym na rynku. Największym jej użytkownikiem w skali globalnej jest rolnictwo, dlatego wydaje się, że badania modelowe prezentowane w mojej pracy miały szansę wskazać na optymalne i oszczędne gospodarowanie zasobami wodnymi w przyrodzie. Od zasobów wody i jej czystości zależy nasze życie, dalszy rozwój rolnictwa, przemysłu, turystyki oraz przyjazny człowiekowi stan środowiska przyrodniczego.

Moja praca była właśnie fizyko-numerycznym opisem obiegu wody, jej form występujących w przyrodzie w złożonym systemie, jakim jest układ gleba-roślina-atmosfera. Prezentowany w niej model GRAGRO umożliwiał sterowanie nawodnieniem na odległość, podejmując decyzje o terminie i wielkości dawki oraz czasie jego trwania, w zależności od rodzaju nawodnienia. Niezbędnymi parametrami w modelu były podstawowe dobowe dane klimatyczne z lokalnej stacji meteorologicznej. Metoda ta wiązała się z technologią automatyzacji i mechanizacji produkcji rolniczej i była już szeroko stosowana w Izraelu oraz na południu Stanów Zjednoczonych, nasze rolnictwo było pod tym względem nadal zacofane.

Jak już wspominałem, moja praca habilitacyjna w takim ujęciu i zakresie, była jedną z pierwszych w kraju, a przeleżała w szufladzie sześć lat zanim ujrzała światło dzienne. W nauce jest to długi okres, który można było wykorzystać bardziej efektywnie. Wracając myślami do tamtych czasów i atmosfery, jaka wówczas panowała, dobrze pamiętam, że na wszystko należało czekać, często z błahych subiektywnych powodów.

Nie zamierzałem polegać na przeznaczeniu, gdyż przeznaczenie to przywilej szczęściarzy. Ja zaś nigdy nie czułem się szczęściarzem, nie czekałem na to, co da mi Bóg i zawsze walczyłem z przeciwnościami losu, od wczesnego dzieciństwa aż po dzień dzisiejszy. Wysłanie pisma do dyrektora IMUZ w Falentach o wszczęciu postępowania habilitacyjnego było początkiem dwuletniej batalii, napięcia, stresu, pracy i przygotowań. Musiałem uzbroić się w dużo cierpliwości oraz odporności na nieprzewidziane przeszkody i wydarzenia, jakie mogły mnie zaskoczyć w okresie trwania procedury związanej z uzyskaniem stopnia doktora habilitowanego.

W pierwszej kolejności należało pracę opublikować w postaci książki, co wymagało oczekiwania na recenzje wydawnicze, korektę i na druk. Kolejnym krokiem było przygotowanie wniosku o otwarcie i przeprowadzenie przewodu habilitacyjnego, wraz z obszernym materiałem na temat mojego dorobku naukowego. Wniosek musiał być podany ocenie Rady Naukowej MUZ, mimo że nie miała ona uprawnień do przeprowadzania takich przewodów. Zażądała w dodatku opinii od kierownika Oddziału na mój temat, oto ona:

Lublin 24. 06. 1980

Dr inż. W. Olszta jest pracownikiem utalentowanym, wykazującym dużą operatywność w pracy, posiadającym rzetelną, gruntowną wiedzę w zakresie przyrodniczych podstaw melioracji, a szczególnie gleboznawstwa melioracyjnego oraz melioracji technicznych. Odbył długoterminowe zagraniczne staże naukowe w tym zakresie w Holandii (1966–67) i w USA (1974–75) oraz brał czynny udział w międzynarodowych konferencjach naukowych: Jabłonna (1972), Stara Leśna (1975, 1978), Lublin (1978), Cambridge – Wielka Brytania (1978) – prezentując na nich wyniki własnych badań.

Dr W. Olszta jest autorem bądź współautorem 29 oryginalnych prac naukowych opublikowanych bądź znajdujących się aktualnie w druku, 1 wzoru użytkowego mającego świadectwo Urzędu Patentowego PRL, 12 referatów i innych opracowań, 5 opinii, recenzji i koreferatów, 8 prac niepublikowanych. Ostatnio przygotował prace pt. Badania dynamiki uwilgotnienia gleb, wzrostu traw i prognozowania nawodnień metodą modelowania matematycznego, którą właśnie przedkłada jako habilitacyjną.

Dr W. Olszta jest bardzo czynny społecznie, pełni funkcje: wice-przewodniczącego Osiedlowego Komitetu Czynów Społecznych, wice-przewodniczącego Sekcji Melioracji i Budownictwa Wodnego w Zarządzie Oddziału SITWM – NOT w Lublinie, przewodniczącego Zespołu d/s Wody Glebowej Komisji Fizyki Gleb PTGleb w Warszawie, jest to również członek grupy roboczej systemu BIGLEB-PTGleb w Warszawie, członek podkomisji 8 KAPG-PAN – w Grupie Roboczej RWPG 8.2 – „Ruch wody w ośrodkach porowatych”. Dr W. Olszta jest rzeczoznawcą SITWM-NOT w zakresie melioracji wodnych. W roku 1971 uzyskał Nagrodę Zespołową NOT II stopnia za wybitne osiągnięcie w dziedzinie techniki, a w 1973 Wyróżnienie NOT za podobne osiągnięcia.

Dr inż. W. Olszta jest człowiekiem o wysokiej etyce. Jego postawa wobec otoczenia, zarówno w stosunku do przełożonych, jak kolegów i podwładnych nacechowana jest bezpośredniością, rzetelnością, szlachetnym podejściem i uczynnością. Jest pracowity i skrupulatny, wszechstronnie uzdolniony, a przy tym bardzo szybki i wydajny w pracy.

*Kierownik Oddziału
Prof. dr hab. Saturnin Zawadzki*

Opinię tę zacytowałem w całości, bo jest ona dużym skrótem mojego wielostronicowego opisu dorobku naukowego, przygotowanego do celów habilitacyjnych. Składało się na ten opis wiele rozdziałów, między innymi ocena mojej działalności dydaktyczno-wychowawczej, organizacyjnej, naukowej wraz z wykazem prac opublikowanych, a także ocena moich prac badawczych, zwłaszcza pod kątem ich zastosowania w praktyce. Ta ostanía była wyjątkowo szczegółowa, bowiem obejmowała, oprócz tematu wdrożenia, zwięźle wyszczególnienie opracowanych zagadnień, formę przedstawienia oraz oszacowanie korzyści ekonomicznych, społecznych i przyrodniczych, ze wskazaniem miejsca zastosowania. Opublikowanie pracy i przygotowanie dosyć szczegółowego całości kształtu dorobku naukowego było jedynie początkiem dwuletniego okresu trwania przewodu. Problem polegał na tym, że IMUZ nie posiadał uprawnień do przeprowadzania przewodów habilitacyjnych, należało więc szukać uczelni, na której taki przewód można by otworzyć. Różne formalności i uzgodnienia z tym związane wymagały częstych podróży do Warszawy. Warto dodać, że w tym czasie w Polsce trwał stan wojenny, wyjazdy poza miejsce zamieszkania wymagały specjalnej przepustki i były utrudnione, co dodatkowo komplikowało i przedłużało cały proces.

Po wielu spotkaniach i rozmowach wybór padł na SGGW, moją uczelnię, na której miałem po ukończeniu studiów pracować. Wróciłem tam po latach, aby spotkać swoich dawnych profesorów i wykładowców w zupełnie innej roli, było to dla mnie dodatkowe obciążenie, gdyż obawiałem się, jak zostaną tam przyjęty i oceniony. Ten etap, łącznie z oceną mojego dorobku przez IMUZ, trwał ponad półtora roku, zdecydowanie za długo. W dodatku, czekała mnie kolejna przeprawa i to znacznie trudniejsza – kolokwium i wykład przed dwudziestoosobową Radą Naukową, w skład której wchodziło wielu specjalistów i zaproszonych gości. Następnie musiało się odbyć posiedzenie Rady Wydziału, poświęcone przeprowadzonemu kolokwium i podjęciu uchwały o nadaniu stopnia naukowego. Szczegółowy protokół z posiedzenia Rady i przebiegu kolokwium obejmuje dziesięć stron maszynopisu, zacytuję jego fragmenty, początek i koniec, gdyż dla mnie ma on istotne znaczenie. Po szesnastu latach, miałem okazję spotkać swoich nauczycieli, profesorów i asystentów, którzy występowali w roli docentów. Przytoczenie tego protokołu stanowi okazję, aby wymienić ich i podkreślić, że odegrali ważną rolę w mojej karierze naukowej. Habilitacja to ważny etap w pracy naukowej, daje bowiem pewien stopień niezależności i pozwala na wybór dalszego kierunku badań w tworzeniu określonej specjalności czy nawet szkoły.

Protokół wymienia również trzech niezależnych recenzentów z różnych ośrodków naukowych, z Bydgoszczy, Gdańska i Warszawy. Wyjątkowo długą i szczegółową recenzję napisał profesor Zygmunt Sochoń, mój profesor ze studiów i były dyrektor IMUZ w Falentach. Oto fragment tego protokołu:

PROTOKOŁ

*Z posiedzenia Rady Wydziału Melioracji Wodnych SGGW-AR
z dnia 10. XI. 1982 r. godz. 12.00*

Obecni:

Profesorowie zwyczajni: Stefan Liwski, Franciszek Maciak.

*Profesorowie nadzwyczajni: Czesław Grabarczyk, Stanisław Łojewski,
Czesław Radomski, Wojciech Wolski.*

*Docenci: Elżbieta Biernacka, Andrzej Byczkowski, Wacław Jędrzejewski,
Tadeusz Kiciński, Wiesław Kosiński, Jan Lenard, Regina Poźniak, Jan Skibiński,
Janusz Sokołowski, Faustyn Szlęzak.*

Przedstawiciel POP: Edmund Kaca.

*Przedstawiciele wykładowców, asystentów i adiunktów: Henryk Pawłat,
Jerzy Jeznach, Piotr Król, Edward Pierzgałski.*

Przedstawiciele Prac. Inż.: Zygmunt Pietraszek, Małgorzata Wicher.

Członkowie honorowi: Zygmunt Sochoń.

Zaproszeni na Radę: Wacław Roguski, Czesław Somorowski.

*Nieobecni (tu wymienia się kilka osób zaproszonych oraz członków honorowych):
Jerzy Ostrołęcki, Zygmunt Mikucki, Józef Prończuk, Bolesław Kłosiewicz,
Jerzy Rogowski, Leonard Skibiński.*

Nieobecni nie mogli się pojawić ze względu na podeszły wiek, byli to moi nauczyciele i wykładowcy, ubolewam, że nie mogłem ich spotkać i przekazać im swojej wdzięczności i wyrazić należnego im szacunku i poważania. Szczególne podziękowania należą się Prończukowi, który jeszcze na studiach zachęcał mnie do pracy naukowej. To on zorganizował mój roczny asystencki staż naukowy w Holandii, a po powrocie polecił pracę w IMUZ. To na marginesie, wróćmy do protokołu z posiedzenia Rady Wydziału, cytuję dalej:

Dziekan doc. dr Tadeusz Kiciński otworzył posiedzenie Rady Wydziału, witając członków Rady oraz zaproszonych gości w osobach: prof. Zygmunta Sochoń – recenzenta i prof. Wacława Rogulskiego – recenzenta z IMUZ. Nieobecność recenzenta prof. dr. hab. Piotra Kowalika z Politechniki Gdańskiej została usprawiedliwiona ze względu na nieobecność w kraju.

Następnie Dziekan przedstawił porządek dzienny posiedzenia:

- 1. Kolokwium habilitacyjne dr. inż. Wenantego Olszty.*
- 2. Podjęcie uchwał.*

Rada Wydziału przyjęła proponowany porządek dzienny. Dziekan stwierdził obecność Rady w ilości niezbędnej do podejmowania prawomocnych uchwał (na 20 osób uprawnionych do głosowania – 18 obecnych). Dziekan, stwierdzając spełnienie wszystkich wymagań przez dr. inż. W. Olsztę dodał, że praca habilitacyjna została opublikowana w Wydawnictwie IMUZ Falenty 1981 r. w ilości 100 sztuk. Następnie recenzenci: prof. Z. Sochoń, prof. W. Rogulski przedstawili swoje oceny pracy habilitacyjnej oraz dorobku naukowego habilitanta. Recenzje nieobecnego prof. P. Kowalika odczytał doc. F. Szlęzak. Na kolejnych 6 stronach protokołu padają pytania i odpowiedzi. Po zakończeniu dyskusji Dziekan zaproponował, aby zakończyć kolokwium habilitacyjne. Zebrani przyjęli wniosek jednomyślnie i po opuszczeniu obrad przez dr. inż. W. Olsztę odbyła się dyskusja nad przebiegiem kolokwium. Jako pierwszy zabrał głos prof. Sochoń, potwierdzając wysoką ocenę pracy i dorobku naukowego dr. W. Olszty. Podkreślił, że dużą zasługą i twórczym osiągnięciem dr. W. Olszty jest wprowadzenie metody modelowania matematycznego jako narzędzia do rozwiązywania praktycznych i badawczych problemów melioracyjnych. Wprowadzenie w modelu licznych uproszczeń było konieczne, uwarunkowane obecnym stanem wiedzy w zakresie doświadczalnictwa oraz ruchu wody w glebie.

Prof. Wolski w uzupełnieniu wypowiedzi prof. Sochoń dodał, iż prezentowana praca habilitacyjna jest nowym kierunkiem badań w stosunku do pracy doktorskiej. Należy ten fakt ocenić pozytywnie. Jeśli chodzi o uproszczenia, to przedstawiony w pracy sposób podejścia do badanych zjawisk jest słuszny, gdyż jako jedna z pierwszych prac w tej dziedzinie w Polsce nie powinna być zbyt złożona.

Doc. Byczkowski podkreślił, że pozytywna ocena pracy habilitacyjnej dokonana przez prof. Kowalika, wybitnego specjalisty w dziedzinie modelowania w kraju, potwierdza poprawność oraz wysoki poziom prezentowanej pracy.

Po dyskusji Dziekan doc. T. Kiciński podsumował przebieg przewodu habilitacyjnego dr. inż. W. Olszty, stwierdzając, że zgodnie z Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 8. 02. 1966 w sprawie warunków i trybu przeprowadzania przewodów doktorskich i habilitacyjnych (Dz. U. Nr 1 1970 r.):

- ocena kwalifikacji naukowego habilitanta dokonana przez komisję na podstawie recenzji, zawierających ocenę dorobku naukowego ze szczególnym uwzględnieniem pracy habilitacyjnej, jest pozytywna,
- kolokwium habilitacyjne zostało przyjęte przez Radę Wydziału.

Wobec spełnienia wszystkich przewidzianych przepisami warunków Dziekan doc. T. Kiciński zarządził tajne głosowanie nad nadaniem dr. inż. W. Olszcie stopnia naukowego doktora habilitowanego nauk technicznych w dziedzinie melioracji wodnych (w gronie uczestników Rady Wydziału znajdowało się 11 specjalistów nauk technicznych w osobach: prof. dr Czesław Grabarczyk, prof. dr Wojciech Wolski, doc. dr Andrzej Byczkowski, doc. dr Waław Jędrzejewski, doc. dr Tadeusz Kiciński, doc. dr Wiesław Kosiński, doc. dr Regina Późniak, doc. dr Jan Skibiński, doc. dr Janusz Sokołowski, doc. dr Faustyn Szlęzak, prof. dr Zygmunt Sochoń).

Na podstawie wyników tajnego głosowania (komisja skrutacyjna w składzie: dr Jerzy Jaznach, dr P. Król i doc. A. Byczkowski) Rada Wydziału podjęła jednogłośnie uchwałę o nadaniu dr. inż. Wenantemu Olszcie stopnia naukowego doktora habilitowanego nauk technicznych w zakresie melioracji wodnych (wynik głosowania, na 20 uprawnionych, 18 obecnych, 18 głosów na „tak”).

Po zaproszeniu dr. inż. W. Olszę na salę obrad Dziekan doc. T. Kiciński zakomunikował treść podjętej uchwały oraz złożył gratulacje i życzenia dalszych osiągnięć naukowych. Jednocześnie Dziekan przypomniał, że podjęta uchwała wymaga zatwierdzenia przez CCK do spraw Kadr Naukowych przy Prezesie Rady Ministrów.

Po wyczerpaniu porządku dziennego Dziekan doc. dr inż. T. Kiciński zamknął posiedzenie Rady Wydziału.

*Protokół sporządził
/ dr inż. E. Pierzgałski/*

*Przewodniczący Rady Wydziału
/ doc. dr inż. T. Kiciński/*

Zacytowałem fragmenty, początek i koniec dziesięciostronicowego protokołu z przebiegu kolokwium, bowiem jest to część mojej historii, widziana oczami ludzi spoza środowiska IMUZ. Poza tym wskazuje on na absurd przepisów, na stratę czasu na formalności, udział wielu niekompetentnych osób w tym procedurze, jak się wydaje oczywistym i znacznie prostszym w USA i w krajach zachodnich. System ten działał w Polsce dziesięciolecia i niełatwo go zmienić, nie sądziłem jednak, że sprawi mi aż tyle kłopotów. W kontekście tego, że praca czekała w szufladzie przez cztery lata na publikację i przedłożenie jej jako rozprawy habilitacyjnej oraz tego, że zacytowany wyżej protokół nie odzwierciedla w pełni oceny mojej dotychczasowej działalności i dorobku naukowego pozwolę sobie przywołać jedną z trzech dość obszernych recenzji (pierwsze dwie miały po dziesięć stron maszynopisu, natomiast trzecia, szczególnie dokładna obejmująca około dwadzieścia stron tekstu, to recenzja Sochoń, wieloletniego dyrektora IMUZ).

Ponieważ Sochoń był moim wykładowcą na studiach, a potem już jako dyrektor przyjął mnie do pracy w IMUZ, zacytuję końcowe wnioski jego niezwykle długiej i szczegółowej recenzji. Na pierwszych dziesięciu stronach drobiazgowo ocenił oddzielnie każdy rozdział mojej pracy, a na kolejnych dziesięciu stronach opisał mój dorobek, wymieniając każdą publikację i podkreślając jej znaczenie oraz wartość poznawczą i użyteczną. Dla mnie była to bardzo pouczająca i kształcąca opinia. Profesor włożył dużo wysiłku w zapoznanie się z całością przedłożonych mu materiałów, a następnie w napisanie tak obszernej recenzji. Nie była to typowa opinia. Profesor zadał sobie dużo trudu, aby przekazać mi uznanie, szacunek, a może też zwykłą satysfakcję, z tego, że to właśnie on nakierował mnie na tę drogę. Dlatego pozwalał sobie zacytować końcowe wnioski jego opinii, by choć w ten sposób przekazać należną mu wdzięczność, szacunek i poważanie:

Przechodząc do ogólnej oceny omawianej rozprawy habilitacyjnej pragnę podkreślić następujące sprawy:

1. Oryginalnym i twórczym osiągnięciem dr. Olszty jest rozwiązanie na drodze symulacji przebiegu procesów glebowo-wodnych, wzrostu roślin oraz prognozowanie nawodnień podsiągowych w okresie wegetacji, stosując metody modelowania matematycznego. Przeprowadzenie weryfikacji empirycznej na glebie torfowo-murszowej na obiekcie melioracyjnym w Sosnowicy potwierdziło słuszność zaproponowanych przez Autora algorytmów, a jednocześnie wskazało kierunki dalszych prac naukowo-badawczych, w celu doskonalenia symulacji i rozszerzenia jej zakresu.

2. Istotną sprawą jest opracowanie nowego sposobu określania aktualnej masy roślin, terminów rozpoczynania nawodnienia podsiągowego, optymalnego poziomu wody gruntowej oraz ilości wody niezbędnej do nawodnienia z uwzględnieniem aspektu ekonomicznego. Daje to praktyczną możliwość sterowania produkcją roślinną na łące poprzez odpowiednią regulację stosunków wodnych w glebie. Autor wskazuje, jakie są potrzebne parametry siedliskowe do prognozowania procesów i do sterowania gospodarką wodną i produkcją łąkową. I dlatego można się spodziewać, że opracowana przez dr. W. Olsztę metoda modelowania matematycznego wnieś do projektowania i eksploatacji systemów melioracyjnych i wykorzystania zmeliorowanych łąk nowe istotne korzyści.

3. Omawiana rozprawa habilitacyjna jest podsumowaniem wyników około piętnastoletniego dorobku badawczego Autora w tej dziedzinie, częściowo już podanego w opublikowanych pracach. Jest ona (można chyba tak to nazwać) zamknięciem prób przez nowe powiązanie kilku schematów blokowych (algorytmów) w jedną kompleksową całość w postaci programu UGWTPN. Również program SMUCEW uzyskał w tej pracy pełniejsze naświetlenia.

4. Autor umiejętnie wykorzystał literaturę krajową i zagraniczną oraz własne wcześniejsze opracowania. Syntetycznie ujął najnowszy dorobek światowy i krajowy w dziedzinie kształtowania się procesów glebowo-wodnych, głównie gospodarki wodnej w strefie aeracji i wpływu jej na wzrost roślin trawiastych. Zaproponował nowoczesne rozwiązania tych problemów i procesów poprzez modelowanie matematyczne, wykorzystując istniejący dorobek w tej dziedzinie. Z uwagi na skomplikowany przebieg różnych procesów glebowo-wodnych i rozwoju roślin Autor – moim zdaniem – musiał w tej fazie badań zdecydować się na przyjęcie pewnych uproszczeń, które umożliwiły Mu dojście do modeli matematycznych. Empiryczna weryfikacja wykazała zadawalającą zgodność wyników obliczeń symulacyjnych z danymi pomiarowymi w naturze. Opracowana przez dr. Olsztę metoda matematycznego modelowania umożliwia przewidywanie stosunków wodnych w glebie oraz ich wpływu na plonowanie roślin łąkowych, a to może przynieść duże korzyści przy praktycznym gospodarowaniu na użytkach zielonych w systemie nawodnień podsiągowych.

5. Treść rozprawy odpowiada tytułowi. Układ treści jest przejrzysty, logicznie rozłożony, tezy uzasadnione, a wnioski udowodnione. Strona redakcyjna jest zwięzła i na ogół dobra, poza niektórymi potknięciami, które pokazuję w załączniku do niniejszej oceny.

Omawiana praca jest poważnym i cennym osiągnięciem naukowym Autora i ma widoki na praktyczne jej zastosowanie. Uważam, że może być uznana jako rozprawa habilitacyjna. Przechodząc do ogólnego przeglądu dorobku naukowego dr. Olszty można wyróżnić w zasadzie dwa kierunki Jego zainteresowań.

W tym miejscu profesor Sochoń na kolejnych dziesięciu stronach swej recenzji analizuje oddzielnie każdą z sześćdziesięciu pozycji zamieszczonych w moim wykazie dorobku naukowego. Oto wybrane nieliczne fragmenty opisów tych pozycji i ich oceny:

Analizowana rozprawa należy do jednego z głównych kierunków zainteresowań dr. Olszty. W tej dziedzinie posiada szereg opracowań naukowych, doniesień i komunikatów. Niektóre z tych opracowań, jakie wymieniono w wykazie publikacji pod poz. 12, 15, 22, 24, 26 omówiłem wyżej przy ocenie rozprawy habilitacyjnej. Do tej grupy opracowań należą następujące pozycje z wykazu publikacji:

- Poz. 25 – Badania modelowe nad skutkami posuch i efektów nawodnień na użytkach zielonych. Referat na VIII sympozjum nt. nawodnień roślin we Wrocławiu w 1979 r.*
- Poz. 27 – Produktynność użytków zielonych w zależności od stanów wody gruntowej. Referat na IX sympozjum nt. nawodnień roślin we Wrocławiu w 1980 r.*
- Poz. 28 – Podsystem procesów wodnych w glebie PROC-WOD w systemie BIGLEB. Referat na sesję naukową nt. zastosowania systemów informatycznych w środowisku glebowym dla gospodarki, PTG, Jabłonna, 1980 r.*
- Poz. 30 – Symulacja udziału zwierciadła wody gruntowej oraz przewodnictwa hydraulicznego gleb w pokrywaniu rozchodów na transpirację. Referat na seminarium nt. zasobów wody dostępnych dla roślin uprawnych, IMUZ, Falenty 1981 r.*

Na podkreślenie zasługuje poz. 19: Określenie polowej pojemności wodnej profilu glebowego na podstawie krzywych pF („Wiadomości IMUZ” 1981, t. XIV, z. 2). Podano [tam] sposób określania polowej pojemności wodnej (PPW) i porównano wyniki oznaczania PPW z wynikami uzyskanymi przez prof. S. Zawadzkiego w warunkach polowych przy zastosowaniu metody zalewanych powierzchni. Przedstawiony tu sposób jest stosunkowo dokładny i znacznie mniej pracochłonny i może być stosowany w praktyce melioracyjnej przy ustalaniu bilansu potrzeb wodnych użytków rolnych i dawek polekowych.

Oprócz wymienionych w wykazie publikacji, w części C znajduje się spis prac związanych z tematyką rozprawy habilitacyjnej. Są to referaty i doniesienia na konferencje naukowe, krajowe i międzynarodowe. Do najważniejszych zaliczyłbym poz. 35, 39, 42, 43 i 44.

Autor, wykorzystując wyniki swoich prac naukowych w zakresie dynamiki procesów związanych z ruchem wody w glebie, wykonał szereg opracowań przydatnych dla praktyki, których tytuły podał w poz. 12, 17, 40, 47, 49 i 51 jako współautor.

Wymienione pozycje stanowią cenny dorobek twórczy dr. Olszty w dziedzinie nauki, jak również wskazań dla praktyki melioracyjnej w zakresie rozwoju procesów glebowo-wodnych i sposobów sterowania tym procesami, jak i procesem rozwoju produktu roślinnego.

Drugi kierunek zainteresowań naukowo-badawczych dr. Olszty, to sposoby oznaczania wielkości parowania i intensywność podsiąku kapilarnego w warunkach laborato-

ryjnych (w jez. ang. „Polish Journal of Soil Science” 1967, vol. II, nr 2). Stosunkowo szerzej zostały potraktowane w dorobku naukowym i wdrożeniowym zagadnienia filtracji i przewodnictwa kapilarnego. Znalazło to swój wyraz w następujących sprawozdaniach: poz. 8, 46, 1, 3, 4, 21, 5, 14, 34.

- Poz. 5 – Wpływ rodzaju wody na zmiany współczynnika przewodnictwa gleb, „Pol. J. of Soil Sc.” 1971, vol. IV, r. 1, (w jez. ang).
- Poz. 14 – Wpływ odwodnienia na zmiany przewodnictwa hydraulicznego gleb torfowych, „Zesz. Prob. Post.” 1977, N. Rol., z. 157.
- Poz. 16 – Laboratoryjne badania przewodnictwa kapilarnego gleb, „Wiadomości IMUZ” 1981, t. XIV, z. 2.

Autor podkreśla potrzebę tego parametru przy regulacji gospodarki wodnej w glebie czy gruncie, zwraca uwagę na jej znaczenie zarówno teoretyczne, jak i praktyczne. Sposób określania tego przewodnictwa powinien być możliwie dokładnym i wiarygodnym, a jednocześnie nieskomplikowanym przy jej stosowaniu. Dr W. Olszta przedstawił zmodyfikowany przez siebie sposób oznaczania tego parametru metodą osuszanych monolitów, pobieranych w stanie nienaruszonym, podając schemat urządzenia zastosowaniem tensometrów połączonych z manometrem rtęciowym. Istotnym elementem urządzenia jest tensometr z sączkiem ceramicznym, skonstruowanym przez Autora. Podaje, jak się oblicza przepływ wilgoci w monolicie na podstawie krzywych pF. Uzyskane wielkości przepływu oraz potencjału wilgotności wykorzystuje się do obliczeń współczynnika przewodnictwa kapilarnego. W wykazie opracowań są jeszcze pozycje mające charakter projektów technicznych, podsystemów glebowych (poz. 37, 38), opracowanych dla PTG w Warszawie w 1978 r., oraz instrukcji do obliczania korelacji i regresji dwóch zmiennych do użytku wewnętrznego IMUZ (poz. 41). W dziale D wykazu prac Autor przedstawił 9 pozycji dotyczących opracowanych recenzji i opinii na różne tematy z dziedziny techniki i naukowo-techniczne (poz. 52–60), związane z Jego specjalizacją naukową i zawodową.

Za wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki dr Olszta uzyskał w 1971 r. nagrodę NOT – za opracowanie zestawu aparatury do oznaczania potencjalnych zdolności retencyjnych utworów glebowych (poz. 61), a w 1978 r. – nagrodę zespołową NOT II-stopnia, za opracowanie pt. Zestaw przyrządów do pobierania, transportu i przechowywania próbek glebowych oraz pomiaru filtracji gleb i gruntów.

W ogólnym dorobku naukowym i zawodowym, podanym w 60 pozycjach wykazu opracowań, pozycje od 6 do 60 zostały wykonane po uzyskaniu doktoratu w 1973 r. Na ogólną ilość opracowań 34 pozycje były realizowane samodzielnie, a 26 – przy współautorstwie. Wśród tych ostatnich, współautorem był prawie wyłącznie prof. Saturnin Zawadzki i to w tematach związanych z fizyką gleb, procesami glebowymi i zagadnieniami gleboznawstwa melioracyjnego. Ta współpraca miała korzystny wpływ na rozwój naukowy i zawodowy dr. Olszty, na Jego pogłębienie wiedzy, co w efekcie prowadzonych przez Niego badań metodycznych i doświadczalnych polowych i laboratoryjnych w zakresie fizyko-wodnej charakterystyki gleb hydrogenicnych doprowadziło do opracowań:

- A. Ulepszenia metod i aparatury do określania podstawowych parametrów do rozwiązań systemów melioracyjnych, głównie współczynników przepuszczalności wodnej pionowej i poziomej gleb oraz przewodnictwa kapilarnego, a więc głównie to, co było omówione w drugim kierunku Jego dorobku naukowego.
- B. Opracowania zagadnień związanych z dynamiką uwilgotnienia gleb, a więc i ruchu wody w glebie, w zależności od zdolności retencyjnych profilu glebowego, od położenia zw. w. gr., procesów odwodnienia i nawodnienia oraz zjawisk ewapotranspiracji, co zawarte jest w pracach omówionych przy analizie osiągnięć pierwszego kierunku, którego oryginalnym i syntetycznym ujęciem jest rozprawa habilitacyjna, przedstawiająca nowoczesny model ruchu wody w glebie i optymalnego jej wykorzystania w produkcji roślinnej.

Jak już wyżej nadmienilem, wyniki prac w obu kierunkach dały Autorowi podstawy i podbudowę do rozprawy habilitacyjnej. Omówione osiągnięcia dr. Olszty mają swoje źródło w potrzebach praktyki melioracyjnej, w zakresie prawidłowego rozwiązywania projektów wodno-melioracyjnych i prowadzenia eksploatacji systemów melioracyjnych.

Podjeżdżuje On trudną tematykę z pogranicza dyscyplin: melioracji, hydromechaniki, fizyki gleby i gleboznawstwa oraz meteorologii, starając się na drodze naukowej wyjaśnić przyczyny zjawisk, podpatrzyć ich przebieg i wskazać rozwiązania. Jego prace uważam za cenny twórczy dorobek naukowy i poznawczy w dziedzinie melioracji – głównie w płaszczyźnie gleboznawstwa melioracyjnego i gospodarki wodnej w glebie. Temu rozwojowi sprzyjało miejsce pracy (od 1967 r.) w Oddziale IMUZ w Lublinie, specjalizującym się w gleboznawstwie melioracyjnym, gdzie od 1977 r. kieruje Pracownią Fizyki Gleb Meliorowanych. Był na stażu naukowym w USA i Holandii. Bierze aktywny udział w konferencjach krajowych (11 razy) i zagranicznych (3 razy).

Publikacje dr. W. Olszty ukazują się w różnych wydawnictwach oraz materiałach z konferencji krajowych i zagranicznych. Posiada już stosunkowo liczny dorobek pisany. Charakterystyczną i moim zdaniem pozytywną cechą Jego działalności jest to, że swoje osiągnięcia stara się upowszechnić, przekazując ich treść w publikacjach lub wygłaszając je w referatach i doniesieniach na spotkaniach naukowych i technicznych, z różnym naświetleniem, szczególnie od strony przydatności do wykorzystania w pracach badawczych i w praktyce melioracyjnej.

Dotychczasowy dorobek twórczy dr. Olszty rokuje nadzieje na dalszy rozwój naukowy. Stawiam więc WNIOSEK:

Przedstawiona ocena rozprawy habilitacyjnej oraz analiza dorobku naukowo-badawczego i zawodowego upoważnia mnie do stwierdzenia, że osiągnięcia dr. Wenantego Olszty stanowią podstawę do dopuszczenia Go do kolokwium habilitacyjnego i nadania stopnia naukowego doktora habilitowanego w dziedzinie melioracji.

Załącznik – Uwagi szczegółowe.
Warszawa, 2 czerwca 1982 r.
prof. zw. dr inż. Z. Sochoń

W podobnym pozytywnym tonie były pozostałe dwie recenzje profesora Wacława Rogulskiego i profesora Piotra Kowalika, również obszerne, przedstawione na około piętnastu stronach maszynopisu.

W polskich warunkach habilitacja to ważny moment w rozwoju naukowym. W oczekiwaniu na jej zakończenie starałem się robić swoje, podświadomie jednak ciągle o niej myślałem. Zawsze starałem się pracować i działać, nawet pomimo pewnych niepowodzeń i bez oczekiwań na korzyści, być może dlatego mój dorobek naukowy został oceniony tak pomyślnie przez specjalistów spoza IMUZ.

Kilka miesięcy później, dwudziestego ósmego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku Centrum Certyfikacji Kancelarii Prezesa Rady Ministrów zatwierdziło uchwałę Rady Wydziału SGGW o nadaniu mi stopnia doktora habilitowanego, co stało się początkiem kolejnej, niełatwej drogi w moim życiu.



Fot. 12. Nominacja na doktora habilitowanego, Warszawa 1983 r.

W maju odbyło się na Ursynowie uroczyste wręczenie dyplomów (Fot. 12), podczas którego ubrany w togę i biret odebrałem dyplom doktora habilitowanego.

Decyzja ta była podstawą do starania się o stanowisko docenta w IMUZ, co wymagało zgody ministra rolnictwa. Wiązała się z tym kolejna długa i pracochłonna procedura, jej początek stanowiło pismo mojego szefa Zawadzkiego do dyrektora IMUZ o następującej treści:

Lublin, 16 maja 1983 r.

Obywatel
Dyrektor Instytutu Melioracji i Użytków Zielonych
Prof. dr hab. inż. Czesław Somorowski w Falentach

W związku z uzyskaniem przez dr. inż. Wenanteo Olszę stopnia doktora habilitowanego nauk technicznych w zakresie melioracji wodnych, na podstawie uchwały Rady Wydziału Melioracji Wodnych SGGW-AR w Warszawie z dnia 10 listopada 1982 r., i zatwierdzeniem tej uchwały decyzją CKK do spraw Kadr Naukowych przy Prezesie Rady Ministrów z dnia 28 marca 1983 r., uprzejmie proszę o podjęcie działań w celu powołania Go na stanowisko docenta w naszym Instytucie.

Dr hab. inż. Wenanty Olsza pracuje w Oddziale IMUZ w Lublinie od 1967 r., początkowo na stanowisku inżynierjno-technicznym, a po uzyskaniu stopnia naukowego doktora nauk technicznych w 1975 r. na stanowisku adiunkta. Jest autorem bądź współautorem 60 prac, w tym 33 rozpraw, artykułów i doniesień naukowych, jednego patentu, szeregu ekspertyz i opracowań naukowych służących praktyce melioracyjnej.

Bierze czynny udział w życiu naukowym w kraju, jak również współuczestniczy w międzynarodowej współpracy naukowej. Wygłaszał kilkakrotnie referaty i doniesienia na międzynarodowych konferencjach naukowych i sympozjach.

Dr hab. inż. W. Olsza aktywnie uczestniczy w pracach Komisji Fizyki Gleb Towarzystwa Gleboznawczego, trzecią kadencję jest członkiem Zarządu Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Wodnych Melioracji.

Dr hab. inż. Wenanty Olsza wniósł ewidentny wkład do nauki, szczególnie w zakresie metodyki badań fizycznych i wodnych właściwości gleb, jak również interpretacji uzyskiwanych wyników i ich wykorzystania w pracach badawczych. Jest współautorem zestawu aparatury do oznaczeń potencjalnych zdolności retencyjnych gleb oraz przyrządów do pomiaru filtracji gleb. W roku 1971 otrzymał wyróżnienie, a w roku 1978 Nagrodę Wojewódzką NOT za wybitne osiągnięcia w tej dziedzinie.

Zgodnie z art. 18 ust. 2 pkt. 1 ustawy z dnia 17.02.1961 r. o instytutach n-b (Dz.U. nr 7 poz. 41 z 1975 r.) dr hab. inż. Wenanty Olsza odpowiada warunkom w/w ustawy i może być powołany na stanowisko docenta.

Załączniki:

1. Życiorys.
2. Kwestionariusz osobowy.
3. Zdjęcia 2 szt.
4. Wykaz osiągnięć w pracy n-b.
5. Wykaz prac n-b zastosowanych w praktyce.
6. Wykaz osiągnięć dydaktyczno-wychowawczych i organizacyjnych.
7. Odpis dyplomu o nadaniu stopnia doktora habilitowanego.

Kierownik Oddziału
Prof. dr hab. Saturnin Zawadzki

Treść tego pisma zamieściłem celowo, bo jest częścią mojej historii, ale na uwagę zasługuje zwłaszcza spis załączników. Czy nie wystarczyłby tylko odpis dyplomu? Zbędne wydaje się powielanie tych samych materiałów, co przy habilitacji, na przygotowanie których straciło swój czas wiele osób. Zamiast tego mógłbym przygotować kolejną publikację do druku. To działanie charakterystyczne dla poprzedniego systemu, pozbawione efektów i celu, a motywowane tym, że nikt nikomu nie ufał. Ten przykład częściowo może wyjaśniać nasze ubóstwo, zbyt dużo czasu tracimy na niepotrzebne i nieefektywne zajęcia, będące wymysłem urzędników poprzedniego systemu i wynikiem braku koordynacji między resortami Rady Ministrów.

Nominacja na stanowisko docenta

Po sześciu miesiącach krążenia dokumentów zostałem mianowany przez ministra rolnictwa na stanowisko docenta. Nominacja ta zakończyła dziesięcioletni okres oczekiwań i zabiegów o to, aby stać się samodzielnym pracownikiem nauki. Od dyrektora IMUZ otrzymałem nagrodę pieniężną za uzyskanie stopnia naukowego doktora habilitowanego w wysokości siedmiu tysięcy złotych oraz comiesięczny dodatek w wysokości trzystu złotych.

Nominacja ta dała początek nowemu rozdziałowi w moim życiu naukowym i działalności organizacyjnej oraz dydaktyczno-wychowawczej. Napływały propozycje udziału, a następnie powołania na członka Rad Naukowych IMUZ w Falentach, Instytutu Agrofizyki PAN w Lublinie oraz członka Komitetu Melioracji PAN, Komitetu Agrofizyki PAN, a także członkostwo w międzynarodowych Towarzystwach: Gleboznawczym (ISSS), Torfowym (IPS) i w zespołach oraz komisjach i stowarzyszeniach badawczych w kraju i za granicą. W ramach mojego członkostwa w Radzie Naukowej Agrofizyki PAN zostałem powołany również na:

- Kierownika celu badawczego 10.8.7.1, pt. „Doskonalenie technologii regulowania stosunków wodnych na meliorowanych terenach dolinowych oraz metody prognozowania potrzeb nawodnień i odwodnień”.
- Członka Rady Programowej programu POL/86/002, pt. „Wykorzystanie teledetekcji do opracowania systemu dynamicznego określania wilgotności gleb użytków zielonych, w celu prognozowania zbiorów”, przy Biurze Międzynarodowych Programów Naukowo – Technicznych w Ministerstwie Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej w Warszawie.
- Konsultanta i recenzenta tematu 51/COBR 10.8.8.4, pt. „Założenia i postać matematyczna modelu służącego do wspomaganie decyzji związanych z rozrzędem wody w Subregionie XI Górnio-Noteckiego Systemu Wodno-Gospodarczego” (realizowanego przez Instytut Badań Systemowych PAN w Warszawie).
- Kierownika tematu w ramach Programu Rozwoju Narodów Zjednoczonych FAO-POL /86/002, pt. „Udoskonalenie modelu prognozowania nawodnień oraz płoń użytków zielonych poprzez wprowadzanie pozyskiwanych teledetekcyjnych informacji”.

W ramach tego ostatniego tematu współpracowałem z profesorem Andrzejem Ciołkoszem z PAN-u w Warszawie, a jakiś czas później wyjechałem na stypendium FAO do Holandii.

Tak rozległa aktywność wymagała ode mnie utrzymywania kontaktów i wyjazdów krajowych oraz zagranicznych. Stąd moje starania o instalację telefonu w domu, które to od kilku lat nie dawały efektów. Gościłem u siebie wielu znajomych z zagranicy, niedowierzali oni w brak możliwości założenia telefonu stacjonarnego. Nie wytrzymał również dyrektor IMUZ i interweniował u prezydenta miasta Lublin, wysyłając do niego prośbę o zainstalowanie telefonu, w związku z szeregiem naukowych i społecznych funkcji, jakie pełniłem. W tamtych czasach wszystko wydawało się być szare, bezbarwne i trudne do zdobycia. Wszystkiego brakowało, czego doświadczyłem zwłaszcza podczas przeciągającej się budowy domu, mimo że minęło dziesięć lat od jej rozpoczęcia niewiele uległo zmianie.

Po habilitacji czekały na mnie kolejne wyzwania, w pracy otrzymałem nowe obowiązki, w dalszej perspektywie była profesura, a prywatnie dokończenie infrastruktury na osiedlu Sławinek, gdzie zamieszkałem w nowym domu. Okres budowy i etap zaraz po wprowadzeniu się były trudne, doskwierał nam brak dojazdu, kanalizacji, przeciekający dach, zimno w domu ogrzewanym początkowo węglem, a z czasem gazem pobieranym z sieci miejskiej. Wszystkie media, gaz, wodę, światło na ulicy zakładaliśmy w czynie społecznym, angażując własne środki i sprzęt budowlany, wypożyczony z zaprzyjaźnionych przedsiębiorstw państwowych. Moja posesja została zabudowana jako jedna z pierwszych na ulicy, włożyłem wiele wysiłku w opracowanie dokumentacji technicznej, a następnie wykonanie wody, gazu, kanalizacji, a na końcu nawierzchni asfaltowej ulicy, wszystko to w ramach czynu społecznego. Wraz ze wzrostem zabudowy ulicy, koszty, jakie obciążały mieszkańców malały. Pomocnym w organizacji tych inwestycji był sąsiad Tadeusz Piasecki, który pełniąc funkcje dyrektora zespołu cukrowni lubelskich, miał wpływ, jakie umożliwiły pozyskanie sprzętu i materiałów budowlanych. Prace te prowadziliśmy społecznie i należało je pogodzić z karierą zawodową, w moim przypadku z racji awansu obowiązków stale przybywało, nadal często pozostawałem w Instytucie do dwudziestej drugiej. Wszystkie zadania domowe i opiekę nad dziećmi przejęła zatem żona, która nie pracowała zawodowo, co wtedy było rzadkością, gdyż trudno było utrzymać rodzinę z jednej pensji. Dzięki temu dzieci nie musiały zajmować miejsc w przedszkolach, a ja mogłem poświęcić się pracy naukowej w Oddziale oraz uczestnicząc w działaniach różnych gremiów: komitetów PAN i towarzystw naukowych, krajowych i międzynarodowych.

Moim podstawowym zadaniem w nowej roli było uczestnictwo w pracach statutowych IMUZ w ramach programu pt. „Woda i trwałe użytki zielone jako podstawa kształtowania zrównoważonego i wielofunkcyjnego rozwoju obszarów wiejskich”. Drugim istotnym zadaniem było świadczenie usług związanych z rozwiązywaniem doraźnych problemów we współpracy z terenową służbą melioracyjną, w zakresie funkcjonowania systemów wodno-melioracyjnych, regulacji stosunków wodnych

oraz projektowania gospodarki wodnej gleb i roślin. Główne kierunki prac naukowo-badawczych lubelskiego Oddziału IMUZ wchodziły w obszar przyrodniczych podstaw gospodarki wodnej gleb i roślin. Najistotniejszy zakrój wykonywanych prac to:

- ilościowa ocena stanu zaawansowania przeobrażeń wtórnych, zachodzących w glebach torfowych pod wpływem melioracji i rolniczego użytkowania,
- kartowanie gleb i ocena zakresu zagospodarowania i walorów przyrodniczych terenów mokradłowych,
- tworzenie podstaw regulowania stosunków wodnych w glebie, modelowanie i symulowanie numeryczne procesów dynamiki uwilgotnienia gleb w powiązaniu z funkcjonowaniem różnych urządzeń i systemów melioracyjnych,
- opracowanie koncepcji przywracania do pierwotnego stanu zanikających zbiorników wodnych,
- wykonywanie ekspertyz przed i pomelioracyjnych,
- realizacja badań i ekspertyz pod kątem pozwoleń wodno-prawnych, w zakresie ochrony i oddziaływania inwestycji na środowisko.

Wymagało to uczestnictwa w posiedzeniach różnych instytucji i gremiów, a co za tym idzie wiązało się z licznymi wyjazdami krajowymi i zagranicznymi.

W ramach międzynarodowej współpracy naukowej wygłaszałem referaty i doniesienia w dawnym ZSRR, CSSR, NRD, w Węgrzech i w innych krajach. Do państw, które odwiedzałem najczęściej, bo byłem tam aż siedem razy, zalicza się dawny Związek Radziecki, gdyż w ramach współpracy między IMUZ a Instytutem *Sojuzgiprowodchoz* jeździłem do Moskwy.

ZSRR był nie tylko największym państwem na świecie, ale także najbardziej zróżnicowanym pod każdym względem, również geograficznym, stanowił prawdziwe, naturalne muzeum przyrodnicze, zaniedbane i niedoceniane. Równocześnie pozostawał zamknięty, odizolowany od całego świata, w tym także od własnych obywateli.

Możliwości wyjazdu z Polski do Rosji w czasach stalinowskich były rzadkością, później wcale nie było lepiej, gdyż kraj ten pozostawał szczelnie zamknięty. Pierwszy raz do ZSRR wyjechałem w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku, w ramach wymiany studentów na Krymie. Po dziesięciu latach przepisy uległy nieco złagodzeniu, ciągle jednak cała procedura związana z wizytami w poszczególnych instytutach była ogromnie zbiurokratyzowana i załatwiana na szczeblu ministerialnym. Ze strony rosyjskiej uczestnikami wymiany byli wyżsi urzędnicy Ministerstwa Rolnictwa, a w instytutach zamiast w laboratoriach przyjmowano nas w gabinetach dyrektorskich. Wymiana trwała wiele lat i miała charakter wizerunkowo-turystyczny. Centralnym punktem naszych odwiedzin była Moskwa, jej zabytki i okolice, a z niej jeździliśmy pociągiem do Petersburga, Kijowa, Lwowa i innych miast dawnego Związku Radzieckiego.

Moskwa stanowiła niezwykle ważny węzeł komunikacyjny kraju (kolejowy, drogowy i lotniczy), co świadczyło o ogromnym scentralizowaniu całego życia w ZSRR. Moskwa należy po Londynie do największych miast europejskich i jest wielkim centrum

naukowym – posiada siedemdziesiąt pięć uczelni wyższych, w tym dwa uniwersytety, wówczas uczyło się na nich sześćset studentów, ma również ponad czterysta instytutów naukowych, muzea, teatry, a także centrum przemysłowo-gospodarcze. To, co mnie najbardziej oczarowało, to gęsta sieć bardzo ładnego metra, które rozwiązywało problemy komunikacyjne, ale mogło stanowić również rodzaj schronu. Na początku miałem problemy z poruszaniem się nim, dlatego korzystałem z pomocy kolegów. Za pięć kopiejek można było objechać całe miasto, przesiadając się na różne linie na wielopiętrowych stacjach węzłowych, bogato ozdobionych marmurem i rzezbami, wystrój tych stacji robił wrażenie i mógł zachwycić każdego. Moskwa została zbudowana z rozmachem, ma szerokie ulice, dużo terenów zielonych wysokie budynki w stylu naszego Pałacu Kultury, których elewacje nie wszystkim mogą się podobać. Przebywałem tam wielokrotnie, za każdym razem w ciągu dnia zwiedzaliśmy różne zabytki i miejsca, a wieczory spędzaliśmy przy muzyce i tańcach w restauracjach z suto zastawionymi, m.in. z szampanem i kawiozem, stołami. Rosjanie nadużywali trunków, już rano w windzie czuło się zapach alkoholu, a w czasie rewizyty, podczas zwiedzania Warszawy, urywali się pod byle pretekstem do hotelu, by uzupełnić brak alkoholu.

Było tam co oglądać, dlatego większość czasu spędzaliśmy na zwiedzaniu miasta i okolic. W pierwsze kolejności obejrzelśmy dostępne obiekty Kremla, otoczonego wysokim murem i licznymi basztami. Ciekawe i bogate w zabytki sakralne były sobory, największy – Uspienski, z pięcioma złotymi kopułami; Błagowieszczeński, uważany za najważniejszą świątynię Starej Rusi i Archangielski, odgrywający rolę podobną do naszego Wawelu. W jednym z obiektów znajdowało się muzeum z cennymi zbiorami niespotykanej na świecie sztuki zdobniczej, kipiało tam od złota i kosztowności. Później widziałem równie wspaniałe muzea jedynie w Chinach, ale nie były one tak bogato wyposażone. Na Kremlu w dziewiętnastym wieku dobudowano Wielki Pałac Kremłowski, a w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku – Pałac Zjazdów. W tym ostatnim, w czasie kolejnych tu pobyków, byłem z kolegami na występach zespołów artystycznych.

W sąsiedztwie Kremla znajduje się Plac Czerwony, dawne miejsce defilad wojskowych – pokazu siły i innych uroczystości kraju radzieckiego. Stało tu muzeum wojska rewolucji Lenina, przed którym ustawiały się kilometrowe sznury ludzi z Moskwy i całego kraju, nas wyjątkowo wprowadzano do środka bez kolejki. Stałym punktem zwiedzania była Galeria Trietjakowska, centralne muzeum sztuki rosyjskiej i radzieckiej. Została ona założona przez Pawieła Trietjakowa pod koniec dziewiętnastego wieku i ofiarowana miastu, a w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku doczekała się upamiętnienia. Znajdują się w niej bogate zbiory malarstwa z okresu od czternastego wieku po wiek dwudziesty oraz rzeźby powstałe od trzynastego do dwudziestego wieku. Oglądałem te zbiory z dużym zainteresowaniem jeszcze kilka razy, są tu bowiem np. wspaniałości ze skarbcza kremłowskiego, jakich trudno szukać na całym świecie, podobnie zachwycił mnie później Ermitaż. Muzea te stały się inspiracją w mojej działalności artystycznej, o której będę pisał więcej w kolejnych rozdziałach.

Leningrad, od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku ponownie zwany Petersburgiem, to drugie pod względem liczebności miasto po Moskwie. To duży ośrodek naukowy i kulturalny, posiada ponad wyższych uczelni i ponad sto instytutów naukowo-badawczych, jest tam wiele teatrów, muzeów, z najsłynniejszym Ermitażem na czele, oraz innych zabytków.



Fot. 13. Moje malarstwo – Rembrandt olej

Zwiedzanie Petersburga rozpoczęliśmy od wspomnianego już Ermitażu, który mieści się w Pałacu Zimowym oraz w przyległych do niego budynkach. Jest to jedno z największych muzeów świata, posiada ponad dwa i pół miliona eksponatów. Bogate są tu zbiory malarstwa zachodnioeuropejskiego z obrazami wybitnych mistrzów, takich jak Leonardo da Vinci, Tycjan, Rubens, Murillo, Rembrandt i wielu innych. Mój szczególny zachwyt zwróciły obrazy Rembrandta, wcześniej podziwiałem je w Amsterdamie, będąc w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym na stażu naukowym w Holandii. W swojej kolekcji mam wiele własnych kopii jego malarstwa (Fot. 13).

Jest tam również bogata galeria grafiki, rzeźby, rzemiosła artystycznego, sztuki starożytnych krajów wschodnich, historii kultury rosyjskiej i radzieckiej.

Miasto jest położone urokliwie przy ujściu rzeki Newy i to właśnie przy nabrzeżu Newy lub w jej pobliżu znajduje się dużo interesujących i pięknych obiektów. Tu właśnie są zlokalizowane budynki Ermitażu z Placem Pałacowym i kolumną cara Aleksandra I, nieopodal stoi Pałac Letni z muzeum Piotra I, a jeszcze dalej – Pałac Smolny. Natomiast w kierunku zachodnim usytuowany jest sobór św. Izaaka, dziś jedno z najpiękniejszych na świecie muzeów z licznymi mozaikami. Na przeciwnym nabrzeżu Newy, w oddali widoczna jest Twierdza Pietropawłowska z soborem i charakterystyczną iglicą. Na końcu Wyspy Wasylewskiej znajdują się budowle z osiemnastego wieku, w niektórych z nich mieściła się siedziba wydziałów Uniwersytetu Leningradzkiego.

Wracając do Moskwy, to warto wspomnieć o Zagorsku, położonym około siedemdziesiąt kilometrów na wschód od stolicy, gdzie znajduje się jeden z najciekawszych w Rosji zespół prawosławnych klasztorów z czternastego i piętnastego wieku, jak Sobór św. Trójcy, cerkiew Świętego Ducha, a także mury obronne z basztami i pałac carski z siedemnastego wieku. To, co stamtąd zapamiętałem, to wspaniałe wielkowieściowe gobeliny na ścianach, podobne do naszych arrasów na Wawelu. Przedstawione były na nich postaci świętych, ikony oraz sceny rodzajowe, wywołujące zachwyt i podziw dla ich twórców i dzisiejszych włodarzy, którzy zachowują i pielęgnują swoje dziedzictwo dla kolejnych pokoleń. Z tej interesującej podróży po Związku Radeckim, na uwagę zasługuje również pobyt w Ukrainie, długa podróż pociągiem i zwiedzanie Kijowa, Lwowa i Rostowa. Ostatni raz odwiedziłem Ukrainę po zmianie systemu w dwatysiące drugim roku, pracując już wtedy na Politechnice.

Życie pełne jest miłych i smutnych przypadków. Bez tych doświadczeń nie poznamy pełni egzystencji, w złym i dobrym jej znaczeniu. Podróże są właśnie dopełnieniem doświadczeń życiowych, zapewniają wiele różnych wrażeń, nowych doznań i przeżyć duchowych, estetycznych, a przede wszystkim poznawczych. Mam tu na myśli głównie poznawanie ludzi, ich kulturę, zwyczaje, przyrodę, środowisko i warunki, w jakich żyją i pracują. W konfrontacji z krajami zachodu, wrażenia te były dość smutne, ale jednocześnie kształtujące i pouczające. Ludzie tam byli uprzejmi, mentalnie bliscy nam, ale ponurzy i niezadowoleni z własnego losu. Mieszkali w ciasnych, wielopiętrowych blokach, z których się cieszyli i chlubili, bowiem w nieco większych lokalach, ze wspólnym korytarzem, kuchnią i ubikacją, mieszkało zwykle po kilka rodzin. Na wsi ciągle dominowała drewniana zabudowa, podróżując samochodem poza granice Moskwy widziałem stare drewniane domki. Porównując ten krajobraz z polską wsią, to u nas widać było wyraźny postęp, większość budynków była już murowana. Sytuacja mieszkaniowa i lokalowa była tam znacznie gorsza niż w Polsce. W zakładach pracy było podobnie, w pokojach siedziało obok siebie po kilka osób. To wyjaśniło, dlaczego unikano spotkań w miejscu pracy i w laboratorium. Goszczono nas w restauracjach, teatrach, muzeach, a my przyjmowaliśmy ich potem we własnych domach, co ich zaskakiwało i zbliżało nas do siebie.

Byłem już po habilitacji, na stanowisku docenta, uczestniczyłem zatem w różnych międzynarodowych towarzystwach naukowych, wyjazdy zagraniczne stały się powszechne. Prawie każdego roku w programie były dwie wizyty, jedna do kraju należącego do bloku wschodniego, a druga do państw zachodnich, o niektórych z tych podróży będę pisał później. Oczywiście na taki wyjazd należało zapracować odpowiednimi osiągnięciami, publikacjami krajowymi i obcojęzycznymi oraz zgłoszeniami do udziału w konferencjach lub seminariach. Każdy referat czy poster musiał uzyskać recenzję w kraju i zgodę dyrektora na delegację.

Z wyjazdami do krajów wschodnich nie było problemów, odbywały się w ramach umów bezdewizowych, natomiast dewizowe wyjazdy na zachód były bardzo ograniczone. Na każdy z nich należało sobie zabezpieczyć odpowiednie środki z grantów bądź z własnych źródeł.

Pamiętam doskonale udział w konferencji w Starej Leśnej, dawniej w Czechosłowacji dziś w Słowacji. Ze Słowakami byliśmy zaprzyjaźnieni, pamiętam jak wówczas docent Siutor z łezką w oku ubolewał, że świat nie wie o istnieniu Słowacji, jej osiągnięciach i znaczeniu. Dekadę później Słowacy odłączyli się od Czechów, a kolega Siutor na kolejnych spotkaniach nie ukrywał zadowolenia i satysfakcji z tego podziału. Inne zdarzenie, która zapamiętałem z tamtego spotkania, to zakwaterowanie w jednym pokoju z profesorem Witoldem Stępniewskim z Instytutu Agrofizyki PAN w Lublinie. Znaliśmy się wcześniej, gdyż uczestniczyłem w posiedzeniach Rad Naukowych Instytutu, ale dużym zaskoczeniem dla mnie był widok kolegi modlącego się klęcząco rano i wieczorem. Ja też byłem wierzącym i praktykującym, do siedemdziesiątego piątego roku życia brałem udział niemal w każdej cotygodniowej mszy niedzielnej, ale nigdy nie manifestowałem swojej wiary w taki sposób jak mój kolega Witek.

Moje kolejne spotkanie z nim miało inny charakter, staraliśmy się o trzymiesięczne stypendium FAO, bardzo korzystne finansowo. Wstępnym warunkiem było zdanie egzaminu państwowego z języka angielskiego. Egzamin testowy odbył się w Warszawie w Ministerstwie Rolnictwa, kandydatów z całej Polski było wielu, a my siedzieliśmy w ławce obok siebie. Kolega, który rok wcześniej we wspólnym pokoju modlił się na kolanach, teraz odwrócił się tyłem do mnie, bym nie mógł sprawdzić kątem oka jego odpowiedzi na pytania. Oczywiście mój kolega egzamin zdał, a ja tego testu nie zaliczyłem. Udało mi się to dopiero jakiś czas później w ambasadzie USA i na stypendium wyjechałem do Wageningen w Holandii, natomiast Witek nie wyjechał w ogóle na to stypendium.

Swoje badania modelowe w ramach prac statutowych w IMUZ rozszerzyłem o zjawiska termiczne na powierzchni liści traw. Współpracę w tym temacie nawiązałem z profesorem Andrzejem Ciołkoszem z Instytutu Geodezji i Kartografii w Warszawie i w ramach tej problematyki wyjechałem na trzymiesięczne stypendium FAO do Holandii. Pobyt ten zaowocował kilkoma publikacjami i kontaktami podtrzymującymi związki pomiędzy instytutami.

Za działalność naukową i społeczną kierownictwo Oddziału wystąpiło w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim oraz tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku do dyrektora IMUZ Somorowskiego z wnioskiem o przyznanie mi Złotego Krzyża Zasługi. Wtedy w punkcie trzynastym wniosku o nadanie odznaczenia napisano: „Za wybitny wkład w ugruntowanie pozycji naukowej IMUZ”. To krótkie uzasadnienie nie wystarczyło Dyrektorowi IMUZ, by wystąpić o nadanie mi tego odznaczenia. Dopiero po odejściu Somorowskiego ze stanowiska, który był w konflikcie z moim szefem, po trzech latach, kierownik Oddziału wystąpił z kolejnym wnioskiem, w którym zwracał się z prośbą o podjęcie starań na rzecz odznaczenia mnie Złotym Krzyżem Zasługi. Przypominał tam, że z wnioskami w tej sprawie zwracano się już dwukrotnie, a ja sam legitymuję się dużymi osiągnięciami naukowymi i w pełni zasługuję na takie odznaczenie.

Podanie to było dość stanowcze, bowiem poprzednie były celowo opóźniane, jak sądzę przez naszych kolegów z Podstawowej Organizacji Partyjnej. Ze względu na to, że byłem bezpartyjnym, wcześniej sprzeciwiali się moim awansom i nagradzaniu mnie, stawiając szefowi polecenia, których musiał słuchać. Takie zachowania i arogancja władzy zniechęcały do wysiłku.

W tym czasie ukazał się w prasie artykuł na temat Komitetu Założycielskiego Stowarzyszenia Ofiar Trzeciej Rzeszy, zarejestrowanego w Bielsku Białej. Komitet ten zamieścił w prasie ulotkę, zawierającą listę osób uprawnionych do wnoszenia cywilnych roszczeń odszkodowawczych wobec byłej Trzeciej Rzeszy. Ja kwalifikowałem się jako pokrzywdzony, wymieniony w punkcie pierwszym i ósmym:

1. wdowy i sieroty oraz krewni, spadkobiercy ofiar, których śmierć została spowodowana eksterminacyjną polityką i terrorem okupanta;

[...]

8. osoby pozostałe po zamordowanych lub zmarłych na skutek nieludzkiego traktowania przez okupanta, wdowy, sieroty i krewni.

Wróciły niezatarte wspomnienia z dzieciństwa, a także dojmujące poczucie bezsilności. Postanowiłem wszcząć postępowanie odszkodowawcze, za poniesione straty materialne, moralne i biologiczne spowodowane utratą ojca Wincentego Olszty, zamordowanego przez Niemców w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku w obozie karnym w Pustkowie.

W podaniu pisałem, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku Niemcy aresztowali ojca na ulicy, oskarżając go o pomoc partyzantom i następnie osadzili go na Majdanku w Lublinie. Po ośmiu dniach pobytu, został przewieziony do obozu karnego w Pustkowie. Po kilku miesiącach ciężkiej pracy (najprawdopodobniej przy budowie rakiet V – 2) i obozowego terroru ojciec zmarł, o czym Niemcy powiadomili ustnie matkę w pierwszych miesiącach tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

Cały okres powojenny, aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku żyliśmy w skrajnej nędzy, w prowizorycznym pomieszczeniu, w chłodzie i głodzie. Matka posiadała gospodarstwo rolne o powierzchni ponad dwóch hektarów, nie mogła sama sprostać trudom odbudowy zabudowań i ciężkiej pracy na roli, często chorowała z wyczerpania i smutku po stracie ojca i męża. Od najmłodszych lat opiekowałem się młodszą siostrą Marią, a mając dziesięć lat musiałem chwycić za kosę i pług, aby odciążyć i ulżyć matce. Głęboki uraz psychiczny wywołany brakiem ojca, a w przypadku matki męża, obciążenie pracą fizyczną oraz niedożywienie były przyczynami wielu cierpień naszej rodziny. Siostra, słabsza psychicznie, zmarła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, mając dwadzieścia dziewięć lat, matka zmarła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku, przeżywszy sześćdziesiąt lat, ja natomiast od wielu lat cierpię na zwyrodnienie kręgosłupa, wywołane ciężką pracą fizyczną w dzieciństwie. Wcześniej wysłałem podanie, zgłaszając chęć członkostwa w stowarzyszeniu, w odpowiedzi otrzymałem informację, że: „Aktualnie Stowarzyszenie Ofiar III Rzeszy znajduje się w stadium organizacji tymczasowych władz centralnych i terenowych. Po zakończeniu wstępnych przygotowań organizacyjnych powiadomimy wszystkich zainteresowanych dochodzeniem swoich roszczeń o dalszym trybie postępowania”. Prace organizacyjne trwały dość długo, po dwóch latach na adres Stowarzyszenia wysłałem następny list, niestety bez większych rezultatów.

Nadzieja odżyła po kolejnych czterdziestu latach, w dwutysięcznym dziewiętnastym roku, kiedy to szef Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński, jak sądzę jedynie ze względów propagandowych, obudził nadzieje Polaków, ogłaszając kolejną kampanię na rzecz roszczeń odszkodowawczych wobec Niemców. Cierpienia i straty, jakie Polacy ponieśli, zasługują na poważną rekompensatę, mam nadzieję, że w przyszłości do niej dojdzie, dlatego pozwoliłem sobie wspomnieć o tym w tej biografii, by moje dzieci i wnuki, jeśli dożyją tego momentu, miały podstawę do odszkodowań.

Wróćmy jednak do lat osiemdziesiątych, do czasu po habilitacji i po stanie wojennym. Prowadzone przeze mnie badania w zakresie ruchu wody w glebie nienasyconej oraz w dziedzinie wpływu melioracji na plonowanie użytków zielonych spotkały się z dużym zainteresowaniem w kraju i za granicą. Moje publikacje na temat symulacji matematycznej obiegu wody w przyrodzie były tematem wielu publikacji w czasopiśmie krajowych i w kilku zagranicznych, co przyczyniło się do mojego uczestnictwa w krajowych i międzynarodowych konferencjach i seminariach:

- Udział w VIII i IX sympozjum na temat nawodnienia roślin, Wrocław 1979 i 1980 r.
- Referat *Pervision de la dynamique desu du sol et de la recolte de foim par la simulation mathematique*, wygłoszony na francusko-polskim seminarium w Awinionie, Francja 1985 r.
- Referat *Modeling and simulation of soil water regime*, wygłoszony na węgiersko-polskim seminarium *Problemy wody glebowej*, Budapeszt 1978 r.

- Udział w międzynarodowej konferencji *Physical properties of agrocltural materials*, Godollo, Węgry 1980 r.
- Referaty na IV I VI polsko-czechosłowackim seminarium *Fizyka wody glebowej*, Zakopane 1980 r. i Lublin 1984 r.
- Referat na konferencji *The use of simulation irrigation scheduling, XII International Congress on Irrigation and Drainage*, USA 1984 r.
- Referat na konferencji *Utilisation du modele UGWPN pour resoudre les probimes et thiorigues d'irrigation et. de. productivite des plantes*, Jabłonna 1985 r.
- Referat *Simulation of dynamic water conditions in peat soil*, współautor J. R. Lambert, wygłoszony na III Międzynarodowym Sympozjum *Charakterystyka i wykorzystanie torfowisk*, USA 1988 r.
- *Matematyczne modelowanie wodnego reżimu sielsko – chozajstwiennych kultur pri programowaniu urożaja. Naucznoje Sotrudniczewstwo, „West S-ch Nauki” 1989, nr 1 (389), Moskwa.*
- Poster *Symulacja transpiracji i temperatury liści traw w zależności od wilgotności gleby*, zaprezentowany na Kongresie Europejskiego Towarzystwa Agronomicznego, Paryż 1990 r.
- Referat *Modeling of the soil water and thermal processes for irrigation scheduling*, wygłoszony na Kongresie ICID w Kairze, Egipt 1993 r. oraz na Międzynarodowym Kongresie Gleboznawczym w Acapulco, Meksyk 1994 r.
- Referat *Aplication of unaturated soil...*, wygłoszony na III Bilateralnym Sympozjum IMUZ – SMP, w ramach współpracy z Uniwersytetem im. W. Piecka w Rostoku.

W 1986 r. zostałem powołany na koordynatora celu naukowego pt. *Doskonalenie technologii regulowana stosunków wodnych oraz metod prognozowania potrzeb nawodnień i odwodnień* w CPBR 10.8.7.1. oraz konsultanta tematu 51/CPGR 10.8.8.4. pt. *Założenia i postać matematyczna modelu służącego do wspomagania decyzji związanych z rozrządem wody w Subregionie XI Górnonoteckiego Systemu Wodnogospodarczego*, realizowanego przez Instytut Badań Systemowych PAN w Warszawie. W ramach tego tematu współpracowałem z Instytutem Agrofizyki PAN w Lublinie, Instytutem Budownictwa PAN w Gdańsku, SGGW–AR w Warszawie oraz Instytutem Geodezji i Kartografii w Warszawie, z tym ostatnim w zakresie wykorzystania informacji pozyskiwanych z teledetekcji. W ramach współpracy naukowo-technicznej Polski z UNDP FAO byłem członkiem Rady Programowej przy Biurze Międzynarodowych Programów Naukowo-Technicznych w Ministerstwie Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej oraz kierownikiem tematu: *Doskonalenie modelu prognozowania nawodnień oraz płonów użytków zielonych poprzez wprowadzanie pozyskanych teledetekcyjnie informacji.*

Badania w tym temacie prowadziłem, realizując otrzymany grant z Komitetu Badań Naukowych (KBN), w ramach którego współpracowałem ze wspomnianym już profesorem Ciołkoszem z Instytutu Geodezji i Kartografii. Ja prowadziłem pomiary naziemne w podczerwieni, na Stacji Lizymetrycznej w Sosnowicy, przy użyciu radiometru ręcznego, a IGiK prowadziło podobne pomiary z samolotu, w dodatku musiały być one zsynchronizowane z pomiarami satelitarnymi.

W ramach tego grantu oraz współpracy IMUZ z Instytutem Gospodarki Wodnej ICW w Wageningen w Holandii, odbyłem trzymiesięczny staż naukowy – stypendium FAO, w zakresie modelowania zjawisk termicznych na powierzchni liści. Tym razem warunkiem wyjazdu – w przeciwieństwie do poprzednich staży – było zdanie egzaminu z języka angielskiego, który odbył się w ambasadzie amerykańskiej. Okazało się, że egzamin zdałem bardzo dobrze. Od mojego powrotu ze Stanów upłynęło trzynaście lat, w międzyczasie wyjeżdżałem na konferencje i seminaria zagraniczne i nie miałem kłopotów ze swobodnym porozumiewaniem się, wynik tego egzaminu był na to najlepszym dowodem.

Prowadzone w tamtym czasie w ramach grantu KBN badania dotyczyły wykorzystania informacji, pozyskiwanych z teledetekcji, do udoskonalenia i poszerzenia mojego modelu UGWTPN o symulacje temperatury liści traw. Mój trzymiesięczny staż naukowy w Wageningen zaowocował dwoma publikacjami zatytułowanymi:

- *Symulacja transpiracji i temperatury liści traw w zależności od uwilgotnienia gleby i warunków pogodowych.*
- *Symulacja gospodarki wodnej i prognozowania plonów, wykorzystując model SWA-CROP i model UGWTPN (współautor dr W. Kabata).*

Technika satelitarna, wraz z możliwością rejestracji zjawisk termicznych liści roślin, integruje wiele dyscyplin nauki jak: meliorację, gleboznawstwo, uprawę roślin oraz wspomaga wszelkie prace modelowe prognozujące nawodnienia i plonowanie roślin na dużych obszarach w oparciu o zdalny pomiar temperatury łąnu. Obie te prace zostały opublikowane w Wydawnictwach ICW – Wageningen i sądzę, że mogły przyczynić się do postępu tej szybko rozwijającej się na świecie dyscypliny. Amerykanie już w latach siedemdziesiątych, na podstawie pomiarów satelitarnych, prognozowali plony pszenicy na terytorium dawnego ZSRR, co pozwalało im na gromadzenie zamiast niszczenia zapasów zboża na ewentualny eksport.

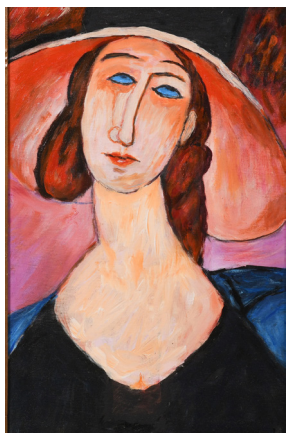
Dla mnie był to już trzeci pobyt w Holandii, pierwszy odbyłem na praktyce studenckiej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku, drugi po studiach na stażu asystenckim. Teraz w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku pojechałem na stypendium finansowane przez FAO już jako współpartner i uczestnik w rozwiązywaniu międzynarodowych tematów badawczych. Holandia to mały i ciekawy kraj, wcześniej pisałem o nim pełen zachwytu i podziwu. Tym razem, okazało się, że nie był to ten sam kraj, zanieczyszczone kanały i zaśmiecone ulice nie przypominały dawnych widoków i nie robiły takiego wrażenia jak poprzednio. Natomiast ludzie pozostali ci sami, nadal byli skromni i oszczędni. Zamieszkałem na stacji u samotnej starszej pani, a do pracy jeździłem rowerem, jak większość Holendrów. Moja gospodyni poinformowała mnie na wstępie, w jaki sposób korzystać ze światła i wody, aby nie zużywać ich za wiele, np. w czasie kąpieli czy przygotowywania herbaty. Pisałem wcześniej o świadomości ekologicznej Holendrów i ich oszczędności w życiu codziennym. Wspomniałem gospodyni, że sam mieszkam w Polsce w domku jednorodzinny i że podobnie do niej zwracam uwagę na korzystanie z wody w taki sposób,

aby stulitrowy bojler wystarczył przynajmniej dla dwu osób. W odpowiedzi usłyszałem, że poprzednio mieszkał u niej pan z Poznania, który w czasie dwóch miesięcy zużył tyle wody, co ona przez cały rok. Mój poprzednik z Poznania mieszkał w dużym bloku, gdzie był jeden wspólny licznik pomiaru zużycia wody, przywykł więc do nieograniczonego dostępu do niej. W konsekwencji jesteśmy na końcu listy krajów Europy pod względem zasobów wody pitnej.

Był to mój trzeci pobyt za granicą w okresie świąteczno-noworocznym i znów nie było łatwo. Tym razem święta spędziłem jednak z rodziną pracownika Instytutu Melioracji i Gospodarki Wodnej (ICW) doktora G.J.A. Nieuwenhuis, który wcześniej gościł w moim domu, podczas uczestnictwa w konferencji organizowanej przez Instytut Agrofizyki PAN w Lubinie. Nie szczędził wtedy słów zachwytu nad moim domem i zastawionym suto stołem i miał potem żal do swojej żony, że ich świąteczny stół nie był tak okazały. Holendrzy są bardzo oszczędni, każdy ma wydzielaną porcję, nie ma półmisek pełnych wędlin i mięsa, dzieci o drugi kawałek ciastka muszą prosić mamę, podobnie jak o słodycze. Do kawy podawano tam jedno okrągłe ciasteczko kupione w markecie, podczas gdy moja żona serwowała gościom torty i serniki własnego wypieku. Później goście zagraniczni po powrocie do swoich krajów pisali listy pochwalne dla mojej żony i jej wyrobów kulinarnych.

Podczas pobytu w Wageningen odwiedził mnie kolega ze studiów Jurek Albecki, który mieszkał w NRF przy granicy holenderskiej. Sądziłem, że zabierze mnie do siebie, ale zaprosił mnie do kawiarni na ciastko przy filiżance kawy. Do Niemiec emigrował zaraz po studiach, tam się ożenił, miał mieszkanie i niepełnosprawne dziecko. Po studiach utrzymywaliśmy kontakt listowy, poznał też moją żonę i synów Mariusza i Bartosza, kiedy był u nas w domu. Nie ukrywał wtedy zdziwienia i zachwytu nad wystrojem: w salonie z kominkiem stały czarne dębowe meble ze Swarzędza, a na ścianach wisiały dwa stare zegary i pięć obrazów, w tym moje reprodukcje – trzy Rembranta, jedna Modiglianiego i jeden rynek w Kazimierzu – Stanisława Łazorka. Dziś w podobnym wielkością salonie przy ulicy Baśniowej wisi na ścianach siedem zegarów i dziesięć obrazów mojego pędzla, (Fot. 13–15). Albecki po jakimś czasie rozwiódł się, ożenił ponownie i z drugą żoną wyjechał do Kanady, wtedy na pewien czas straciliśmy kontakt.

Podczas tego pobytu w Holandii odwiedziłem kilka miast oraz dawnych znajomych, Hekmana w Arnhem i W. Segerena w Delf, mojego opiekuna w Kampen, a wtedy już rektora Uniwersytetu Technicznego. Z tym ostatnim spotkałem się raz jeszcze, już jako profesor, na Kongresie Nawodnień i Odwodnień ICID w Kairze w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Instytut ICW – melioracji i gospodarki wodnej jest jednym z czterech instytutów skupionych w centrum badawczym pod nazwą The Winand Starting Cente for Integrated Land, Soi Land Water Research. Jest to duży ośrodek badawczy, w skład którego wchodzi również instytuty: IOB – nawożenia i ochrony środowiska, LB – leśnictwa i planowania przestrzennego, oraz STIBOKA – gleboznawstwa.



Fot. 14. Reprodukacja: *Portret kobiety w kapeluszu* – Amedeo Modigliani



Fot. 15. Reprodukacja: *Rynek w Kazimierzu* – Stanisław Łazarek

Dyrektor tego centrum Ir. Gerhard Auke Oosterbaan był z wizytą służbową w IMUZ w Falentach, odwiedził również Lublin i gościł w moim domu. Współpraca ta była korzystna dla obu stron i przebiegała w przyjaznej atmosferze między pracownikami, co rokowało na przyszły sukces. Najlepiej świadczy o tym fragment listu przesłany na mój adres:

I would like to thank you and your wife in particular for receiving me as a guest in your beautiful house in Lublin. I was impressed by your works of art and by the way you managed to build this house, to make it a wonderful home for your family and a place to meet foreign colleagues. My wife was quite happy with the painting you gave me and immediately gave it a place in our living room. It would be nice if you could find an opportunity to visit us and see again how dutch people are living and looking after their gardens.

*Please inform me about your next visit to Holland.
With friendly regards,
Yours sincerely
Ir G. A. Oosterbaan
Director*

Otrzymywałem wiele podobnych listów od kolegów odwiedzających mój dom, były to kilkuosobowe grupy, również z krajów bloku wschodniego, ale tego typu przekazy grzecznościowe napływały później tylko od naukowców z Zachodu.

Wspomniałem, że ten trzymiesięczny pobyt w Holandii był dla mnie korzystny, przygotowałem dwie publikacje, ale zarobiłem także dwa tysiące dolarów (poprzednio po rocznym pobycie w Holandii wróciłem z dwustu pięćdziesięcioma dolarami). Dla porównania mój teść, architekt, pracując wcześniej fizycznie na budowie w Stanach, wrócił po rocznym pobycie tam również z dwoma tysiącami dolarów, co wtedy wystarczyło na zbudowanie drugiej córce Bożenie domku w zabudowie szeregowej. Po powrocie do kraju zwolnili go jednak z pracy i wyrzucili z partii. Wcześniej miał kierownicze stanowisko i musiał być członkiem PZPR, ale aby zbudować córce dom i tak był zmuszony wyjechać na saksy. Choć był zatrudniony w kraju przez dwadzieścia lat nie było go stać na pomoc córkom. Za wzorową pracę był odznaczony Krzyżem Kawalerskim OOP, tzw. „chlebowym”, czyli dwudziestoprocentową dopłatą do emerytury. Podobnie było przy budowie mojego domu, nie mogłem liczyć na większą pomoc teściów, gdyż nie było ich na to stać. Pomimo tego służby specjalne i tak sprawdzały, czy przypadkiem teść nie wznosi domu pod moim nazwiskiem, o czym wiedziałem z wiarygodnych źródeł. Kolega, który pracował w UB w ochronie rządu, był wtajemniczony w sekrety tego urzędu.

Pobyt samemu za granicą, jak już pisałem wielokrotnie, nie jest łatwy, czytając po czterdziestu latach pierwszy list, jaki teść napisał po przyjeździe do Chicago bardzo się wzruszyłem i dlatego zacytuję go w całości, w dodatku list ten oddaje nastrój tamtych czasów:

Chicago 17 lipca 1981 r.

Kochane moje dzieci!

Nareszcie jestem w Ameryce, dotarłem w czwartek o godzinie czternastej, cała moja podróż była z przygodami, zaczęło się już od samej Warszawy. Okazało się po odprawie celnej, że Amerykanie nie przyjmowali żadnego samolotu ze względu na strajk, tak samo było we wtorek, na noc wywieźli nas do hotelu, aż dopiero w środę wyjechaliśmy o godzinie piętnastej trzydzieści. Zawieźli nas do Kanady, tam czekaliśmy czterdzieści minut, a przy okazji zwiedziliśmy port lotniczy, gdzie z wrażenia doznaliśmy oczopląsu. Do Nowego Jorku przyjechaliśmy o godzinie dwudziestej pierwszej i żadnego samolotu do Chicago już nie było, całą noc zwiedzaliśmy Nowy Jork. Nad ranem zawieźli nas na drugie lotnisko, gdzie tunelem jechaliśmy trzy godziny, a w czwartek o godzinie dwunastej mieliśmy samolot do Chicago. Podróż zniosłem doskonale mimo zmęczenia i przygód. Cała rodzina czekała na mnie, było mi bardzo przyjemnie.

Pierwsze dni są przepiękne wrażeniami i spotkaniami z rodziną, codziennie do nas ktoś przyjeżdża, ale kiedy zostaję sam, to bardzo tęsknię za Wami, za Mariuszkiem i Bartuniem, no i oczywiście płaczę, nie wiem, czy tu długo wytrzymam. Chociaż mnie uspakajają, że to tylko chwilowe i że to minie. Mery i Stasio są bardzo dobrzy dla mnie, czują się jak w najlepszej rodzinie, na razie pomagam im co mogę i zaczęli się rozglądać za pracą dla mnie.

Byliśmy już w dwóch sklepach, w spożywczym i w takim, gdzie jest wszystko. Nic nie potrafiłem wybrać w takim sklepie, bo właściwie wszystko by można kupić. Doszedłem jednak do wniosku, że najlepiej to u nas się kupuje, bo nie myśli człowiek, co kupić, aby tylko coś dostać, czekając w kolejce. Niestety prawdę ktoś powiedział, że jesteśmy sto lat za murzynami i chyba to prawda.

Gdy wracamy do domu, to wcale mi się nie wydaje, że jestem w Chicago, przez okno widać domki jakbym był gdzieś na większej wiosce, a na ulicy tyle tych czarnych mam-ma mia jak się ich boję. W tym tygodniu wysłałem Wam paczkę z proszkami, Stasio obiecał, że pojedziemy na pocztę. On codziennie pracuje od siódmej rano do siedemnastej, tak tu wszyscy pracują. Mery prowadzi swoją tawernę, a ja siedzę w domu i wyglądam przez szparę firanki na ulicę, oczekując na ich powrót. Całuję wszystkich i czekam na długi list od Was.

Ojciec i dziadek Władek

Wybiegłem nieco wstecz tym wspomnieniem, list ten jest jednakże wymownym opisem tamtej sytuacji i nastrojów w Polsce oraz stanu emocjonalnego kogoś, kto przebywa samotnie za granicą z dala od rodziny. Ja w podobnej sytuacji bywałem trzykrotnie, czytając ten list i wspominając tamte trudne czasy po czterdziestu latach śmiałem się i płakałem tak samo jak wtedy. Cytuję go w całości dla wnuków, by im przypomnieć jak nierzadko Polacy wyjeżdżali za chlebem do USA, tracąc intratną pracę w Polsce na rzecz pracy fizycznej w Stanach. Poza tym podróż teścia i jego uczucia po przylocie do Chicago, przypomniały mi moją sytuację z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku, gdy sam tam się znalazłem.

Wracając do pracy w IMUZ, to oprócz licznych współprac międzynarodowych, przykładowo w projekcie EUREKA, brałem udział również w wielu programach krajowych. Za uczestnictwo w jednym z nich otrzymałem od dyrektora IMUZ podziękowanie. Warto jeszcze nadmienić inne projekty celowe do KBN realizowane przeze mnie, bądź przez moim udziale:

- *Doskonalenie rozwiązań techniczno-eksploatacyjnych i organizacji oraz zarządzania w systemie wodno-melioracyjnym Kanału Wieprz-Krzna jako warunek zrównoważonego rozwoju regionu.*
- *Modelowanie transportu wody i zanieczyszczeń rolniczych i ściekowych pod kątem ochrony gleb, użytków rolnych i wód gruntowych.*
- *Opracowanie zintegrowanego systemu oczyszczania ścieków miejskich połączonego z nawodnieniem łąk i upraw przemysłowych. Projekt zamawiany.*
- *Proekologiczne zasady rozwiązywania głównych problemów i konfliktów przyrodagospodarka w rejonie KWK. Opracowanie dla UW w Lublinie.*
- *Analiza i ocena zgłoszonych projektów badawczych centralnych i resortowych na lata 1991–1995. Opracowanie dla Komitetu Melioracji PAN.*

W ramach wspomnianej współpracy międzynarodowej zapamiętałem dwa wyjazdy do Francji, pierwszy do Paryża, a drugi do Awinionu, dawnej kolonii rzymskiej Avenio. Uczestniczyłem tam w seminarium francusko-polskim *Symulacja matematyczna ruchu wody w glebach nienasyconych*. Zwiedziliśmy przy okazji ośrodek naukowy INRA oraz odbyliśmy długą i atrakcyjną wycieczkę autokarową wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego. Po seminarium czekał nas powrót szybkim pociągiem TGV (superekspres) do Paryża.

Trudno nie wspomnieć o wrażeniach z tego pobytu, a zwłaszcza o atrakcyjności krajobrazów oraz zabytków architektury i kultury tego ciekawego turystycznie i przyjaznego nam kraju. Goszczono nas w swoich domach zarówno na wybrzeżu, jak i w Paryżu, co na Zachodzie, jak twierdzono, wtedy było rzadkością. Sądzę, że po części była to forma rewizyty po ich odwiedzinach w moim domu, podczas wizyty Francuzów w Lublinie.

Awinion to miasto liczące około dwustu tysięcy mieszkańców, które leży nad Rodanem, mającym źródło w Szwajcarii. Wśród jego ciekawszych zabytków można wymienić romańską katedrę z dwunastego wieku oraz warowny zamek papieski z czternastego wieku i Most Świętego Benedykta (powstały w dwunastym wieku), z którego ocalało tylko część przęsła i fragmenty murów miejskich. To, co mnie tam wtedy zachwycało, to bogato zastawiane stragany na targowiskach, z owocami morza w ilości i różnorodności, jakiej wcześniej nie widziałem.

Mam wspaniałe wspomnienia z całodziennego wycieczki wzdłuż Lazurowego Wybrzeża, tzw. Francuzką Riwierą, na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Trasa wiodła przez Marsylię, Cannes, Niceę, a stamtąd był już tylko krok do Monte-Carlo. Pierwszym punktem podróży autokarowej była Marsylia, miasto z ponad milionem mieszkańców i znanym portem nad Morzem Śródziemnym. W dużym stopniu została ona zniszczona w czasie drugiej wojny światowej, odbudowano ją jednak z powodzeniem wraz z uczelniami wyższymi, obiektami przemysłowymi oraz nowoczesnymi dzielnicami mieszkaniowymi, portami jachtowymi, a także z okazałymi willami. Z tamtejszych zabytków można wymienić kościoły i ratusz, na skalnym wzgórzu dominuje zaś nad miastem bazylika Notre-Dame de la Garde z dziewiętnastego wieku.

Kolejne postoje na trasie wycieczki były w Cannes i Nicei. Był wtedy październik, ale klimat śródziemnomorski sprawiał, że było bardzo ciepło jak na tę porę roku. Rzadkie krzewy, tropikalna roślinność i palmy nas zachwyciły.

Cannes jest ośrodkiem turystycznym, uzdrowiskiem i kąpieliskiem znanym z corocznych festiwali filmowych. Zwróciła tam moją uwagę ciekawa zabudowa i roślinność, a także szeroka nadmorska promenada. Po krótkim postoju i podziwianiu stada ptactwa nadmorskiego, pelikanów i innych rzadkich okazów pojechaliśmy do Nicei.

Nicea była kiedyś starożytną grecką osadą, założoną około trzy setnego roku przed naszą erą na Lazurowym Wybrzeżu, w późniejszym czasie stała się zaś ważnym rzymskim portem. Dopiero od tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku należy do Francji, przechodziła zmienne koleje losu aż po wiek dziewiętnasty. Miasto jest dużym uzdro-

wiskiem, poza tym jest okazałym portem pasażerskim i handlowym, posiada liczne zabytkowe kościoły, muzea i atrakcyjne położenie na zboczu gór. To wszystko, w połączeniu z lazurowym morzem, nawet mimo jesiennej aury, decydowało o jego malowniczości. Powrót do Awinionu i zakończenie seminarium uczciliśmy bankietem z suto zastawionymi stołami i dużą ilością wina różnych marek.

W ramach seminarium odbył się również trzydniowy pobyt w Paryżu, do którego wygodnie i szybko pojechaliśmy z Awinionu pociągiem.

W Paryżu byłem dwukrotnie, najstarsza jego część to wyspa Île de la Cité na Sekwanie. Niegdyś była to osada celtycka, Rzymianie zbudowali tam w pierwszym wieku przed naszą erą twierdzę znaną jako Lutetia Parisiorum. Osada ma długą historię, była zajmowana przez Hunów, Anglików, przetrwała epidemie, bunty mieszczan, wielką rewolucję francuską, wojnę prusko-francuską, Komunę Paryską i wreszcie drugą wojnę światową oraz okupację niemiecką. Począwszy od dziewiątego wieku Paryż należał do królów francuskich, a od siedemnastego wieku zaczął stawać się ośrodkiem politycznym i gospodarczym kraju, a następnie centrum kulturalnym Europy. Słynny Uniwersytet Sorbona powstał w dwunastym wieku, a w siedemnastym wieku utworzono Akademię Francuską, Akademię Nauk, obserwatorium astronomiczne i pierwszy ogród botaniczny. W kolejnych wiekach nastąpił jego rozkwit, szczególnie rozwój sztuki, literatury, teatru miał miejsce w dziewiętnastym wieku, wówczas też powstała tamtejsza politechnika. Paryż odgrywał dużą rolę w kształtowaniu ruchów politycznych w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, to kolebka pisarzy, poetów i malarzy. Ci ostatni i ich dzieła, ze względu na moje zainteresowania artystyczne, interesowali mnie szczególnie.

Miałem dużo czasu na zwiedzanie miasta, przez które rocznie przewija się miliony turystów. Pierwsze swoje kroki skierowałem do katedry Notre-Dame, zbudowanej w dwunastym wieku w stylu gotyckim z unikalnymi dla Francji świątynnymi wieżami. Jest to wspaniały obiekt od wewnątrz i potężny na zewnątrz. Nieco dalej na zachód położona jest jak sądzę najciekawsza część miasta – Luwr i park Tuileries. W miejscu, gdzie obecnie stoi Luwr, wzniesiono w dwunastym wieku obronny zamek, przebudowany później w wieku szesnastym. W tym też okresie rozpoczęto budowę pałacu Tuileries, którego rozbudowę kontynuowano w późniejszych czasach. Wówczas król Ludwik XIV przeniósł stolicę do pobliskiego Wersalu, Luwr zaś przekazał artystom i Akademii Królewskiej.

Aktualnie muzeum w Luwrze jest podzielone na wiele działów tematycznych. Zwiedziłem większość jego pomieszczeń, dużo czasu poświęciłem zwłaszcza malarstwu europejskiemu. To właśnie stamtąd zaczerpnąłem inspiracje do mojej późniejszej amatorskiej działalności artystycznej. Nie omijałem też sal poświęconych sztuce starożytnej Grecji i Rzymu, a także Egiptu, który odwiedziłem kilka lat później. Sztuka tych krajów, a zwłaszcza rzeźba, zachwycała mnie od dawna. Nadal podziwiam z zachwytem Wenus z Milo, której miniaturę z gipsu mam u siebie, jak zresztą wiele innych rzeźb z drewna.

Francuska stolica podobała mi się, ale tak jak w wielu innych miejscach było tam tłoczno i głośno, co zawsze bardzo mnie męczyło podczas podróży do różnych zakątków świata. Również przebywając za oceanem wracałem myślami zawsze do spokoju na wsi w Borowie, gdzie zamieszkałem po przejściu na emeryturę. Paryż liczył około dziewięć milionów mieszkańców, jest wielkim ośrodkiem nie tylko kultury i nauki, ale także gospodarczym i przemysłowym. Na ulicach była ogromna liczba samochodów osobowych, plagą były również parkujące wszędzie auta, tak na jezdni, jak i na chodnikach. Ponadto warunki bytowe w wielu dzielnicach nie były najlepsze, gościłem w mieszkaniu młodego małżeństwa, które żyło w ciasnym lokum w centrum Paryża. Biedniejsze północne regiony miasta zamieszkiwali robotnicy i emigranci z dawnych kolonii francuskich.

Francja ma długą tradycję szkolnictwa publicznego, nauka jest tam bezpłatna dla wszystkich i obowiązkowa w wieku od sześciu do szesnastu lat. Szkolnictwo wyższe na interdyscyplinarnych uniwersytetach, politechnikach i uczelniach zawodowych także jest tam na wysokim poziomie.

Wracając do polskich realiów, pamiętam, jak trudno było wyjechać do sąsiedniej zaprzyjaźnionej Czechosłowacji. W latach od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku jeździliśmy na wczasy zimowe do Jaworek koło Szczawnicy, dużym problemem było wtedy przejście przez granicę na teren Tatr Słowackich. Już wiele miesięcy wcześniej trzeba było zacząć ubiegać się w Wojewódzkim Urzędzie w Lublinie o specjalną książeczkę uprawniającą do wyjazdu w Tatry Słowackie. W banku należało odczekać kilka godzin, aby wykupić czeskie korony, gdyż chętnych nie brakowało. Izolacja obywateli od świata zewnętrznego, nawet w obrębie tzw. obozu socjalistycznego, była wówczas wyjątkowa i niezrozumiała dla reszty świata.

Generalnie standardy życia naszych południowych sąsiadów były wyższe niż w Polsce. Znacznie lepiej wyglądało zaopatrzenie, zwłaszcza w artykuły przemysłowe, pełno było tam wówczas różnych restauracji, barów szybkiej obsługi, piwiarni oraz kawiarni, dobra też była tamtejsza kuchnia. Różnice były widoczne na pierwszy rzut oka, być może właśnie dlatego występowały takie trudności z wyjazdami za granicę.

Czesi okazali się bardziej pragmatyczni od nas, zarówno w czasie okupacji niemieckiej, jak i po wojnie. Okupanci odbudowali im przemysł i nie pacyfikowali kraju, tak jak w Polsce. Tak Praga, jak i pozostała część państwa, zwłaszcza pod względem infrastruktury, nie uległy zniszczeniu. Warszawa natomiast legła w gruzach, a miasteczka i wioski były palone i ograbiane przez Niemców i Sowieców, zarówno podczas wojny, jak i po jej zakończeniu.

W tym kontekście możliwość podróży do krajów zachodnich była nie lada atrakcją i przywilejem, okupionym nierzadko koniecznością upokarzania się przed władzami i znacznym wysiłkiem, również finansowym. W dawnej Czechosłowacji byłem trzykrotnie, oprócz we wspomnianej już Starej Leśnej, byłem także w Pradze i pobliskim Zbrasławiu w Instytucie Melioracji Wodnych. Współpracowałem blisko z dok-

tozem B. Doleżalem w zakresie filtracji i przepływu wody w glebach spękanych. Podczas mojego dziesięciodniowego pobytu odbyliśmy wycieczkę do Bratysławy i okolic. Wizyta ta zaowocowała wspólną publikacją i odwiedzinami kolegi Doleżala w Lublinie. Pobyt w Zbrasławiu był okazją do zwiedzania Pragi, jednego z najpiękniejszych miast europejskich, pełnego ciekawych zabytków i budowli. Miasto położone jest na obu brzegach Włtawy, w jej rozległej dolinie i na otaczających ją wzgórzach. Obie części miasta łączą liczne mosty, w tym słynny most Karola z czternastego wieku z wieloma posągami po obu stronach barier na całej jego długości. Praga posiada zabytki z dwunastego i trzynastego stulecia oraz z czasów późniejszych. Okazałym fragmentem zabudowy miasta są Hradczany na wzgórzu zamkowym z piękną gotycką katedrą świętego Wita i zamkiem królewskim oraz z wieloma innymi obiektami. W katedrze tej spoczywają prochy czeskich królów i cesarzy.

Podobnie pięknym europejskim miastem jest Budapeszt. Na Węgrzech byłem dwukrotnie, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku w Godollo, uczestnicząc w międzynarodowej konferencji zatytułowanej *Fizyczne właściwości produktów rolniczych*, na której wygłosiłem dwa referaty, oraz w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku w Budapeszcie, w ramach węgiersko-polskiego seminarium pt. *Problemy wody glebowej*, na którym również wygłosiłem referat. Byłem tu też tranzytem, podróżując do dawnej Jugosławii i Bułgarii na wczasy, jeszcze jako student.

Odniosłem wrażenie, że Budapeszt to obok Pragi jedna z najpiękniejszych stolic Europy. Uformował się na styku dwu kultur, zachodniej i wschodniej. Budapeszt powstał z połączenia w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku miast Budy i Pesztu, jedno położone na prawym wysokim urzeźbionym brzegu Dunaju, drugie na lewym płaskim terenie. Buda była stolicą Węgier od połowy trzynastego wieku, a później rezydencją królewską. Przez ponad trzysta lat pozostawała pod panowaniem Turków, a później – Habsburgów. Budapeszt jest ważnym ośrodkiem handlowo-przemysłowym, a także kulturalno-naukowym, mieszczą się tam szkoły wyższe oraz instytuty badawcze. Obie części miasta łączy nowe metro i liczne mosty, choć jest ich znacznie mniej niż w Pradze.

Istotnego uroku dodaje miastu Dunaj – największa rzeka w Europie po Wołdze, ważny szlak handlowy, łączący Wschód z Zachodem. Dunaj robi wrażenie zwłaszcza wieczorem, wtedy w jego wodach odbijają się budynki np. siedziba okazałego parlamentu. Także wyspy na tej rzece są ciekawie zagospodarowane, zwłaszcza Wyspa Małgorzaty. Wspaniały widok na miasto można oglądać z Góry Zamkowej lub z Góry Gallerta. Budapeszt oczarował mnie bogatymi sklepami, mnóstwem tętniących życiem restauracji i kawiarni, wokół nierzadko rozbrzmiewała cygańska muzyka, przez co zdaniem wielu turystów atmosfera miasta nie odbiegała zbyt od nastroju i uroku paryskiej ulicy.

Wiele tu było zabytków do zwiedzania: zamek królewski z trzynastego wieku, bazylika św. Stefana, barokowe pałace, muzeum narodowe oraz okazały gmach parlamentu. Parlament ten zbudowany został pod koniec dziewiętnastego wieku po

uzyskaniu przez Węgry niepodległości, gdyż wcześniej były one związane z Austrią poprzez cesarza Franciszka Józefa. Ta monumentalna budowla w stylu neogotyckim, jedna z największych tego typu na świecie, może świadczyć o ogromnych ambicjach Węgrów. Muzeum narodowe i gmach parlamentu zwiedziłem w zorganizowanej grupie wraz z przewodnikiem. Węgry są krajem niedużym, nizinnym i płaskim, mało tu lasów, a jeśli już takie są, to głównie liściaste. Polska pod tym względem prezentuje się na tle innych krajów europejskich bogato, Tatry, Bieszczady i Pojezierze Mazurskie, to doskonałe okazy naszego drzewostanu (głównie są tam sosny i jodły), z którego możemy być dumni. Węgrzy są tak sympatyczni i przyjaźni, że dobre stosunki z tymi narodami stały się przysłowiowe. Istotną barierą w porozumiewaniu się z nimi było to, że nie znałem języka węgierskiego. Pamiętam, jak jeszcze w czasie studiów w Warszawie, w latach sześćdziesiątych, spotkałem na ulicy zagubioną węgierską studentkę, nie mogliśmy jej w ogóle pomóc. Jednocześnie Węgrzy, ze względu na odrębność swego języka, łatwo uczą się obcej mowy, niektórzy znają polski i rosyjski, który w szkole był obowiązkowym, podobnie jak u nas, ale Węgrzy niechętnie się nim posługiwali.

Podróże po Europie i po świecie były częścią naszej pracy i odbywały się w ramach międzynarodowej współpracy naukowej, ale przy okazji miały również charakter turystyczny i poznawczy. Przykładowo w dawnym ZSRR byłem sześciokrotnie, w sumie około sześćdziesiąt dni, większość tego czasu Rosjanie wypełniali zwiedzaniem, woząc nas do wybranych przez siebie dawnych Republik Radzieckich.

Czas płynął szybko, upłynęło siedem lat od czasu mojej habilitacji. Rada Naukowa IMUZ na posiedzeniu w dniu siedemnastego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku podjęła uchwałę o wszczęciu postępowania w sprawie wysunięcia mojej kandydatury do tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego.

Wszczęcie postępowania o nadanie tytułu profesora

W związku ze wszczęciem postępowania o nadanie tytułu profesora zwrócono się do mnie z prośbą o opracowanie szczegółowej oceny całokształtu mojej działalności naukowej i dorobku naukowego.

Dokumentacja moich siedmioletnich osiągnięć, zestawiona na pięćdziesięciu stronach maszynopisu, w twardej oprawie, składała się z dziewięciu załączników:

1. Skrócony wniosek o nadanie tytułu naukowego.
2. Wniosek (opisowy) o nadanie przez Radę Państwa tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego w zakresie nauk technicznych.
3. Wykaz osiągnięć w pracy naukowo-badawczej.
4. Wykaz prac naukowo-badawczych zastosowanych w praktyce.
5. Ocena działalności dydaktyczno-wychowawczej i organizacyjnej.
6. Informacje na temat reprezentowania nauki polskiej za granicą.
7. Autoreferat (rodzaj wykładu profesorskiego).
8. Życiorys.
9. Oświadczenie o braku wypromowanego doktoranta.

Oczywiście, przygotowanie tych materiałów wymagało dużo czasu i było niczym napisanie drugiej habilitacji. Mój opiekun na stażu naukowym w USA, o dwa lata starszy ode mnie Lambert już w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku obronił doktorat i bez zbędnych procedur został profesorem. Ja, choć doktoryzowałem się w tym samym czasie co on, na stanowisko profesora musiałem odczekać dwadzieścia lat. Tomy tych opracowań, publikacji, recenzji i różnych sprawozdań, często zupełnie zbędnych, do dziś zalegają w dużych kartonach mojego archiwum, w oczekiwaniu na czyjeś zainteresowanie, może wnuków. Takie były wymogi owego systemu. Teraz z perspektywy czasu, wydaje się, że były to stracone miesiące, a nawet lata, które można było wykorzystać inaczej, robiąc coś bardziej pożytecznego, np. malując obrazy, bo przecież sztuka jest wieczna.

Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty, rozpoczynały się rozmowy Okrągłego Stołu. Nic nie wskazywało na ich szybkie zakończenie, ale była za to nadzieja na zmiany. W konsekwencji tego niezwykle ważnego wydarzenia w polskiej powojennej historii nastąpiła transformacja systemu ustrojowego i samych władz, oczywiście stopniowa. Zapoczątkowało ono bezkrwawą – z wyjątkiem Rumunii – rewolucję u sąsiednich krajów, a także rozpad Związku Radzieckiego. Warto było czekać na coś tak nieoczekiwanego, na nowy początek.

Atmosfera polityczna była zupełnie inna niż wcześniej, wydawało się zatem, że wiele formalności z poprzedniego systemu znacznie się uprości przy zgłaszaniu kandydatury do tytułu profesora. Niestety okazało się, że procedura ta przebiegała według starych przepisów i trwała trzy lata, nie obyło się też bez kłopotów.

Dla zobrazowania, jak dalece sformalizowany był proces nadawania tytułu profesora, przedstawię instrukcję, jaką otrzymałem od dyrektora IMUZ przed przygotowaniem wniosku:

Falenty, dnia 30.12.1988

*Szanowny Pan
Doc. dr hab. Wenanty Olszta
IMUZ Oddział w Lublinie*

Nawiązując do seminarium, jakie odbyło się 15 i 16 bm. w Zaborowie oraz doceniając wielką rolę profesorów w rozwoju naukowym Instytutu i w kształceniu kadr o kwalifikacjach naukowych w Instytucie – w procesie doktoryzowania i habilitowania, wyrażam gotowość wystąpienia z odpowiednimi wnioskami awansowymi. W związku z tym, w załączeniu przesyłam przygotowane wstępne materiały dokumentujące osiągnięcia naukowe Pana Docenta, z uprzejmą prośbą o wnikliwe merytoryczne dopracowanie tej dokumentacji, zgodnie z wytycznymi Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej (CKK), które ukazały się w 1988 r. w scalonej formie w dwóch broszurach pt.:

- 1. Kryteria oceny kwalifikacji kadry naukowej, 1988;*
- 2. Tryb przedstawiania i zasady przygotowywania dokumentacji spraw zgłaszanych do rozpatrzenia przez komisję, 1988 r.*

Bardzo proszę o wnikliwe przeanalizowanie i dokonanie samooceny spełnienia obowiązków wymaganych koniecznych do odpowiedniego awansu naukowego. W przypadku pozytywnego wyniku takiej samooceny, bardzo proszę o opracowanie kompletnej dokumentacji, wg. zasad przedstawionych w broszurze drugiej. Proszę o skoncentrowanie szczególnej uwagi na opracowaniu autoreferatu, informującego o „zainteresowaniach i osiągnięciach w działalności naukowo-badawczej oraz w kształtowaniu kadr naukowych”. W związku z tym, autoreferat powinien m.in.

- określać dyscyplinę naukową, w ramach której prowadzona jest działalność naukowa;
- przedstawić „oryginalne i twórcze prace naukowe” po ostatnim awansie naukowym, w tym „przynajmniej jedno opracowanie, którego forma i poziom ma istotne znaczenie dla rozwoju danej dyscypliny nauki”;
- nadbitki publikacji naukowych takich prac należy załączyć do dokumentacji;
- przedstawić w sposób udokumentowany działalność dydaktyczno-wychowawczą, ze szczególnym uwzględnieniem promotorstwa ukończonych przewodów doktorskich oraz kierownictwa cyklicznych seminariów naukowych, z podziałem założeń programowych tych seminariów, częstotliwością ich odbywania, [informacją,] dla jakich uczestników [były przeznaczone] itp.

W uzupełnieniu bardzo proszę o przygotowanie danych wyjściowych do opracowania wniosku, wg. Wzoru nr 2/III, str. 21–24, broszury 2.

Uprzejmie proszę o dostarczenie kompletnej dokumentacji do dnia 15 lutego 1989 r.

DYREKTOR

Doc. dr hab. Stanisław Drupka

Stosownie do tej instrukcji przygotowałem pięćdziesięciostronicowy maszynopis, podsumowujący mój dotychczasowy dorobek naukowy, który spełniał wymogi wymienione w zamieszczonej powyżej instrukcji, z jednym wyjątkiem – ukończonego promotorstwa przewodu doktorskiego.

W oparciu o te materiały siedemnastego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku Rada Naukowa IMUZ, na wniosek dyrektora Drupki, podjęła uchwałę, dotyczącą wszczęcia postępowania w sprawie nadania mi tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego. Powołano wtedy specjalną komisję do przeprowadzenia postępowania w składzie:

- prof. dr hab. Waldemar Mioduszewski (IMUZ),
- prof. dr hab. Józef Prończuk (emerytowany prof. SGGW – AR),
- prof. dr hab. Janusz Sokołowski (SGGW – AR).

Rada Naukowa powołała zaś następujących recenzentów:

- prof. dr hab. Piotr Kowalik (Politechnika Gdańska),
- prof. dr hab. Wojciech Wolski (SGGW – AR),
- prof. dr hab. Waclaw Roguski (IMUZ – Oddział Bydgoszcz).

Na posiedzeniu Rady w dniu dwudziestego szóstego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku przewodniczący komisji profesor Waldemar Mioduszeowski zaprezentował protokół z obrad, na których przedstawiono trzy pozytywne recenzje mojego dorobku. Komisja sformułowała jednoznacznie pozytywny wniosek w sprawie mojej kandydatury do tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego nauk rolniczych, w zakresie melioracji wodnych. Następnie, na podstawie wyników głosowania, Rada podjęła uchwałę w sprawie wystąpienia o nadanie mi tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego. Całość materiałów zebrana przez komisję oraz trzy recenzje spisane na około dwudziestu pięciu stronach maszynopisu były podstawą do przygotowania przez dyrektora dziesięciostronicowego wniosku końcowego, zawierającego uzasadnienie nadania mi tytułu profesora nadzwyczajnego. Zacytuję fragmenty tego uzasadnienia, traktując je jako część mojej historii i ocenę dorobku naukowego, widzianego z zewnątrz i przez moich przełożonych:

WNIOSEK

[...]

Opublikowany dorobek naukowy kandydata wynosi ogółem 71 prac, w tym publikacji indywidualnych 30 i współautorskich 41. Niepublikowany dorobek kandydata obejmuje 38 pozycji, a liczba prac będących w druku wynosi 10. Prace w językach obcych obejmuje 27 pozycji, głównie w języku angielskim. Ilość prac opublikowanych po uzyskaniu stopnia doktora hab. wynosi ogółem 28, w tym współautorskich 11, oczekujących po recenzji na druk 10 i niedrukowanych 33, głównie [są to] opinie, doniesienia, recenzje, ekspertyzy i raporty prac zleconych.

Pierwszy kierunek działalności naukowej kandydata koncentruje się na fizyko-wodnych parametrach gleb, metodach ich określania oraz sposobach ich wykorzystania dla celów melioracyjnych. Jego prace przyczyniły się do lepszego poznania gleb torfowych oraz wprowadziły istotny postęp w pracach badawczych z tego zakresu. Od czasu pobytu w USA doc. W. Olszta zajął się intensywnie problematyką dotyczącą modelowania wzrostu traw, ruchu wody w glebach nienasyconych i zjawiskami termicznymi na powierzchni liści.

Po habilitacji doc. W. Olszta kontynuował kierunek badań naukowych w zakresie fizyczno-wodnych właściwości gleb i matematycznego modelowania procesów wodnych i termicznych podczas wzrostu traw w profilach glebowych.

Badania prowadzone przez kandydata spotkały się z dużym zainteresowaniem w kraju i za granicą. Opracowania na temat symulacji matematycznej dynamiki uwilgotnienia gleb oraz prognozowania plonów i nawodnień na użytkach zielonych były treścią publikacji w czasopiśmie krajowych i zagranicznych. Wyniki tych prac były również referowane na licznych konferencjach i sympozjach naukowych, krajowych i zagranicznych.

Osobiście wysoko oceniam ten kierunek badań naukowych doc. W. Olszty, pisze w swej recenzji prof. W. Roguski. Przyczyniły się one do lepszego poznania procesów zachodzących w glebach meliorowanych.

Większość prac kandydata ma swoje źródło w potrzebach praktyki melioracyjnej w zakresie prawidłowego rozwiązania projektów wodno-melioracyjnych i doskonalenia eksploatacji systemów rozrządu wody na obiekcie. Podejmuje on trudną tematykę z pogranicza dyscyplin: melioracji, hydromechaniki, fizyki gleb i gleboznawstwa, starając się na drodze naukowej wyjaśnić przyczyny zjawisk, podpatrzyć ich przebieg i wskazać rozwiązanie. Jego prace stanowią cenny twórczy dorobek naukowy i poznawczy w dziedzinie melioracji – głównie w zakresie gleboznawstwa melioracyjnego i gospodarki wodnej w glebie. W krajach o małych zasobach wodnych, badania z tego zakresu będą szeroko wykorzystywane w praktyce. Aktualnie wyprzedzają one praktykę krajową i dlatego są wysoko cenione za granicą, a w mniejszym stopniu praktycznie wykorzystane w kraju z powodu kryzysu gospodarczego i zacołania w rolnictwie.

Deficyt wody zmusi społeczeństwa do bardziej precyzyjnego i oszczędnego sterowania gospodarką wodną w glebie, aby w pełni wykorzystać możliwości produkcyjne wielu siedlisk dolinowych. Wtedy badania naukowe z zakresu zainteresowań doc. Wenantego Olszty będą szeroko wykorzystywane w praktyce melioracyjnej i rolniczej. W ostatnich miesiącach rozpoczął On nowy kierunek badawczy, a mianowicie wykorzystanie informacji pozyskiwanych z teledetekcji do udoskonalania i rozwijania modelu prognozowania nawodnień oraz plonowania użytków zielonych.

Kandydat cieszy się dużym autorytetem w kraju i za granicą, po habilitacji rozwinął on nowy kierunek badań i jest uznawany jako wybitny specjalista w zakresie modelowania procesów wodnych zachodzących w meliorowanych glebach organicznych oraz wykorzystywania zjawisk termicznych, co powinno znaleźć wkrótce szerokie zastosowanie w praktyce.

Współuczestniczy w międzynarodowej współpracy naukowej, czego dowodem jest jego udział w licznych seminariach, na których prezentuje swój dorobek naukowy w formie referatów (około 20), jest członkiem stowarzyszeń krajowych (PTG, SITWM) i Międzynarodowego Towarzystwa Gleboznawczego (ISSS) i Torfowego (IPS). Szczegółowy obszerny opis współpracy kandydata z zagranicą zawiera Informacja na temat reprezentowania nauki polskiej zagranicą (załącznik 6 w spisie dokumentów).

Przykładem uznawania autorytetu kandydata w kraju są odbywane pod jego kierunkiem staże i szkolenia pracowników z innych ośrodków (Oddział IMUZ w Bydgoszczy, Krakowie, SGGW – AR w Warszawie, AR w Krakowie), zaproszenia jako wykładowcy w szkołach letnich organizowanych przez różne komitety PAN (Komitet Agrofizyki, Komitet Cybernetyki, Komitet Techniki Rolniczej, Komitet Melioracji). Jest stałym wykładowcą na kursach szkoleniowych pracowników Biur Projektów Wodnych Melioracji oraz służb eksploatacji CODK w Falentach.

W zakresie kształcenia i wychowania kadry naukowo-dydaktycznej był konsultantem i opiekunem dwu prac magisterskich M. Pruchnickiej i A. Porębskiej z AR w Lublinie, jest konsultantem pracy doktorskiej mgr. inż. W. Mikrusa z AR w Lublinie, jest członkiem trzech komisji do przeprowadzania przewodów doktorskich w IMUZ. Należy podkreślić, że kandydat pracuje w IMUZ Oddział w Lublinie od 1967 r. (22 lata) i jest

najmłodszym pracownikiem naukowym Oddziału – brak zainteresowania młodzieży nauką. Poza tym jest rzeczoznawcą NOT w zakresie inżynierii środowiska oraz ekspertem w Wojewódzkim Zjednoczeniu Inwestycji Rolniczych UW w Lublinie.

Sprawowane funkcje w organizacjach społecznych i naukowo-technicznych. W okresie 1978–1986 przez cztery kadencje był członkiem i wiceprzewodniczącym Oddziału SITWM NOT w Lublinie i wieloletnim Przewodniczącym Koła SITWM IMUZ w Lublinie. Czynnikiem działa w Polskim Towarzystwie Gleboznawczym, od 1977 r. jest członkiem grupy roboczej systemu BIGLEB i Przewodniczącym Zespołu ds. Wody Glebowej przy Komisji Fizyki Gleb PTG w Warszawie.

Kandydat bierze czynny udział w dwóch Radach Naukowych oraz Komitetach Naukowych PAN (Melioracji i Agrofizyki), uczestniczy w zespołach badawczych IMUZ i w Instytucie Agrofizyki PAN w Lublinie, pełni funkcje koordynatora i konsultanta celów badawczych oraz jest Kierownikiem Pracowni Fizyki Gleb IMUZ w Lublinie, wyposażonej w innowacyjny sprzęt badawczy.

Postawa moralnospołeczna kandydata jest bez zarzutu, w pełni akceptuje On podstawy konstytucyjne PRL.

Za działalność naukową i społeczną doc. dr. hab. Wenantemu Olszcie zostały przyznane następujące odznaczenia:

- Odznaka Tysiąclecia Państwa Polskiego – 1966 r., za działalność w organizacji Zrzeszenia Studentów Polskich.
- Srebrna Odznaka Honorowa SITWM – 1974 r.
- Złota Odznaka Polskiego Towarzystwa Gleboznawczego – 1983 r.
- Odznaka Zasłużony Pracownik Rolnictwa – 1984 r.
- Złoty Krzyż Zasługi – 1986 r.

Załączone do akt trzy pozytywne recenzje, każda na ośmiu stronach maszynopisu, podkreślają, że kandydat posiada stosunkowo liczny dorobek pisany – ogółem opublikowanych i niepublikowanych 112 pozycji. Po uzyskaniu habilitacji rozwinął nowy kierunek badań i jest znany w kraju i za granicą jako wybitny specjalista w zakresie modelowania matematycznego. Był nagradzany za wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki przez NOT oraz cieszy się dużym autorytetem w kraju i za granicą, prezentując swój dorobek naukowy w formie około 20 referatów i doniesień.

To skłoniło dyrektora IMUZ o wystąpienie do ministra rolnictwa z wnioskiem o wysunięcie mojej kandydatury do tytułu profesora. Oczywiście, wniosek wymagał akceptacji CCK, wcześniej pisałem krytycznie o tej instytucji, zresztą nie tylko ja postrzegalem ją negatywnie. Odczułem wtedy na własnej skórze, jak jedna osoba, tzw. „superrecenzent”, może zniszczyć życie, ignorując pozytywne opinie trzech znanych recenzentów oraz wielu innych profesorów, biorących udział w głosowaniach kilku komisji i licznych Radach Naukowych Instytutu. Opinia mojego superrecenzenta była upokarzająca i prowokująca. Wszyscy biegli w temacie byli zaskoczeni nie tylko nią, ale już samym wyborem recenzenta.

Tym ignorantem okazał się profesor Piotr Prochal z Uniwersytetu Rolniczego, dawnej Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie, specjalista w wąskiej dziedzinie drenowania terenów górskich. Ja o swoich pracach drenarskich piałem wcześniej, odbyłem roczny staż naukowy w Holandii przy odwodnieniu polderów, a w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku obroniłem pracę doktorską na temat drenowania hydrogenicznych gleb spękanych. Wniosek został odrzucony przez CCK przy RM. Komuś musiało na tym bardzo zależeć. Nigdy wcześniej nie spotkałem profesora, sądzę, że on też mnie nie znał, ale później okazało się, że był przegranym konkurentem, mojego szefa i opiekuna naukowego w staraniach o funkcję członka rzeczywistego PAN. Był to swoisty rodzaj zemsty, tak przynajmniej zostało to odebrane w bliskim mi środowisku naukowym i w Instytucie.

Wydawało się, że poprzednia epoka bardzo silnej ingerencji władz państwowych, a zwłaszcza organizacji politycznych, zakończyła się po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, niestety stare struktury organizacyjne pozostały i trwały nadal bez zmian, wraz ze złośliwością, zazdrością i wieloma innymi naszymi niedoskonałościami. Nieuczciwość i brak dojrzałości emocjonalnej super recenzenta dotknęła mnie osobiście, ale również wielu tych, którzy pisali wcześniej dość obszernie recenzje na temat mojego dorobku naukowego. Swoiste rozgoryczenie i poczucie upokorzenia, jakie mnie spotkało, postanowiłem wyrazić na piśmie w liście do przewodniczącego CKK:

*Prof. Czesław Olech
Przewodniczący CKK ds. Kadr Naukowych
Szanowny Panie Profesorze,*

z wiekiem coraz więcej rozumiem, ale coraz trudniej jest mi to wyrazić słowami, szczególnie w odniesieniu do istnienia i działalności CKK, która przysporzyła mi wiele smutnych przeżyć natury psycho-fizycznej. Tym bardziej trudno mi jest wyrazić moje wrażenia na Pański artykuł w „Polityce” 1991, nr 1, pt. Spojrzenie spod kaptura. Jako ofiara negatywnej działalności CKK w pełni podpisuję się pod każdym zdaniem artykułu S. Orłowskiego w „Polityce” 48, natomiast Pańskie argumenty przypominają tonącego, chwytającego się brzytwy.

W tekście artykułu S. Orłowskiego – Od czego zależy powodzenie zlokalizowałem się w ostatniej grupie: „kandydat jest Bogu ducha winien, a jego wniosek jest oceniany negatywnie tylko dlatego, że recenzent jest wrogo usposobiony do jego szefa”. Nigdy w życiu nie widziałem [mojego] superrecenzenta, zaś mój szef ma znane nazwisko oraz eksponowane stanowisko w strukturze PAN i jest jego członkiem rzeczywistym, między innymi dlatego zachowam Jego anonimowość, by sprawie nie nadawać rozgłosu.

W Pańskim artykule zgadzam się tylko z jednym zdaniem – „że komisja swoją wiedzą i doświadczeniem służyła tej instytucji, nie szczędząc jej sił i czasu”, owszem służyła, ale tylko tej instytucji spełniającej określone cele czynników partyjnych i urzędników państwowych z nadania PZPR.

Krzywdy wymierzone człowiekowi jako jednostce mają swój wymiar społeczny, bowiem cele indywidualne są celami zbiorowymi. Również nie ma potwierdzenia w rzeczywistości Pańskie stwierdzenie, że „Dobrze mieć wybitne osiągnięcia naukowe”, otóż w każdym zawodzie są wybitni, średni i słabi, większość odnajduje swoje miejsce, np. jako twórca lub kreator, organizator lub doradca itp. Poza tym nie byłoby wybitnych bez słabych, tak jak piękna bez brzydoty, również, co nie jest bez znaczenia, wybitni bez słabszych nie czuliby się odpowiednio dowartościowani. W moim odczuciu nie wystarczy być wybitnym, aby racjonalnie postępować, oprócz dojrzałości intelektualnej może ważniejsza jest dojrzałość emocjonalna, tj. tolerancja, życzliwość, obiektywizm i uczciwość, tak istotna szczególnie w nauce w dochodzeniu do prawdy.

Znam ze studiów i nie tylko wybitnych profesorów, którzy już odeszli, nie pozostawiając następców – głównie dlatego, że ich negatywny stosunek do człowieka i wysokie wymagania odstraszały potencjalnych kandydatów. Znam również średnich merytorycznie, ale sprawnych organizacyjnie, którzy pozostawili po sobie wielu następców mądrzejszych od swych nauczycieli. Dopełnieniem niewłaściwej oceny odbioru społecznego negatywnych skutków działalności CKK oraz aktualnej sytuacji politycznej w kraju są Pańskie błędne argumenty zawarte w końcowym fragmencie artykułu O co martwił się poseł, proszę je jeszcze raz przemyśleć.

Mam 53 lata i w czasie 25 lat pracy w Instytucie zgromadziłem wg. recenzentów znaczący dorobek naukowy i organizacyjny, doktorat przywiozłem z Holandii, habilitację ze Stanów Zjednoczonych, opublikowałem ok. 120 różnych publikacji, w tym ok. 30% w językach obcych, głównie angielskim. Jestem członkiem dwóch Rad Naukowych i dwóch Komitetów PAN, uczestniczę w międzynarodowej współpracy, biorąc udział w wielu konferencjach i seminariach zagranicznych, oraz jestem członkiem krajowych i zagranicznych stowarzyszeń naukowych.

Do napisania owego listu skłonił mnie Pański artykuł opublikowany w/w „Polityce”, który potwierdza, że wielu wpływowych ludzi nadal nie uświadamia sobie tego, co naprawdę wydarzyło się w tym kraju, broniąc uparcie starych struktur. Twierdzi Pan, że cytuję: „stopnie i tytuły naukowe są wyrazem uznania określonego środowiska dla osiągnięć naukowych i zawodowych kandydata,„, sądzę, że tym środowiskiem winny być rady naukowe instytucji zatrudniających kandydata. W definicji tej pomija Pan fakt, że podstawowym celem wszelkiej działalności jest człowiek jego rozwój intelektualny i emocjonalny, zaś stopnie i tytuły naukowe są głównie siłą napędową w dążeniu człowieka do doskonałości, którą zawsze, jeszcze na studiach, utożsamiałem z profesorem, teraz tytuł ten uległ dewaluacji, być może łatwiej go dostąpić.

Każdego dnia obserwujemy pozytywne i negatywne oddziaływanie [jednego] człowieka na drugiego, to pierwsze polega na tolerancji, nagradzaniu, zachęcaniu itp., co daje nam poczucie wartości, bezpieczeństwa i spokoju – jako niezbędny czynnik rozwoju i motywacji do pracy. Niestety w Polsce dominuje to drugie – zazdrość, nienawiść i nierzadko agresja powodują często blokadę mechanizmów wewnętrznego sterowania,

dochodzi do stanów patologicznych, do tego stopnia, że człowiek nie jest w stanie świadomie nimi sterować.

Pamiętam swoje stany niepokoju i lęków w czasie pięciu lat oczekiwania na otwarcie i zakończenie przewodu habilitacyjnego, [był to] czas stracony w pewnym sensie dla mnie i nauki. Potrzeba było odpowiedniego impulsu o dużym ładunku emocjonalnym, tj. habilitacji, by odzyskać równowagę psychiczną niezbędną do wysiłku i twórczej pracy.

Obecnie mija dziesięć miesięcy od czasu odrzucenia przez CKK mojego wniosku o tytuł profesora i ciągle nie potrafię się z tym pogodzić. Teraz, by uniknąć podobnych przeżyć i straty czasu, postanowiłem skupić się na zainteresowaniach oraz szukać zajęcia i dowartościowania w innej profesji. Tu w Instytucie czuję się zbędny, skompromitowany w środowisku, unikam narad, konferencji i innych spotkań towarzyskich, moja aktywność zawodowa i społeczna spadła do zera.

Awans we właściwym czasie daje określone profity, owoc wcześniej zerwany szybciej dojrzewa i nadaje się do konsumpcji, a po terminie przemarza lub gnije. Moralny i psychologiczny aspekt awansu zawodowego jest niezwykle istotny, zatem jaką rolę w tym procesie spełnia Pańska Komisja i Pan jako jej Przewodniczący?

Liczba ocen, wielu recenzji i komisji na różnych szczeblach administracji sprawiała, że mój przewód doktorski trwał dwa lata, habilitacyjny pięć lat, a profesorski dwa lata, w sumie dziewięć lat straconego życia w stresie i niepokoju.

Przebywałem w wielu krajach, porównując się z nimi, nam Polakom brak dojrzałości emocjonalnej, być może to wina zaborów, okupacji niemieckiej czy minionego systemu sowieckiego. Ciągle nas ktoś karze, zatem ciągle się denerwujemy i wyciszamy, tracąc cenny czas i zdrowie na zbędne sprawy, a właściwa praca czeka, z tego jak sądzę [wywodzi się] nasze ubóstwo. To zdenerwowanie udziela się współpracownikom, rodzinie, znajomym, zatem skutki negatywnego oddziaływania na jednostkę – w tym przypadku CKK – mają szerszy zasięg, [obejmują] problemy rodzinne, zerwane kontakty towarzyskie, nastrój zniechęcenia w zespole, którym kieruje, również w Instytucie.

[...] Jedynym rozgrzeszeniem starej CKK może być zawiązanie nowej komisji, a właściwym zadośćuczynieniem pokrzywdzonym byłoby ustawowe unieważnienie wszystkich wniosków zaopiniowanych negatywnie przez CKK.

Nowa komisja, wykorzystując swoje doświadczenie, mogłaby przekształcić się w zespół do oceny aktualnego stanu nauki oraz jej miejsca w gospodarce rynkowej.

[...]

Wyrażając nadzieje na wykorzystanie tych uwag w pracy
Pana Profesora w Komisji

Łączę wyrazy należnego szacunku i poważania

Do wiadomości:

Sławomir Orłowski, Redakcja „Polityki”,

Prof. Andrzej Stelmachowski, Marszałek Senatu RP.

Zamierzałem złożyć odwołanie od decyzji CKK, a ten list miał być uzasadnieniem, ale moi przełożeni przekonali mnie, że nomenklatura ma się dobrze i nie zmieni swojego postanowienia. Dyrektor Instytutu zapewnił mnie, że to, co się stało, to złośliwy incydent, nie mający nic wspólnego z moją osobą, a tym bardziej z moim dorobkiem naukowym i obiecał, że wystąpi do RN IMUZ z nowym wnioskiem o nadanie mi tytułu profesora.

W dniu ósmego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku Rada Naukowa IMUZ powołała w sprawie nadania mi tytułu profesora nową komisję oraz trzech nowych recenzentów:

- Prof. dr. hab. inż. Wacława Roguskiego, IMUZ Oddział w Bydgoszczy.
- Prof. nadzw. dr. hab. inż. Janusza Sokołowskiego, SGGW – AR w Warszawie.
- Prof. zw. dr. hab. inż. Jana Glińskiego, Instytut Agrofizyki PAN w Lublinie.

Komisja, po zapoznaniu się z przedłożoną dokumentacją oraz trzema pozytywnymi ocenami mojego dorobku naukowego i dydaktycznego, w dniu trzynastego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, na posiedzeniu Rady Naukowej IMUZ przedłożyła Radzie jednoznaczne poparcie wniosku o nadanie mi tytułu profesora. Głos w dyskusji, podkreślając zasadność wniosku, zabrali: profesor Saturnin Zawadzki, profesor Andrzej Sapek, profesor Zbigniew Cieśliński, profesor Henryk Okruszko i docent Janusz Ostrowski. W dużym skrócie zwrócono szczególną uwagę na:

1. Mój konkretny, oryginalny dorobek naukowy pomnożony po uzyskaniu stopnia doktora habilitowanego.
2. Mój autorytet w kraju jako wybitnego specjalisty w dziedzinie gospodarki wodnej gleb organicznych, w szczególności w zakresie gleboznawstwa melioracyjnego i matematycznego modelowania procesów wodnych i termicznych w strefie nienasyconej.
3. Współuczestniczenie w międzynarodowej współpracy naukowej poprzez udział w licznych zagranicznych kongresach naukowych oraz członkostwo w międzynarodowych stowarzyszeniach naukowych.
4. Cytowanie moich prac zarówno w literaturze krajowej, jak i zagranicznej.
5. Uczestniczenie w procesie kształcenia i wychowania kadry naukowej i specjalistycznej.
6. Wysoki poziom moich prac naukowych, metodycznych i organizacyjnych, który przełożył się na to, że kierowana przeze mnie Pracownia Fizyki Gleb była ośrodkiem wiodącym w kraju, dorównując częstokroć standardom zachodnim.
7. Praktyczny aspekt wyników moich badań i wdrożenie ich do praktyki rolniczej.
8. Mój wysoki poziom etyczny.

Przewodniczący Rady Naukowej profesor Sapek zarządził tajne głosowanie, w wyniku którego Rada jednomyślnie przyjęła uchwałę popierającą wniosek o nadanie mi tytułu naukowego profesora nauk rolniczych. Oczywiście, wniosek ten wymagał akceptacji wciąż funkcjonującej CKK, ale tym razem jej decyzja była pozytywna i w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku w Belwederze z rąk prezydenta Lecha Wałęsy odebrałem nominację na profesora tytularnego. Nowe przepisy o stopniach i tytułach naukowych zniosły dotychczasowy podział tytułu na zwyczajny i nadzwyczajny (Fot. 16, 17).

*Z okazji nadania
tytułu naukowego profesora*

z wyrazami uznania

*Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej*



Lech Wałęsa

Belweder, dnia 7 kwietnia 1992 roku

Fot. 16. List gratulacyjny z okazji nadania tytułu naukowego profesora



Fot. 17. Odbiór nominacji profesorskiej z rąk prezydenta Lecha Wałęsy, Belweder 1992 r.

Nominacja ta miała dla mnie znaczenie moralne jako zadośćuczynienie za dwadzieścia pięć lat ciężkiej pracy, ale miała też z pewnością wymiar wychowawczy dla otoczenia akademickiego i Instytutu.

Pedagogiczne oddziaływanie uczelni, ale i innych instytucji bywa często poddawane w wątpliwość, gdyż młodzi ludzie przychodzący na studia czy rozpoczynający pracę są już w zasadzie uformowani. To tylko częściowo prawda, każdy człowiek uczy się przez całe życie i kształtowanie jego charakteru i uczciwości nie kończy się we wczesnej młodości. Ważne jest, kto studenta wychowuje i w jaki sposób. Na uczelni wyższej wychowują wszyscy: profesor, asystent, a nawet pracownik administracji. Najlepszą formą wychowawczą jest oddziaływanie przez własny doby przykład, przy czym rola nauczyciela akademickiego ma szczególne znaczenie. Tę oczywistą prawdę znali już starożytni greccy myśliciele, którzy twierdzili, że do słuchacza najłatwiej trafić, gdy czyny nasze zgodne są ze słowami. Rzymskie *verba docent exempla trahunt* potwierdza tę zasadę. Dlatego tak ważną rolę odgrywa teraz i w przyszłości odgrywać będzie niekoniumkturalna i moralna postawa nauczyciela akademickiego, profesora szczególnie.

Przy ponownym wniosku o moją nominację CKK na superrecenzenta wyznała profesora Stanisława Kostrzewę z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Osobiście nie spotkałem wcześniej Kostrzewy, ale on znał moje publikacje i słyszał o poprzednim nieporozumieniu, napisał do mnie list z gratulacjami, zapewniając przy tym, że w pełni zasługuję na tę nominację. W tym kontekście poprzednia opinia Prochala z Krakowa okazała się być moralnie i merytorycznie wątpliwa, tak też została odebrana w bliskim mi środowisku. Porównywałem tę sytuację do mojego pobytu w Stanach, do panujących tam zgoła innych stosunków międzyludzkich i tego, jak życzliwie i przyjaźnie traktowano tam mnie, a więc kogoś obcego z dalekiego i dodatkowo wrogiego Ameryce kraju.

W życiu nierzadko bywa tak, że o pozycji człowieka decyduje siła jego wrogów, natura jednak zawsze wyrównuje rachunki. Jest to kwestią czasu – w moim przypadku był to ponad rok życia w poczuciu krzywdy i dotkliwego cierpienia oraz skazy psychicznej, która pozostała na wiele lat – utraty zaufania do ludzi. Warto więc być przyzwoitym. Szacunek do siebie i drugiego człowieka to najważniejsza waluta, która się nie dewaluuje, a niegodziwość zawsze ujrzy światło dzienne, złośliwe uczynki nie przynoszą kolejnych zaszczytów i chluby.

Sądzę, że problem jest szerszy i dotyczy postaw i zachowań, tolerancji, życzliwości i uczciwości wszystkich Polaków. Na tle innych narodów, jak już wspominałem wcześniej, cechuje nas duża niedojrzałość emocjonalna. Gdy jeszcze chodziłem do kościoła, to na mszach i nabożeństwach świątecznych widziałem tłumy wiernych, z których znakomita większość, zarówno na wsi, jak i w miastach, przystępowała do komunii świętej. Zastanawiałem się już wtedy, jeszcze jako mocno wierzący i praktykujący, skąd tyle wrogości i nieprawości w tak katolickim kraju. Nawet ci, którzy z racji powołania i wykonywanej pracy powinni prezentować wysoki poziom, nie tylko pro-

fesorowie, ale także urzędnicy, lekarze, a nawet policjanci, nie zawsze zachowują się z dostateczną tolerancją, łagodnością i wyrozumiałością, jak np. we wspomnianych Stanach Zjednoczonych.

Zupełnie niezrozumiałe są zachowania niektórych przedstawicieli kościoła, jego moralność, zwłaszcza w świetle ostatnich wydarzeń. Trudno mi o tym pisać, gdyż miałem duże zaufanie do tej instytucji. Kościół był zawsze silnie związany z narodem polskim, ale wydaje się, że kler w ostatnich latach jak gdyby zagubił się i nie może się odnaleźć w nowej sytuacji politycznej. Po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku stracił kontakt z człowiekiem, zaś zbyt dużo uwagi zaczął przywiązywać do dóbr doczesnych, dążąc do uwłaszczenia obiektów użytku publicznego, pozostających w rękach państwa lub władz miast od kilku wieków. Budowa w miastach zbyt dużych kościołów – swoistych pomników, które już teraz świecą pustkami, oraz domów parafialnych często przypominających pałacyki, również we wsiach z jednym proboszczem, nie przynosi im chluby. Takie oraz inne działania są jedynie niby religijne, gdyż mają mało wspólnego z prawdziwą wiarą.

Po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku niewiele zmieniło się także w nauce, w Instytucie kończyliśmy stare tematy i rozpoczynaliśmy dyskusje nad programem prac w nowej sytuacji politycznej i ekonomicznej. W ramach podsumowania dotychczasowego dorobku otrzymałem od dyrektora podziękowanie za zaangażowanie w prace IMUZ następującej treści:

Falenty, dnia 28 stycznia 1991 r.

*Pan
Docent Wenanty Olszta
IMUZ O/Lublin*

Szanownemu Panu Docentowi z okazji zakończenia prac realizowanych w latach 1989–1990 w ramach Centralnego Programu Badawczo-Rozwojowego 10.8. „Melioracje i Gospodarka Wodna w Rolnictwie” serdecznie dziękuję za współpracę w czasie pełnienia przeze mnie obowiązków Koordynatora Programu.

Pragnę podkreślić, że pomyślnie zakończenie realizacji Programu oraz uzyskane wyniki badań i wdrożeń są w ogromnym stopniu Pana udziałem.

Jednocześnie życzę wiele satysfakcji w dalszej pracy naukowej.

*Z wyrazami szacunku
Kierownik CPBR 10.8.
Doc. dr hab. Stanisław Drupka*

W kontekście negatywnej oceny CKK o nadanie mi tytułu profesora, to pismo miało dla mnie istotne znaczenie, wzmacniające mnie psychicznie. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku otrzymałem również propozycję członkostwa w Międzynarodowym Komitecie Nawodnień i Odwodnień (ICID – *International*

Commission on Irrigation and Drainage British Section) i umieszczenia mojego nazwiska jako eksperta w publikacjach ICID, w tematyce ochrony środowiska w melioracjach wodnych. W następnych latach, już jako członek i recenzent, uczestniczyłem w kolejnych kongresach ICID w Hadze, Rzymie i w Kairze w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku. W dwunastym punkcie ankiety ICID zgłosiłem również propozycje następujących osób mogących wziąć udział w pracach komitetu:

- Dr Jerry Lambert, Clemson University, Clemson S.C, USA.
- Dr hab. Klaus Bohne, Rostock University, Rostock, Niemcy.
- Dr. R. A. Feddes, Staring Centrum, Wageningen, Holandia.

Partycypacja w pracach i kongresach organizowanych przez Komitet ICID umocniła moją pozycję na arenie międzynarodowej. Również z Polski napływały propozycje współpracy z innymi ośrodkami badawczymi, a z Komitetu Badań Naukowych docierały prośby o recenzje centralnych programów badawczych oraz tzw. projektów celowych, zamawianych przez podmioty gospodarcze, dotyczących badań stosowanych z określonym zagadnieniem praktycznym rozwiązania problemu, z uwzględnieniem uniwersalności lub specyfiki zastosowań i poprawnej metodyki badań. Przykładowo otrzymałem propozycję zrecenzowania projektu *System oceny stanu wodnego środowiska pod kątem potrzeb wodnych roślin*, którego kierownikiem był profesor doktor habilitowany inżynier Krzysztof Boroń z Krakowa.

Inną ważną inicjatywą, w jakiej brałem udział w tym czasie, był problem pt. *Ekologiczne i fizjograficzne uwarunkowania gospodarki wodnej na obszarach mokradłowych*, jego koordynatorem był doktor habilitowany inżynier Wiesław Dembek z IMUZ w Falentach. W realizacji tej tematyki uczestniczyłem wraz z całym zespołem pracowników Oddziału IMUZ w Lublinie. Przystosowanie polityki ekologicznej Polski do norm europejskich oznaczało przyjęcie właściwych dyrektyw Unii. Wymogi te wiązały się z aktywną ochroną walorów przyrodniczych użytków rolnych. W dyrektywach tych podkreślano szczególną rolę środowiskową zarówno mokradeł naturalnych, jak i znajdujących się w użytkowaniu łąkowym. Obserwując ówczesne tendencje i rozwój polityki ekologicznej w kraju, można było stwierdzić, że cechuje ją tendencja do integracji ochrony środowiska przyrodniczego, z osłabianiem podziałów na tereny chronione i niechronione. W ten sposób powstała do wypełnienia strefa aktywności naukowej w zakresie ochrony i kształtowania walorów przyrodniczych użytków rolnych, zwłaszcza tych, które były określone jako wrażliwe biologicznie (*biological sensitivity*), a nie były jednak objęte żadną formą ochrony. Celem tych prac było zidentyfikowanie i zbadanie tych czynników środowiska przyrodniczego, które miały szczególne znaczenie jako podstawa gospodarki wodnej, a także stworzenie instrumentów oceny i zachowania walorów przyrodniczych obszarów rolniczych różnej kategorii, z dużym udziałem obszarów mokradłowych, jakie w aspekcie ochrony i kształtowania środowiska mogły być uznane za cenne ekologicznie, a tym samym wymagające odrębnego traktowania, poprzedzonego właściwą waloryzacją. Wiązało się to z koniecznością wypracowania zasad i niektórych elementów strategii ochrony i ekologicznego kształtowania obszarów podmokłych.

Całe swoje życie zawodowe i później naukowe poświęciłem roli i znaczeniu wody w ochronie i kształtowaniu środowiska naturalnego. Woda to podstawowy surowiec do życia i do szeroko zakrojonej działalności człowieka na ziemi, opinie na ten temat wyrażałem w swych pracach, oto niektóre z nich:

- *Sterowanie nawadnianiem przy użyciu naziemnych pomiarów teledetekcyjnych.*
- *Badania nad ustalaniem właściwych przedziałów rozstaw drenów na glebach wytworzonych z glin lekkich pylastych (publikacja).*
- *Próba gleboznawczej analizy drenowań macz wiślanych w dolinie Wisły (publikacja).*
- *Doskonalenie podstaw modernizacji systemów wodno-melioracyjnych na użytkach zielonych.* Problem RP–II–19.
- *Właściwości fizyczno-wodne gleb hydrogenicznych doliny Noteci Górnej pod kątem potrzeb melioracji i zagospodarowania.*
- *Rozwiązanie zagadnień transportu wody na kontakcie gleba–atmosfera oraz na kontakcie gleba–roślina.* CPBP 05.03.01.2.
- *Ekspertyzy związane z gospodarowaniem wodą na Żuławach i w regionie Kanału Wieprz–Krzna oraz na Lubelszczyźnie.*
- *Konsultant tematu 51/CPBR 10.8.8.4 Założenia i postać matematyczna modelu służącego do wspomagania decyzji związanych z rozrzędem wody w Subregionie XI Górnonoteckiego Systemu Wodno-Gospodarczego (realizowanego przez Instytut Badań Systemowych PAN Warszawa).*

Przygotowywałem również opinię dla Komitetu Agrofizyki PAN i Komitetu Melioracji PAN zatytułowaną *Analizy zgłaszanych projektów planów badawczych – centralnych i resortowych za lata 1991–1995.* Ta oraz inne moje publikacje na podobne tematy sprawiły, że w marcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku odebrałem w Belwederze z rąk prezydenta Wałęsy nominację na profesora. Chciałoby się tu powiedzieć, że marzenia się spełniają i że dobre zakończenie sprawa, że to wszystko, co było złe, idzie w zapomnienie, ale nie do końca tak jest, urazy, cierpienia i skazy pozostają u niektórych na długo. Pomagały mi radzić sobie z nimi napływające licznie gratulacje uzyskania tytułu, przykładowo od mojego byłego szefa i promotora.

Po nominacji w Belwederze w prasie lubelskiej ukazała się informacja zatytułowana *Wenanty Olszta profesorem*, wiadomość poszła w świat, ale do ojca, matki i siostry dotrzeć już nie mogła. Nominację z rąk prezydenta odbierałem z młodszym synem Bartoszem. Zakończył się pewien etap w moim życiu, jak powiedział mi profesor Zawadzki „dotarł Pan do mety”. Tym samym moje dotychczasowe marzenia w większości się spełniły. Po tej nominacji nastąpiły nowe czasy. W poprzednim systemie trudno było (a przynajmniej osobom bezpartyjnym) zostać profesorem, ale już łatwo było nim być, czasy pozornych działań się skończyły. Powstało w związku z tym pytanie, co dalej, jak zawsze na początku nowej drogi życia zawodowego i prywatnego, w zgoła nowej sytuacji politycznej i społecznej. Wyścig za tytułami naukowymi miałem za sobą, zastanawiałem się zatem, gdzie szukać następnych celów oraz motywacji do działania, wysiłku i pracy, gdzie szukać kolejnych bodźców. Okazały się być nimi

zawsze odkładane na później zainteresowania artystyczne, budowa domów i podróże zagraniczne, tym razem dalekie, do Meksyku, Egiptu i Chin. Nowym dyrektorem IMUZ w Falentach został profesor doktor habilitowany Edmund Kaca. Wcześniej, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku, na moim kolokwium habilitacyjnym w SGGW był on członkiem Rady Naukowej z ramienia POP, co wyjaśniało jego awans na to stanowisko. Nomenklatura partyjna się uwłaszczyła, a sprawa tzw. lustracji współpracowników UB i donosicieli do dziś nie została rozwiązana. Byli agenci ciągle żyją wśród nas. Wielu uważało, że lustracja miała sprowadzić na Polskę nieszczęście, ale nikt mnie nie przekona, że może nam ona zaszkodzić i że jest niepotrzebna. Uważałem ją za konieczną, a także popierałem zdjęcie ze stanowisk ludzi skompromitowanych swoim postępowaniem w czasach PRL. Pamiętam, jak nas bezpartyjnych nachodzili, zastraszali, stawiali warunki i traktowali jak wrogów systemu. Dziś niektórzy z nich nadal nas krzywdzą, bezkarni za sprawą dawnych układów, wciąż funkcjonują w najlepsze, budząc strach i niepokój w środowisku.

Moje zastrzeżenia, co do nominacji Kacy na stanowisko dyrektora IMUZ, potwierdziły się, gdyż okazał się wrogo nastawiony do Oddziału w Lublinie, sterowany przez czynniki zewnętrzne, zresztą podobnie jak jego poprzednik Somorowski. Pod jego kierownictwem doszło do likwidacji Oddziału w Lublinie, a znacznie później do likwidacji instytutu. Po mojej nominacji na stanowisko profesora, nowy dyrektor IMUZ rozpoczął swoją działalność od reorganizacji struktury w Instytucie. W związku z tymi zmianami otrzymałem pismo informujące o odwołaniu mnie z funkcji kierownika Pracowni Fizyki Gleb Meliorowanych, z jednoczesnym zaprzestaniem wypłaty dodatku funkcyjnego, a od czwartego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku miejscem mojej pracy miał się stać Zakład Regulacji Stosunków Wodnych Gleb, stanowisko pracy i pozostałe warunki nie uległy zmianie.

Decyzja ta nie była wcześniej konsultowana z kierownikiem Oddziału, a tym bardziej ze mną – samodzielnym pracownikiem, dlatego poczułem się tu zbędnym i pozostawionym na marginesie wydarzeń. Był to początek mojego końca pracy w Oddziale i – jak się później okazało – w IMUZ. W międzyczasie otrzymałem zaproszenie od profesora Lucjana Pawłowskiego z Politechniki Lubelskiej do udziału w przygotowaniach programu badawczego pt. *Rolnicze wykorzystanie ścieków komunalnych miasta Lublin w dolinie rzeki Bystrzycy*, był to program z Projektów Badawczo-Rozwojowych, zamawiany przez marszałka województwa lubelskiego. Spotkanie odbyło się na Politechnice z udziałem pracowników AR, UMCS, Instytutu Agrofizyki PAN oraz IMUZ, reprezentowanego przeze mnie. Każdy z uczestników miał sporządzić propozycję swojej roli w programie i ewentualne opracowanie koncepcji tematu jako całości.

Wcześniej opracowałem podobny program o grant w Komitecie Badań Naukowych, był to projekt badawczy o numerze 5 5681 91 02 pod tytułem: *Optymalizacja gospodarki wodnej w dolinach rzecznych z uwzględnieniem wymagań produkcji rolnej oraz środowiska przyrodniczego*. Został on pozytywnie oceniony przez Zespół Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej Komitetu Badań Naukowych, lecz z powodu braku

środków nie mógł być przyjęty do finansowania w ramach tego konkursu. W uzasadnieniu podano, że zgodnie z punktem szóstym rozdziału piątego „Kryteriów i trybu przyznawania przez Komitet Badań Naukowych środków z budżetu państwa na finansowanie projektów badawczych” mogłem zwrócić się o umieszczenie swojego projektu na liście rankingowej następnego konkursu, bez ponownego oceniania. Oczywiście, skorzystałem z tej propozycji i wysłałem swój projekt na adres KBN, powołując się na numer rejestracyjny tego wniosku.

Był to duży projekt badawczy przy udziale kontrahentów oddziałów IMUZ w Bydgoszczy, Biebrzy oraz Instytutu Budownictwa Wodnego PAN w Gdańsku, na ogólną sumę około pięciuset milionów złotych. Informacje uzupełniające do tego projektu to cztery zagadnienia badawcze i dodatkowy opis znaczenia tych badań. Należy wymienić dwa z tych zagadnień:

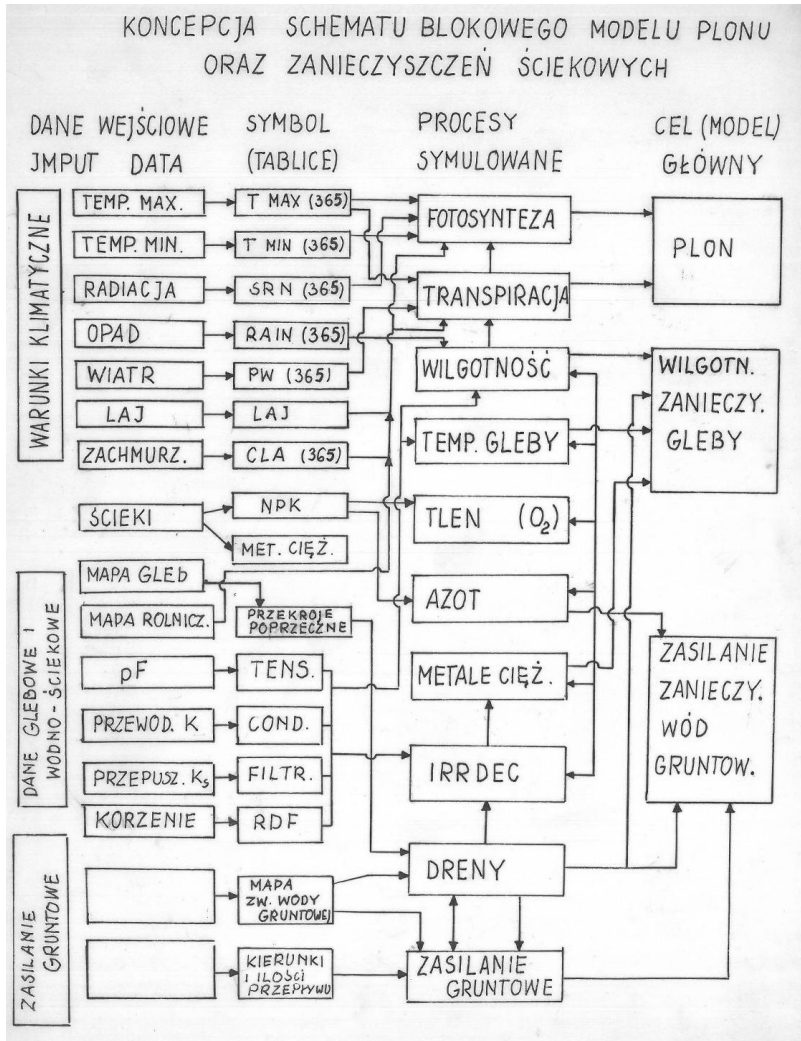
- Badania roślinnych, glebowo-wodnych i termicznych wskaźników ewapotranspiracji roślin na glebach torfowo-murszowych.
- Matematyczne modelowanie procesów transportu wody i zjawisk termicznych oraz zanieczyszczeń rolniczych w glebach nienasyconych dla potrzeb nawodnień – udoskonalenie i zweryfikowanie trzech modeli.

Znaczenie i zastosowanie modeli matematycznych mogło być bardzo pomocne przy wyborze optymalnych kierunków działań praktycznych w zakresie produkcji rolnej oraz ochrony środowiska, gdyż dzięki nim nie trzeba było czekać na ekstremalne sytuacje, by stwierdzić po fakcie (najczęściej po poniesieniu znacznych strat gospodarczych), że wykorzystane rozwiązania były błędne. Projekt ten był merytorycznie zbieżny z projektem zamawianym przez Urząd Wojewódzki w Lublinie, jako temat PBZ 31–03, nazwany wstępnie *Opracowanie zintegrowanego systemu oczyszczania ścieków miejskich połączonego z nawodnieniem upraw przemysłowych*. Ta problematyka była mi dobrze znana, na jej temat napisałem pracę magisterską, doktorat i habilitację. Samo streszczenie mojej pracy habilitacyjnej mogłoby stanowić treść tego projektu z rolami wyznaczonymi dla wszystkich jego wykonawców. Na kolejnym spotkaniu zwołanym na Politechnice przez organizatora profesora Pawłowskiego, koledzy z innych ośrodków badawczych zgłosili krótkie jednostronicowe pomysły swoich ewentualnych udziałów w projekcie. Ja, wykorzystując mój wcześniejszy projekt przygotowany do KBN oraz swoją pracę habilitacyjną, sporządziłem kompleksowy plan, propozycję projektu PBZ 31–03 dla wszystkich jego potencjalnych współwykonawców.

Swoją udział w projekcie określiłem jako zadanie czwarte pt. *Opracowanie modelu numerycznego transportu wody oraz zanieczyszczeń ściekowych pod kątem ochrony środowiska oraz optymalnych warunków rozwoju roślin przemysłowych*.

Moja propozycja tak całego programu, jak i poszczególnych jego zadań, była obszerna i szczegółowa, dlatego trudno byłoby ją tu opisać dokładnie, ale plan projektu i powiązania poszczególnych wykonawców obrazuje *Koncepcja schematu blokowego modelu płonu oraz zanieczyszczeń ściekowych* – Schemat blokowy Projektu PBZ-31-03 (Fot. 18).

Profesor Pawłowski, kierownik tego projektu, po zapoznaniu się moją wizją programu był pozytywnie zaskoczony i wtedy, jako prorektor do spraw nauki, zaproponował mi pracę na etacie w Politechnice Lubelskiej, kierownictwo Katedry i udział we wspomnianym programie badawczym, pod warunkiem, że to będzie pełny etat. Propozycja ta była obiecująca i kusząca, ale i ryzykowna.



Fot. 18. Schemat blokowy projektu PBZ-31-03

Oczywiście, zmiana miejsca pracy nie była łatwą decyzją. Czekano mnie spotkanie z nowym środowiskiem, nowymi ludźmi, zastanawiałem się, jak zostaną przyjęty. Zgodziłem się pod warunkiem, że zachowam etat w IMUZ, przynajmniej na czas określony. Pawłowski pofatygował się osobiście do IMUZ w Falentach na rozmowę

z dyrektorem Kacą, który niestety nie wyraził zgody na moje przejście do Politechniki Lubelskiej, gdyż zależało mu na moim pozostaniu w Instytucie. Napisałem więc podanie do dyrektora IMUZ z nadzieją, że po jego przeczytaniu zmieni zdanie, że rozsądek przeważy i że wyrazi zgodę na zachowanie mnie na częściowym etacie w IMUZ.

Wydawało się, że propozycja jest racjonalna i korzystna dla obu stron, tym bardziej, że w Oddziale nie pełniłem żadnej kierowniczej funkcji. Tak też myślał zastępca dyrektora do spraw naukowo-badawczych profesor Szczepan Dąbkowski, wyrażając zgodę na moją prośbę, jednakże dyrektor Kaca nadal się sprzeciwiał. Tkwił myślami w poprzednim systemie, jako zwolennik starych partyjnych poglądów i struktur. Nie liczył się z dobrem człowieka i Instytutu, kontynuował uprzedzenia, przejęte po swym poprzedniku – Somorowskim. Obaj pracowali w jednej Katedrze na SGGW i wówczas praca na dwóch etatach im nie przeszkadzała. Kadra z nadania partyjnego była bowiem uprzywilejowaną kastą z dostępem do środków materialnych, samochodów, mieszkań, odznaczeń i nagród.

Oczywiście czasy się zmieniły, ale niektóre stare nawyki i poglądy pozostały. Nie mogłem się z tym pogodzić, na szczęście czynnik partyjny nie odgrywał już takiej samej roli, co wcześniej, wystąpiłem więc dwudziestego pierwszego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku do rektora Politechniki Lubelskiej profesora doktora habilitowanego inżyniera Iwo Pollo z prośbą o zatrudnienie mnie na stanowisku profesora na Wydziale Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej (Fot. 19).



Fot. 19. Rektor prof. Iwo Pollo

W miesiąc później otrzymałem decyzję o zatrudnieniu mnie w Politechnice na stanowisku profesora nadzwyczajnego, następującej treści:

Lublin, 1993–10–29

POLITECHNIKA LUBELSKA
ul. Bernardyńska 13, 20–950 Lublin

Prof. dr hab. inż. Iwo Pollo
Rektor
RO-180/3793/93
Pan
Prof. dr hab. inż. Wenanty Olszta

Na podstawie art. 80 ust. 2, w związku z art. 86 ust. 2 i art. 87 ust. 1 ustawy z dnia 12 września 1990 r. o szkolnictwie wyższym (Dz. U. z 1990 r. NR 65, POZ. 385 z późniejszymi zmianami), mianuję Pana z dniem 1 listopada 1993 r. na stałe na stanowisko profesora nadzwyczajnego w Wydziale Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej w Katedrze Ogrzewnictwa i Wodociągów.

Od powyższej daty przyznaję Panu miesięczne wynagrodzenie zasadnicze brutto w wysokości 5 400 000,00 zł (pięć milionów czterysta tysięcy złotych) płatne z góry, ustalone na podstawie Tab. I, poz. 2 stawek miesięcznego wynagrodzenia zasadniczego pracowników naukowo-dydaktycznych, stanowiącej załącznik nr 1 do rozporządzenia Ministra Edukacji Narodowej z dnia 17 października 1990 r. w sprawie wynagradzania nauczycieli akademickich (Dz. U. z 1990 r. Nr 75, poz. 447 wraz z późniejszymi zmianami).

Prawa i obowiązki Pana określa powołana ustawa oraz wydane na jej podstawie przepisy wykonawcze.

k/o: Kwestura, Dział Nauczania,
Wydział, a/a.
Prorektor ds. nauki
Prof. zw. dr hab. Lucjan Pawłowski

Zacytowałem to pismo, by wskazać, jak dalece zaszły ówczesne zmiany w ekonomii, szalejąca inflacja sprawiła, że zarobki wzrosły z pięciu tysięcy do pięciu milionów, podczas gdy mentalność ludzi nadal pozostawała w poprzednim systemie. W tej sytuacji dyrekcja IMUZ zatrudniła mnie na część etatu na określony czas do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Rozpocząłem więc zajęcia dydaktyczne i badawcze w Politechnice, kontynuując pracę na części etatu w IMUZ.

PRACA NA POLITECHNICE LUBELSKIEJ

Lata 1993–2009

Decyzja o zmianie miejsca pracy nie była łatwa, w IMUZ miałem wypracowaną opinię i uznanie, tam zdobyłem wszystkie tytuły i stopnie naukowe, miałem zaufanych i życzliwych kolegów, a nowe środowisko zawsze budzi obawy o to, jak zostanie się przyjętym.

Rozważając wszystkie argumenty za i przeciw, bez odwoływania się do intuicji, zacząłem się zastanawiać, dlaczego miałbym nie sprostać wymaganiom pracy na uczelni, tym bardziej, że moi znaczne słabsi naukowo koledzy ze studiów radzili sobie zupełnie dobrze na innych uniwersytetach. Zdecydowałem się więc podjąć pracę na podstawowym etacie na Wydziale IBiS w Katedrze Ogrzewnictwa i Wodociągów, natomiast w IMUZ zostałem na pół etatu do grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku, a do trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku na ćwierć etatu, celem dokończenia wcześniej rozpoczętych prac.

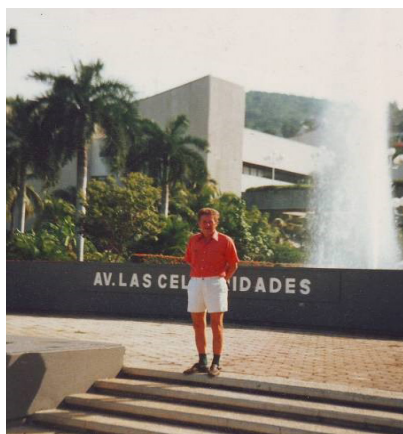
W międzyczasie kierownik Oddziału docent Jan Gawlik skierował do dyrektora IMUZ pismo z prośbą o zatrudnienie mnie w wymiarze trzech czwartych etatu. Wynikało to z tego, że kierownictwu zależało na moim udziale w inicjatywach Oddziału. Oczywiście odpowiedź na to pismo była negatywna, a list kierownika Oddziału do dyrektora E. Kacy brzmiał następująco:

W odpowiedzi na pismo z dnia 14. 11. 1996 r., znak SP. 110/2/96, pragnę uprzejmie poinformować, że proponowane warunki i czasokres dalszego zatrudnienia profesora Wenantego Olszty w tutejszym Oddziale odbiega znacznie od naszych oczekiwań i potrzeb, ale skoro nie ma innej możliwości, musimy je z konieczności zaakceptować. W nawiązaniu do powyższego proszę więc o zawarcie umowy o pracę z prof. W. Olsztą na podanych w w/w piśmie warunkach.

Warunki te to ćwierć etatu z wynagrodzeniem zasadniczym dwieście dwadzieścia osiem złotych miesięcznie, co w przeliczeniu na godziny wynosiło około dziesięciu złotych. Na Politechnice godzina wykładu poza pensum wynosiła pięćdziesiąt złotych, a na prywatnej uczelni sto złotych, zatem mój czterogodzinny wykład w Chełmie przynosił mi dochód w wysokości czterystu złotych. Nie chodziło tu o finanse, dyrektor IMUZ chciał w ten sposób doprowadzić do tego, bym sam zrezygnował z pracy, a w bliskiej przyszłości dążył do całkowitej likwidacji Oddziału.

Po przejściu na Politechnikę uczestniczyłem w Piętnastym Międzynarodowym Kongresie Gleboznawczym w Acapulco w Meksyku, trwającym od dziesiątego do szesnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Wcześniej

zgłosiłem tam referat posterowy pt. *Modeling of soil water and thermal processes for irrigation scheduling*. Kongres odbywał się pod hasłem: „Użytkowanie gleby w harmonii ze środowiskiem” i zgromadził około tysiąca pięciuset uczestników z dziewięćdziesięciu krajów. Większość obecnych byli to gospodarze, liczni też byli przedstawiciele USA, Francji, Hiszpanii, Australii, Holandii, Niemiec, Chin i Rosji. Z Polski przybyło pięć osób, w tym cztery z Lublina (profesorowie: Jan Gliński, Ryszard Walczak, Stanisław Uziak i ja) (Fot. 20 i 21).



Fot. 20. Kongres Międzynarodowego Towarzystwa Gleboznawczego w Meksyku 1994 r.



Fot. 21. Kongres Międzynarodowego Towarzystwa Gleboznawczego w Meksyku 1994 r. Wspólne zdjęcie z prof. H. Walczakiem i prof. S. Uziakiem

Pomocne w uzyskaniu biletów według specjalnej taryfy okazało się biuro podróży Air Club w Warszawie. Ze względu na brak wolnych miejsc w klasie turystycznej, ulokowano nas w klasie biznesowej, gdzie otrzymaliśmy wygodne fotele, mały telewizor i nieograniczony dostęp do trunków. Lot odbył się z przesiadką w Londynie. Na lotnisku miałem zobaczyć się z przebywającym w tym mieście starszym synem Mariuszem, ale do spotkania wtedy nie doszło. Udało nam się ono dopiero w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, gdy leciałem do Madrytu przez Londyn.

W czasie Kongresu dużo miejsca poświęcono zagadnieniom demografii i żywienia ludności. Podczas posiedzeń plenarnych, sympozjów i około osiemset referatów posterowych zaprezentowany został ogromny materiał, zebrany potem w osiemnastu tomach na sześciu tysiącach siedmiuset stronach druku. Profesor Uziak, uczestnik tego i poprzednich kongresów, pisał w swej biografii, że żaden z wcześniejszych kongresów gleboznawczych nie miał tak dużego dorobku drukowanego. Zorganizowano ponadto bogatą w eksponaty wystawę aparatury pomiarowej, naukowych publikacji i map glebowych oraz wystawy malarstwa meksykańskiego.

Wieczorami można było podziwiać występy folklorystycznych zespołów meksykańskich – tańce, śpiewy, muzykę, a nawet popis akrobatyczne.

Acapulco powitało na upalną pogodą, miasto, liczące ponad pięciuset tysięcy mieszkańców, nazywane perłą Pacyfiku, należy do najbardziej znanych meksykańskich kąpielisk, za względu na klimat i ciekawe położenie. Podobnych kąpielisk jest wiele nad Zatoką Meksykańską. Stanowią one, wraz z innymi formami turystyki, poważne źródło dochodów Meksyku. Acapulco, położone w zatoce na stokach wysokich wzgórz, dochodzi do poziomu morza. Gęsto zabudowane willami wzgórza mogliśmy podziwiać z pokładu statku wycieczkowego w czasie rejsu po zatoce.

Zakwaterowano nas w nowej części miasta nad samym morzem w piętnastopiętrowym hotelu, jakich było tam wiele. Zlokalizowane były one tak, że z każdego pokoju widoczny był fragment zatoki. Pokoje były zwykle dwuosobowe i komfortowo urządzone. Ich wynajęcie nie było tanie, ale w ich cenę były wliczone dość dobre i obfite śniadania.

W mieście było dużo zieleni, w tym wysokich palm, kwitnących krzewów, występowały także bambusy, różnej wielkości kaktusy i inna tropikalna roślinność. Temperatura w dzień przekraczała ponad trzydzieści pięć stopni Celsjusza, a w dodatku było parno i wilgotno. Jedynie w nocy było chłodniej, ale też gorąco. Jeśli chciało się opalać, to tylko w cieniu. Na ulicach panował duży ruch samochodowy.

Istotną częścią każdego kongresu gleboznawczego były wycieczki terenowe. Przewidziano kilka tras po terenie Meksyku, ponadto wypadły do Kalifornii, na Kubę i do Wenezueli. Niestety nie braliśmy w nich udziału ze względu na wysokie ceny, wtedy same koszty transportu wynosiły około pięciuset dolarów. Pamiętam, że wcześniej, kilka lat po powrocie ze stażu z Ameryki, za taką kwotę kupiłem za miastem działkę rolniczą o powierzchni tysiąca czterystu metrów kwadratowych. Pokazuje to, w jakim żyliśmy świecie i jaką wartość miał wtedy dolar.

W dniu zakończenia kongresu pojechaliśmy do miasta Meksyk, gdzie zatrzymaliśmy się na kilka dni u pracownika UMCS, który przebywał tu na kontrakcie w jednym z uniwersytetów. Miasto Meksyk okazało się być molochem, liczącym blisko trzydzieści milionów mieszkańców, nękanym trzęsieniami ziemi, pomimo których każdego roku liczba jego mieszkańców wrastała. W dodatku nie było tam obowiązku meldowania się.

W mieście panował ogromny ruch samochodowy, widzieliśmy głównie volkswageny garbusy, tłoczno było również na chodnikach i w sklepach. Wszędzie należało zachować wielką ostrożność, na ulicy – ze względu na kierowców, a w sklepach i autobusach – z uwagi na złodziei.

Innym istotnym kłopotem było tam zaopatrzenie w wodę i energię elektryczną, a także wydolność komunikacji, utrzymanie czystości i porządku w mieście. To nie tylko zresztą problem Meksyku, ale niemal wszystkich dużych miast na świecie. Pamiętam na przykład mój pobyt w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku w Nowym Jorku, kiedy to widziałem na ulicach wysypiska i stopy śmieci. Wtedy

w Polsce nie mieliśmy takich problemów, ale teraz i do nas zaczynają one docierać, z pewnością będą też narastać, a zwłaszcza brak wody.

We współczesnym świecie niedobór wody staje się coraz bardziej dramatyczny, również wtedy w Meksyku (stolicy państwa) wody do konsumpcji nie czerpało się z kranu, lecz kupowało w butelkach, ze względów zdrowotnych, a w większości domów stosowano małe zbiorniki na wodę z opadów deszczu. Zwiedzanie zaczęliśmy od centrum miasta – od placu Zocolo z obiektami zabytkowymi, takimi jak ogromna barokowa katedra z szesnastego wieku i pałacem prezydenta. Na placu odbywały się popisy azteckich tańców, a obok znajdował się okazały budynek opery.

Kolejnego dnia zwiedziliśmy parlament na wzgórzu, który służył zwykle jako rezydencja oficjalnych gości prezydenta. Następnie udaliśmy się na wędrowkę aleją Paseo de la Reforma z różnymi pomnikami. Aleja ta, wraz ze swoim otoczeniem, stanowi reprezentacyjną część miasta, wyróżniającą się dużą ilością pomników, przedstawiających głównie bohaterów narodowych, którzy zasłużyli się w walkach o niepodległość.

Metrem podążyliśmy do dzielnicy uniwersyteckiej, gdzie znajdował się Centralny Uniwersytet Autonomiczny, jeden z największych i najstarszych w obu Amerykach, założony w tysiąc pięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Studia były tam bezpłatne. Uczelnia zajmowała ogromny obszar, a zakłady i laboratoria były dobrze wyposażone, finansował je bowiem przemysł naftowy, zainteresowany rozwojem badań naukowych. Budynki uniwersyteckie były na ogół niskie, położone wśród tropikalnych drzew i krzewów. Było tam również wiele obiektów sportowych: boiska, korty tenisowe, baseny oraz okazała biblioteka, na której widniał kalendarz aztecki.

Punktów interesujących, wartych obejrzenia w mieście było wiele, tak jak w całym kraju, nie sposób było obejrzeć je wszystkie w kilka dni, dlatego ostatniego dnia pobytu pojechaliśmy do Miasta Bogów Teotihuacan, odległego o czterdzieści pięć kilometrów na północny wschód od centrum. Pamiętam, że było gorąco, choć wyniesienie nad poziom morza łagodziło tamtejszy klimat i nie było tam takich upałów jak w Acapulco. Stały tu piramidy (zaskakująco zbieżne z egipskimi, ale znacznie mniejsze), zabytki sakralne i świeckie kultur azteckich oraz jeszcze wcześniejszych, w tym dwie największe budowle w mieście – Piramida Słońca i Piramida Księżycy.

Czas szybko mijał, należało wracać do kraju, profesor Uziak zorganizował sobie sam wypad do Ameryki Południowej, a nasza pozostała trójka wróciła do Lublina. Ciekawie opisuje w swej biografii profesor pełny przygód pobyt w Kolumbii i Wenezeli, serdecznie polecam tę lekturę. Dodam, że profesor Uziak po roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym został pierwszym niepartyjnym rektorem UMCS, znaliśmy się wcześniej, przyjaźnił się z Zawadzkim. Będąc już na emeryturze odwiedzałem go na uczelni, jako byłemu rektorowi przydzielono mu tam ciasny pokój, namalowałem jego portret, ale nie zdążyłem mu już go wręczyć.

Pobyt na Kongresie w Acapulco był dziesięciodniową przerwą od pracy. Po powrocie na Politechnikę wydarzenia toczyły się szybko, po odejściu na emeryturę profesora Janusza Kwiatkowskiego zostałem kuratorem Katedry Ogrzewnictwa

i Wodociągów oraz równolegle kierownikiem nowoutworzonej Katedry Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków. Otrzymałem oddzielny gabinet, sekretarkę i przystąpiłem do organizacji Katedry od podstaw, czyli od jej składu osobowego i wyposażenia laboratoryjnego. Początki nie były łatwe z wielu powodów, należało pozyskać odpowiednie pomieszczenia na laboratoria, sprzęt biurowy itp., w dodatku nikogo nie znałem tam bliżej. Jednakże, może ze względu na niedobór profesorów na uczelni, miałem odczucie, że jestem postrzegany jako potrzebny i to utwierdzało mnie w przekonaniu, że dokonałem dobrego wyboru.

Rektorem Politechniki, pierwszym wybranym nie z nadania partyjnego, był wspomniany już profesor Iwo Pollo. Uważam, że był to bardzo dobry wybór (Fot. 19). Pamiętam pierwsze spotkanie profesorów uczelni zorganizowane przez rektora Pollo, jako nowy nabytek pozyskany z innego środowiska, przedstawiając się, zabrałem głos w dyskusji i wypowiedziałem się dość niefortunnie, że kierunki nauk przyrodniczych i rolniczych, pod względem badawczym, metodycznym i doświadczalnym, są znacznie trudniejsze od nauk technicznych. Trudności te, nie wchodząc w szczegóły, wynikają ze złożoności i ilości zjawisk przyrodniczych, ich dynamiki w czasie w zawiłym i różnorodnym układzie: gleba-roślinność-atmosfera. To nie przekonało kolegów i niektórzy byli oburzeni moją wypowiedzią, zwłaszcza bracia Wrońscy, z jednym z nich wcześniej w Belwederze odbierałem z rąk Wałęsy nominację profesorską. Jedy- nym, który wstawił się w mojej obronie, był właśnie rektor Pollo, jako chemik rozumiał złożoność i mnogość zjawisk i procesów zachodzących w przyrodzie.

Kierownik Katedry ZWiUS

Katedra Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków powołana została zarządzeniem rektora z dnia trzeciego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt czwartego roku, dotyczącego przekształcenia na Wydziale IBiS Katedry Ogrzewnictwa i Wodociągów. Zostałem kuratorem tej nowej Katedry z nadania rektora.

Składała się ona z dziesięcioosobowego zespołu, ośmiu nauczycieli akademickich i dwóch pracowników technicznych (Fot. 22, 23): doktora inżyniera Kazimierza Bonetyńskiego, magistra Piotra Glińskiego, magistra inżyniera Dariusza Kowalskiego, magister inżynier Beaty Kowalskiej, magister inżynier Małgorzaty Iwanek, magistra inżyniera Marcina Widomskiego, magister inżynier Izabeli Wiszniewskiej-Oraczewskiej, inżyniera Waldemara Szymańskiego, Doroty Oraczewskiej i mnie – kierownika Katedry. W Katedrze Ogrzewnictwa i Wodociągów, której byłem kuratorem, pozostali doktorzy: Lucian Cholewa, Piotr Surmacz, Anna Życzyńska, Antoni Jakubczak i Jurk Adamczyk. Od tego ostatniego każdego roku do dnia dzisiejszego otrzymuję smsy z życzeniami świąteczno-noworocznymi, za które jestem bardzo wdzięczny.

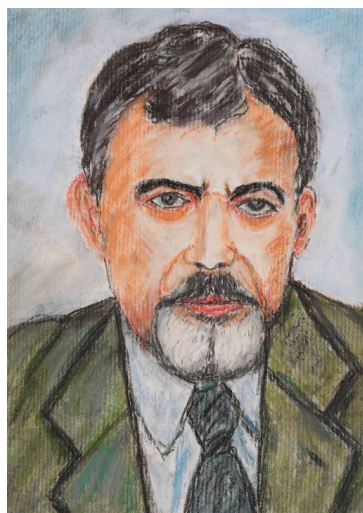


Fot. 22. Zdjęcie z współpracownikami Katedry ZWiUS na Wydziale IBiS na Politechnice Lubelskiej



Fot. 23. Współpracownicy z Katedry ZWiUS na Wydziale IBiS na Politechnice Lubelskiej

Na Wydziale IBiS w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku funkcjonowało czternaście jednostek organizacyjnych, jedenaście katedr, dwa laboratoria i jeden Instytut Budownictwa i Architektury. Dziekanem Wydziału był profesor Jan Kukiełka, a prodziekanami profesor Tadeusz Ciężak i doktor inżynier Adam Wasilewski (Fot. 24, 25).



Fot. 24. Prof. Jan Kukielka dziekan Wydziału IBS Fot. 25. Prezydent Lublina dr Adam Wasilewski

Moja Katedra współpracowała z Katedrą Inżynierii i Ochrony Środowiska, kierowaną przez profesora Lucjana Pawłowskiego, od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego przekształconą w Instytut. Tworzona od podstaw Katedra ZWiUS prowadziła działalność dydaktyczną, badawczą, studialną i projektową, związaną z rozwiązywaniem problemów praktycznych z zakresu hydrauliki urządzeń wodociągowo-kanalizacyjnych, metodologii projektowania systemów zaopatrzenia w wodę i odprowadzania ścieków. Podjęliśmy próbę realizacji istotnej wówczas tematyki, dotyczącej racjonalnej modernizacji i rozbudowy systemów wodociągowych i kanalizacyjnych oraz poprawy warunków ich użytkowania, w tym ograniczenia strat wody, kosztów eksploatacji, stopnia awaryjności sieci wodociągowych i kanalizacyjnych, z gwarantowaniem potrzeb wodnych.

Zajęcia dydaktyczne prowadzone były w Katedrze na kierunku budownictwo na specjalności urządzenia sanitarne oraz na kierunku inżynieria środowiska. Każdego roku przygotowywanych było około czterdzieści prac magisterskich, z czego około dziesięć pod moim promotorstwem.

Młody skład osobowy Katedry narzucał tematykę prac badawczo-rozwojowych pod kątem wzrostu kadry: objęte dyscypliną zaopatrzenia w wodę oraz kształtowanie środowiska, głównie w zakresie sanitacji obszarów wiejskich, poprawy jakości i ochrony przed zanieczyszczeniem wód powierzchniowych i podziemnych. Celem badań było wypracowanie proekologicznych podstaw rozwiązywania głównych problemów kompleksowej polityki gospodarowania wodą, z uwzględnieniem jej funkcji w kształtowaniu krajobrazu i wpływaniu na jakość zasobów wodnych z zachowaniem potrzeb środowiska przyrodniczego. Zakres działalności Katedry obejmował wtedy prace badawcze, studialne, projektowe oraz ekspertyzy i opinie dotyczące:

- metod modelowania matematycznego sterowania gospodarką wodną i eksploatacją systemów wodociągowych, kanalizacyjnych i urządzeń melioracyjnych, z uwzględnieniem ochrony środowiska,
- proekologicznych zasad rozwiązywania głównych problemów i konfliktów na styku przyroda-gospodarka,
- roli inżynierii wodnej w zróżnicowanym rozwoju terenów produkcyjnych, gospodarki wodno-ściekowej w zakładach przemysłowych oraz hydrobotanicznego wykorzystania ścieków.

W ramach tego ostatniego zagadnienia moi współpracownicy w kooperacji z Katedrą Pawłowskiego uczestniczyli w temacie zamawianym przez marszałka województwa lubelskiego, w projekcie PBZ 31–03 pt. *Opracowanie zintegrowanego systemu oczyszczania ścieków miejskich połączonego z nawadnianiem upraw przemysłowych*. W projekcie tym brało udział wiele instytucji naukowych. Pisałem wcześniej, że byłem jego autorem, sądzę, że dlatego zostałem zatrudniony w Politechnice.

Moja Katedra zrealizowała w tym projekcie zadanie czwarte: *Opracowanie modelu numerycznego transportu wody oraz zanieczyszczeń pod kątem zapewnienia ochrony środowiska oraz optymalnych warunków rozwoju roślin*. Kooperantami w realizacji tego zadania byli pracownicy Instytutu Budownictwa Wodnego PAN w Gdańsku – doktor Henryk Zaradny i Stanisław Maciejewski. Pracowali nad podprogramem (modelem NITROG), opisującym rozkład związków organicznych oraz nityfikacji, adsorpcji związków azotu w glebie, jak również transportu ciepła, wody i azotu w jednorodnym profilu glebowym określonym procesem irygacyjnym.

Podprogram NITROG pozwalał zrozumieć mechanizmy, jakie zachodzą w glebie, do której wprowadzane są wiązki organiczne (w tym przypadku ścieki), ale przede wszystkim umożliwił stwierdzenie, które parametry i warunki winny być określane i śledzone w trakcie eksperymentów (pomiarów) terenowych dla większości uczestników projektu. Wyniki pomiarów polowych na obiekcie posłużyły do ustalenia warunków brzegowych i początkowych zasadniczego modelu GRAGRO symulującego transport zanieczyszczeń w profilu glebowym.

Polowe prace pomiarowe mojego zespołu obejmowały badania nad:

- dynamiką stanów wody w studzienkach obserwacyjnych na obiekcie,
- dynamiką odpływów wody drenów – naczyniem podstawianym,
- dynamiką zwierciadła wody w drenach – metodą piezometryczną.

Projekt 31–03 był dużym przedsięwzięciem badawczym, finansowym na ogólną sumę około dwudziestu milionów złotych. Mój zespół, który był odpowiedzialny za zadanie czwarte, otrzymał zaledwie trzy procent z tej sumy, czyli około sześćset tysięcy złotych.

Następne zadanie, jakie otrzymałem w ramach tej współpracy, to przygotowanie wniosku o rozszerzenie uprawnień do nadawania stopnia naukowego doktora na kierunku inżynieria środowiska o dyscyplinę inżynieria środowiska. Było to duże opracowanie mające około sto dziesięciu stron i jego przygotowanie zajęło mi kilka

miesiący. W międzyczasie we wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku wyjechałem na kolejny kongres na temat odwodnień–nawodnień (*European Regional Conference Of Irrigation and Drainage ICD*) w Rzymie.

Było to czterdzieste szóste spotkanie Międzynarodowej Komisji do spraw Odwodnień/Nawodnień, na której wygłosiłem referat pt. *Simulation of soil water balance and thermal processes for grass irrigation scheduling* (współautorem był profesor Dariusz Kowalski). W konferencji brało udział kilkaset uczestników: z Europy i Trzeciego Świata, liczną grupę stanowili zwłaszcza Holendrzy, z Polski przyjechało kilka osób. Obrady były prowadzone w wielu grupach tematycznych, ja uczestniczyłem w komisji ds. oceny skuteczności działania oraz doboru parametrów odwodnienia i nawodnień.

Oprócz obrad plenarnych i w grupach tematycznych odbywały się również wyjazdy w teren. Był wrzesień i podczas gdy u nas panowała już jesień, na południu wciąż trwało jeszcze lato. Podziwialiśmy piękne widoki, obszar między Florencją a Rzymem zwany Toskanią jest wyżynny, często silnie urzeźbiony, z wyraźnie zaznaczonymi zjawiskami erozji gleb. Dużo tam pól uprawnych, winnic, drzew owocowych, pastwisk i lasów liściastych. Wycieczkę wspominam jako bardzo ciekawą z licznymi atrakcjami, w drodze powrotnej do Wiecznego Miasta obserwowałem jak urzeźbiony teren przechodzi w płaski i nieco monotony.

Rzym, jedno z najstarszych miast na świecie, rocznie odwiedza kilka milionów turystów, co znacznie zasila budżet kraju. Według legendy powstał około siedemset czterdziestego trzeciego roku przed naszą erą, założony przez Romulusa na Wzgórzu Palatyńskim. W kolejnych wiekach rozrastał się na wielu wzgórzach.

Widok i panorama Wiecznego Miasta jest wyjątkowa, każda epoka odcisnęła na nim swoje ślady. Starożytność stanowi centrum, szczególnie popularne z antycznych obiektów to: Koloseum oraz Forum Romanum – ośrodek życia politycznego i kulturalnego starożytnego Rzymu. Forum Romanum musiało być wspaniałym zespołem architektonicznym, sądząc po rekonstrukcjach ze znanych ilustracji. Obecnie natomiast widać tam pozostałości dawnych wspaniałości, a szczególnie ruiny potęgi państwa rzymskiego.

Znacznie lepiej wygląda Koloseum, czyli amfiteatr, zwłaszcza z zewnątrz, bo wewnątrz okazał się bardziej zniszczony. Z innych zabytków rzymskich należy wspomnieć o Panteonie, świątyni poświęconej bogom (z pierwszego wieku przed naszą erą), przebudowanej w siódmym wieku na kościół Santa Maria Rotunda. Szczególną pozycję stanowi Kapitol – centrum życia religijnego w starożytności, serce miasta, a także siedziba ówczesnych władz miejskich. Pamiętam także muzeum na wzgórzu palatyńskim, gdzie przechowuje się najstarsze pamiątki Rzymu, kiedyś było ono oficjalną siedzibą imperatorów, a w średniowieczu pełniło rolę fortecy.

Dużym wydzielonym muzeum i enklawą Rzymu jest państwo Watykan. Jest fenomenem, bowiem znajduje się obrębie miasta. Od czternastego wieku Watykan stał się rezydencją papieży. W tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku, na mocy

tw. traktatu laterańskiego, zawartego między papieżem Piusem XI a rządem włoskim, przekształcił się w niezależne państwo z wyznaczonymi granicami.

Obszar Watykanu obejmuje zespół pałacowo-kościelny z bazyliką św. Piotra, plac św. Piotra, gmachy muzeów, biblioteki i inne budynki oraz ogrody watykańskie, łącznie czterdzieści cztery hektary powierzchni. Do państwa tego należy również wiele obiektów położonych poza granicami Watykanu: kościoły, uniwersytet, obserwatorium astronomiczne oraz leżąca poza miastem letnia rezydencja papieska w Castel Gandolfo. Dla mnie, osoby zainteresowanej sztuką, a malarstwem szczególnie, zwiedzanie muzeum watykańskiego było prawdziwą ucztą oraz inspiracją do działalności artystycznej w czasie emerytury.

Zwiedzając te wspaniałe budowle i podziwiając dzieła sztuki zastanawiałem się, jak mógł się czuć gospodarz Watykanu, nasz rodak papież Jan Paweł II. Właśnie szesnastego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku w siódmej turze głosowań wybrano stu czterema na sto jedenaście głosami kardynałów na Stolicę Piotrową Polaka – Karola Wojtyłę. Było to niezwykle wydarzenie, po raz pierwszy od przeszło czterystu lat papieżem został nie-Włoch, a przy tym kandydat z tzw. socjalistycznego kraju. Dla nas był to powód do szczególnej radości i dumy, w tysiącletniej historii naszego państwa po raz pierwszy Polak został wyniesiony do godności papieża i biskupa Rzymu.

W kraju zapanowała euforia, władze wydały krótki komunikat bez entuzjazmu o wyborze kardynała Wojtyły z Krakowa na papieża. Dopiero po pewnym czasie, gdy wiele rozgłośni europejskich i światowych podało tę wiadomość, nie ukrywając podziwu i zachwytu, władze zmieniły formę przekazu. Nasza pozycja w świecie, a zwłaszcza w Europie, znacznie wzrosła.

Na inaugurację pontyfikatu przed bazylikę św. Piotra przybyły rzesze ludzi z całego świata, w tym z Polski. Oczywiście obecni byli także przedstawiciele i delegacje rządowe z wielu krajów, m.in. z państw muzułmańskich, Izraela, Japonii, PRL reprezentował profesor Henryk Jabłoński, przewodniczący Rady Państwa. Przebieg uroczystości był transmitowany na cały świat, także w Polsce.

Jan Paweł II był kontynuatorem swoich poprzedników, ale wprowadził nowy styl bycia i pracy, podjął zapoczątkowaną przez Pawła VI pielgrzymkę po świecie, do bliskich i dalekich krajów, w Polsce był pięciokrotnie. Ujmował wszystkich bezpośrednio i dobrą znajomością języków obcych, również włoskiego. Jego podróżom do kraju, zwłaszcza tym pierwszym, towarzyszył niebywały entuzjazm. Sądzę, że miały one niemały wpływ na podniesienie ducha patriotycznego i oporu przeciwko zniewoleniu narodu i na końcu do zmiany systemu władzy politycznej i ucisku. W czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku papież był w Lublinie, gdzie tłumy mieszkańców wyszły na ulice, witając go na trasie przejazdu. Na KUL wziął udział w spotkaniu z przedstawicielami świata nauki, sztuki i kultury z całego kraju.

W czasie mojego pobytu w Rzymie mój były szef i opiekun Zawadzki został ponownie powołany na sekretarza Wydziału Nauk Rolniczych i Leśnych PAN, czułem

się w obowiązku złożyć mu gratulacje. Profesor od dawna nie pracował w Oddziale, a ja już tylko na części etatu pracowałem w IMUZ, były to więc życzenia od kolegi dla kolegi. Pobyt w Rzymie trwał dziesięć dni, po których trzeba było wrócić do polskiej szarej rzeczywistości, jaka mimo zmiany systemu nie była łatwa. Katedra składała się w większości z młodych pracowników, należało im stworzyć warunki do rozwoju naukowego. W pierwszej kolejności wybrać współmierną dla profilu Katedry tematykę badawczą, a następnie zgromadzić odpowiedni sprzęt badawczy. Byłem pracownikiem pozyskanym z zewnątrz, obcym, nie mogłem liczyć na wsparcie finansowe z Wydziału. Na początku miałem w Katedrze jednego pracownika z doktoratem, doktora Kazimierza Bonetyńskiego, później pozyskałem z zewnątrz doktora Piotra Glinńskiego, pozostałym pracownikom należało stworzyć odpowiednie warunki rozwoju naukowego. Bonetyński był wcześniej na Wydziale sekretarzem komórki partyjnej, wiele wtedy od niego zależało i być może był tak pochłonięty pracą partyjną, że nie zadbał o swój rozwój naukowy i mimo zapewnień, że otworzy przewód habilitacyjny, słowa tego nie dotrzymał.

Dobrze zapowiadającym się pracownikiem w Katedrze okazał się wcześniej niedoceniany Dariusz Kowalski. Zauważyłem w nim pewien potencjał i zaproponowałem mu opiekę – promotorstwo przy otwarciu przewodu doktorskiego. Wtedy na Wydziale nie było jeszcze uprawnień do doktoryzowania w dyscyplinie inżynierii środowiska. Jego przewód doktorski udało się otworzyć na Wydziale Inżynierii Środowiska (wcześniej Melioracji Wodnych) SGGW w Warszawie, natomiast magister inżynier Izabella Wiszniewska-Oraczewska otworzyła przewód na Politechnice w Poznaniu, a magister inżynier Beata Kowalska na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lubelskiej.

Obciążenie dydaktyczne pracowników było duże, zajęcia, wykłady i ćwiczenia prowadzone na dwóch kierunkach oraz studiach w trybie zaocznym wymagały pracy w ramach godzin nadliczbowych. Ograniczało to udział młodej kadry w pracach naukowych Katedry. Dydaktyka na uczelniach, w przeciwieństwie do instytutów resortowych, była pewną przeszkodą w postępie naukowym pracowników uczelni.

Wspomnianym już ograniczeniem rozwoju młodej kadry był brak na Wydziale uprawnień do nadawania stopnia naukowego doktora w dyscyplinie inżynierii środowiska. Kontynuowałem więc wcześniej powierzone mi prace dotyczące przygotowania wniosku o rozszerzenie uprawnień o doktoryzowanie w tej dyscyplinie.

Było to pracochłonne i obszerne opracowanie, mające około dwudziestu rozdziałów, wymienię tylko niektóre z nich:

- *Sprawozdanie Wydziału Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej z działalności naukowo-badawczej za lata 1993–1995.*
- *Charakterystyka dorobku naukowo-dydaktycznego pracowników Wydziału IBiS posiadających tytuły naukowe lub stopnie doktora habilitowanego (20 pracowników).*
- *Charakterystyka dorobku naukowo-dydaktycznego podstawowych i pozostałych wspomagających pracowników Wydziału IBiS.*

- Zbiorowy wykaz ważniejszych publikacji wspomagających prace IBiS.
- Zestawienie zbiorcze osiągnięć pracowników Wydziału IBiS w zakresie kształcenia kadry naukowej.
- Zestawienie otwartych i przygotowanych do otwarcia przewodów doktorskich i habilitacyjnych w Wydziale IBiS.
- Wykaz zgłoszeń, patentów, ochron wynalazków i wzorów użytkowych Politechniki Lubelskiej Wydziału IBiS.
- Wykaz wybranych opracowań zastosowanych w praktyce, baza labor., materiałowa oraz charakterystyka księgozbioru Wydziału IBiS.

Po przygotowaniu kompletu materiałów gotowy wniosek przekazałem zleceniodawcy, czyli Pałowskiemu. Wniosek został następnie przedstawiony na Radzie Wydziału IBiS, która podjęła uchwałę zatwierdzającą wystąpienie do Centralnej Komisji do spraw Tytułów Naukowych i Stopni Naukowych o rozszerzenie uprawnień do nadawania stopnia naukowego doktora w dziedzinie nauk technicznych na dyscyplinę naukową inżynieria środowiska, w Wydziale IBiS Politechniki Lubelskiej.

Na tej podstawie dziekan Wydziału profesor Jan Kukielka wystąpił z tym wnioskiem do Centralnej Komisji do spraw Tytułów Naukowych i Stopni Naukowych. Dwudziestego trzeciego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku wpłynęło pismo do dziekana Wydziału, informujące o przyznaniu Wydziałowi Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej Politechniki Lubelskiej uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora nauk technicznych w dyscyplinie inżynieria środowiska. Decyzja ta, do której znacząco się przyczyniłem, zmieniła sytuację rozwoju naukowego młodej kadry na Wydziale.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku pod moją opieką promotorską otwarty został przewód doktorski na Wydziale IBiS magister inżynier Jolanty Cichosz z Katedry Matematyki i Geometrii Wykreślnej, pt. *Modelowanie transportu wody oraz zanieczyszczeń ściekowych*, ale ze względów zdrowotnych do promocji nie doszło. W dwutysięcznym roku pracę doktorską *Ocena wybranych problemów występowania uderzenia hydraulicznego pod kątem projektowania i eksploatacji systemów wodociągowych* obroniła magister inżynier Izabela Wiszniewska-Oraczewska, ja byłem recenzentem tej pracy.

W kolejnych latach pod moją opieką naukową otwarte zostały przewody doktorskie magistra inżyniera Marcina Widomskiego, pt. *Numeryczna ocena wpływu zwierciadła wody gruntowej na proces sterowania gospodarką wodną gleb hydrogenicznych* oraz rozprawa magister inżynier Małgorzaty Iwanek, pt. *Ocena metod pomiaru przewodnictwa hydraulicznego gleb i gruntów nasyconych i nienasyconych*. Przewody te były realizowane w ramach tematyki statutowej i grantów badawczych prowadzonych w Katedrze Zaopatrzenia w Wodę Usuwania Ścieków. Zagadnienia te dotyczyły następujących problemów:

- Opracowania modelu numerycznego transportu wody i zanieczyszczeń pod kątem zapewnienia ochrony środowiska.

- Modelowania procesów wodno-termicznych w aspekcie ekologicznego kształtowania przestrzeni produkcyjnej (realizacja grantu profesorskiego związanego z tworzeniem szkoły naukowej).
- Programu pilotażowego ochrony przeciwerozyjnej oraz ochrony wód powierzchniowych i gruntowych terenów wyżynnych intensywnie użytkowanych rolniczo (grant z KBN).
- Symulacji transportu wody, zanieczyszczeń rolniczych i przemysłowych w systemie gleba–roślina–atmosfera, pod kątem proekologicznego kształtowania przestrzeni produkcyjnej (temat w ramach działalności statutowej).

Te badania przyniosły w rezultacie późniejsze doktoraty wyżej wymienionych osób, obronione już na Wydziale Inżynierii Środowiska PL.

Będąc jeszcze na części etatu w IMUZ współpracowałem w ramach tej tematyki z Okruszko, który w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku celebrował siedemdziesiąte urodziny. Był kierownikiem Zakładu, w którym pracowałem wcześniej w IMUZ, ale czułem się również wychowankiem jego szkoły. Później, jako wykładowca na kierunku ochrony środowiska na Politechnice Lubelskiej, wykorzystywałem doświadczenia, zdobyte podczas współpracy z Okruszko w pracy dydaktycznej ze studentami, a zwłaszcza w kształtowaniu ich świadomości proekologicznej.

Pollo był po roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym pierwszym solidarnościowym rektorem Politechniki Lubelskiej, był także wybitnym chemikiem z wykształcenia, a zarazem wielkim humanistą, skromnym, przyzwoitym człowiekiem. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku nastąpiła zmiana władz Politechniki, ustępujący rektor profesor Iwo Pollo oraz nowo wybrany profesor Kazimierz Szabelski udzielili wywiadu w „Dzienniku Akademickim”, stanowiącym dodatek do „Dziennika Wschodniego”. W artykule *Kształcić dla przyszłości* Pollo na początku powiedział: „wydawało mi się, że to będzie trudna kadencja i nie pomyliłem się”⁶. Był człowiekiem wrażliwym i uprzejmym, a wokół funkcjonowała nadal skostniała nomenklatura i wszelkie zmiany strukturalne napotykały na opory wewnętrzne, ponieważ wiązały się ze zmianą warunków pracy i zakresu obowiązków prawie wszystkich pracowników. Był to początek transformacji ustrojowej, która trwa z nie małymi oporami aż do dziś. Rektorowi Pollo nie było łatwo, być może dlatego nie kandydował na kolejną kadencję. Darzyłem go dużym poważaniem. Kiedyś okazjonalnie wręczyłem mu w prezencie stylizowaną figurkę mojego dłuta, przedstawiającą Jezusa fraszobliwego, którą po jego śmierci widziałem stojącą na jego mogile, na cmentarzu przy ulicy Lipowej. Był skromnym, uczciwym i jak sądzę wierzącym człowiekiem, cześć i chwała Jego pamięci.

„To, co się udało w tej kadencji zrobić – powiedział Pollo – to przede wszystkim pozyskanie nowych profesorów. Wzrosła liczba tytułarnych profesorów o około 30%,

⁶ I. Pollo, K. Szabelski, Wywiad *Kształcić dla przyszłości*, „Dziennik Akademicki”, dodatek do „Dziennika Wschodniego” 1996, 3.11.1996, s. 1.

to w naszych warunkach – stwierdził – bardzo istotna zmiana, która spowodowała poprawienie naszej pozycji w rankingu uczelni technicznych w kraju⁷.

Miałem w tym swój udział, bowiem byłem nabytkiem pozyskanym z zewnątrz, a na uczelniach technicznych generalnie malała liczba profesorów i doktorów habilitowanych. Na pierwszym spotkaniu pracowników dostrzegłem, jak mała była to grupa, zbyt konserwatywna – trzeba przyznać za Pollo – zbyt zaściankowa, patrząca wąsko na swoją dziedzinę. Ze względu na to, że przebywałem dłużej za granicą i uczestniczyłem w międzynarodowej współpracy naukowej miałem inną perspektywę niż oni. W Stanach Zjednoczonych wszystkie kierunki studiów technicznych, przyrodniczych, medycznych i humanistycznych mieściły się na jednym uniwersytecie i każdy naukowiec miał poczucie swej wartości, uznanie w środowisku i szacunek dla profesji swojej i innych.

W dalszej części swego wywiadu profesor mówił, że kolejnym pozytywem jego urzędowania było wyraźne zaktywizowanie pracy naukowej. Pollo pisał „Chcę podkreślić tu zasługi profesora Pawłowskiego. Około sześciokrotnie wzrosły wpływy z badań naukowych, głównie w związku z większymi projektami dotowanymi przez Komitet Badań Naukowych (KBN). To jest związane z publikacjami, ogłaszaniem wyników w prestiżowych czasopismach. Nasza uczelnia od 20 lat, czyli od kiedy stała się politechniką, wychodzi „z zaścianka” i ta tendencja w ostatnich trzech latach uległa przyspieszeniu⁸.

Sądzę, że przynajmniej w części miałem w tym swój udział, gdyż byłem autorem i wykonawcą dużego projektu zamawianego PBZ-31-01 oraz grantów pozyskanych i finansowanych przez KBN.

Pollo stwierdził następnie, że „Znacznie zwiększył się zakres współpracy międzynarodowej Politechniki Lubelskiej. Mamy przyznane różne kredyty i granty praktycznie z każdym krajem europejskim, mamy sformalizowaną współpracę, należymy do międzynarodowych stowarzyszeń. To bardzo ważne, gdyż – jak sądzę – cierpimy na pewien niedosyt „europeizacji”, a akurat w nauce ta „europeizacja” jest w pewnym sensie najłatwiejsza i najmniej kontrowersyjna⁹.

Pod tym względem również włączyłem się niejako z marszu w tę zagraniczną działalność Politechniki. Moje wcześniejsze światowe kontakty i przynależność do kilku stowarzyszeń międzynarodowych zaowocowała współpracą, o czym może świadczyć moje uczestnictwo w kongresach i konferencjach w Acapulco w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, w Rzymie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, w Warnie, w Bułgarii oraz Kairze w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku (Fot. 26–29).

⁷Tamże.

⁸Tamże.

⁹Tamże.



Fot. 26. Konferencja w Budapeszcie



Fot. 27. Sympozjum w Lublinie



Fot. 28. Kongres ICID w Kairze 1995 r.



Fot. 29. Kongres ICID w Kairze 1995 r.

Moje doświadczenie zawodowe wskazuje, że nauka opiera się na trzech „k”: na kooperacji, kreatywności i konkurencji (*cooperation, curiosity, competition*). Niestety istnieją również inne trzy „k”, które jej najbardziej zagrażają, to konflikt, konfrontacja i kontrola. Przywilejem tego pokolenia jest wykorzystanie możliwości danych nam przez historię i zmianę systemu – wyjście z zaścianka Europy i współpraca w ramach przyszłej integracji europejskiej. Pamiętam jeszcze czasy powojenne, kiedy dominowały konflikty, konfrontacja i wszechobecna kontrola i wiem, że teraz powinniśmy docenić znaczenie otrzymanej szansy. Czasy się zmieniły, zmierzamy do struktur europejskich, przyszła współpraca z pewnością będzie obejmowała szerszą wymianę studentów, wizyty pracowników, wspólne programy dydaktyczne i badawcze, seminaria, kursy, wspólne szkolenia itp., widzę tym udział i przyszłość Politechniki Lubelskiej. Aby jednak urosnąć do standardów zagranicznych musieliśmy i wciąż musimy mierzyć się z licznymi problemami. Jednym z takich problemów był brak bazy lokalowej. Rozpoczęta wtedy budowa gmachu dla Inżynierii i Ochrony Środowiska miała dopiero pozwolić na poprawę warunków dla kierunku budownictwa. Problematycz-

ne okazywało się być także przystosowanie do wymogów rynku i przyszłej integracji europejskiej planów i programów studiów.

Pamiętam swój dłuższy pobyt w latach od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego w USA na Uniwersytecie w Clemson, już wtedy programy studiów zmieniano tam każdego roku, w zależności od potrzeb rynku pracy. Podczas gdy nasze programy są nadmiernie rozbudowane i zatwierdzane na szczeblu ministerstwa, tam decydowały o nich władze uczelni. Muszą nastąpić pewne reintegracje w kształceniu, zwłaszcza, że trzeba wciąż dotrzymać kroku postępowi m.in. w dziedzinie informatyki, komputeryzacji, a także wobec powstawania nowych kierunków studiów i specjalności. Wykształcą się zapewne nowe zawody, absolwent uczelni technicznej musi być przygotowany intelektualnie na niespodzianki, tak jak ludzie w Stanach często zmieniają zawód i miejsce zamieszkania w poszukiwaniu pracy. To może czekać także nas, dlatego musimy być gotowi na to wcześniej. Jak już napomknąłem rektorem wybranym na kolejną kadencję został Szabelski z Wydziału Mechanicznego. Jego konkurentem, który przegrał jednym głosem, był Pawłowski. Nie znałem bliżej Szabelskiego, wytrwał jedną kadencję, w wywiadzie udzielonym we wspomianej wcześniej gazecie na pytanie, jak ma wyglądać uczelnia, którą będzie kierował, odpowiedział:

Musimy mieć świadomość, że wchodzimy w wiek XXI i Politechnika Lubelska powinna być uczelnią w pełni akademicką, w pewnym sensie elitarną, średniej wielkości. Jej absolwenci muszą być poszukiwani na rynku pracy, być dobrze przygotowani do funkcjonowania w warunkach transformacji systemu społeczno-gospodarczego. Należy więc przyspieszyć rozwój kadry naukowej, podnieść jakość kształcenia, co w efekcie powinno podnieść pozycję PL wśród krajowych uczelni¹⁰.

Zapowiedział, że nie zrezygnuje ze starań swojego poprzednika, polegających na pozyskiwaniu profesorów i doktorów habilitowanych z zewnątrz, ale szczególną wagę będziemy przywiązywać także do kształcenia swoich doktorów habilitowanych i profesorów. „Plany rozwoju kadry powinny być jawne, a ich realizacja systematycznie kontrolowana i dotowana w formie grantów wewnętrznych”¹¹. Nadmienił również, że z tych względów należy przywrócić stanowisko prodziekanów do spraw nauki. W następnej kadencji nie został wybrany na rektora, ale mimo to jego plan się przyjął i to właśnie ja pełniłem funkcję prodziekana do spraw ogólnych i nauki na Wydziale IBiS.

W wywiadzie nie wspominał natomiast o kooperacji międzyuczelnianej w kontekście przyszłej współpracy międzynarodowej, a także o tym, jak wykorzystać europejskie doświadczenia w zakresie stawiania czoła współczesności, nowym technologiom i wyzwaniom środowiska przyrodniczego. Pomiął także to, jak sobie radzić i przygotowywać studentów do wyzwań trwającej transformacji politycznej i ekonomicznej

¹⁰ Tamże.

¹¹ Tamże.

w kraju. Tymczasem wszystko toczyło się starymi torami, Pawłowski uaktywnił się na Wydziale, dążąc do uniezależnienia się i w tym celu przekształcając w pierwszej kolejności swoją Katedrę Ochrony Środowiska w Instytut, a następnie w dwutysięcznym czwartym roku zakładając nowy samodzielny Wydział Inżynierii Środowiska, był też zajęty budową nowego budynku dla tego Wydziału.

Dziekanem Wydziału IBiS na kolejną kadencję został profesor Jan Kukielka z poprzednim zespołem, Tadeuszem Ciężarkiem i Adamem Wasilewskim. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku wszczęto na Wydziale postępowanie o powołanie mnie na stanowisko profesora zwyczajnego w Politechnice Lubelskiej. Było to stanowisko nadawane przez ministra edukacji narodowej, ale procedura trwała dwa lata i nie odbiegała od poprzedniej, była długa, szczegółowa, pracochłonna i zbędna. Dokumentów należało zgromadzić nie mniej niż przy staraniach o uzyskanie tytułu profesora tytularnego w Belwederze. Jedyną korzyścią z tego stanowiska był trzystuzłotowy dodatek do poborów.

Powołanie na stanowisko profesora zwyczajnego Politechniki Lubelskiej

Powołanie mnie na profesora zwyczajnego wymagało zgody rektora na utworzenie w Katedrze stanowiska w zakresie inżynierii wodnej i ogłoszenia na nie konkursu, a także przygotowania odpowiedniej uchwały Rady Wydziału i pism, w tym wniosku o mianowanie mnie na stanowisko profesora zwyczajnego.

Wniosek był dość obszerny, około stustronicowy i składał się z następujących dokumentów:

1. Skróconego wniosku rektora.
2. Uzasadnienia potrzeby utworzenia stanowiska profesora zwyczajnego.
3. Informacji o stanie kadrowym Katedry Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków.
4. Informacji o osiągnięciach naukowych i dydaktycznych kandydata.
5. Protokołu posiedzenia Rady Wydziału i Senatu.
6. Informacji o przebiegu konkursu.
7. Recenzji o dorobku naukowym i dydaktycznym kandydata.
8. Kwestionariusza osobowego i dyplomu.

W porównaniu do poprzedniego wniosku belwederskiego, tym razem nie należało już uzyskać akceptacji czynnika partyjnego, ale nie obeszło się bez udziału ministra i jak sądzę innych wciąż tajnych instytucji z poprzedniego systemu.

Dziś z pewnością niewiele osób pamięta, że procedura awansów profesorskich miała nie tylko stronę merytoryczną, ale też polityczną. Mój wtajemniczony kolega z IMUZ radził mi zapisanie się do partii, gdyż łatwiej byłoby mi wtedy ubiegać się o awans. Bez wsparcia ze strony partii, w porównaniu do kolegów z PZPR, musiałem dłużej i więcej pracować na jakikolwiek awans zawodowy i finansowy.

Mój wniosek o stanowisko profesora zwyczajnego stał się przykładem na to, jak głęboko wciąż tkwiłszy w poprzednim systemie. Dla względnego prestiżu tego sta-

nowiska zaangażowano wielu ludzi, czasu i środków na zbędne procedury na wielu szczeblach uczelnianej i ministerialnej drabiny zarządzania. Jak wspomniałem, cały wniosek miał około stu stron, tu postanowiłem zacytować fragmenty protokołu z posiedzenia Komisji powołanej uchwałą Rady Wydziału IBiS, którego nie ma w podanym wcześniej spisie dokumentów, a był podstawą do wniosku rektora. Zdecydowałem się przytoczyć tak duże fragmenty tego protokołu, bowiem jest on częścią mojej biografii widzianej z perspektywy z zewnątrz środowiska oraz wpisuje się on w historię Wydziału i Uczelni:

PROTOKÓŁ

z posiedzenia Komisji powołanej Uchwałą Rady Wydziału Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej Politechniki Lubelskiej w Lublinie z dnia 25 maja 1995 r. w sprawie powołania na stanowisko profesora zwyczajnego prof. dr. hab. inż. Wenantego Olszty

Podstawa:

Komisja w składzie:

- prof. zw. dr. hab. inż. Jerzy Grycz, specjalista z konstrukcji budowlanych,*
- prof. zw. dr. hab. Lucjan Pawłowski, specjalista z inżynierii środowiska,*
- prof. zw. dr. hab. Andrzej Szymański, specjalista z chemii, fizyki i procesów wysokotemperaturowych*

zapoznała się z przedłożoną dokumentacją oraz dwoma ocenami dorobku naukowego i dydaktycznego Kandydata do objęcia stanowiska profesora zwyczajnego w PL przez prof. dr. hab. inż. Wenantego Olsztę.

Ocenę opracowali wybrani przez Radę Wydziału IBiS PL, na plenarnym posiedzeniu w dniu 25 maja 1995 r., następujący recenzenci:

- prof. zw. dr. hab. inż. Saturnin Zawadzki – Członek Rzeczywisty PAN, specjalista z zakresu gleboznawstwa melioracyjnego, Sekretarz V Wydziału PAN w Warszawie,*
- prof. zw. dr. hab. inż. Jan Gliński – Członek Korespondent PAN, specjalista z zakresu agrofizyki (gleboznawstwo, fizyka gleby), Dyrektor Instytutu Agrofizyki PAN w Lublinie.*

Powołani recenzenci przedstawili wyczerpujące i uzasadnione oceny, zakończone jednoznaczными wnioskami. Stwierdzili jednomyślnie, że prof. dr. hab. inż. Wenant Olszta powiększył wydatnie swój dorobek naukowy po uzyskaniu tytułu naukowego profesora w dziedzinie inżynierii środowiska, głównie w zakresie gospodarki wodnej gleb i matematycznego modelowania procesów wodnych i termicznych w strefie nasyconej i nienasyconej profilu gleby i gruntu. Prof. W. Olszta kierował różnymi zespołami badawczymi. Aktualnie jest Kierownikiem Katedry Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków, uczestniczy w szkoleniu studentów oraz młodej kadry naukowej, wdraża wyniki badań naukowych do praktyki, udziela się społecznie.

Biorąc pod uwagę pozytywne opinie oraz własną znajomość Kandydata Komisja stwierdza, że odpowiada On wymaganiom stawianym w Ustawie z dnia 12 września 1990 r. o tytule naukowym i stopniach naukowych, i w pełni kwalifikuje się na stanowisko profesora zwyczajnego.

Komisja wnioskując pozytywnie wzięła pod uwagę następujące prace i osiągnięcia kandydata.

Prof. dr hab. inż. Wenanty Olszta, ur. w 1938 r., obecnie pracuje w Katedrze Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków PL, jako specjalista w zakresie inżynierii wodnej i ochrony środowiska. Kieruje siedmioosobowym zespołem pracowników, realizując oprócz dydaktyki, szeroką tematykę badawczą.

Od ukończenia studiów na Wydziale Melioracji Wodnych SGGW w Warszawie w 1966 r. był zatrudniony w Instytucie Melioracji i Użytków Zielonych Oddział w Lublinie, gdzie awansował, uzyskując kolejno stopnie doktora nauk technicznych w 1973 r., doktora habilitowanego nauk technicznych w 1983 r. i tytuł profesora w 1992 r. Odbyte staże naukowe w Holandii (1986 i 1988) i USA (1974–1975) dały Mu dobre przygotowanie do rozwoju naukowego. Od października 1993 r. został zatrudniony na Wydziale Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej Politechniki Lubelskiej na stanowisku profesora nadzwyczajnego.

Prof. W. Olszta podwyższał swe kwalifikacje, odbywając studia specjalistyczne za granicą, a mianowicie: piętnastomiesięczny staż w zakresie symulacji procesów fizyko-wodnych w glebach (USA, 1974–1975). Trzymiesięczny staż w zakresie wykorzystania teledetekcji do prognozowania gospodarki wodnej w zlewni oraz nawodnień i plonowania użytków zielonych (Holandia 1988). Brał udział we współpracy z zagranicą, uczestnicząc czynnie (referaty) w kongresach i seminariach naukowych.

Łączny dorobek naukowy publikowany i niepublikowany Kandydata jest bardzo bogaty i obejmuje 154 prace. Natomiast opublikowany dorobek naukowy to około 90 prac. Prace w językach obcych, głównie angielskim, obejmują 30 pozycji. Ilość [tekstów] opublikowanych po uzyskaniu tytułu profesora wynosi 19 pozycji. Są to oryginalne rozprawy, artykuły i monografie, wśród których 9 wyłącznie autorstwa Kandydata.

W działalności naukowej prof. W. Olszty rozróżnić można dwa kierunki Jego zainteresowań:

- fizyko-wodne parametry gleb, sposoby ich wykorzystania dla celów melioracyjnych oraz metody ich określania – retencja, przewodnictwo hydrauliczne strefy nasyconej i nienasyconej gleb i gruntów,
- modelowanie i symulacja dynamiki uwilgotnienia gleb, przepływy wody w glebach, gruntach nasyconych i nienasyconych oraz optymalizacja produkcji roślinnej.

W opinii Zawadzkiego:

Przytoczone dane liczbowe dotyczące publikacji świadczą o intensywnej aktywności naukowej profesora W. Olszty, a szczególnie w okresie po uzyskaniu tytułu naukowego. Twórczy umysł profesora poparty pracowitością pozwolił Mu opublikować w ciągu ostatnich trzech lat cztery oryginalne rozprawy naukowe w poważnych czasopismach naukowych o znaczeniu międzynarodowym, w tym dwie w „Polish Journal of Soil Science” (1992 i 1995), jedną w wydawnictwie Węgierskiej Akademii Nauk (1992) i jedną w „International Agrophysics” (1995). Pozostałych piętnaście, które ukazały się od

1992 roku (bądź które ukazały się w roku bieżącym), to cenne prace prezentowane na konferencjach i kongresach naukowych za granicą (Francja, Niemcy, Słowacja, Węgry, Anglia, Meksyk, Rosja, Holandia, Bułgaria) i w Polsce – oparte na własnych eksperymentach z wykorzystaniem modeli matematycznych symulujących procesy zachodzące w przyrodzie w złożonym systemie gleba–roślina–atmosfera.

Profesor Wenanty Olszta jest wybitnym specjalistą z zakresu gospodarki wodnej w glebach nienasyconych. Jego talent i pracowitość, poparte głęboką wiedzą zdobytą w kraju i pogłębioną podczas kilku długoterminowych staży w naukowych ośrodkach zagranicznych (USA, Holandia) i krótszych w Rosji, Niemczech, pozwoliły ukształtować Jego wysoką pozycję naukową. Liczne prace poświęcone metodyce eksperymentalnej przyczyniły się do wniesienia przez prof. W. Olsztę trwałego wkładu do gleboznawstwa melioracyjnego, szczególnie do rozszerzenia wiedzy o procesach dotyczących gospodarki wodnej w glebach w powiązaniu ze wzrostem roślin.

Prace te są bardzo ważne i cenne, dlatego spotykają się z dużym zainteresowaniem specjalistycznych środowisk naukowych, co jest powodem zapraszania profesora W. Olszty do udziału w licznych konferencjach, sympozjach zagranicznych i krajowych z propozycją prezentowania wyników własnych badań.

Gliński pisze:

Dorobek naukowy prof. W. Olszty jest pokaźny, obejmuje bowiem 90 prac opublikowanych, w tym 69 oryginalnych prac twórczych, a w tej liczbie 19 po uzyskaniu tytułu naukowego profesora.

Wiele prac ukazało się w języku angielskim w renomowanych czasopismach, jak „Polish Journal of Soil Science”, „Roczniki Gleboznawcze” i „Zeszyty Problemowe Nauk Rolniczych”, a także w wydawnictwach międzynarodowych konferencji i kongresów.

Badania Prof. W. Olszty koncentrowały się w dziedzinie melioracji – głównie w płaszczyźnie gleboznawstwa i gospodarki wodnej gleb nienasyconych. Były one ukierunkowane na opracowanie metod oznaczania oraz badania właściwości wodnych gleb hydrogenicnych. Opracowane przez profesora laboratoryjne metody oznaczania przepuszczalności wodnej i retencji gleb znalazły szerokie zastosowanie w praktyce melioracyjnej, a także w badaniach naukowych wielu instytutów i uczelni.

Jako szczególnie cenny należy uznać cykl 17 prac nt. wykorzystania parametrów wodnych w modelowaniu i symulacji komputerowych zjawisk wodno-termicznych w glebie nienasyconej. Uzyskane w tym zakresie wyniki, opublikowane w „Zeszytach Problemowych Postępów Nauk Rolniczych” t. 220(1986), 284 (1986), 268 (1986), 294 (1985), 390 (1990) i „Polish Journal of Soil Science” t. XXI (1988) i XXVIII (1995) oraz w „International Agrophysics” vol. 9.1 (1995), stanowią cenny wkład Autora do poznania procesów zachodzących w glebach meliorowanych oraz dają podstawę do poprawy metod projektowania urządzeń melioracyjnych. Wyniki te, przedstawiane na konferencjach krajowych i zagranicznych, budziły zainteresowanie oraz zyskiwały uznanie specjalistów.

Katedra, której Prof. W. Olszta jest obecnie Kierownikiem, prowadzi prace badawczo-rozwojowe objęte dyscypliną zaopatrzenia miast i wsi w wodę oraz kształtowania i ochrony środowiska naturalnego.

Prof. W. Olszta, podejmując trudną tematykę z pogranicza kilku dyscyplin (melioracji, hydromechaniki, fizyki gleb, hydrologii i fizyki atmosfery), jest cenionym naukowcem zarówno w kraju, jak i za granicą. Jest to szczególnie widoczne w czasie Jego aktywnego udziału w wielu – dziewiętnastu międzynarodowych konferencjach i kongresach (np. na ostatnim XV Światowym Kongresie Gleboznawczym w Meksyku w 1994 r.).

W zakresie działalności dydaktyczno-wychowawczej Prof. W. Olszta bierze czynny udział jako wykładowca na kursach szkoleniowych dla młodej kadry pracowników nauki i praktyki zawodowej.

Gliński, omawiając działalność dydaktyczno-wychowawczą, pisze:

Profesor Olszta wykazał dużą aktywność jako wykładowca na licznych kursach oraz w szkołach letnich organizowanych przez Komitet Melioracji i Komitet Agrofizyki PAN. Jest członkiem Rady Naukowej Instytutu Agrofizyki PAN, kilku towarzystw i komisji naukowych (np. Międzynarodowego Towarzystwa Gleboznawczego i również Torfowego).

Jest autorem licznych recenzji, prac naukowych przeznaczonych do druku, projektów badawczych KBN, dorobku naukowego na stopień doktora i doktora habilitowanego.

Profesor Olszta jest bardzo zaangażowany w działalność dydaktyczną, prowadzi zajęcia z czterech przedmiotów, przekraczając obowiązujące pensum (285 godzin) o około 60%, sprawując jednocześnie opiekę nad wieloma pracami magisterskimi.

Pracując poprzednio w małej placówce naukowej resortu rolnictwa (Oddział Lubelski IMUZ), Profesor nie miał możliwości wypromowania doktoranta, ale w chwili przejścia do uczelni w krótkim okresie czasu został promotorem pięciu prac doktorskich, z których dwie są obecnie zaawansowane w 70%.

Zawadzki pisze:

W okresie przed pracą w Politechnice, głównie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, prowadził cykle wykładów z zakresu swojej specjalności na kursach szkoleniowych kadry melioracyjnej z całej Polski w Centralnym Ośrodku Doskonalenia Kadry działającym w IMUZ w Falentach koło Warszawy.

W czasie ostatnich ośmiu lat zapraszany jest z wykładami specjalistycznymi w ramach szkół letnich, organizowanych przez Komitety Naukowe PAN (Komitet Cybernetyki, Komitet Agrofizyki, Komitet Techniki Rolniczej i Komitet Melioracji i Ochrony Środowiska). Był konsultantem prac magisterskich Akademii Rolniczej w Lublinie oraz konsultantem pracy doktorskiej mgr. inż. Mirosława Mikrusa z AR w Lublinie (nie będąc jednak oficjalnym promotorem), był promotorem 10 prac magisterskich.

Opracował 3 oceny dorobku naukowego i rozpraw habilitacyjnych (K. Borne z Uniwersytetu w Rostoku, T. Brandys i P. Hewelke – obydwaj z SGGW). Jako członek rad naukowych uczestniczył w komisjach do spraw przewodów doktorskich.

Reasumując stwierdzam, że bardzo bogaty dorobek badawczy prof. dr. hab. inż. W. Olszty, udokumentowany w postaci kilkudziesięciu prac opublikowanych w poważnych czasopiśmie naukowych, znacznie powiększony po uzyskaniu tytułu naukowego profesora, moim zdaniem w pełni rekompensuje brak promowanych doktorów (co nie wynika z winy prof. W. Olszty).

Omówiona wyżej ograniczona działalność dydaktyczna prof. Olszty prowadzona była przez Niego z wielkim talentem i zaangażowaniem pedagogicznym, co odbywało się z pożytkiem dla słuchaczy i dawało satysfakcję prowadzącemu zajęcia. Obecnie na Politechnice prowadzi On pięciu doktorantów, prace dwóch są zaawansowane, a pozostałych trzech w początkowej fazie.

Wyrażam moje przekonanie, że wszczęte postępowanie w sprawie mianowania Pana Prof. Wenantego Olszty na stanowisko profesora zwyczajnego w Politechnice Lubelskiej jest w pełni zasadne.

Prof. W. Olszta kilka kolejnych kadencji uczestniczył w pracach Rady Naukowej Instytutu Agrofizyki PAN, Rady Naukowej Instytutu Melioracji i Użytków Zielonych. Jest czynnym członkiem Komitetu Agrofizyki PAN. Członkostwo w wymienionych gremiach pochodzi z wyboru, co świadczy o wysokiej pozycji profesora W. Olszty w środowisku specjalistów.

Za działalność naukową i społeczną Prof. W. Olszta otrzymał szereg odznaczeń, między innymi: Złoty Krzyż Zasługi, Odznakę Zasłużonego Pracownika Rolnictwa, Złotą Odznakę PTG, Złotą Odznakę Honorową SITWM, Odznakę Tysiąclecia Państwa Polskiego. Dwukrotnie był laureatem nagrody NOT za wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki.

Reasumując ocenę własną oraz recenzentów Komisja RW stwierdza, że dorobek naukowy, organizacyjny i dydaktyczny Prof. dr. hab. inż. Wenantego Olszty w całym przebiegu działalności jest znaczący. Dorobek naukowy uległ istotnemu powiększeniu po ostatnim awansie naukowym, tj. od uzyskania w 1992 r. tytułu profesora. Wyniki w badaniach naukowych oraz aktywność we wdrożeniach, szeroka współpraca z organizacjami naukowymi, społecznymi i gospodarczymi pozwoliła Profesorowi W. Olszcie osiągnąć wysoki autorytet i uznanie w kraju i za granicą.

W zakończeniu Zawadzki pisze, że:

Twórcza wyobraźnia, pomysłowość, umiejętność wskazywania problemów i formułowania hipotez roboczych, a także łatwość harmonijnego współdziałania w zespołach ludzkich i konsekwencja w działaniu, to cechy charakteryzujące osobowość profesora W. Olszty. Umiejętność współpracy z ludźmi powoduje, że jest On zapraszany do udziału w różnych gremiach, radach i komitetach.

Przytoczone fakty upoważniają Komisję do postawienia pozytywnego wniosku Radzie Wydziału Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej Politechniki Lubelskiej w sprawie przedstawienia kandydatury Prof. dr. hab. inż. Wenantego Olszty na stanowisko profesora zwyczajnego, bowiem, jak stwierdza w zakończeniu swej opinii Prof. J. Gliński, „Całokształt dorobku naukowego, istotnie powiększony po uzyskaniu tytułu profesora, pozycja naukowa w kraju i za granicą, predyspozycje organizatorskie oraz działalność dydaktyczna w pełni uzasadniają powołanie Profesora Wenantego Olsztę na stanowisko profesora zwyczajnego w Politechnice Lubelskiej.

Procedura tego mianowania trwała dwa lata, a od czasu zyskania stopnia doktora w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku upłynęło dwadzieścia pięć lat, tymczasem w Stanach Zjednoczonych stanowisko profesora uzyskuje się bez zbędnych formalności. Sądzę, że tytuł profesora zwyczajnego powinien nadawać rektor uczelni, bowiem jedyną z niego wymierną korzyścią był dodatek do podstawowego uposażenia, a samo słowo „zwyczajny” to względny prestiż, kosztujący wiele wysiłku mnóstwo ludzi i służb, łącznie z ministrem.

Istotnym elementem tego wniosku było w punkcie drugim uzasadnienie potrzeby utworzenia stanowiska profesora zwyczajnego w Katedrze ZWiUŚ. Na powstałym w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku kierunku ochrona środowiska występowały cztery specjalności, jedną z nich była specjalność zaopatrzenia w wodę i usuwania ścieków, której odpowiadała nazwa Katedry. Prowadziła ona prace badawczo-rozwojowe objęte dyscypliną zaopatrzenia w wodę oraz kształtowania środowiska. Ochrona przed zanieczyszczeniem wód powierzchniowych posiadała i nadal posiada istotne znaczenie, zatem kształcenie studentów wymaga specjalistycznej wiedzy z różnych dyscyplin naukowych. W Katedrze prowadzone były następujące przedmioty: hydrologia inżynierska, mechanika płynów, melioracje wodne, wodociągi i kanalizacje, hydro-botaniczne systemy oczyszczania ścieków, instalacje wodno-kanalizacyjne oraz gospodarka wodna w zlewni. Uzasadnione jest więc stymulowanie rozwoju młodej kadry naukowo-dydaktycznej na wysokim europejskim poziomie dydaktycznym i merytorycznym.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku Rada Wydziału IBiS przygotowała wniosek o rozszerzenie praw doktoryzowania na kierunku ochrony środowiska w dyscyplinie inżynieria środowiska, co dodatkowo potwierdziło zasadność utworzenia stanowiska profesora zwyczajnego w Katedrze.

Katedrę ZWiUŚ organizowałem od podstaw, odpowiadając za skład osobowy, opiekę naukową oraz zabezpieczenie środków finansowych, które na uczelni były skromne. Mając na uwadze rozwój naukowy pracowników i studentów podejmowałem próby wprowadzania ich do badań wykorzystania modelowania matematycznego i technik komputerowej. Pamiętam, że podczas stażu w USA widziałem, jak studenci stosowali przy pracach dyplomowych programy numeryczne, wykorzystując

komputery PC. Minęło dwadzieścia lat, a nas ciągle nie było stać na taki sprzęt. Te opóźnienia ciągle trwają, a w niektórych dziedzinach pogłębiają się.

Wtedy o wszystko trzeba było walczyć i zabiegać różnymi sposobami, również o tytuły naukowe, oto efekt końcowy wielu komisji, posiedzeń, głosowań i stustronicowego wniosku o stanowisko profesora zwyczajnego:

MINISTER EDUKACJI NARODOWEJ

Warszawa, 1997-01-23

Pan

*Prof. dr hab. inż. Wenanty Olszta
Politechnika Lubelska*

*Na podstawie art. 80 ust. 1, w związku z art. 86 ust. 1 i art. 87 ustawy z dnia 12 września 1990 r. o szkolnictwie wyższym (Dz. U. nr 65, poz. 385 wraz z późniejszymi zmianami) mianuję Pana Profesora z dniem 1 lutego 1997 r. na stanowisko **profesora zwyczajnego** w Politechnice Lubelskiej.*

Obowiązki i prawa Pana Profesora określa ustawa o szkolnictwie wyższym oraz wydane na jej podstawie przepisy wykonawcze.

Uposażenie będzie Pan Profesor otrzymywał w wysokości i na zasadach określonych w przepisach o uposażeniu nauczycieli akademickich.

Prof. dr hab. Jerzy J. Wiatr

W tym samym roku zostałem również mianowany na członka Nowojorskiej Akademii Nauk, tak brzmiał potwierdzający to dokument:

NEW YORK ACADEMY OF SCIENCES

*SERVING SCIENCE, TECHNOLOGY AND SOCIETY WORLDWIDE since 1817
PRESENTED TO*

Professor Wenanty Olszta

***AN ACTIVE MEMBER OF THIS ACADEMY
April 1997***

***TO REMAIN IN GOOD STANDING BY FULFILLING
THE RESPONSIBILITIES OF MEMBERSHIP***

Chairman of Board New York Academy President and CEO of Science

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku ministrem edukacji narodowej został człowiek poprzedniego systemu, profesor Jerzy J. Wiatr. Tak więc po kilku latach rządów wolnościowych wybraliśmy, tym razem legalnie, władzę, którą w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku Rosjanie przywieźli nam na czołgach wbrew woli niemal całego społeczeństwa. Dawna nomenklatura przebrała się w nowe szaty – socjaldemokracji. Lewica okazała się dobrze zorganizowana i zdyscyplinowana. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku została przyjęta po paru latach dyskusji i uchwalona przez lewicę konstytucja.

Spółczesność polskie jakby zapomniało, jak wyglądały rządy w czasach PRL. Wcześniej przedstawiciele „Solidarności” doprowadzili do upadku rządu obozu solidarnościowego, tj. Hanny Suchockiej, a w konsekwencji do przegranych w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku wyborów parlamentarnych. Gdy pojawiły się listy współpracowników UB i donosicieli, podniósł się wrzask i protesty ze wszystkich stron – i z lewa, i z prawa. Lustracja miała jakoby sprowadzić na Polskę nieszczęście, został też odwołany rząd premiera Jana Olszewskiego. Wyglądało jakby zbyt wielu, w tym również przedstawiciele najwyższych władz, bało się, że zostaną oskarżeni o współpracę.

Uważam lustrację za konieczną, przeprowadzono ją z powodzeniem w Niemczech i Czechach, gdzie chodziło o odsunięcie od stanowisk ludzi zhańbionych swym postępowaniem w czasach PRL, a szczególnie w okresie stalinowskim. Każdy powinien wiedzieć, kto działał na jego szkodę, kto donosił na kolegów z pracy czy na sąsiadów. Nieliczni z nich nadal żyją i funkcjonują wśród nas. Niech ich nazwiska przejdą do historii i stanowią ostrzeżenie dla potomnych. Nie tylko wybrani, ale każdy obywatel polski powinien mieć prawo wglądu do swoich akt (teczek), aby móc wiedzieć, kto na niego donosił. Niech pogarda będzie dotkliwą karą dla tych ludzi. Piszę o tym niejako na marginesie, ale historia ta wpisuje się w moją powojenną biografię, dotykała mnie nierzadko boleśnie jako bezpartyjnego, a jej skutki trwają do dziś.

Wcześniej, dwudziestego trzeciego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, uczestniczyłem w uroczystej promocji doktorów oraz doktorów habilitowanych w SGGW w Warszawie. W auli kryształowej przy ulicy Nowoursynowskiej odbyła się promocja mojego pierwszego doktoranta doktora inżyniera Dariusza W. Kowalskiego. Jego przewód doktorski został przeprowadzony na Wydziale Melioracji i Inżynierii Środowiska SGGW, który w czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku celebrował pięćdziesięciolecie. Z tej okazji na ręce Dziekana przesłałem gratulacje Radzie Wydziału i Senatowi. Na Wydziale IBiS uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora otrzymaliśmy później – w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku, we wrześniu, uczestniczyłem również w Międzynarodowym Kongresie Nawodnień i Odwodnień ICID, odbywającym się w Kairze, gdzie zgłosiłem poster: *Simulation of soil water and thermal processes as water deficit index* (Fot. 28, 29).

Do Egiptu leciałem samolotem LOT z przesiadką w Rzymie. Na miejscu okazało się, że zaginął mój bagaż, kilka razy jeździłem po niego na lotnisko, ale bez efektu. Dopiero po powrocie do kraju odebrałem go po pewnym czasie na lotnisku w Warszawie. W tym kongresie brali udział goście z różnych kontynentów: obu Ameryk, Azji i Europy, z Polski przyjechało zaledwie kilka osób, jak sądzę głównie ze względów finansowych. Spotkałem wielu znajomych z kraju i osób poznanych wcześniej podczas pobytów zagranicznych. Ci, którzy w czasie odwiedzin w Polsce byli gośćmi w moim domu, przedstawiali mnie swoim kolegom, mówiąc o mnie „niezwykły facet mieszkający w niezwykłym domu” (Fot. 30, 31). Byli to przede wszystkim znajomi z Holandii, a dom, o czym wspominałem poprzednio, był wybudowany na wzór siedziby zamożnego Holendra, stąd jak sądzę ten zachwyty. Wtedy w moim salonie wisiały na ścianach cztery kopie Rembrandta mojego autorstwa i cztery zegary ściennie, dziś w nowym domu na parterze wisi pięćdziesiąt płócien mojego pędzla.



Fot. 30. Dom w Lublinie



Fot. 31. Salon w domu w Lublinie

Na kongresie spotkałem między innymi Segerena z Holandii, mojego opiekuna naukowego ze stażu asystenckiego w Campen. Od tamtego czasu minęło trzydzieści lat. On był wtedy inżynierem, a ja magistrem po studiach. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku ja się doktoryzowałem, a on został profesorem, podczas gdy ja na takie stanowisko musiałem czekać dwadzieścia pięć lat. Dopiero na kongresie, po tylu latach, mogliśmy rozmawiać jak równy z równym, ale nie był zbyt rozmowny, więcej sympatii wykazała jego żona. Spotkanie miało miejsce na bankiecie kończącym obrady. Holendrzy to dumny naród, by nie powiedzieć zarozumiały, bywa, że trudno jest się z nimi zaprzyjaźnić.

Obrady odbywały się na posiedzeniach plenarnych, seminariach i w grupach roboczych, towarzyszyły im sesje posterowe, gdzie każdy mógł zaprezentować zgłoszony wcześniej referat. W programie dziewięciodniowych obrad były wyjazdy terenowe na pustynie, zwiedzanie piramid w Gizie oraz co ciekawszych zabytków i muzeów

w Kairze. Podczas każdej wycieczki towarzyszyła nam ochrona żołnierzy, jadących na początku i na końcu autokarów, ze względu na bezpieczeństwo uczestników konferencji. W Kairze roczna suma opadów wynosi zaledwie dwadzieścia osiem milimetrów, temperatura w styczniu to trzynaście stopni Celsjusza, a w lipcu dwadzieścia osiem stopni Celsjusza. Aby uzyskać jakiegokolwiek plony należy tam zatem nawadniać pola. Nawadnia się również piaski na pustyni. Zwiedziliśmy duże gospodarstwo rolne, gdzie rosły bujne sady bananowe, nawadniano lucerna i sadzono ziemniaki, by wiosną zbierać plony. Woda doprowadzana jest na pustynię z Nilu kanałami betonowymi, a na miejscu siecią licznych zraszaczy nawadnia się pola uprawne na piasku. Tu właśnie wykorzystuje się modele matematyczne, szacujące potrzeby wodne i to, ile wody wyparuje, obliczające dawki polewowe i terminy nawodnień. Taki właśnie model był tematem mojej pracy habilitacyjnej. Deszczownie spełniały tu podwójną rolę – nawadniającą i ochładzającą w okresie wysokich temperatur. Na moje pytanie, czy takie fermy są opłacalne i jakie są koszty tej uprawy – produkcji rolnej – padła odpowiedź, że koszty nie są ważne, istotą jest niezależność w pozyskiwaniu żywności.

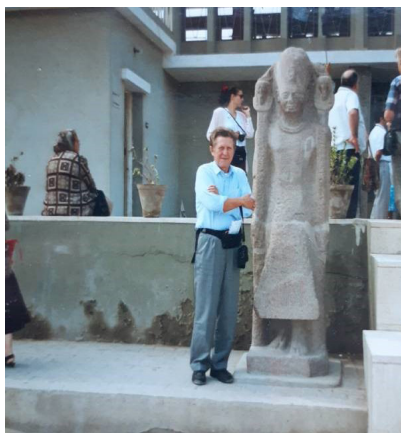
Kair to miasto kontrastów, podobnie jak cały Egipt, główne ulice były czyste i szerokie, a pozostałe wąskie i często zaśmiecone, występowała tam zabudowa od nowocześniejszej do ruder i pustostanów, sprawiających opłakane wrażenie. Niełatwo tam było poruszać się po ulicach ze względu na ogromny zgiełk i hałas klaksonów, ruch uliczny pojazdów wyglądał na dowolny, bez określonych zasad, jeździło tam wiele „gratów”, a widok osiołka na ulicy nie był rzadkością. Sklepy okazały się bogato zaopatrzone, na bazarach było dużo towarów, trudno było jednak zorientować się w ich cenach, gdyż targowanie się przy zakupach stanowiło wręcz obowiązek. Wielu mężczyzn było odzianych według dawnego zwyczaju, tj. w długie białe suknie, natomiast kobiety ubrane były na czarno, głowy otułały szalami lub chustami.

W mieście obiektami naszych zainteresowań były muzea, meczety i oczywiście piramidy w Gizie, odległej około dziesięć kilometrów na południowy zachód od Kairu. Na zwiedzanie miasta i okolic przeznaczone były określone dni i godziny, zawsze pod ochroną żołnierzy. Ogromny przepych starożytnego Egiptu, jaki obserwowałem w muzeach, sprawiał, że współczesny kraj wydawał mi się w porównaniu z dawnym światem ubogi. Niezwykle interesujące było zwłaszcza Muzeum Archeologii, które zawiera bogate i bezcenne zbiory z całego kraju, będące świadectwem wysokiej kultury i sztuki starożytnego Egiptu. Widziałem w nim liczne posągi, grobowce klejnoty, broń i różne sprzęty, a także mumie.

Do ciekawszych przykładów wspaniałej architektury islamskiej należy niewątpliwie meczet sułtana Hassana z trzynastego wieku, praktykujący muzułmanie trzy razy dziennie modlą się w takim meczecie, bądź w domu lub w pracy, a nawet na ulicy. Oczywiście w programie zwiedzania miasta była Giza, znajdują się tam trzy piramidy, największa z nich została zbudowana dla faraona Chufu – Cheopsa, dwie kolejne – mniejsze, wybudowane zostały przez późniejszych faraonów. Są to gigantycznych rozmiarów budowle, wielka piramida ma sto trzydzieści siedem metrów wysokości,

kwadrat w podstawie o powierzchni pięciu hektarów, a każda ze ścian usytuowana została zgodnie z kierunkami stron świata. Zbudowano ją z ponad dwóch milionów wapiennych i piaskowcowych bloków, ważących nawet po piętnaście ton, ułożonych schodkowo. Piramida ta stoi tam od czterdziestu sześciu wieków i skutecznie opiera się czasowi, budząc podziw nad kunsztem sztuki budowlanej minionych czasów. Obok stoją piramidy niewielkich rozmiarów – być może przeznaczone dla żon faraonów oraz grobowce kapłanów i urzędników.

Grobowce, w których znajdują się z mumifikowane ciała faraonów, mają na ścianach liczne malowidła. Obrazują one, często drobiazgowo, sceny z życia codziennego starożytnego Egiptu. Po zachodniej stronie Nilu jest Dolina Królów – nekropolia, w której pochowano większość faraonów z okresu Nowego Państwa. Odnaleziono tam ponad sześćdziesiąt grobowców, ale największą sensacją było odkrycie w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku grobowca Tutenchamona, który zmarł w wieku osiemnastu lat w połowie czternastego wieku przed naszą erą. Znalaziono w nim liczne bezcenne przedmioty codziennego użytku i ozdoby – prawdziwe dzieła sztuki, które obecnie znajdują się w Muzeum Archeologicznym (Fot. 32, 33).



Fot. 32 Muzeum w Kairze 1995 r.



Fot. 33. Kair – Giza 1995 r.

Wokół piramid pełno było turystów oraz zarabiających Egipcjan. Oferowali oni swoje usługi, np. fotografię na wielbłądzie za pięć dolarów. Mnóstwo tam było też różnego rodzaju handlarzy wciskających co się da, twierdząc, że sprzedają antyki, niektórzy z nich potrafili być bardzo natrętni. W pobliżu wielkiej piramidy Cheopsa od strony Nilu znajduje się posąg sfinksa, zbudowany przez faraona Chefrena. Sfinks jest leżącym lwem z ludzką głową, ma siedemdziesiąt metrów długości i dwadzieścia metrów wysokości, wykonany jest z jednej bryły skalnej. Od dawna symbolizuje tajemnice, pełniąc funkcje strażnika grobów faraonów.

Płaski krajobraz doliny wokół Kairu zwiedzaliśmy zbiorowo, podziwialiśmy liczne palmy i pola uprawne – małe poletka, pocięte rowami i bruzdami rozprowadzającymi wodę do nawodnień. Woda tam była mętna i zanieczyszczona, istniało niebezpieczeństwo zakażenia amebami. Stanowiła tam cenny surowiec, podobnie jak w Meksyku, gdzie jej zasoby są ograniczone. Bliżej miasta widzieliśmy na polach więcej drzew owocowych i krzewów. Owce, kozy i bydło oraz małe pracujące dzieci stanowiły stały element krajobrazu doliny Nilu.

W Egipcie powszechna jest uprawa trzciny cukrowej i bawełny. Tamtejsza uprawa ryżu, kukurydzy, pszenicy i daktyli zaspakaja zaledwie czwartą część potrzeb, reszta musi być importowana. Duże znaczenie dla gospodarki egipskiej, w tym rolnej, miało zbudowanie potężnej Tamy Asuańskiej i utworzenie Zbiornika Nasera na Nilu. Oddana do użytku w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, zaprojektowana według planów Niemców, a wykonana przy pomocy byłego Związku Radzieckiego kosztowała około miliarda dolarów i kilkaset istnień ludzkich. Zbiornik pozwolił na uruchomienie elektrowni wodnej, zintensyfikowanie nawodnień oraz zwiększenie plonów – przez dwukrotne zbiory w roku. Woda ma więc tam istotne znaczenie gospodarcze, polityczne i społeczne, w szerokim znaczeniu tego pojęcia (dlatego też odwodnienia i nawodnienia stały się tematem organizowanej w Egipcie konferencji).

Wyjazd ten spowodował dwa tygodnie przerwy w pracy, ale przyniósł pozytywne efekty, gdyż podróże kształcą. Zyski poznawcze, edukacyjne i przy okazji turystyczne zrekompensowały ewentualne zaległości, które należało nadrobić, włączając się w rytm zajęć w Katedrze. Poza tym, obserwacja z pierwszej ręki realnych problemów tego świata poszerza naszą wiedzę o egzystencji w coraz gorszych uwarunkowaniach przyrodniczych i środowiskowych. Pomogło mi to w kształtowaniu świadomości proekologicznej studentów, w weryfikacji dotychczasowych programów nauczania, które okazywały się nie nadążać za szybko zmieniającą się rzeczywistością, zarówno w skali globalnej, jak i lokalnej. W Polsce również przecież odczuwamy braki czystej wody, a rzeki są pozaklasowe w skali ich czystości.

Światowe osiągnięcia w nauce, zaprezentowane na seminariach i w grupach roboczych podczas owego kongresu, można było wykorzystać również do weryfikacji naszych programów badawczych w kraju, dostosowując je tym samym do aktualnych potrzeb i postępów w nauce. Sądzę, że należałoby stworzyć odpowiednie warunki do podobnych wymian międzynarodowych dla większej grupy pracowników i studentów z polskich uczelni.

Wymiernym efektem tej współpracy i pobytu w Kairze było moje uczestnictwo w międzynarodowym projekcie EUREKA. Tytuł projektu brzmiał: *Fertigation control with in-field feedback system to adjust irrigation and fertilization to crop demand and minimize pollution*, kraje w nim uczestniczące to: Holandia, Izrael i Węgry.

Większą aktywność we współpracy międzynarodowej wykazywał wówczas Pawłowski, który w latach od tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt osiem do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt cztery odbył dziewięć podróży zagranicznych. Ostatni dwutygo-

dniowy pobyt w Chińskiej Akademii Nauk z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku zaowocował przyznaniem mu tytułu profesora honorowego tej Akademii. Ciekawostką może być to, że ceremonia wręczenia tego wyróżnienia odbyła się w Lublinie w obecności znakomitych osobistości. Pawłowski poprosił mnie przy tej, tak jak i przy innych okazjach, o przygotowanie akwarel, które potem wręczał gościom jako drobne upominki. Akwarele to trudna technika w malarstwie, poświęciłem na to zadanie zatem wiele czasu i wysiłku.

W ramach działalności statutowej Katedry i badań własnych realizowane były również prace usługowe na rzecz praktyki budowlanej, były to oceny oddziaływania inwestycji na środowisko gruntowo-wodne dla Lublina i okolicznych gmin i powiatów. Jeśli to było możliwe, starałem się wciągać do tych prac również studentów, by mieli świadomość, że wykonują użyteczne zadania, ucząc się przy tym odpowiedzialności, współpracy i tego, jak powinny przebiegać kontakty między inwestorem a urzędem. Najczęściej opracowania te były wykorzystywane do uzyskiwania pozwoleń wodno-prawnych, ale zdarzały się również prace projektowe, np. „Przydomowe oczyszczanie ścieków”, czy „Projekt wodociągów wiejskich”.

Z racji mojego przebywania na wsi w Borowie nawiązałem kontakt z wójtem, a od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku burmistrzem gminy Annopol Czesławem Sendrowiczem, pomagałem mu w pozyskaniu funduszy na budowę sieci wodociągowej w gminie Annopol. Zaproponowałem mu również wykonanie projektu sieci przez studentów, w ramach ich prac dyplomowych, w zamian za zbudowanie w Borowie lokalnego wysypiska śmieci, gdyż wtedy mieszkańcy wywozili śmieci do pobliskiego lasu. Niestety ze względów na terminy burmistrz zrezygnował z tej propozycji, a ludzie nadal wywożą śmieci do lasu, gdzie chodzę na grzyby.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku Annopol uzyskał prawa miejskie i z tej okazji zostałem zaproszony do udziału w Uroczystej Sesji Rady Miasta i Gminy w Annopolu. W kolejnych latach, od dwa tysiące drugiego roku do dwa tysiące szóstego roku, okazjonalnie współpracowałem z burmistrzem Stefanem Skórskim i jego zastępcą Romanem Wiśniewskim z Borowa.

Na wsi w Borowie spędzałem w okresie wakacyjnym dużo czasu, a w ciągu roku jeździłem tam w weekendy, aby pobyć w szklarni bądź w pracowni, gdzie realizowałem się artystycznie, majsterkując i malując obrazy. Swój pobyt tam traktowałem jako czynny odpoczynek.

Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty był rokiem sprawozdawczym z działalności naukowo-badawczej w Katedrze. Przygotowałem sprawozdania z trzech zadań badawczych oraz opublikowałem dwie poważne prace badawczo-wdrożeniowe: *Określenie rozstaw i głębokości drenów metodą symulacji numerycznej*, „Widomości IMUZ” 1996, t. XIX. z. I (współautor Henryk Zaradny) i *Modeling the water balance and grass production using SWACROP/GRASS and GRAGRO MODELS*, „Zeszyty Problemowe Postępów Nauk Rolniczych” 1996, z. 436 (współautor Paweł Kabat).

Natomiast moje zadania badawcze realizowane w Katedrze w ramach prac zleconych zamawianych, tzw. „badań własnych”, to:

1. Realizacja programu badań terenowych i laboratoryjnych oraz monitoringu, w celu szczegółowej identyfikacji i klasyfikacji zanieczyszczeń, ich zasięgu i kierunków oraz prędkości migracji w dolinie Bystrzycy.
2. Prace modelowe w zakresie transportu wody i zanieczyszczeń pod kątem zapewnienia optymalnych warunków ochrony wód gruntowych oraz rozwoju roślin (przy współpracy Henryka Zaradnego z Gdańska).
3. Opis numerycznego rozkładu związków organicznych oraz nityfikacji, adsorpcji związków azotu w glebie, jak również transportu ciepła, wody i azotu w jednorodnym profilu glebowym w określonym systemie irygacyjnym (przy współpracy doktora Stanisława Maciejewskiego z Gdańska).

Zakres wyżej wymienionych badań był realizowany w ramach projektu PBZ 31-01 *Opracowanie zintegrowanego systemu oczyszczania ścieków miejskich połączonych z nawadnianiem upraw przemysłowych.*

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku za tę działalność zostałem wyróżniony nagrodą rektora Politechniki Lubelskiej. Była to moja pierwsza nagroda naukowa po czterech latach pracy na tej uczelni (otrzymałem dyplom z ekwiwalentem pieniężnym). Byłem tam ciągle obcym, pozyskanym z zewnątrz pracownikiem, musiałem się więc wykazać, by osiągnąć taki zaszczyt. Należało więc być aktywnym naukowo i organizacyjnie, ale tym razem nie chodziło o mój progres i awanse, gdyż te miałem już za sobą. Chodziło o stworzenie warunków do rozwoju naukowego młodej kadry pracowników, gdyż duże obciążenia dydaktyką i brak środków na badania nie sprzyjały temu rozwojowi.

Trzeba było zabiegać o fundusze pozastatutowe z grantów i prac zleconych spoza uczelni. Jedną z takich możliwości był udział Katedry ZWiUŚ w realizacji projektu zamawianego PBZ 31-01, zadanie czwarte: *Opracowanie modelu numerycznego transportu wody oraz zanieczyszczenia pod kątem zapewnienia ochrony środowiska oraz optymalnych warunków rozwoju roślin.*

O złożoności i trudnościach badań przyrodniczych, w porównaniu do badań technicznych, wspominałem wcześniej, narażając się tym niektórym profesorom. Teraz zamierzam nieco szerzej naświetlić kompleksowość tych prac, zarówno pod względem teoretycznym, metodycznym, jak i doświadczalnym.

Gospodarowanie wodą w glebie sprowadza się najczęściej do dwustronnego regulowania jej zawartości (odwodnienia i nawodnienia), zależnie od potrzeb roślin. Zarządzanie i sterowanie gospodarką wodną w systemach melioracyjnych, szczególnie na wielkich obszarach, powinno polegać na szybkim pozyskiwaniu parametrów niezbędnych do podejmowania działań w celu stworzenia optymalnych warunków dla produkcji. Istotne korzyści mogą tu przynieść nowoczesne metody modelowania matematycznego, pozwalające na rozwiązywanie złożonych procesów już na etapie projektowania, w efekcie czego system może być odpowiednio sterowany, a nie

jak dotychczas (w większości przypadków) bazowanie na wnioskach z niepowodzeń inwestycyjnych. Zmienność, dynamika i zróżnicowanie zjawisk zachodzących w systemie gleba-roślina-atmosfera stwarza poważne kłopoty w kontrolowaniu tych zjawisk, jak również w określaniu złożonych funkcyjnych parametrów niezbędnych do praktycznego wnioskowania.

Aktualne potrzeby oraz ranga badań ukierunkowanych na gospodarkę wodną w środowisku rolniczym wymagają odpowiedniej strategii sterowania rozwojem tego środowiska. Wszystkie działania, w tym także te za pośrednictwem środków technicznych, powinny uwzględniać uwarunkowania ekologiczne niezbędne do kształtowania i utrzymania zrównoważonego pod względem ekologicznym i produkcyjnym systemu użytkowanego rolniczo, a także innych znajdujących się w jego otoczeniu.

Podstawowymi zadaniami dla takich działań staje się dokładne rozeznanie wszystkich funkcji spełnianych przez istniejące systemy wodno-melioracyjne oraz ocena i klasyfikacja aspektów działalności w zakresie przyrodniczym, technicznym, ekonomicznym i społecznym. Bardzo przydatne może się tu okazać właśnie wykorzystane symulacji numerycznej. Symulowanie procesów zachodzących w systemie gleba-roślina-atmosfera jest zagadnieniem złożonym. Przystępując do symulacji należy się liczyć z koniecznością rozwiązania wielu problemów teoretycznych, jak i doświadczalnych, o czym dużo pisałem w swoich publikacjach, a co uważam za warte podkreślenia.

Intencją moją jest wskazanie kilku programów numerycznych, które mogą być wykorzystane dla prognozowania potrzeb wodnych i ich zaspokojenia drogą nawodnień. Spośród wielu należy wymienić zwłaszcza: PODSIĄK, SMUCEW, SWATRE, UGWTPN. Dla lepszego zrozumienia możliwości i przydatności tych modeli zainteresowanych odsyłam do mojej pracy *Modelowanie transportu wody w glebach dla potrzeb doskonalenia regulacji stosunków wodnych oraz prognozowania nawodnień* (współautor Zaradny).

Istotą tych badań, oprócz ruchu wody, był transport i przemieszczanie się związków azotowych, podstawowy parametr wzrostu roślin w procesie zjawiska fotosyntezy.

Celem badań było opracowanie zintegrowanego modelu dla jednoczesnej symulacji transportu wody i zanieczyszczeń w nasyconym i nienasyconym ośrodku porowatym, co w efekcie miało być wykorzystane do opracowania kompleksowej polityki gospodarowania wodami ściekowymi w dolinie Bystrzycy.

Zjawisko transportu wody i substancji w niej rozpuszczalnej (azotu) z reguły opisywane jest układem dwóch różniczkowych równań cząstkowych, z których pierwsze przedstawia transport wody, natomiast drugie to najczęściej równanie dyspersji hydrodynamicznej, proces mieszania substancji rozpuszczonej w wodzie gruntowej. Numeryczne rozwiązanie równania dyspersji hydrodynamicznej (program DYS-PDW) pozwala na określenie rozkładu koncentracji substancji zanieczyszczającej przyległe tereny rozpuszczonej w wodzie gruntowej w obszarze ruchu, a także w wodzie wypływającej z rozpatrywanego obszaru.

Opracowany w ramach tych badań model numeryczny uwzględniał rzeczywiste właściwości gruntu, rzeczywiste warunki brzegowe wymuszone warunkami atmosferycznymi oraz zrzutami ścieków, a także przemiany chemiczne, jakim ulegają w glebie związki azotu. Przy pomocy członów źródłowych symulowany był pobór wody i związków azotowych przez korzenie roślin. Prezentowany model pozwalał na symulacje zjawisk transportu dla dwuwymiarowych przekrojów ośrodka porowatego, co pozwalało na prawidłowe odwzorowanie pracy drenów, rowów i bruzd nawadniających uprawy przemysłowe ściekami.

Wyznaczenie tych parametrów na drodze eksperymentalnej dla konkretnego obiektu było praktycznie niemożliwe. Model służący do symulacji procesów w naturze powinien dawać szansę w miarę jednoznacznego oszacowania parametrów modelu, przy tym ilość tych parametrów powinna być w miarę ograniczona.

Modele nityfikacji i denityfikacji przyjęto jako modele reakcji chemicznej pierwszego rzędu. Założono również, że procesy nityfikacji i denityfikacji są zależne od temperatury.

Innym złożonym zagadnieniem jest symulacja wzrostu roślin, płony są funkcją rozchodów wody na transpirację, która zależy od: temperatury i wilgotności powietrza, prędkości wiatru, nasłonecznienia, powierzchni liści, wilgotności gleby w strefie korzeniowej. Dodatkowym utrudnieniem jest to, że parametry te są zmienne w czasie doby i całego okresu wegetacji. To istotnie komplikuje metodologię i pomiary polowe niezbędne do weryfikacji empirycznej wymienionych modeli.

Proponowane modele powinny być pomocne w analizie różnych wariantów użytkowania obiektu, co pozwoli na jego odpowiednie zaprojektowanie, a na końcu właściwą i optymalną eksploatację.

Pozwoliłem sobie tu naświetlić w formie opisowej ogólny zarys badań prowadzonych w Katedrze, mając nadzieję, że przynajmniej w części usprawiedliwi to moją niefortunną wypowiedź na spotkaniu profesorów Politechniki Lubelskiej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku o złożoności i trudnościach badań przyrodniczych w porównaniu do prac badawczych w naukach technicznych.

Weryfikację empiryczną modeli prowadzono na obiekcie doświadczalnym w dolinie rzeki Bystrzycy dla upraw wikliny z wariantami nawodnienia: bruzdowego, zalewu obszarowego i deszczowania oraz dla łąk z wariantem nawodnień podsiąkowych i deszczowania zraszacami.

Efektym praktycznym wykonanych badań było określenie dopuszczalnych wielkości zrzutu zanieczyszczeń, przy których dla danego systemu nawadniająco-odwadniającego oraz określonej uprawy roślinnej z obiektu nie wydostaje się woda o niedopuszczalnym stężeniu związków azotowych. Kolejnym efektem była możliwość symulacji procesów transportu azotu dla różnych warunków użytkowania obiektu, w celu wyboru optymalnego systemu nawadniania i odwodnienia obiektu, w oparciu o obliczone rozkłady koncentracji zanieczyszczeń w wodzie glebowej.

Naukowym rezultatem tych badań były publikacje, między innymi referat zgłoszony na dwudziestą drugą międzynarodową konferencję OPE, *Chemistry for Protection of the Environment*, w Nanjing w Chinach, we wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, poster zatytułowany był *Modelling of sewage irrigation in aspect of ground water pollution* (M. Kotowski, D. Kowalski, W. Olszta) (Fot. 34).



Fot. 34. Sympozjum OPE w Chinach 1999 r.

W ramach realizacji grantu profesorskiego, związanego z tworzeniem szkoły naukowej w problematyce *Modelowanie procesów wodno-termicznych w aspekcie ekologicznego kształtowania przestrzeni produkcyjnej*, otwarto w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku przewod doktorski na Wydziale IBiS magister inżynier Joanny Cichosz z Katedry Matematyki i Geometrii Wykreślnej, pt. *Modelowanie transportu wody oraz zanieczyszczeń ściekowych*. Do sfinalizowania przewodu nie doszło ze względów zdrowotnych doktorantki.

W Katedrze realizowano również grant KBN o numerze 1564/T09/21, pod tytułem: *Program pilotażowy ochrony przeciwerozyjnej oraz ochrony wód powierzchniowych i gruntowych terenów wyżynnych, intensywnie użytkowanych rolniczo*.

W realizacji tego tematu uczestniczył Kowalski oraz nowoprzyjęci w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku asystenci: magister inżynier Marcin Widomski i magister inżynier Małgorzata Iwanek. Efektem tych prac było otwarcie pod moją opieką naukową ich przewodów doktorskich. Temat rozprawy doktorskiej Widomskiego brzmiał *Numeryczna ocena wpływu zwierciadła wody gruntowej na proces sterowania gospodarką wodną gleb hydrogenicicznych*, natomiast temat rozprawy doktorskiej Iwanek to *Ocena metod pomiaru przewodnictwa hydraulicznego gleb i gruntów nasyconych i nienasyconych*.

Przyjęcie tych osób do pracy w Katedrze i opieka naukowa nad nimi w kolejnych latach okazały się być trafnym wyborem, dziś, kiedy piszę te wspomnienia, są oni już samodzielnyimi pracownikami po habilitacji.

Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty był również istotny na Wydziale, bowiem zmieniły się wtedy władze, na dziekana, po profesorze Kukielce, został wybrany profesor Jerzy Grycz. Lubił w swoisty sposób okazywać innym, nawet równym sobie, swoją wyższość. Pamiętam, jak pewnego razu dziekan Grycz zaprosił mnie do swojego gabinetu na rozmowę. Po moim wejściu do pokoju podniósł słuchawkę telefoniczną, wycofałem się więc, informując jego sekretarkę, że profesor rozmawia, przyjdę zatem później. Usłyszałem od niej wtedy w odpowiedzi, że dziekan tylko pozoruje rozmowę telefoniczną.

Po tej zmianie władzy Katedra Inżynierii i Ochrony Środowiska została przekształcona w Instytut, którego dyrektorem został Pawłowski. Wtedy na Wydziale funkcjonowało dziesięć katedr i dwa instytuty, drugi również nowopowstały to Instytut Budownictwa i Architektury.

W grudniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku na Wydziale IBiS miało miejsce uroczyste wręczenie dziewięćdziesięciu czterem osobom dyplomów magistra inżyniera w zakresie ochrony środowiska. Uroczystość odbyła się w obecności prorektorów profesor Ewy Bojar i doktora inżyniera Adama Wasilewskiego, dziekana Wydziału profesora Jerzego Grycza, a także innych profesorów i zaproszonych gości. Zdzisław Strycharz, dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie w imieniu wojewody Krzysztofa Michalskiego wręczył trzydziestu trzem wyróżniającym się absolwentom listy gratulacyjne, w których pisało, cytując: „...ochrona środowiska to dziedzina, która jest szczególnie ważna i służy swymi osiągnięciami całemu społeczeństwu [...] to niezmiernie ważny element polepszenia jakości życia Polaków. Jest to też jeden z ważniejszych kierunków działania obecnego rządu”.

W specjalnym dodatku do „Kuriera Lubelskiego” z drugiego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku ukazały się informacje na temat tej uroczystości oraz wywiady, pierwszy z profesorem Witoldem Stępniewskim, pt. *Profesja na czasie*, drugi z twórcą tego kierunku profesorem Lucjanem Pawłowskim, pt. *Gruntowna wiedza*, a także rozmowa z absolwentami tego kierunku: *Co mi dały studia ochrony środowiska*.

We wstępie redaktor Henryk Sanecki pisze, że

Wysiłki profesorów trafiły na podatny grunt młodzieży, u której studia umożliwiły wszechstronny rozwój, pozwoliły na dobre przygotowanie do wykonywania zawodu inżyniera w zakresie szeroko pojętej ochrony środowiska, od projektowania instalacji sanitarnych dla budownictwa sanitarnego, projektowania wielkich oczyszczalni ścieków, urządzeń dla ochrony powietrza, a na planowaniu przestrzennym na poziomie gminy kończąc. Ponadto absolwenci dobrze znają język angielski i mają rozeznanie w prawie ochrony środowiska, zarówno polskim, jak i unijnym¹².

Stępniewski, ówczesny prodziekan Wydziału IBiS, pytany o zakres kształcenia studentów wskazał, że:

Studia na kierunku ochrona środowiska mają charakter techniczno-przyrodniczy i przygotowują absolwentów, kładąc nacisk w programie studiów na gruntowne wykształcenie, w zakresie nauk podstawowych, umiejętności projektowania obiektów i urządzeń stosowanych w inżynierii i ochrony środowiska, z naciskiem na znajomości języków, myśląc o pracy i studiach zagranicą, wymianą studentów w perspektywie integracji europejskiej, do której przygotowujemy się. Kładziemy nacisk na samodzielną pracę studenta, wyrabianie nawyku samokształcenia, opanowanie techniki komputerowej, co może stwarzać możliwości podejmowania pracy i nauki zagranicą¹³.

Stępniewski stwierdził też, że nasi absolwenci są dobrze przygotowani do pracy we współczesnych firmach, dysponują bowiem niezbędnym wykształceniem technicznym i szeroką wiedzą ogólną, znajomością informatyki, polskiego i unijnego prawa ochrony środowiska. W kraju mogą być zatrudniani w jednostkach administracji państwowej, w jednostkach ochrony środowiska różnych branż, w firmach projektowych, wykonawczych i eksperckich oraz w instytucjach naukowo-badawczych, a także w szkolnictwie stopnia średniego.

Nawiązując do tego wywiadu w „Kurierze Lubelskim” w artykule *Gruntowna wiedza* Pawłowski stwierdził, że

Kształcenie inżynierów środowiska w Politechnice Lubelskiej zostało przed pięciu laty kompleksowo zmienione. Tworząc nowy program nauczania przyjęto założenie, że globalizacja gospodarki i szerokie otwarcie na świat wymagają innego przygotowania człowieka z wyższym wykształceniem technicznym.

Rewolucje te zbiegły się z czasem mojego przejścia do pracy na Politechnikę w tyśiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku i sądzę, że miałem w tych przemianach swój udział, wykorzystując doświadczenie i wiedzę zgromadzone podczas długo-

¹² *Profesja na czasie*. Wywiad z W. Stępniewskim, dodatek do „Kuriera Lubelskiego” 1999, 2.12.1999, s. 5.

¹³ Tamże.

terminowych staży w Holandii, Stanach Zjednoczonych i innych krajach wschodniej i zachodniej Europy oraz wieloletniej pracy w Instytucie Resortu Rolnictwa IMUZ. W podsumowaniu swojego wywiadu Pawłowski podkreślił wysokie wymagania stawiane studentom, mówiąc, że absolwenci ochrony środowiska Politechniki Lubelskiej są grupą nowoczesnie i wszechstronnie wykształconą, dobrze przygotowaną do przejmowania szerokiego wachlarza prac z zakresu inżynierii środowiska.

[Nasi] pracownicy naukowcy stworzyli jedno z najlepiej wyposażonych w Polsce laboratorium. Jedynie baza lokalowa jest bardzo skromna, jednak wkrótce ulegnie poprawie. Kończy się właśnie budowa nowego gmachu dla ochrony środowiska, gdzie powstaną nowoczesne laboratoria¹⁴.

Przedstawię teraz wypowiedzi studentów z wywiadu *Co mi dały studia ochrony środowiska*. Andrzej Pasek ze specjalności ogrzewnictwo, wentylacja, ochrona powietrza powiedział:

Te studia pozwoliły mi rozszerzyć moje zainteresowania nie tylko w obranym przeze mnie kierunku, ale i w innych dziedzinach. Pomocni w tym byli wykładowcy i samodzielna praca¹⁵.

Tomasz Wadas ze specjalności technologia wody, ścieków i odpadów stwierdził, że

Kierunek ochrony środowiska jest interdyscyplinarny, wynika to z szerokiej gamy wykładanych przedmiotów pozwalających spojrzeć szerzej z różnych perspektyw na jeden z ważniejszych problemów cywilizacji u schyłku XXI wieku. Twórcy programu nauczania postawili na szerokie podstawy ogólne i dobre przygotowanie inżynierskie. Tak wszechstronne wykształcenie daje nam dobry start na trudnym obecnie rynku pracy¹⁶.

Anna Zawiślak ze specjalności ochrona powierzchni ziemi, utylizacja odpadów stwierdziła, że

Zostaliśmy wykształceni w sposób gruntowny. Nasi profesorowie kładli nacisk, abyśmy mimo ciągle zmieniających się przepisów, do których czynny zawodowo inżynier musi się dostosować, znali istotę problemu, ideę zjawiska. Pomagałam w organizacji uroczystości rozdania dyplomów, dlatego też wiem, gdzie koleżanki i koledzy znaleźli swoją pierwszą pracę. Niektórzy z nich pracują w urzędach, biurach projektowych, firmach wykonujących instalacje sanitarne¹⁷.

¹⁴ Gruntowna wiedza. Wywiad z L. Pawłowskim. Tamże.

¹⁵ *Co mi dały studia ochrony środowiska*. Wywiad ze studentami. Tamże.

¹⁶ Tamże.

¹⁷ Tamże.

Dagmara Kruk, specjalność zaopatrzenie w wodę i odprowadzenie ścieków, powiedziała:

Studia na kierowanej przez prof. W. Olsztę specjalności przede wszystkim pozwoliły mi rozwinąć mój zmysł techniczny, zdobyć praktyczne umiejętności i wiedzę potrzebną na co dzień, a to dla mnie jako kobiety wydaje się być bardzo przydatne w życiu. Nie ukrywam, że czasami w konfrontacji z przedstawicielami, inżynierami branży budowlanej czy sanitarnej odczuwam pełną satysfakcję z powodu znajomości tych zagadnień. Poza tym zdobyłam tu wiedzę z zakresu informatyki, od podstawowych programów testowych do programów wykorzystywanych przy projektowaniu.

Bardzo miłe wspominałam zajęcia z prawa ochrony środowiska, gdyż to one nauczyły mnie czytać i rozumieć różne przepisy i uwarunkowania prawno-ekonomiczne, jakże potrzebne w naszym prywatnym życiu. Mogłam również pogłębić swoją edukację ekonomiczną, studiując ekonomię czy marketing, co jak wiemy również odgrywa ogromną rolę w działalności na rzecz środowiska i stanowi nieodłączną część każdej dziedziny gospodarki.

To, na co chciałam zwrócić jeszcze uwagę, to fakt, że spotkałam się na Wydziale z bardzo miłą kadrą pedagogów, specjalistów w swoich dziedzinach, u boku których nie tylko pisaliśmy zaliczenia, zdawaliśmy egzaminy, ale również mogliśmy zdobywać wiedzę w sympatycznej atmosferze¹⁸.

Najlepszymi recenzentami postępowania dorosłych są nasze dzieci i uczniowie, a w tym przypadku moi studenci. To, co mnie najbardziej wzruszyło w wypowiedzi mojej studentki, to jej słowa, że: „mogliśmy zdobywać wiedzę w sympatycznej atmosferze”. Strach, napięty nastrój panujący w zespole udziela się wszystkim, również tym stojącym obok, niektórzy nie doceniają wpływu dobrej atmosfery na efektywność pracy, czyniąc krzywdę sobie i innym.

Aura pracy, jaka panowała w Katedrze, udzielała się również naszym studentom, którzy przejmowali negatywne zachowania swoich nauczycieli, przekazując je następnie kolejnym osobom w swoim nowym środowisku. Od samego początku starałem się stworzyć w zespole relacje na wzór amerykański, wszyscy mieli być równi sobie, każdy miał mieć poczucie swojej wartości, miał być pozbawiony kompleksów i lęków oraz dystansu względem przełożonych. W Stanach bowiem studenci nie mają poczucia niższości wobec swoich profesorów, nie odczuwają obaw, dystansu i bariery, jaka często występuje w naszych polskich relacjach. Wszelkiego rodzaju blokady, zarówno te osobiste – międzyludzkie, jak i polityczne ograniczają nas mentalnie i ekonomicznie, np. bariera żelaznej kurtyny spowodowała nasze opóźnienie cywilizacyjne i bytowe względem Zachodu o trzydzieści lat. To, co ceniła sobie moja studentka, mówiąc w wywiadzie, że: „docenia możliwość nauki wykorzystania techniki komputerowej

¹⁸ Tamże.

w projektowaniu”, jest tym, z czego studenci w USA korzystali już na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Opóźnienia te dotyczą wielu sfer naszego życia.

Program działalności Politechniki Lubelskiej w kadencji rektora Szabelskiego, od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, stawiał sobie ambitny plan nadrobienia zaległości, w celu przygotowania absolwentów Politechniki do nowych uwarunkowań rynkowych, gospodarczych i technologicznych, zapewniając uczelni najlepsze kadry, wysoki poziom kształcenia oraz materialne i lokalowe warunki studiowania. Rektor twierdził, że w ówczesnej kadencji konieczne było, obok ważnych działań doraźnych, także „podjęcie programowych działań długookresowych, zmierzających do zasadniczych zmian w organizacji dydaktyki i systemu kształcenia, by sprostać zmiennym potrzebom rynku pracy”¹⁹. Modyfikacji miały ulec plany i programy studiów, niezbędne miało się również okazać:

- *Wprowadzenie zastosowań informatyki w przedmiotach nauczania oraz zwiększenie efektywności nauczania języków obcych.*
- *Przegląd specjalności i kierunków dyplomowania, celem ich aktualizacji, z uwzględnieniem potrzeb gospodarki i zmieniającego się rynku.*
- *Nacisk na pozyskiwanie środków z KBN, organizacji przemysłowych, fundacji, programów pomocy międzynarodowej i od sponsorów.*
- *Współpraca z zagranicą jako istotny element wspomagający rozwój badań i edukację, także w zakresie pozyskiwania środków finansowych (programy COST, TEMOUS, COPERNICUS, ERASMUS, SORATES i fundacje)²⁰.*

Były to istotne ulepszenia, które miały nas zbliżyć i przygotować do wejścia do struktur europejskich. Zmiany te i zamierzenia władz uczelni były możliwe pod warunkiem zintensyfikowania działań rozwoju kadry w zakresie:

- uzyskania praw do doktoryzowania i habilitowania na Wydziałach,
- wspierania pracowników otwierających przewody doktorskie i habilitacyjne na innych uczelniach,
- pozyskiwania z innych ośrodków profesorów i doktorów habilitowanych.

Sądzę, że działalność mojej Katedry wpisywała się w plany i zamierzenia władz uczelni. Przyjęcie dwóch asystentów: Widomskiego i Iwanek, otwarcie przewodu i obrona doktoratu Kowalskiego na SGGW, realizowane granty KBN oraz współpraca międzynarodowa, to wszystko dawało podstawy do doskonalenia kadry i kształcenia studentów na europejskim poziomie.

Na uwagę zasługuje fakt, że w swoich planach, cytuję rektora:

¹⁹ *Politechnika Lubelska – 50 lat*, Lublin 2003, s. 8–10.

²⁰ *Program kierunku inżynierii środowiska*, [w:] *Informator ECTS*, Lublin 2002, s. 110–124.

- Kierownictwo Uczelni ze szczególną dbałością będzie dążyć do tworzenia kultury organizacyjnej, kultywowania tradycji akademickiej, preferowania porządných zachowań wynikających z wartości i norm etycznych.
- Ceniona będzie postawa pracowników przejawiająca się poszanowaniem prawa i rzetelnej pracy; szczególnie ważne będzie tworzenie właściwych relacji społecznych, wzajemnego szacunku i życzliwości; kultura organizacyjna, która będzie miała wpływ na określony styl i charakter funkcjonowania Uczelni, przede wszystkim powinna znaleźć odniesienie w kształtowaniu postaw i osobowości studentów²¹.

Sądzę, że zamierzenia te są pozornie oczywiste, ale są godne uwagi, bowiem dużo w nas, również wśród profesorów, zachowań emocjonalnie niedojrzałych, a w wypowiedziach występuje nieraz brak umiaru i szacunku dla rozmówcy.

Powinniśmy również dążyć do bycia coraz bardziej konkurencyjnymi w zakresie badań naukowych, aby wykraczać poza poziom krajowy. Jest to problem wielozadaniowy, związany z kształceniem kadry, efektywną współpracą z zagranicą, zmianami systemowymi w organizacji prac naukowych w uczelni.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku nastąpił koniec kadencji ówczesnych władz uczelni. W mojej Katedrze ZWiUŚ, w dniu dwudziestego czwartego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku miała miejsce obrona pracy doktorskiej magistra Piotra Glińskiego, która odbyła się poza uczelnią w Instytucie Agrofizyki PAN w Lublinie, a we wrześniu tego roku wziąłem udział w XII Międzynarodowej Konferencji *Chemistry for the Protection of the Environment* w Nanjing, w Chinach.

Była to już moja trzecia tak długa podróż, poprzednie wyprawy były za ocean – do USA i Meksyku. Tym razem odbyłem dziewięciogodzinny lot, z przesiadką we Frankfurcie, do Nanjing w Chinach. Debaty trwały trzy dni i toczyły się w Hotelu Jinling, w programie były obrady plenarne, sesje posterowe, zwiedzanie Instytutu Gleboznawczego (CAS) oraz wycieczka terenowa, krajoznawcza po wschodnich obrzeżach miasta Nanjing.

Na konferencję zgłosiłem referat pt. *Modelling of sewage irrigation in aspect of ground water pollution* (współautorzy M. Kotowski, D. Kowalski). Obrady trwały od godziny ósmej do szesnastej, od dziewiętnastego do dwudziestego pierwszego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Obejmowały trzy sesje plenarne o charakterze dyskusyjnym, referaty zamawiane, sesje ustne i posterowe. Program konferencji był dość napięty, bowiem zaplanowano po niej długą wycieczkę po Chinach i kilkudniowy pobyt w Pekinie.

Szanghaj położony jest we wschodnich Chinach, przy ujściu rzeki Jangcy, to jedno z czterech wydzielonych miast Chińskiej Republiki Ludowej. To również miasto wieżowców i drapaczy chmur, gdyż skupia się w nim największa na świecie liczba wieżowców. Zwiedzaliśmy je z okien autokaru wożącego nas wielopoziomowymi ulica-

²¹ Politechnika Lubelska – 50 lat..., s. 129.

mi, niektóre kaskady sięgają tam wysokich pięter budynków. Szanghaj oczarował nas swą wielkością, zabudową i nowoczesnością.

Komunistyczna propaganda karmiła nas latami czarno-białymi filmami o zafaniu i biedzie tego kraju, tymczasem Chiny okazały się postępowym i zamożnym krajem, z bogatą kulturą, sztuką i historią sięgającą siedmiu tysięcy lat wstecz. Nowoczesne autostrady, lotniska, hotele, obficie wyposażone galerie handlowe i muzea zachwycały. Podziwiałem wspaniałość tamtejszych zbiorów historycznych, dzieł sztuki i rękodzieł, wskazujących na talent, pracowitość i dyscyplinę Chińczyków. Szczególnie ujęły mnie rękodzieła wytwarzane z porcelany, fajansu, a także wyroby z jedwabiu. Tamtejsze dywany (i cały przemysł tkacki) to dzieła sztuki i to zarówno te zgromadzone w dużych ilościach w okazałych galeriach handlowych, jak i te w muzeach. Świadczą one o niezwykłej pilności i wyjątkowych uzdolnieniach Chińczyków.

Zwiedzałem galerie i muzea Nowego Jorku, Paryża, Rzymu, Amsterdamu oraz Moskwy, ale takiego bogactwa rzemiosła i towarów, wykonanych z tak wielkim kunsztem i artyzmem, nie spotkałem nigdy wcześniej. Ten podziw i zachwyt znalazł ujście w moim amatorskim malarstwie i kolekcji porcelany chińskiej.

W drodze do Pekinu odwiedziliśmy wiele ciekawych historycznie miejsc, ale warto tu zatrzymać się przede wszystkim nad interesującymi i długimi dziejami Pekinu. Pierwsze ślady życia znaleziono tam przed około sześciuset dziewięćdziesięcioma tysiącami lat.

Zakazane Miasto, czyli Gudong (Pałac Cesarski), pełni obecnie funkcję Chińskiego Muzeum Narodowego z licznymi zabytkami i jest miejscem chętnie odwiedzanym przez turystów krajowych i zagranicznych. Podobną rolę spełnia Kreml, dawna siedziba carów w Moskwie. Gudong położony jest w centrum Pekinu, otoczony dziewięciometrowym murem i głęboką fosą. Główne wejście do niego prowadzi z Placu Niebiańskiego Spokoju — Tian'anmen, nazwa ta okazała się być dość ironiczna wobec wydarzeń z czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Na szczególną uwagę i zachwyt zasługuje wyposażenie i wielkość Pałacu Cesarzowskiego, przed jego wejściem wisi ogromny portret Mao Tse-tunga. Zakazane Miasto wypełniają symetrycznie rozłożone pałace, bramy i ogrody. We wszystkich budynkach znajduje się około dziewięćset sal i pokoi, zajmowanych poprzednio przez cesarza, jego żony, nałożnice, zastępy eunuchów i służbę. Budynki są zwrócone frontem do południa, wiele z nich nosi nazwy w rodzaju: Pawilon Najwyższej Harmonii (tu zasiadał cesarz podczas uroczystości), Pawilon Doskonałej Harmonii czy Pawilon Chronionej Harmonii. Zapewne ceniono sobie tam zatem harmonię i spokój. Za główną bramą jest dziedziniec, mogący pomieścić dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi. W pomieszczeniach cesarza, jego rodziny oraz świty pełno było skarbów. Znając kunszt chińskiej sztuki, można sobie wyobrazić rangę i wartość tych bezcennych dzieł. Nie wszystkie pomieszczenia są dostępne dla zwiedzających.

Obowiązkowym miejscem zwiedzania każdego turysty był oczywiście Wielki Mur Chiński – największa budowla wszechczasów, widziana nawet z kosmosu. Jego bu-

dowę rozpoczęto po dwieście dwudziestym roku przed naszą erą i trwała ona przez kilkanaście lat. Jego pomysłodawcą był pierwszy władca zjednoczonych Chin, despot a i założyciel dynastii Cin – od którego wzięła się nazwa kraju – zwany Czeng. Mur miał bronić przed najazdem zaborczych plemion z Mongolii, a także świadczyć o potęgę i sile cesarza. Ciągnie się od morza, wzdłuż północnego terytorium Chin, po pustynię Gobi i ma około sześciuset czterystu kilometrów. Ma dziewięć metrów wysokości – wieże strażnicze mają po dwanaście metrów, a jego szerokość wynosi pięć i pół metra.

W siódmym wieku naszej ery miało przy nim pracować przymusowo około miliona ludzi, z których niemal połowa zmarła, byli to głównie chłopci, żołnierze, więźniowie i skazańcy. Nie dziwi więc, że nazwano go najdłuższym cmentarzem świata. Oczywiście Wielki Mur Chiński zrobił na mnie duże wrażenie. W jego pobliżu w miejscowości Badalin znajdują się grobowce trzynastu cesarzy z dynastii Mingów. Jeden z nich kazał podobno pochować ze sobą żywcem szesnaście swoich nałożnic.

Pekin jest miastem rozległym, zajmuje około siedemnaście tysięcy kilometrów, a liczbę jego mieszkańców szacuje się na ponad jedenaście milionów, tylko Szanghaj ma ich więcej, blisko trzynaście milionów. Rozległe centrum posiada wiele zieleni i szerokie ulice, dużo się tam budowało przy użyciu wielkich płyt, podobnie jak w Rosji. Na ulicach widziałem mnóstwo napisów i haseł, autobusów, taksówek i rowerów, jak w Holandii, panował tam ogromny ruch samochodowy.

Chiny – Państwo Środka – charakteryzuje ogromna różnorodność krajobrazów, warunków klimatycznych i glebowo-wodnych. Naturalna szata roślinna uległa znacznemu przeobrażeniu pod wpływem działań człowieka, czystość wód powierzchniowych jest pozaklasowa. Kraj w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku zamieszkiwał ponad miliard ludzi, w dziewięćdziesięciu dwóch procentach byli to Hanowie, czyli Chińczycy, reszta to około pięćdziesiąt pięć mniejszości narodowych, w tym około trzech milionów katolików. Językiem urzędowym jest chiński.

Większość dużych i średnich zakładów należy do państwa lub spółdzielni. Pod uprawą znajdują się około dziesięć procent kraju, z czego połowa to pola ryżu – Chiny to jego największy producent na świecie. Poza tym uprawia się tam dużo pszenicy, bawełny, herbaty – przede wszystkim na południu. Chiny stały się jednym z naczelnich producentów zbóż na świecie, co jest efektem tzw. zielonej rewolucji w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Dzięki temu są samowystarczalne i wysyłają zboże na eksport. Posiadają także liczne i bogate zasoby mineralne, wtedy miały także zrównoważony bilans handlowy i dochód narodowy bliski USA i szybko stawały się światowym liderem gospodarczym.

Muszę wspomnieć również o kuchni chińskiej. Pierwszy raz zetknąłem się z nią w Holandii, później w Stanach, ale to, czego doświadczyłem w Chinach, przerosło moje oczekiwania i to zarówno jeśli chodzi o różnorodność potraw, jak i sposób ich podawania w restauracjach oraz ich spożywania. Tamtejsza kuchnia przyćmiła moją wyobraźnię, wywołując zachwyt i zdziwienie.

Jeśli dobrze pamiętam, to powrót do kraju odbył się liniami LOT-u, po dziewięciu godzinach wylądowaliśmy w Warszawie. Nie obeszło się bez kłopotów, jako pamiątkę kupiłem na bazarze imitację szabli, a na granicy w komorze celnej pojawiły się problemy z jej przewiezieniem do Polski.

Być może wiele piszę o wyjazdach zagranicznych, ale to dlatego, że istotnym celem podróżowania jest również odkrywanie samego siebie, konfrontacja z rzeczywistością. W obliczu zwiedzanych krajów i krajobrazów, napotkanych ludzi, podziwianych dzieł sztuki, mogłem ocenić własne reakcje, poznając jednocześnie swoje upodobania, preferencje i opinie.

W wyniku pierwszych podróży zdałem sobie sprawę, że podróżowanie może być czymś więcej niż zwykłym przemieszczaniem się, że jest kształcące. Poznajemy w nowym otoczeniu przyrodniczym odmienne zwyczaje, drugiego człowieka, jego kulturę i upodobania, co nas wzbogaca mentalnie i duchowo.

Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewięć był pracowitym w Katedrze, opublikowaliśmy bądź przekazaliśmy do druku osiem prac, w tym sześć w języku angielskim przy moim współudziale oraz dwie recenzje prac doktorskich mojego autorstwa.

Na początku nowej kadencji, w latach od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego do dwa tysiące drugiego, istotnym zadaniem było opracowanie jednolitej instrukcji dotyczącej wnioskowania, finansowania, realizacji, oceny i upowszechniania wyników badań naukowych oraz wdrożenia systemu informacji o aktualnych możliwościach pozyskania środków na badania oraz współpracę z zagranicą. Miała ona sprzyjać przystosowaniu uczelni do aktualnych wymogów i uwarunkowań w aspekcie przygotowań do szybkiej reakcji na ewentualne zmiany i nowe trendy następujące w szkolnictwie wyższym, wynikające z uwarunkowań systemowych i ekonomicznych.

Pozyskane fundusze z realizacji projektu zamawianego PBZ 31–03 zadanie czwarte: *Opracowanie modelu numerycznego transportu wody oraz zanieczyszczeń pod kątem zapewnienia ochrony środowiska...* były źródłem finansowania np. mojego uczestnictwa we wspomnianej już XII Międzynarodowej Konferencji OPE w Chinach oraz pozastatutowej działalności naukowej, tj. prac doktorskich i magisterskich w Katedrze ZWiUŚ. Przykładowo pracy magisterskiej Jakub Jaślan pt. *Numeryczna ocena możliwości usuwania azotu ze ścieków komunalnych w warunkach obiektu doświadczalnego Hajdów* oraz pracy magisterskiej Hubert Wróbel i Tomasz Wiśniewski pt. *Dobór optymalnych parametrów odwodnienia terenów nawadnianych ściekami w warunkach obiektu doświadczalnego Hajdów w Lublinie*, pod kierunkiem Kowalskiego.

W doborze tematów zarówno prac magisterskich, jak i doktorskich, starałem się wybierać zagadnienia konkretne, będące przedmiotem problematyki badawczej w Katedrze. Studenci mieli posiadać satysfakcję z uczestnictwa w realnych pracach, a ich opiekunowie mieli przynajmniej w części wykorzystać ich wyniki w swoich pracach doktorskich. Pamiętałem bowiem swoją pracę magisterską, której temat był fikcyjny i dlatego nie przykładałem się zbyt przy jej pisaniu, mając świadomość, że zоста-

nie odłożona na półkę. Miałem również w pamięci swój pobyt na stażu po doktoracie w USA, studenci pisali tam prace dyplomowe w ramach tematów badawczych prowadzonych na Uniwersytecie przez swoich profesorów, korzyści były zatem obustronne. Nikt nie tracił czasu na tworzenie fikcyjnych tematów, jak często bywało u nas w kraju, tam pieczono dwie pieczenie na jednym ogniu. To bardzo prosta i łatwa droga do sukcesu, którego wszyscy pragniemy i oczekujemy.

Sądzę więc, że plany i programy studiów trzeba modyfikować w zależności od potrzeb, tak by odpowiadały aktualnym wymogom i uwarunkowaniom. Studenci to duży potencjał intelektualny, dlatego ich prace dyplomowe należy w większym stopniu wykorzystywać w praktyce zawodowej i naukowej. Powinni uczestniczyć w pracach badawczych pracowników uczelni, np. w grantach i projektach zamawianych.

Całe życie poszukujemy prawdy, mądrości i sprawiedliwości, kiedy nie znajdujemy jej na zewnątrz, często zwracamy się do własnego wnętrza, aby tam szukać spokoju i prawdy o sobie. Człowiek żyje nie tylko pracą. Dla mnie taką oazą spokoju były rodzina, wymarzony dom w Lublinie i siedlisko na wsi w Borowie. Na hektarowej działce z lasem i trawnikiem oraz grządkami warzyw jest zawsze dużo pracy, a kiedy rankiem siadam na schodach werandy, snując plany na ten dzień, to oprócz spokoju czuję ciepło promieni słonecznych oraz leczniczy chłód zimnej rosy, osiadającej na trawniku czekającym na skoszenie.

W Lublinie miałem mniej spokoju i przestrzeni, bowiem mój dom stał na czterystumetrowej działce, a za ogrodzeniem mieszkali uciążliwi sąsiedzi. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego w Stanach tak bardzo liczyła się przy zakupie domu lokalizacja i sąsiedztwo. Moi sąsiedzi, z jednej strony kierowca ciężarówki, z drugiej pracownik fizyczny, stawali się z różnych powodów coraz bardziej konfliktowi, zacząłem więc myśleć o budowie nowego domu. Pod koniec lat siedemdziesiątych po powrocie ze Stanów kupiłem za miastem działkę rolniczą o powierzchni tysiąca pięciuset metrów kwadratowych, gdzie uprawiałem maliny i truskawki. Po dwudziestu latach jej użytkowania rolniczego, została ona przekształcona na działkę budowlaną, zatem nic nie stało na przeszkodzie, aby uzyskać pozwolenie na budowę nowego domu.

Przedsięwzięcie nie było łatwe, gdyż teren był dziewiczy, a podobnie jak wcześniej przy ulicy Dzieci Zamojszczyzny brakowało dojazdu (była tam polna droga), mediów, wody, światła i gazu. Niewiele poprawiły się też możliwości zakupu materiałów budowlanych, zdobycia transportu i siły roboczej – ekipy budowlanej. Tak jak przy poprzedniej budowie również teraz czekał mnie duży wysiłek organizacyjny, finansowy i fizyczny.

Zacząłem od wyboru projektu, teść architekt już nie żył, zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, nie mogłem więc liczyć na jego pomoc. Poprzednio to on był projektantem i nadzorował niełatwy proces uzyskania pozwolenia i prowadzenia budowy. Teraz wszystkie formalności musiałem przejąć na siebie. Kupiłem więc gotowy projekt budynku, który musiałem zaadaptować do warunków zabudowy i własnych oczekiwań. Wadą projektów z katalogu było to, że były niezbyt funkcjonalne i niedostosowane do indywidualnych wymagań i potrzeb. Adaptacji

planu mojego nowego domu dokonałem sam, ale musiałem jeszcze uzyskać od projektanta akceptację wprowadzonych modyfikacji budynku.

Dom, nawiązujący architektonicznie do dawnych dworców, miał trzysta metrów kwadratowych powierzchni, pięć pomieszczeń na parterze oraz siedem na górze, a także dwa pomieszczenia gospodarcze (Fot. 30, 31). Przy adaptacji pomieszczeń budynku wykorzystałem pomoc doktora inżyniera Bogusława Szmygina, ojca późniejszego dziekana Wydziału IBiS i prorektora Politechniki Lubelskiej. Na wszystkie zmiany, również te zewnętrzne, musiałem uzyskać zgodę głównego projektanta z pracowni architektonicznej we Wrocławiu. Do tego dochodziły oddzielne projekty przyłączy: światła, wody, gazu i odprowadzenia ścieków, co wymagało pozyskania specjalisty projektanta, odpowiedniego nadzoru i wykonania, wreszcie – na końcu – urzędowego odbioru tych prac, co także nie było łatwe. Prace przygotowawcze przed uzyskaniem pozwolenia na budowę trwały półtora roku, a potem dochodziły jeszcze pozwolenia środowiskowe, ze względu na bliskość Ogrodu Botanicznego UMCS i ogródków działkowych.

Uciążliwe było już kontaktowanie się z wieloma specjalistami i dążenie do spełniania wymagań i formalności urzędowych, by uzyskać plan zagospodarowania działki. Wszystkie te prace musiałem wykonać osobiście. Największym problemem było jednak rozpoczęcie i kierowanie budową domu. Budowę prowadziłem podobnie jak poprzednio. Należało więc we własnym zakresie zorganizować plac budowy, zabezpieczyć dostęp do światła i wody oraz dostawę niezbędnych materiałów budowlanych. Nie obeszło się bez niespodzianek i kłopotów, pewnej nocy złodzieje wywieźli strop na cały budynek, co oprócz strat materialnych spowodowało miesięczne opóźnienie budowy i odejście ekipy murarzy. Szukanie w sezonie drugiej ekipy budowlanej nie było łatwe, powiększało koszt budowy i czas jej trwania. Prace wykonawcze zajęły ostatecznie kilka lat, ekipy się zmieniały, a pod koniec, oprócz robotnikiem i zaopatrzeniowcem, byłem również strażnikiem, spędzającym nocę na budowie. Oczywiście czas tam spędzany nie mógł kolidować z moimi zajęciami na uczelni oraz pracami badawczymi. Utrzymując kontakty służbowe i koleżeńskie dzieliłem się swoimi kłopotami i doświadczeniami budowlanymi.

Chociaż od moich doświadczeń budowlanych przy wznoszeniu pierwszego domu minęło piętnaście lat, to niewiele uległo poprawie. Pomimo że upłynęło wiele lat od przeobrażenia systemu ustrojowego w Polsce, to w wielu dziedzinach życia, np. właśnie w budownictwie, niewiele zmieniło się na lepsze w stosunku do poprzedniego porządku ekonomicznego i prawnego. Podobnie było na uczelni, gdzie reformy zachodziły zbyt powoli.

W dwa tysiące drugim roku minęła dekada mojego pobytu na Politechnice, starałem się być aktywnym w Katedrze i na Wydziale IBiS, z trudem znosiłem nieuczciwości i złośliwości. Aby jednak funkcjonować przyjąłem zasadę: to, czego nie możesz zmienić – akceptuj, ale miej odwagę zmienić to, na co masz wpływ. Taka postawa wymagała niekiedy poświęcenia, ale nie żałuję trudności, przez które musiałem przejść,

ponieważ dzięki nim czułem, że żyję. Do wszystkiego, co nas otacza, należy mieć pozytywne nastawienie, w przypadku przeszkód, sprecyzuj, na czym polega problem, znajdź jego przyczynę i podejmij konstruktywne kroki prowadzące do jego rozwiązania – oto recepta na powodzenie. Poza tym nasz wizerunek i to, jak nas postrzegają inni, jest odbiciem naszych myśli i czynów. Rok dwa tysiące drugi był czasem wyborów nowych władz uczelni, rektora i senatu, a na wydziałach – dziekanów i rad wydziałów. Rektorem został profesor Józef Kuczmaszewski, a prorektorami: do spraw kształcenia – doktor inżynier Adam Wasilewski, do spraw nauki – profesor Witold Stępniewski oraz do spraw ogólnych – profesor Marek Opielak.

Dziekanem Wydziału IBiS został profesor Zdzisław Krzowski, a prodziekanami: do spraw kształcenia na kierunku budowlanym – profesor Anna Sobotka, do spraw kształcenia na kierunku inżynieria środowiska – profesor Henryk Sobczuk, a prodziekanem do spraw ogólnych i nauki zostałem ja – profesor Wenanty Olszta.

Prodziekan Wydziału Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej

Zostałem pierwszym zastępcą dziekana, odpowiedzialnym za wszystkich pracowników naukowo-dydaktycznych i administracyjno-technicznych Wydziału. Był to nowy etap mojej pracy organizacyjnej polegającej na odpowiedzialności za rozwój kadry naukowo-dydaktycznej (przewody doktorskie i habilitacyjne), podział skromnych środków finansowych na działalność statutową i badawczą, granty KBN, prace zlecone oraz działalność gospodarczo-administracyjną na Wydziale, współpracę Wydziału z zagranicą i gospodarką krajową, działalność wynalazczą, innowacyjną, wdrożeniową i licencyjną. Równolegle kierowałem i zarządzałem rozwojem i funkcjonowaniem nowopowstałej Katedry Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków. Czekał mnie szereg nowych obowiązków, wiele spotkań z władzami uczelni i na zewnątrz, kiedy zachodziła potrzeba zastępowania dziekana Krzowskiego.

Nie zamierzam opisywać wspomnień z czasów mojego urzędowania jako prodziekana, tym bardziej, że nie pełniłem tej funkcji do końca kadencji. Byłoby to monotonne i nudzące dla czytelnika, dlatego ograniczę się do wybranych zagadnień i zdarzeń.

Nowy rektor Kuczmaszewski okazał się człowiekiem niezależnym, sympatycznym, uprzejmym i bardzo rzeczowym oraz kompetentnym w działaniu. Być może dlatego sprawował ten urząd przez dwie kadencje, dokonując dużych zmian i podnosząc prestiż uczelni w środowisku akademickim, na skalę miasta i kraju.

Moje relacje z administracją i biurem rektora były poprawne, szczególnie dobre kontakty miałem prorektorem Wasilewskim, mniej empatyczni i kontaktowi okazali się Stępniewski i Opielak.

Moim pierwszym poważnym zadaniem jako prodziekana było sporządzenie materiałów niezbędnych do nowej akredytacji Wydziału IBiS. Pewnym ułatwieniem w ich przygotowywaniu był wcześniej zrealizowany przeze mnie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku *Wniosek o rozszerzenie uprawnień do nadania*

stopnia naukowego doktora na dyscyplinę inżynierii środowiska. Należało go jednak uzupełnić o kolejne lata działalności Wydziału w nowej strukturze organizacyjnej i osobowej, o aktualne osiągnięcia naukowe oraz poszerzyć bazę materiałową i laboratoryjną. Przygotowania te trwały wiele miesięcy.

Sprawowałem też nadzór przy otwieraniu i przeprowadzaniu przewodów doktorskich i habilitacyjnych. Pamiętam, że wcześniej, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku byłem członkiem komisji otwarcia lub zamknięcia przewodu doktorskiego magister inżynier Ewy Błazik-Borowej. Profesor Jerzy Grycz zgłaszał liczne zastrzeżenia i uwagi, na które długo odpowiadał profesor Andrzej Flaga, twierdząc, że są to zarzuty nieuzasadnione i złośliwe. Błazik-Borowa szybko zrobiła habilitację, a w dwa tysiące dwunastym roku została wybrana dziekanem Wydziału Budownictwa i Architektury. Zastrzeżenia okazały się zatem nieuzasadnione, co może potwierdzać, że niektórzy zawsze będą nastawieni negatywnie.

Wydarzeniem tej kadencji były obchody jubileuszu pięćdziesięciolecia Politechniki Lubelskiej. Wszyscy braliśmy czynny udział w ich organizacji, a także w samych celebracjach. Z tej okazji przewidziano promocję uczelni: jej historii i tradycji, dorobku naukowego i dydaktycznego, tak istotnego dla rozwoju województwa i kraju. Obchody obejmowały wydarzenia o charakterze oficjalnym, były to konferencje i sympozja o zasięgu krajowym i zagranicznym, oraz imprezy towarzyszące, takie jak: Festiwal Nauki Politechniki Lubelskiej, wystawy, imprezy studenckie, wydawnictwa okolicznościowe, a na koniec uroczysty koncert w Filharmonii Lubelskiej z udziałem licznych gości.

Istotnym elementem obchodów było opracowanie i wydanie monografii: *Politechnika Lubelska, 1953–2003*. Przedstawiała ona trudną drogę, jaką musiała przejść uczelnia, aby stać się spadkobiercą uniwersalnych wartości uniwersyteckich, jakimi są: poszukiwanie prawdy, wolność badań naukowych i wolność nauczania oraz wspólnota nauczycieli akademickich i studentów. W przedmowie monografii ustępujący rektor Kazimierz Szabelski pisał:

W okresie drugiego pięćdziesięciolecia Politechniki Lubelskiej życzę aktualnym i przyszłym kierownictwom akademickim wszystkich szczerbli sukcesów. Niech przesłaniem dla Nich będzie realizacja ambitnych planów, które z kolejnych kadencji na następne będą świadczyć o wyraźnym postępie w intelektualnym i materialnym rozwoju Uczelni.

[...] Wiąże się to przede wszystkim z wyrzeczeniami, wielką odpowiedzialnością, koniecznością wizji Uczelni, posiadania autorytetu naukowego i dydaktycznego, ale nader wszystko determinacją w dążeniu do zamierzonych celów.

[...] Dla studentów, nie bacząc na perspektywy, bądźcie przeświadczeni, że prawda, wiedza i umiejętności stanowią potężny kapitał determinujący uczciwe i pełne aspiracji życie, życzę więc Wam intelektualnego i materialnego spełnienia.

[...] Wierzę, że zbiorowa mądrość społeczności akademickiej Politechniki Lubelskiej sprawi, że w wyborach władz wyłaniane będą takie ekipy zarządzające, które zapewnią uczelni, jej studentom i pracownikom wszechstronny rozwój²².

Przesłanie to było skierowane do całej społeczności akademickiej, ale przede wszystkim do kierownictwa uczelni i wydziałów. Nowe władze Politechniki, na czele z rektorem Kuczmaszewskim, całkowicie spełniły oczekiwania swojego poprzednika, wykazując się kompetencją, uczciwością, zaangażowaniem i skutecznością w realizacji planowanych celów. Podobnie staraliśmy się działać na Wydziałach.

Pełna kadra Wydziału Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej liczyła stu dwudziestu trzech nauczycieli akademickich, trzydziestu dwóch pracowników technicznych i trzydziestu dziewięciu administracyjnych (w tym siedem osób z dziekanatu).

Na Wydziale IBiS prowadzono studia dzienne i zaoczne w systemie ESS, na kierunku budownictwo i inżynieria środowiska. Na budownictwie prowadzono studia inżynierskie w specjalności: budownictwo ogólne, drogi i mosty oraz urządzenia sanitarne, natomiast studia magisterskie obejmowały dodatkowo specjalności: konstrukcje budowlane i inżynierskie (KBI), technologia i organizacja budowy (TiOB), ochrona zabytków architektury i urbanistyki (OZA).

Na kierunku inżynieria środowiska realizowano studia w systemie dziennym (magisterskie) i zaocznie inżynierskie w specjalnościach: technologia wody, ścieków i odpadów (TWŚO), ochrona powierzchni ziemi i utylizacja odpadów (OPZUO), ogrzewnictwo, wentylacja i ochrona powietrza (OWOP), zaopatrzenie w wodę i odprowadzenie ścieków (ZWOŚ) oraz informatyka w inżynierii środowiska (IIS). Ta ostatnia okazała się być bardzo trafną specjalnością, bowiem aktualnie informatyka i komputeryzacja obejmują wszystkie sfery naszego życia.

Ponadto prowadzone było Międzyuczelniane Podyplomowe Studium Ochrony Środowiska, powołane jako interdyscyplinarne studia dla specjalistów różnych dziedzin, pragnących podnieść swoje kwalifikacje w zakresie ochrony środowiska.

Prowadzenie zajęć na dwóch kierunkach i tak wielu specjalnościach kształcenia wymagało od kierownictwa Wydziału wprowadzenia nowoczesnego elastycznego systemu studiów i odpowiedniej oferty dydaktycznej oraz bazy lokalowej. Istotnym osiągnięciem Wydziału było w tym wypadku oddanie do eksploatacji nowego obiektu dydaktycznego dla studentów kierunku inżynierii ochrony środowiska, wyposażonego w nowoczesne sale i laboratoria. Kierownictwo Wydziału inicjowało rozwój naukowy kadry, widoczny w uzyskanych stopniach doktora nauk i doktora habilitowanego, dbało o otrzymanie prawa do doktoryzowania, a także o współpracę międzynarodową, przejawiającą się w różnych formach uczestnictwa.

Wydział współpracował z różnymi uczelniami zagranicznymi, m.in. z Wyższą Szkołą Architektury i Budownictwa w Weimarze, Uniwersytetem w Hamburgu, Uni-

²² K. Szabelski, *Przedmowa*, [w:] *Politechnika Lubelska, 1953–2003*, red. A. Wac-Włodarczyk i inni, Lublin 2003, s. 9–10.

wersytetem Illinois w USA oraz z innymi placówkami. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku Wydział włączył się do międzynarodowego programu wymiany nauczycieli i studentów TEMPUS oraz SOKRATES, finansowanego przez Unię Europejską. Byłem inicjatorem tej współpracy.

Od dawna oczekiwaliśmy na akcesje i wejścia do struktur Unii Europejskiej. Początki nie były łatwe, znam je z autopsji. Pamiętam, jak podczas mojego pobytu w Stanach moi rozmówcy nie potrafili wskazać, gdzie leży Polska, nic dziwnego skoro podczas oficjalnej wizyty Edwarda Gierka w Waszyngtonie, w telewizji nawet nie podano o niej wzmianki. Jeden z moich rozmówców na uczelni następnego dnia pochwalił się, że wyczytał w encyklopedii, iż w Lublinie jest uniwersytet katolicki (KUL), jedyny w krajach obozu socjalistycznego. Byliśmy wtedy na stypendiach traktowani przez niektórych jako agenci wrogiego państwa.

Dzisiaj Polska jest członkiem struktur europejskich i sądzę, że obecna pomoc europejska w żadnym wypadku nie jest podarunkiem, na który nie zasługujemy. Powinna być raczej postrzegana jako wyraz uznania, a nawet częściowe spełnienie obowiązku wobec kraju, który był zawsze gotów do dawania wsparcia, gdy Europa tego potrzebowała. Polacy są znani z tego, że walczyli za wolność innych narodów. Wszyscy pamiętamy chociażby heroiczne malarstwo przedstawiające czyny króla Jana III Sobieskiego i jego armii pod Wiedniem. Oczywiście znaczenie dawnych militarnych zwycięstw raczej trudno porównać do programów współpracy, wymiany naukowej oraz stypendialnej. Niestety Polska od dawna traktowana jest przez Zachód jako ubogi krewny, dostrzegany tylko wówczas, gdy wymaga tego interes. Zapomina się o krwi przelanej przez Polaków w czasie drugiej wojny światowej.

Ale wkład Polski do dorobku Europy i cywilizacji, w szerokim tego słowa znaczeniu, wykracza daleko poza rozlew krwi Polaków w chlubnym celu obrony innych narodów i ideałów. Nasi wielcy geniusze jak Mikołaj Kopernik, Maria Skłodowska, artyści tacy jak Adam Mickiewicz, Fryderyk Chopin, Jan Matejko czy Andrzej Wajda oraz wielu bohaterów i bojowników o wolność innych – Tadeusz Kościuszko, Józef Bem czy Józef Piłsudski, wnieśli ogromny wkład do nauki, kultury i godności ludzkiej. Wiedza o tym nie jest powszechnie znana na Zachodzie, o czym przekonałem się osobiście podczas swoich podróży. Piszę o tym, ponieważ chciałbym podkreślić, że nie musimy mieć kompleksów względem innych narodów, zamiast tego powinniśmy dbać o godność i zasłużony szacunek kraju we współpracy międzynarodowej.

Innym istotnym wydarzeniem na Wydziale było oddanie w dwa tysiące pierwszym roku do użytku nowego budynku inżynierii środowiska i reaktywowanie biblioteki wydziałowej – z dwoma oddziałami: budownictwo i inżynieria środowiska.

W dwa tysiące trzecim roku osiągnąłem wiek emerytalny, wystąpiłem więc do rektora z prośbą o ponowne zatrudnienie mnie na etacie na Wydziale IBiS. Odbyły się w tej sprawie dwa tajne głosowania w Katedrze i na Radzie Wydziału oraz inne czynności i opinie. Procedura w tej sprawie wydawała się być prosta i oczywista, ale okazała się być kolejnym przykładem na to, jak potrafimy komplikować sobie życie.

Praca na Wydziale Inżynierii Środowiska Politechniki Lubelskiej i w Wyższej Szkole Jańskiego w Chełmie

W dwa tysiące czwartym roku powstał Wydział Inżynierii Środowiska, a ja skuszony obietnicami przyszłego dziekana Pawłowskiego, zdecydowałem się na przyjęcie propozycji przejścia na ten nowy Wydział. Przeważały względy merytoryczne, moja specjalność naukowa i dydaktyczna bardziej odpowiadała inżynierii środowiska niż inżynierii budowlanej, gdzie byłem prodziekanem i nadal pełniłem funkcję kuratora Katedry Ogrzewnictwa, Wentylacji i Automatyzacji.

Wydział powstał na bazie dwu jednostek organizacyjnych: mojej Katedry liczącej dziesięciu pracowników oraz Instytutu OŚ z obsadą około dwudziestu osób. Skład osobowy Katedry, z którym przeszedłem na Wydział IŚ, był następujący: Wenanty Olszta, Kazimierz Bonetyński, Beata Kowalska, Dariusz Kowalski, Izabela Wiśniewska-Oraczewska, Piotr Gliński, Małgorzata Iwanek, Marcin Widomski, Waldemar Szymański i Dorota Oraczewska (Fot. 23). Rokowania na dalszy rozwój osobowy i badawczy mojej Katedry w opinii kierownictwa Wydziału były potencjalnie duże i realne.

Zgodnie z zasadą proporcjonalności oraz równości warunków do dalszego rozwoju tych podmiotów, mojej Katedrze powinno przysługiwać co najmniej jedno piętro oraz znacząca część pomieszczeń w części podpiwniczonej budynku. Tymczasem otrzymałem do dyspozycji Katedry kilka pokoi na trzecim piętrze i jedno pomieszczenie w piwnicy. Pozostałem więc z kilkoma pracownikami w Katedrze ZWiUŚ, a w międzyczasie zlikwidowano IMUZ i nie miałem gdzie wracać, dlatego pozostałem w cieniu na Wydziale, cierpliwie oczekując następnych kilka lat na emeryturę.

W tym czasie wydałem skrypt *Podstawy Inżynierii Wodnej Środowiska* i byłem promotorem trzech prac doktorskich (Marcina Widomskiego, Małgorzaty Iwanek i Joanny Cichosz) oraz publikowałem po kilka publikacji rocznie.

W dwa tysiące piątym roku otrzymałem od rektora pismo następującej treści:

Lublin, dnia 15 czerwca 2005 r.

*Pan
Prof. dr hab. inż. Wenanty Olszta
Profesor zwyczajny
Wydział Inżynierii Środowiska
Politechniki Lubelskiej w Lublinie.*

W oparciu o zarządzenie Nr R-31/2005 Rektora Politechniki Lubelskiej w Lublinie z dnia 9 czerwca 2005 r., w sprawie zmian organizacyjnych w Wydziałach Politechniki Lubelskiej, od dnia 1 stycznia 2005 r. pełni Pan funkcję Kierownika Zakładu Gospodarki Wodnej w Katedrze Ochrony Powierzchni Ziemi w Wydziale Inżynierii Środowiska.

Z dniem 1 stycznia 2005r. przyznaje Panu wynagrodzenie zasadnicze w wysokości 5916 zł miesięcznie. Słownie: pięć tysięcy dziewięćset szesnaście złotych.

Dodatek funkcyjny w wysokości 349 zł.

Pozostałe warunki bez zmian.

REKTOR

Dr hab. inż. Józef Kuczmaszewski

W dwa tysiące piątym roku straciłem stanowisko kierownika Katedry, a nieco wcześniej prodziekana Wydziału. Ubyło mi obowiązków organizacyjnych, poczułem się marginalizowany, w związku z czym postanowiłem wykorzystać propozycję pracy w Szkole Wyższej im. Bogdana Jańskiego w Chełmie.

Z dniem pierwszego października dwa tysiące piątego roku podpisałem umowę zatrudnienia w pełnym wymiarze godzin na stanowisku profesora w Wydziale Zamiejscowym w Chełmie, na kierunku gospodarka przestrzenna. Wcześniej otrzymałem również oferty pracy z kilku innych uczelni: z Wyższej Szkoły Finansów i Zarządzania w Warszawie, Szkoły Społeczno-Przyrodniczej im. Wincentego Pola w Lublinie, a od księdza doktora habilitowanego Jana Zimnego, profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, miałem propozycję objęcia stanowiska pełnomocnika rektora KUL do spraw organizacji filii KUL w Stalowej Woli. Z różnych powodów z propozycji tych nie skorzystałem i zaangażowałem się w pracę w Szkole Wyższej im. Bogdana Jańskiego w Chełmie. W związku z objętym stanowiskiem musiałem przygotować sylabusy nauczania następujących przedmiotów: przyrodnicze podstawy gospodarowania przestrzenią, podstawy rolnictwa, leśnictwa i gospodarki wodnej, gospodarka zasobami naturalnymi, oceny oddziaływania inwestycji na środowisko, ruralistyka, warsztaty edukacyjne, gospodarowanie zasobami naturalnymi i ochrona środowiska.

Ograniczę się do zacytowania założeń, celu i treści programowych ostatniego z tych przedmiotów, bowiem tematyka ta była i nadal jest aktualna i ważna dla świadomości ekologicznej każdego z nas.

Założenia i cele przedmiotu:

- Poznawanie struktury i funkcjonowanie układów przyrodniczych w aspekcie zasobów naturalnych w systemie grunt (gleba)–roślina–woda–atmosfera.
- Ocena warunków i typów przekształceń środowiska w kontekście eksploatacji zasobów naturalnych (grunt, gleba, woda, surowce mineralne).
- Zaznajomienie się z ekologicznymi podstawami kształtowania przestrzeni produkcyjnej.
- Znajomość podstawowych pojęć i zagrożeń związanych z ochroną środowiska oraz z normami dotyczącymi dopuszczalnych poziomów zanieczyszczeń i zagrożeń w odniesieniu do poszczególnych komponentów środowiska.
- Znajomość wpływu zanieczyszczeń środowiska na zdrowie człowieka.

Do podstawowych treści programowych objętych tym przedmiotem należą:

- Świadomość ekologiczna i jej znaczenie w kształtowaniu przestrzeni produkcyjnej oraz zrównoważonego rozwoju.
- Podstawowe wiadomości o czynnikach ekologicznych, siedliskowych i roślinności bagiennej.
- Podstawowe właściwości fizyko-wodne gleb i gruntów (przewodnictwo wodne i powietrzne, retencja wodna, skład mechaniczny, wytrzymałość gruntu itp.).
- Zagrożenia środowiska wywołane eksploatacją zasobów przyrody, zasady ochrony przyrody, klasyfikacja terenów zdegradowanych oraz sposoby ich rekultywacji technicznej i biologicznej.
- Podstawy hydrologii i hydrogeologii oraz rola i znaczenie wody w kształtowaniu i planowaniu przestrzeni produkcyjnej i krajobrazu.
- Zakres i cele bilansów wodno-gospodarczych.
- Klasyfikacja obszarów bilansowych, racjonalne gospodarowanie wodą w kontekście relacji rolnictwo – przemysł – potrzeby komunalne – turystyka i transport.
- Ocena ilościowa i jakościowa zasobów przyrody (woda, gleba, kopaliny i surowce mineralne).
- Określenie ekologicznych uwarunkowań oraz funkcje środowiska jako miejsce ludzkiej działalności.
- Zasady lokalizacji inwestycji rolniczych, przemysłowych, wysypisk śmieci, wyrobisk kopalin, ujęć wody itp.
- Eksploatacja zasobów przyrody i jej wpływ na zrównoważony rozwój.
- Gospodarka zasobami w kontekście ochrony bogactwa przyrodniczego, gatunkowego i ekologicznego.
- Określenie ekologicznych i prawnych uwarunkowań gospodarki wodnej oraz zasad lokalizacji inwestycji (ujęć wód, utylizacji ścieków i śmieci, wodociągów i kanalizacji, dróg, wysypisk śmieci i innych zanieczyszczeń) oraz terenów chronionych, mokradeł, parków, rezerwatów przyrody.
- Zarys historyczny i najważniejsze współczesne inicjatywy na rzecz ochrony środowiska i zrównoważonego rozwoju (Strategia Zachowania Przyrody IUCN, raport Klubu Rzymskiego z 1972 r., Konferencja w Rio i w Johannesburgu).
- Ochrona atmosfery I (jej skład gazowy, zanieczyszczenia pyłowe, gazowe, aerozole, konsekwencje zanieczyszczeń, sposoby przeciwdziałania, raport o czystości powietrza w Polsce i w regionie lubelskim).
- Ochrona atmosfery II (efekt cieplarniany, dziura ozonowa, kwaśne deszcze, smog fotochemiczny i kwaśny).
- Ochrona gleby i lasów, zagrożenia i środki ich ochrony.
- Ekonomiczne mechanizmy i instrumenty ochrony środowiska i czystej produkcji (dopłaty, subwencje, systemy depozytowe, bodźce wymuszające itp.).
- Wpływ zanieczyszczeń środowiska na zdrowie człowieka (czynniki determinujące stan zdrowia człowieka, problem hałasu, elementy toksykologii – trucizny i toksyny, radioaktywność, drogi przedostawania się i eliminacja zanieczyszczeń z ustroju, konsekwencje).

Reasumując, woda to podstawowy surowiec przyrody. Posiada wymiar fizyczny, społeczny, krajobrazowy, gospodarczy i ze względu na jej ciągły ruch decyduje o stanie środowiska. Zatem przyjazne środowisko to czysta woda, czyste powietrze, zdrowa żywność, piękno i różnorodność krajobrazu. Są to czynniki niezbędne do wszechstronnego rozwoju człowieka (tak obecnego pokolenia, jak i naszych wnuków), zarówno w sensie fizycznym, jak mentalnym.

Moje zainteresowania wodą obejmowały jej matematyczny, numeryczny opis, jej formy występowania i obiegu w przyrodzie w złożonym systemie, jakim jest układ gleba-roślina-atmosfera. Skomplikowanie tego systemu polega na różnorodności zjawisk i procesów występujących jednocześnie oraz ich dużej dynamice w czasie (opad, temperatura i wilgotność powietrza, nasłonecznienie, parowanie czy dobowe przyrosty masy roślin). Wiedzę tę mogłem przekazywać studentom Szkoły im. Bogdana Jańskiego. Po ukończeniu zajęć mieli oni być przygotowani do uczestniczenia w działaniach mających na celu ochronę środowiska, sporządzanie dokumentów oceniających zasoby naturalne i stan środowiska przyrodniczego oraz wpływ inwestycji na środowisko, a także przestrzeganie zasad ładu przestrzennego i zrównoważonego rozwoju w nawiązaniu do posiadanych zasobów naturalnych i środowiska w regionie i w kraju.

Jeśli chodzi o zasoby wody w Polsce, to w porównaniu do innych krajów w Europie jesteśmy na dalekim miejscu, dotyczy to zarówno wód gruntowych, jak i powierzchniowych. W związku z czym w nieodległej przyszłości grozi nam jej deficyt i woda stanie się towarem. Już teraz jest tak w niektórych częściach świata, duże niedobory wody występują zwłaszcza w rolnictwie, które zużywa jej najwięcej.

Krzewienie świadomości ekologicznej studentów, i nie tylko ich, może nas w części uchronić przed katastrofą braku wody pitnej. Starałem się upowszechnić tę wiedzę, dobierając studentom odpowiednie tematy prac dyplomowych, pisząc recenzje oraz liczne rozprawy i różnego rodzaju opinie.

Wcześniej uczestniczyłem również w opracowaniu programu studiów na kierunku inżynieria środowiska, dla specjalności inżynieria wodna środowiska, w sąsiedniej uczelni w Chełmie, tj. Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej. Byłem inicjatorem i współorganizatorem tego projektu, natomiast głównym autorem dość obszernego opracowania (w tym zakresu kształcenia i planu zajęć) był Dariusz Kowalski, mój najbliższy współpracownik i specjalista od tworzenia takich programów. Nie doszło do otwarcia tej specjalności, ale pozostał cenny materiał, liczący około sześćdziesięciu stron tekstu, który można wykorzystać w przyszłości.

Moja aktywność organizacyjna w Szkole Bogdana Jańskiego była ograniczona, bowiem prowadziłem tam zajęcia dwa razy w miesiącu – w piątki i soboty, w okresie od dwa tysiące piątego do dwa tysiące jedenastego roku. Szkoła Wyższa Zarządzania i Przedsiębiorczości im. Bogdana Jańskiego miała wiele ośrodków w kraju i prowadziła zajęcia na licznych kierunkach, w Chełmie kształcono studentów na kierunku zarządzanie i marketing oraz gospodarka przestrzenna, na poziomie licencjackim.

Szkolę tę prowadzi Kościół, jej patronem jest Bogdan Jański, który żył w niełatwych czasach zaborów, ale dzięki wartościom, jakie wyznawał i realizował na obczyźnie, osiągnął nie tylko wysoki poziom intelektualny, ale też świętość, gdyż w dwa tysiące szóstym roku rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny. Musiał dokonywać trudnych wyborów życiowych, jak każdy młody człowiek, który rozwija się i kształtuje swoją osobowość. Dziś żyjemy w zupełnie innych czasach, ale wszyscy, a młodzi szczególnie, muszą dokonywać podobnych selekcji wartości, a także zdecydować się na uczelnię, która będzie prezentować odpowiedni dla nich system wartości i kształcenia. Patron tej szkoły dawał doskonały przykład na to, jak możemy spełniać samych siebie jako ludzie i jako chrześcijanie, dojrzewając równocześnie do dawania świadectwa temu, co jest dewizą szkoły: „prawda – dobro – skuteczność”. Między innymi dlatego zdecydowałem się na podjęcie tam pracy.

Obecnie Szkoła Wyższa im. Bogdana Jańskiego ma status akademicki i posiada uprawnienia magisterskie. Jest jedną z największych niepaństwowych uczelni w Polsce. Szkoła, nazywana w skrócie „Jański”, to gimnazja i licea w Krakowie i Łomży, to ponad siedem tysięcy studentów w sześciu ośrodkach akademickich zlokalizowanych w Warszawie, Krakowie, Chełmie, Elblągu, Łomży, Opolu i Zabrzu. Ideą przyświecającą tej placówce jest kształcenie świadomości środowisk położonych daleko od centrów, tworząc w ten sposób nową warstwę intelektualnej elity opiniotwórczej, przyszłych działaczy oraz decydentów politycznych. To szlachetny zamiar, ale w tym przypadku także nieuczciwy, dlatego też szkoły katolickie, np. w USA, budzą wiele zastrzeżeń. W październiku dwa tysiące trzeciego roku uczestniczyłem w spotkaniu lubelskiego środowiska naukowego, połączonego z debatą panelową „Rzetelność w nauce”, którego organizatorami byli rektor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej profesor Marian Harasimiuk oraz prezes Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej profesor Maciej W. Grabski.

Debata odbyła się w Bibliotece Głównej UMCS, prowadzona była przez profesora Mariana Harasimiuka, z udziałem profesora Macieja W. Grabskiego, profesora Andrzeja Legockiego i profesora Jakuba Mamesa. To znane postaci w świecie nauki, a Harasimiuka poznałem już wcześniej, gdyż współpracowałem z nim jeszcze w IMUZ. Debata wykazała, że dążenie do poznania prawdy w nauce oraz kształtowanie właściwych postaw etycznych, które winny być zakorzenione w działalności akademickiej i życiu uczelnianym, zdają się być często pomijane i zapominane. Doświadczyłem tego w przeszłości, zarówno na Politechnice, jak i w Szkole Bogdana Jańskiego. Profesor powinien być nie tylko autorytet naukowym, ale przede wszystkim reprezentować wartości etyczne, które przekaże studentom, gdyż w otoczeniu akademickim winien być przykładem do naśladowania.

Byłem jeszcze w sile wieku, ale już bliski przejścia na emeryturę, nie byłem zatem już w pełni eksploatowany na Wydziale, zarówno naukowo, jak i organizacyjnie. Prowadziłem głównie zajęcia dydaktyczne na specjalności zaopatrzenie w wodę i usuwanie ścieków. Były to takie przedmioty jak: gospodarka wodna, hydraulika ośrodków

porowatych, hydrobotaniczne systemy oczyszczania ścieków, ocena oddziaływania obiektów wodnych na środowisko, prowadziłem także seminarium dyplomowe. Wielu studentów wybierało tę specjalizację jako inżynierski kierunek studiów, co nie wpłynęło na decyzję dziekana, który zlikwidował Katedrę odpowiadającą merytorycznie za kształcenie w tej dziedzinie.

W kwietniu dwa tysiące ósmego roku otrzymałem od rektora pismo informujące, iż mój stosunek pracy z Politechniką Lubelską wygasa z dniem trzydziestego września dwa tysiące ósmego roku oraz zawierające wyrazy uznania i serdeczne podziękowania za wieloletnią działalność dydaktyczno-wychowawczą i zaangażowanie w sprawę uczelni. Oczywiście była to dla mnie szokująca informacja, jak zapewne dla wielu emerytów, wystąpiłem więc do rektora o czasowe przedłużenie zatrudnienia, tłumacząc moją prośbę tym, że w danym roku akademickim wchodziły do minimum programowego dwa dodatkowe przedmioty, tj. melioracje miast i osiedli oraz geotechnika, które miałem wykładać. Byłem ponadto w trakcie przegotowywania do publikacji kilku prac, napisanych we współpracy z doktor Iwanek i doktorem inżynierem Widomskim. Dysponowałem również bogatym materiałem empirycznym – jeszcze z czasów pracy w IMUZ – który chciałem uporządkować i przekazać swoim współpracownikom z Zakładu jako podstawę do ich dalszej pracy naukowej i publikacyjnej. Kontynuowałem opiekę merytoryczną nad doktoratem magister inżynier Joanny Cichosz z Wydziału IBIS oraz prowadziłem promotorstwo czterech prac dyplomowych studentów na Wydziale Inżynierii Środowiska.

Sądziłem, że przekazane do władz uzasadnienie, zawierające argumenty, które wymieniłem powyżej, było wystarczająco przekonujące, aby przedłużyć moje zatrudnienie o rok, głównie dla dobra studentów i pracowników uczelni. Niestety zostałem zatrudniony jedynie na cztery miesiące, tj. do trzydziestego pierwszego stycznia dwa tysiące dziewiątego roku.

W dwa tysiące dziewiątym roku rektorem został profesor Marek Opielak. Odbyłem z nim rozmowę, w czasie której zapewnił, że wyrazi zgodę na zatrudnienie mnie na pełnym etacie do końca roku akademickiego, złożyłem więc na jego ręce kolejne podanie. Kierownik Katedry profesor Witold Stępniewski dołączył do mojego pisma odręcną adnotację, która mówiła, że nie widzi przeszkód, pod warunkiem mojego większego zaangażowania w sprawy nauki, ale ostateczną decyzję pozostawia Radzie Wydziału i dziekanowi WIŚ, który odpowiada za finanse Wydziału. Do tej pory nie wiem, co Witold miał na myśli, pisząc o moim większym zaangażowaniu w sprawy nauki. Niestety ówczesny dziekan Pawłowski nie wyraził zgody na moje dalsze zatrudnienie.

Podczas kolejnej rozmowy z rektorem Opielakiem zostałem przez niego zapewniony, że poruszy temat mojego zatrudnienia na najbliższym senacie, jeśli tylko złożę podanie bezpośrednio na jego ręce, zaufałem mu i napisałem kolejne pismo. Okazało się jednak, że z jakiegoś powodu na następnym posiedzeniu senatu moja prośba nie

została poddana pod głosowanie. W ten sposób musiałem pożegnać się z pracą na Wydziale, sądzę, że była to wielka strata dla obu stron.

Rok dwa tysiące ósmy był dla mnie rokiem jubileuszowym, otrzymałem wtedy wiele listów z życzeniami i gratulacjami, zacytuje dwa z nich, jeden od współpracowników, a drugi od profesor Barbary Kudryckiej, Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Oto pierwszy z nich:

*Szanownemu Panu Profesorowi,
Wenantemu Olszcie,*

*życzenia jubileuszowo-imieninowe
wszystkiego, co najpiękniejsze i najlepsze,
łagodnych pogodnych dni, pełnych szczęścia i miłości.
Aby każdy nadchodzący dzień był tym
najwspanialszym dniem w życiu i żeby zawsze
otaczali Pana Profesora kochający ludzie.*

*Pracownicy Katedry Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków
Kazimierz Bonetyński, Beata Kowalska, Małgorzata Iwanek, Dariusz Kowalski,
Marcin Widomski, Dorota Oraczewska i Ania Musz*

Lublin, dnia 6. 05. 2008 r.

A oto ostatnie z przesłanych mi życzeń:

Warszawa, 25 września 2008 r.

*Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Szanowny Pan Profesor
Wenanty Olszta
ul. Nadbystrzycka 40b
20-618 Lublin*

Szanowny Panie Profesorze,

proszę pozwolić, że w związku z rozpoczynającym się rokiem akademickim 2008/2009 złożę na Pana ręce serdeczne życzenia, by czas wytężonej pracy, który stoi przed nami, przyniósł wszystkim ludziom nauki jak najwięcej zawodowej satysfakcji, by powiodły się zaplanowane projekty naukowe i aby wyniki prac badawczych służyły jak najlepiej dobru nas wszystkich.

Jednocześnie z ogromną satysfakcją śpieszę poinformować Pana, że dzisiaj nasze środowisko ma szansę w stopniu nieporównywalnym do poprzednich lat podjąć realizację ambitnych i śmiałych projektów. Wzrost nakładów na naukę, na który wszyscy tak wiele lat musieliśmy czekać, wreszcie staje się faktem. W 2009 roku aż o 26% zwiększone będzie finansowanie prac naukowych i infrastruktury badawczej. Zastrzyk ponad miliarda złotych z budżetu naszego Państwa, w połączeniu z 4 miliardami euro pochodzącymi ze środków UE i przeznaczonymi na najbliższe lata, stanowią wyzwanie, które musimy podjąć z sukcesem, to szansa, której nie wolno nam zmarnować.

Dlatego, korzystając z okazji, zwracam się do Pana z prośbą o opinię na temat pakietu reform w ustawach dotyczących nauki, które pod hasłem „Budujemy na wiedzy” przedstawiamy właśnie do konsultacji społecznych. Więcej informacji znajduje się na stronie internetowej naszego Urzędu www.gow.pl. Zachęcam nie tylko do przesyłania nam drogą elektroniczną ewentualnych sugestii w tej sprawie, ale też do systematycznego zaglądania pod podany adres i pełnego korzystania z możliwości, jakie otworzą przed naukowcami nowe konkursy na granty badawcze.

Łączę wyrazy szacunku
Prof. Barbara Kudrycka

Oczywiście dla mnie te możliwości, nowe projekty i granty skończyły się wraz z etatem. Zgoła inaczej jest na uczelniach angielskich, pisze o tym w swojej biografii *Sam o sobie* Norman Davies, cytując:

Emerytura nie oznacza wszakże zerwania więzów ze światem akademickim. Wprost przeciwnie, otwiera przede mną nowe drzwi, gdyż zwłaszcza college Oksfordu i Cambridge mają długą tradycję mianowania utytułowanych emerytów na stanowiska, które pozwalają pozostać częścią świata nauki i umożliwiają korzystanie z biblioteki oraz pomieszczeń, a także dają wstęp na wszystkie seminaria i wykłady. Ta zasada okazała się dla mnie darem niebios. Podczas z górą dwudziestu lat po odejściu na emeryturę byłem członkiem pięciu college'ów (dwóch w Oksfordzie i trzech w Cambridge) oraz zacząłem prowadzić życie akademickie znacznie przyjemniejsze, niż w czasach, gdy dojeżdżałem do pracy jako profesor Uniwersytetu Londyńskiego²³.

Podobnie jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie na uniwersytetach tworzony jest ferment intelektualny, który wynika z tego, że akademicy ze wszystkich dyscyplin regularnie spotykają się przy różnych okazjach i omawiają swoje badania z zainteresowanymi, lecz specjalizującymi się w czymś innym kolegami. Niestety nigdy nie jest tak jak chcemy, jeśli nie masz na coś wpływu, to nie nalegaj siłą, zachowaj spokój i czekaj na kolejną okazję, a w międzyczasie rób swoje. Tak było podczas mojego pięcioletniego oczekiwania na studia, czteroletniego czekania na otwarcie przewodu ha-

²³ N. Davies, *Sam o sobie*, Kraków 2019, s. 508.

bilitacyjnego i dziesięciu lat starań o nominację profesorską w Belwederze. Również podczas emerytury realizowałem zainteresowania artystyczne, prace budowlane przy kolejnych domach, a także spisywałem swoją biografię.

Pod warunkiem, że bardzo czegoś pragniemy, będziemy w stanie spełnić nawet nasze marzenia, na co najlepszym przykładem są moje własne losy. Moje życie potwierdza, że nie jest ważne skąd pochodzisz, ale jak głęboko wierzysz w siebie i na ile potrafisz się zdyscyplinować w dążeniu do celów. Nie było to łatwe, ból, niepokój i strach zachowywałem dla siebie, by oszczędzić tych doznań innym i nie zakłócać relacji w rodzinie, pracy i sąsiedztwie. Nigdy nie mów tego, czego kiedyś mógłbyś żałować, gdyż słowa ranią bardziej niż rany fizyczne, a to, co najpiękniejsze często pozostaje niewypowiedziane. Moje niewypowiedziane słowa i myśli, to moje kolekcje obrazów, rzeźb i innych zbiorów i pamiątek. Smutek też jest częścią naszego życia, ale trzeba pamiętać, że nie warto brać na siebie winy za cudze i swoje niepowodzenia.

Warto też pamiętać, że wycofanie się nie stanowi o słabości, ale jest dowodem naszej dojrzałości mentalnej i emocjonalnej. Należy w życiu kierować się zasadami i wartościami, aby odnaleźć spokój, satysfakcję i uznanie. Te zasady to dobro, prawda i piękno, które zachwyca, wraz z wartościami duchowymi tworzą one komfort psychiczny potrzebny do efektywnej pracy. Piękno podnosi jakość życia na różnych jego poziomach i etapach rozwoju.

Ta opowieść to zapis moich życiowych doświadczeń, a dla moich wnuków mają to być fundamenty, bez których trudno budować przyszłość. Na początku każdy stawia sobie pytanie, kim jestem, skąd przybywam i gdzie zmierzam, kim byli moi rodzice, dziadkowie, gdzie mieszkali i w jakich warunkach pracowali i żyli, na te wszystkie pytania starałem się tu odpowiedzieć. „Szacunek przeszłości, wyobraź sobie przyszłość”, to przesłanie nie tylko dla wnuków, ale dla wszystkich. Inne istotne przesłanie brzmi:

Nie osiągamy doskonałości w jednej chwili, aby ją osiągnąć mamy przed sobą całe życie, bylebyśmy nie stracili pragnienia stawiania się lepszymi – nie należy rozpaczać, ale być cierpliwym.

La Colombiere

EMERYTURA

Lata 2009–2023

Na emeryturze ambicje nie miały już takiego znaczenia, ale odnalazłem inne motywacje. Choć wszystko może czasem wydawać się być nieodwracalne i zmierzać ku końcowi, musimy nadal żyć, szukając nowych celów i woli do działania.

Emerytura to nowy rozdział naszego bycia, nie wiemy, jak długo i co nas w nim czeka. To wyczekiwana wolność, którą musimy jak najlepiej wykorzystać, teraz tylko od nas zależy, czy potrafimy wyznaczyć sobie nowe cele, czy mamy determinację i siłę w ich realizacji. Może to nie być łatwe, wiek i lata robią swoje, ale silna motywacja i wiara czynią cuda.

Podczas spędzania wiosny, lata i jesieni na wsi w Borowie, wracały do mnie wspomnienia z dzieciństwa. Obserwując wschody i zachody słońca, błądziłem myślami do tamtych czasów i zastanawiałem się nad pracą czekającą na mnie w Borowie. Dom mieszkalny i pomieszczenia gospodarcze, które postawił ojciec, spalili Niemcy, domek (pokój z kuchnią) wybudowany przez matkę po wojnie był w ruinie, a ten, w którym mieszkaliśmy, stał się już ciasny. Postanowiłem zatem wznieść od fundamentów nowy budynek, który stanąłby obok tego starego, w jakim mieszkaliśmy i jaki powstał na bazie starej stodoły i obory, pamiętając po matce.

Należało wykonać ogrodzenie posesji, zrobić porządki na działce, a następnie przeprowadzić budowę nowego domu, szklarni w kształcie piramidy, a dla upamiętnienia rodziców izby pamięci i przydrożnej kapliczki. Jeśli do tego dodać moje zainteresowania artystyczne, to zastanawiałem się, jak temu wszystkiemu sprostać, jak rozłożyć siły w czasie, który mi pozostał.

Najpierw wykonałem samodzielnie projekt domu na wsi, wzorując się na posiadłości doktora Freemana z Clemson, ale mój dom miał być znacznie mniejszy, miał mieć wymiary dziesięć na dwanaście metrów. Na jego parterze miał znaleźć się: salon, pokój stołowy, mała kuchnia i łazienka z wanną, natomiast na wysokim poddaszu: antresola z otwartą przestrzenią na salon, trzy sypialnie i łazienka z prysznicem. Projekt domu firmował doktor inżynier architekt Bartłomiej Kwiatkowski. Później, po dziesięciu latach, w dwa tysiące osiemnastym roku odwiedził mnie na wsi, zobaczył swoje dzieło oraz kolekcję moich obrazów i wtedy zdecydował, że zorganizuje na Politechnice wystawę mojego malarstwa.

Podczas pobytu na wsi miałem dużo czasu, nikt mnie nie popędzał, sam narzucałem sobie tempo, dużo pomagał mi starszy syn Mariusz. W oczekiwaniu na pozwolenie na budowę domu, zaczęliśmy od przygotowania ogrodzenia działki z ośmiu tysięcy cegieł. Każdą z nich miałem kilka razy w rękę, a połączenie ich z zaprawą mularską zajęło mi całe lato. Działka ma powierzchnię jednego hektara, jej połowę stanowi las sosnowo-jodłowy, w przyszłości może powstanie tam park, a pozostałą część działki zajmują: zabudowa, dom i budynki gospodarcze.

Budowa domu (Fot. 35) trwała dwa lata, gromadzenie materiałów, wykopy fundamentów i wznoszenie budynku w surowym stanie zajęło rok, a kolejny rok poświęciliśmy na jego wykończenie. Większość prac wykończeniowych, czyli posadzki, tynki z płyt gipsowo-kartonowych, podłogi, glazury oraz instalacje wewnętrzne, przyłączenie wody i światła wykonywałem sposobem gospodarczym z pomocą starszego syna Mariusza, a przy cięższych pracach korzystaliśmy z pomocy sąsiada Mateusza.



Fot. 35. Dom w Borowie

Teraz, kiedy to piszę, wydaje się nieprawdopodobne, że te wszystkie prace udało mi się zrobić własnymi rękami, niektórzy sąsiedzi patrzyli na to z niedowierzaniem, mówiąc, że jestem człowiekiem wielu talentów. Dom stoi nadal i każdy może ocenić jakość i zakres tych działań. Jednym z istotnych elementów w nowym domu, którego nie byłem w stanie wykonać samodzielnie, były schody prowadzące z salonu na parterze do pomieszczeń mieszkalnych na poddaszu. Te nietypowe schody zabiegowe wykonał, a następnie zamontował zakład stolarski z Lublina.

Kolejne lata to porządkowanie posesji, dbanie o trawnik i ogródek warzywny, sadzenie drzew owocowych: wiśni, grusz, jabłoni, porzeczek, malin, winorośli i krze-

wów. Oczywiście w przerwach od tych obowiązków moim podstawowym zajęciem była działalność artystyczna, czyli malowanie i rzeźbienie.

Po całkowitym wykończeniu i pomalowaniu pokoi mogłem spokojnie przystąpić do realizacji mojego długoletniego marzenia o stworzeniu własnej kolekcji dzieł znanych współczesnych i średniowiecznych malarzy. Wiele kopii wykonałem już wcześniej, ale nie miałem miejsca na ich prezentację, teraz nowe pomieszczenie mające około dwustu pięćdziesięciu metrów kwadratowych wreszcie pozwalało na ich wyeksponowanie.

Zastanawiałem się nad dalszym doskonaleniem warsztatu, nad tym, czy nadal kopiować, czy tworzyć własne prace. Byłem ciągle pod wrażeniem malarstwa średniowiecznego, które oglądałem w Petersburgu, Amsterdamie, Luwrze w Paryżu, Rzymie i innych muzeach na świecie. Pomyślałem, że na wsi mam dużo czasu, będę zatem nadal kopiował znanych malarzy. Powstało w związku z tym pytanie, jakich malarzy i które obrazy.

Zacząłem od przeglądu wielu katalogów, albumów malarstwa polskiego i światowego, które mam swojej bibliotece, otrzymywane jako prezenty bądź nabyte przeze mnie. Wtedy byłem jeszcze głęboko wierzącym, jak zresztą większość mieszkańców wsi w Borowie, zwróciłem się zatem w stronę malarstwa sakralnego, a jeszcze wcześniej powstała znaczna kolekcja rzeźby sakralnej (Fot. 36–38).

Oczywiście w pierwszej kolejności wybór padł na wielkoformatowe obrazy: *Wieczere Pańską*, *Szopkę Betlejemską*, *Zdjęcie Jezusa z Krzyża* oraz *Unię Lubelską* Jana Matejki. Malowanie obrazu o tak dużych formatach (dwieście na trzysta centymetrów) to za każdym razem wielkie przedsięwzięcie, które wymaga wykonania blejtrami, naciągania i gruntowania płótna, wreszcie szkicowania i nakładania farby. Do stworzenia takiego obrazu potrzeba czasu i cierpliwości, wyczytałem w leksykonie, że autor wybranego przeze mnie *Zdjęcia Jezusa z Krzyża* malował go trzy lata, ja potrzebowałem trzech miesięcy, podobnie było z pozostałymi tak dużymi malunkami.

Sztuka kształtuje wyobraźnię, wrażliwość, koncentrację, cierpliwość i stosunki ludzkie, a w moim przypadku stała się uzupełnieniem pracy zawodowej, natomiast na emeryturze jej wypełnieniem. Jest formą komunikacji z przeszłością i przyszłością – z tym, co nastąpi po nas, gdyż za jej pośrednictwem przekazujemy swoje wybory, upodobania, emocje i przeżycia, wysiłek, pragnienia, słabości i wrażliwość na piękno oraz na drugiego człowieka. Najtrudniejsze bywają dla mnie decyzje dotyczące tego, co chciałbym mieć w kolekcji, później przychodzi czas przygotowania blejtrami, naciąganie płótna, gruntowanie, w większości przypadków czynności te wykonuję sam. Dlatego, jeśli ktoś mnie pyta, ile czasu potrzebuję na namalowanie określonego obrazu, mam trudności z określeniem tego, bowiem często wybór tematu i prace przygotowawcze trwają znacznie dłużej niż samo malowanie.



Fot. 36. Obraz *Wieczerzy Pańskiej* w galerii w Borowie



Fot. 37. Moje rzeźby



Fot. 38. Kapliczka na posesji

Moje kolejne prace to pejzaże, martwa natura, sceny rodzajowe oraz portrety, zarówno moje własne, jak i członków rodziny, kolegów, znanych postaci z polityki czy ze świata kultury. Moi ulubieni malarze to Rembrandt, Van Gogh, Paul Gauguin, Henri de Toulouse – Lautrec, a ze współczesnych polskich artystów: Stasys Eidrigewicz, Witold Palka z Wrocławia oraz Jan Łazarek z Kazimierza. Malarstwo tego ostatniego szczególnie przypadło mi do gustu, po jego przedwczesnej śmierci ktoś napisał w „Gazecie Lubelskiej”:

Jan Łazorek mógł malować z szybkością karabinu maszynowego, miał po wielokroć powtarzane ulubione motywy, nie w tym tylko spełniło się jego malarstwo. Otóż jego płótna emanowały emocjami i energią – zawsze dodatnią i ciepłą, nawet jeśli były to pejzaże zimowe. Łazorek patrzył na świat duszą, emocjami, a nie kombinując linijką, geometrią i mikroskopem. Były to emocje tak przedstawiane, że każdy mógł uznać je za swoje²⁴.

Tak właśnie odbieram jego obrazy, wypracował najlepszą do tego celu paletę i osobliwy rodzaj harmonii barw. Dzięki temu stał się rozpoznawalny, lubiany i odniósł sukces, także komercyjny.

Malował „swoją” Kazimierz, tworzył miasteczko na nowo, to za pośrednictwem obrazów Jana Łazora cudowne nadwiślańskie miasteczko stało się w świadomości setek tysięcy ludzi w Polsce i za granicą wcieleniem specyficznego marzenia – cudowną piękną krainą czasów tłumy, betonowej płyty i samochodów. W Kazimierzu rzeczywistym i Kazimierzu, który malował Łazorek, czas się zatrzymał i utworzył pętlę, w którą co roku wpadają tysiące, a może miliony ludzi. Był on swoistą częścią Kazimierza, wrażliwy na uroki tego miasteczka, utrwał ją na wielu płótnach niczym baśniowe opowieści²⁵.

Być może dlatego tak wiele kopii jego płócien znalazło się w moich zbiorach, posiadam również pokazną liczbę około czterdziestu pastelów Stasysa. Istotną pozycję w mojej kolekcji stanowią sceny rodzajowe Pałki, przyciągają wzrok kontrastem kolorów i różnorodnością występujących na nich postaci, głównie kobiecych.

We wstępie do mojego katalogu *Malarstwo* z dwa tysiące dziewiętnastego roku profesor Grzegorz Dobiesław Mazurek napisał m.in. cytując: „[...] Autor nie przywiązuje dużej wagi do zewnętrznego podobieństwa, bardziej interesuje go ludzka psychika, którą stara się pokazać kolorem, fakturą, materią malarską²⁶”. Sądzę, że każdy artysta, nawet amator, marzy, by w jego twórczości dostrzegano nie tylko formę, kształt czy kolory, ale również głębsze myśli i uczucia. Takie właśnie intencje towarzyszyły mi w ciągu ostatniej dziesięcioletniej działalności artystycznej na emeryturze.

Aktywność i obowiązki to recepta na dobre samopoczucie, bowiem jeśli człowiek traci sens życia to umiera, dlatego staram się być nadal aktywny fizycznie i mentalnie. Powstają kolejne obrazy, rzeźby, meble, fotele, ławy, stołki, kapliczki przydrożne, a dla urozmaicenia i relaksu wykonuję także inne prace porządkowe na posesji i prace ogrodnicze na działce, uprawiam warzywa czy koszę trawnik. Wszystkie te działania nadają sens mojej egzystencji, doświadczam nowych emocji i przeżyć w spełnianiu dziecięcych marzeń.

²⁴ G. Józefczuk, *Kazimierz, czyli Łazorek*, dodatek „Kultura”, „Gazeta Lubelska” 2001, 12.01.2001, s. 5.

²⁵ Tamże.

²⁶ G. D. Mazurek, *Wstęp*, [w:] W. Olszta *Malarstwo*, Lublin 2018, s. 2.

Mój pobyt w Borowie jest często samotny, bez pomocy i towarzystwa, dzieci przyjeżdżają okazjonalnie, podczas wakacji, a żona pilnuje domu w Lublinie. Sam organizuję sobie posiłki i prace, które zamierzam wykonać. Bywa tak, że przygotowanie tzw. frontu robót zajmuje więcej czasu niż ich wykonanie. Niejednokrotnie jest to duże obciążenie czasowe i fizyczne, dlatego dla odpoczynku i odprężenia sięgam po pędzel lub dłuto, maluję lub rzeźbię, wycinam drewno w lesie albo uprawiam grządki w szklarni piramidzie. Jest tam najprzyjemniej wiosną i jesienią, kiedy na zewnątrz jest chłodno, wtedy uwielbiam spędzać w środku czas dla relaksu w ciepłe.

Faraon wybudował wielką piramidę, by uchronić go przed śmiercią. Ja zbudowałam małą piramidę, aby przedłużyła nasze życie. Poddałem się zatem sugestii o istnieniu tajemniczego promieniowania piramid, które jak sądzę wzmacnia i podtrzymuje nasze istnienie. W mojej piramidzie szklarniowej pomidory na krzakach dojrzewają szybciej, nie gniją, zachowując świeżość i smak od czerwca do późnej jesieni. Być może pobyt w tym miejscu podobnie działała na kondycję i sprawność fizyczną człowieka.

Latem uprawiam pomidory, ogórki, pietruszkę, sałatę, krzewy borówki amerykańskiej i winogron, a jesienią wyrabiam z nich wino. Różnorodność tych zadań sprawia, że mój czas jest wypełniony, nie odczuwam zmęczenia, a każdego dnia widzę wymierne efekty swoich działań. Potwierdza się więc moje motto, że odpoczynek polega na zmianie rodzaju pracy, pod warunkiem, że ma się tzw. kontakt emocjonalny z tym, co się robi. W czasie wakacji przyjeżdżają z Warszawy wnuki Antek i Hania, dzieci młodszego syna Bartosza, chętnie mi pomagają, majsterkują, malują obrazy, gramy w szachy, badmintona, układamy puzzle z setek kawałków, tworzących po ich złożeniu pejzaże, słynne budowle i postacie. Jeździmy na rowerach, kąpiemy się w dmuchanym basenie, a w pobliskim lesie zbieramy grzyby i jeżyny. Wcześniej dzieci spędzały wiele czasu na zewnątrz, na zabawie w namiocie, na skakance czy na graniu w piłkę, teraz najchętniej przebywają w domu przy komputerze i telefonie, co źle wróży dla ich rozwoju fizycznego i psychicznego.

Wszystkiego uczymy się przez doświadczenie zdobywane na każdym etapie życia, w dzieciństwie poprzez zabawę, w dorosłym życiu – naukę i pracę. Dzieci mają przebliski geniuszu, ważne by to wykorzystać we wczesnym etapie rozwoju, stawiając im zadania, wzbudzając ciekawość poznawania natury i świata. Moje dzieciństwo to czas cierpienia, jakie przyniosła śmierć ojca, wojna, okupacja niemiecka, później czasy komunizmu. Nie było możliwości wyboru szkoły, przedszkola, zajęć i wycieczek pozaszkolnych czy kółek zainteresowań. Czasu tego, szczególnie dzieciństwa bez ojca, nikt mi nie wynagrodził do dziś. Zawsze, jak sięgam pamięcią, czegoś oczekiwałem, za czymś tęskniłem, sam musiałem stawiać sobie zadania i cele. Tak było na studiach, w pracy i obecnie na emeryturze, gdy realizuję swoje marzenia artystyczne.

Człowiekowi potrzebna jest do życia Prawda, Miłość i Piękno. Wartości te szukają schronienia przed współczesnymi barbarzyńcami i znajdują je m.in. w sztuce. To ona niesie nadzieję na to, że barbarzyństwo nie całkiem jeszcze zdominowało nasz świat. Tej nadziei potrzeba dzisiaj jak świeżego powietrza, zwłaszcza w sytuacji, gdy barba-

rzyńcy stoją na granicy. Sztuka uczy człowieka wrażliwości, przyczynia się zarazem do głęboko humanitarnego charakteru kultury. Sądzę, że moje malarstwo i rzeźba sakralna, przynajmniej w części, wpisują się w ten charakter i pozostaną tu – jak sądzą – na długo.

Większość moich obrazów powstaje podczas pobytu w Borowie, w zaciszu wiejskiej zagrody, gdzie oderwany od zgiełku codzienności i pracy zawodowej, już jako emeryt, poszukuję w naturze tego, co widzimy swoimi oczami, a więc zastanawiam się, na ile możemy przekształcić naturalne formy, tworząc nowe postaci i kształty. Wykorzystuję to w rzeźbie – przy niewielkiej ingerencji w to, co stworzyła natura, czyli w drewno, powołuję do życia nowe figury, przypominające kształtami ludzkie lub zwierzęce kreacje, np. krokodyle, jaszczurki, ptaki i inne postaci. Przyroda zachwyca nas swoją różnorodnością i zmiennością, a także tym, że bez względu na czas i miejsce można odkrywać w niej coś bliskiego i znajomego, coś, co nas zachwyca, dziwi, wzrusza, bawi, czasami niepokoi lub zastanawia. Podobnie jest ze sztuką, która – będąc zawsze wypadkową twórczej myśli człowieka i jego wewnętrznych uczuć – wprowadza nas w świat bez granic, w którym najistotniejsze wydają się być osobiste emocje, odczucia, czyli indywidualna wrażliwość estetyczna i duchowa.

Zatem życie znajduje swoje odbicie w sztuce, w tym również w pisaniu poezji. Nie da się tworzyć, pozostając obok tego, co nas otacza i czym żyjemy. Natura jest tak doskonała, że człowiek może jedynie czerpać z niej siły i inspiracje, przelewając na płótno czy papier to, co sam w bliskim z nią kontakcie odczuwa najsilniej. W moim przypadku taką inspiracją jest przyroda, jej piękno oraz człowiek – jego zmagania z przeciwnościami losu i samym sobą.

Postanowiłem swój dorobek artystyczny pokazać światu. Zwróciłem się o pomoc w organizacji wystawy mojego malarstwa w Galerii Sztuki Nowoczesnej Politechniki Lubelskiej na Wydziale Budownictwa i Architektury do doktora inżyniera architekta Bartłomieja Kwiatkowskiego.

W pierwszej kolejności należało dokonać oceny i selekcji płócien i rysunków (zarówno tych w domu w Lublinie, jak i tych w domu na wsi) przeznaczonych do pokazania na wernisażu. Organizacja wystawy trwała długo, a ona sama była kilkakrotnie odkładana w czasie, początkowo miała być wydarzeniem na Politechnice, połączonym z inauguracją roku akademickiego, z udziałem prasy i telewizji, ostatecznie pół roku później odbyło się skromne spotkanie bez udziału rektora i dziekana Wydziału Budownictwa i Architektury profesora Bogusława Szmygina.

Kosztowało mnie to dużo czasu i nerwów. Po dostarczeniu osobiście około stu dwudziestu rysunków i płócien na miejsce wernisażu, należało wykonać szereg czynności związanych z przygotowaniem katalogu wystawy tj.: fotografie obrazów – Katarzyna i Karol Krupa, projekt graficzny – magister Agnieszka Chęć-Małyszek, teksty do katalogu – napisane z pomocą profesora sztuki plastycznej Grzegorza Mazurka.

Całość działań organizacyjnych, łącznie z przyszykowaniem wystawy, katalogu, plakatu i zaproszeń na otwarcie wernisażu, przejęła na siebie Agnieszka Chęć-Mały-

szek, za co pragnę jej serdecznie podziękować, wyrażając swoją wdzięczność, szacunek i uznanie za bezinteresowną i istotną pomoc. Dziękuję również wszystkim, którzy uczestniczyli w tych pracach.

Przygotowując swój tekst do tego katalogu nie wiedziałem, co mnie może jeszcze zaskoczyć, zanim nastąpi otwarcie wystawy, a w międzyczasie wiele się zdażyło. Jednak już wtedy, w maju dwa tysiące osiemnastego roku, postanowiłem, że ten tekst będzie częścią mojej biografii, którą zdecydowałem się pisać, dlatego zacytuję go tu w całości, choć jego treść może się różnić od tego, co teraz myślę i czuję:

W 2018 roku celebruję trzy rocznice: osiemdziesięciolecie urodzin, pięćdziesięciolecie pobytu w Lublinie oraz dziesięciolecie życia na emeryturze. Na końcu katalogu zamieściłem w skrócie swój dorobek naukowy i dydaktyczny z 40 lat pracy zawodowej, poniżej pragnę się odnieść do mojej pracy artystycznej na emeryturze.

Człowiek wiele uczy się w szkole, w domu, ale również w obcowaniu z otoczeniem (przyroda, sztuka, podróże, ludzie – odpowiednie towarzystwo). Inspiracją moich zainteresowań artystycznych byli znajomi z towarzystwa (z lat siedemdziesiątych) – malujący amatorsko, ale z uprawnieniami urzędowymi. Istotny wpływ na dobór tematyki obrazów miały moje podróże zagraniczne po Europie, Meksyku, Egipcie i Chinach.

Pomijając szkołę średnią (lata 1951–1955) i Studium Nauczycielskie (lata 1959–1960) nigdy nie pobierałem nauki rysunku – malarstwa, ale od dawna odczuwałem w sobie zamiłowanie do sztuki i wrażliwość na piękno oraz pragnienie spełnienia ukrytych marzeń, np. posiadania kolekcji znanych malarzy, oglądanych w różnych muzeach Europy i świata. Niektóre emocje i uczucia trudno wyrazić słowami, dlatego utrwalam je na płótnie lub drewnie, bowiem sztuka – podobnie jak muzyka – to sposób porozumiewania się bez słów. Poza tym, „prawdziwa sztuka jest zawsze współczesna i jest wieczna, ludzie powracają do niej jak do ciepłej matki smutne dzieci”.

Życiu należy nadać sens i cel szczególnie na emeryturze, kiedy [człowiek] czuje się zbędny i bezużyteczny. „Tyle jesteśmy warci, ile jesteśmy użyteczni i potrafimy dać innym”. Człowiek czerpie energię z nowych doświadczeń. Po przejściu na emeryturę, właśnie malarstwo i rzeźba stały się treścią mojego życia. W tym czasie wykonałem około 200 obrazów, pozostałe 50 to okres 1975–2000. Szukam w tym sposobu na przetrwanie, wypełnienie pustki po zakończeniu pracy, a przy tym spełnienie ukrytych marzeń, zgłębienie tajemnicy życia sławnych malarzy, konfrontację z innymi, a przede wszystkim z samym sobą.

Poprzednio, w nauce zadania polegały na tym, aby zastąpić wizje faktami, a wrażenia dowodami. Podobnie jest teraz, na emeryturze, swoje wizje, wrażenia, emocje i wrażliwość na piękno oraz postrzeganie świata, swoje doświadczenia życiowe, mentalne, psychiczne i estetyczne przelewam na płótno, pozostawiając po sobie trwałe ślady, aby nie zginąć w obliczu prawdy o przeszłości i człowieku.

„Człowiek nauki musi być przygotowany na to, że w gmachu, który buduje, inni mieszkać będą”.

Wracając do znanych malarzy, to życie Rembrandta jest jedną z najwspanialszych, a zarazem dramatycznych, kart sztuki holenderskiej. Jego malarstwo szczególnie mnie zachwyca i imponuje, jak również [imponują mi] Holendrzy, ale ci sprzed pięćdziesięciu laty. Zdobył on szczyty powodzenia, ale przeżył tragedie życia osobistego, jak wielu innych sławnych ludzi. Sztuka Rembrandta wywarła również duży wpływ na Van Gogha. Doceniał w jego dziełach ekspresję, grę światła, cienia, a także wierność naturze. Studiując dzieje sztuk oraz anatomie człowieka malował, kopiując jego ulubione reprodukcje, ja również mam ich wiele w swej kolekcji. Sztuka Van Gogha jest pełna żalu i uczuć, to artysta o wyjątkowej biografii, tacy ludzie mnie interesują i inspirują. Zainteresowanie jego twórczością zaczęło się dopiero po jego śmierci, dziś uważany jest za geniusza, na swoich obrazach pozostawił emocje ze swojego krótkiego życia. Na tej wystawie prezentuję jego autoportret z fajką i obciętym uchem.

Istotny wpływ na wybór tematyki kopiowanych przeze mnie obrazów miały podróże zagraniczne. Osobliwych wrażeń doznałem w czasie pobytu w Meksyku, Chinach i Egipcie. Tajemnicza siła piramid i ich zawartość – freski, malowidła i rzeźby, posągi oraz tzw. efekt piramid wzbudzają podziw, zachwyt i ciekawość przeszłości. Również liczne muzea i budowle historyczne w Pekinie zachwycają kunsztem, bogactwem i różnorodnością zbiorów. Imponuje 7 tysięcy lat historii, dorobek kultury i sztuki tego kraju, uzdolnienia, pracowitość i dyscyplina jego przodków oraz osiągnięcia gospodarcze tego pokolenia. Malarstwo tych krajów zgromadziłem w trzech pokojach na wsi, w każdym po 10–15 obrazów, na tej wystawie prezentuję niektóre z nich.

Z krajowych malarzy największą kolekcję zgromadziłem pasteli Stasysa – około czterdziestu, tu wystawiłem 12 jego prac. Prace prof. W. Pałki to około 20 płócien, na wystawie 3 szt. Jedyne, co łączy większość prezentowanych obrazów, to człowiek – portrety, maski, scenki rodzajowe z udziałem ludzi – jego złożoność życia, psychika spojrzenia, bogactwo nastrojów – uśmiech, smutek, wygląd zewnętrzny, słowem – sztuka wyrazu. Na czterech wielowymiarowych płótnach usytuowałem około 60 postaci zbliżonych wielkością do naturalnych. Podobna ilość to portrety: własne, rodziny – rodzice, siostra, synowie, wnuki, koledzy, współpracownicy, profesorowie, rektorzy uczelni, politycy, artyści, papież Jan Paweł II, arcybiskup Życiński, prof. Z. Sochoń – mój wykładowca na studiach i dyrektor IMUZ, prof. S. Uziak – rektor UMCS, dr inż. A. Wasilewski – były prezydent Lublina. W portretach trudno uchwycić podobieństwo, ale ocenę pozostawiam zainteresowanym oraz zwiedzającym.

W prezentowanych tu pracach trudno doszukać się stylu czy techniki, bowiem są to reprodukcje różnych stylów sztuki średniowiecza, renesansu, baroku, poprzez impresjonizm do czasów współczesnych. Złośliwi mogą powiedzieć, że nie mają wymiaru czy wartości artystycznej – jestem amatorem, każdy widzi co innego, a poza tym każde dzieło podoba się lub nie, ale dla mnie mają wymiar emocjonalny. Włożyłem w nie dużo wysiłku, czasu i emocji i być może dla moich wnuków i prawnuków, w perspektywie 50 lat, mogą mieć również wymiar materialny bądź tylko sentymentalny. Dla mnie jest ważne, by pozostały w ich pamięci i były ew. inspiracją do kontynuacji zaintereso-

wań dziadka. W zasadzie to od wrażliwości widza zależy w dużej mierze, to czego się w tym malarstwie doszuka, co bliskiego sobie w nim dostrzeże i zapamięta.

Podsumowując dorobek naukowy 40 lat pracy: 200 zrecenzowanych, profesjonalnych publikacji oraz 10 lat na emeryturze: 200 obrazów i kilkadziesiąt rzeźb, to mam mieszane uczucia. Dorobek 40 lat pracy naukowej zalega w czterech kartonach tekturowych: doktorat, habilitacja, profesura, opinie, recenzje, projekty badawcze, liczne referaty i inne opracowania, natomiast 200 prac amatorskich wisi na 600 m kw. powierzchni wystawowej – na tej wystawie jest około 115 obrazów.

Teraz z perspektywy czasu, trudno mi wskazać, co jest najważniejsze w życiu, każdy szuka akceptacji i szacunku, a za każdym sukcesem kryje się długa historia osobista, rodzinna, otoczenie, miejsce albo zwykły przypadek. Ale często bywa, że o pozycji człowieka decyduje siła jego wrogów, tu moi przeciwnicy okazali się wyjątkowo skuteczni i złośliwi. Natura jednak zawsze wyrównuje rachunki, to tylko kwestia czasu, warto więc być przyzwoitym człowiekiem, a poza pracą mieć inne zainteresowania.

Jeśli mi będzie dane przeżyć kolejne 10 lat, to być może, gdy spotkamy się za dekadę – pokażę własny styl, kompozycje, swoje projekty bądź pozostanę nadal kopistą.

Dziękuję serdecznie organizatorom wystawy Dziekanowi Wydziału Budownictwa i Architektury prof. dr. hab. inż. B. Szmyginowi oraz Prodziekanowi ds. studenckich dr. inż. arch. B. Kwiatkowskiemu oraz wszystkim, którzy pomagali w przygotowaniu tej wystawy²⁷.

Prof. Wenanty Olszta

Tekst ten to dopiero początek przedsięwzięcia, przygotowania do otwarcia wystawy trwały wiele miesięcy. Początkowo otwarcie miało być połączone z inauguracją roku akademickiego, przełożono je następnie na grudzień, miało towarzyszyć spotkaniu oplatkowemu, ostatecznie ogłoszono na plakacie, że odbędzie się siedemnastego stycznia dwa tysiące dziewiętnastego roku w Galerii Sztuki Współczesnej Półtechniki Lubelskiej.

Komentarz do *Katalogu* napisał kurator wystawy profesor sztuk plastycznych Grzegorz Dobiesław Mazurek:

PASJA TWORZENIA

Rok 2018 dla prof. Olszty to trzy ważne rocznice: 80 rocznica urodzin, 50-lecie pobytu w Lublinie oraz 10 lat życia na emeryturze. Jubileusze zawsze skłaniają do pewnych podsumowań i refleksji. Z jednej strony to lata studiów, 40 lat pracy naukowej, z drugiej strony to 10 lat życia emeryta! To uczelnia, badania, praca dydaktyczna, promotorstwo prac magisterskich i doktorskich, to niezliczone referaty, udział w konferencjach, nagrody i wyróżnienia, z drugiej strony to 10 lat życia emeryta! 10 lat pasji tworzenia na uboczu w ciszy, 10 lat zmagania się z materią nowej dziedziny sztuki: kolor, światło,

²⁷ W. Olszta, dz. cyt., s. 2.

kontrast, faktura, emocje, uczucia – pasja! Czterdzieści lat pracy naukowej „zalega”, jak mówi z przekąsem profesor, w czterech tekturowych pudełkach. Natomiast 10 lat przygody ze sztuką to ponad 200 obrazów, które mogą wypełnić 600 m kw. powierzchni ekspozycji, to 10 lat pasji tworzenia.

Cóż ja mogę napisać o malarstwie prof. Wenantego Olszty? „Koń, jaki jest, każdy widzi”, tak o koniu pisał Benedykt Chmielowski w Nowych Atenach, pierwszej polskiej encyklopedii. Jakie jest malarstwo Olszty każdy widzi, ale żeby widzieć trzeba nauczyć się patrzeć i rozumieć to, co się widzi. Należy zaznaczyć, że pan prof. W. Olszta nie pobierał nauk malarstwa ani rysunku, uczył się sam. Zdobył doświadczenie, zgłębił tajniki warsztatu, poznał techniki malarskie, kopiując ulubionych artystów. Większość obrazów prof. Olszty to kopie lub obrazy inspirowane twórczością malarzy takich jak Rembrandt, Vincent van Gogh, Paul Gauguin, Henri de Toulouse-Lautrec oraz współczesnych polskich artystów jak Stasys Eidrigevicius, Jan Łazorek czy Witold Pałka. Malarstwo pana Wenantego Olszty można podzielić na kilka działów, kategorii: pejzaż, martwe natury, sceny rodzajowe i portrety członów rodziny, znajomych, kolegów i polityków. Bardzo intrygujące prace to wielkoformatowe płótna: Unii Lubelskiej Jana Matejki, Zdjęcia Jezusa z Krzyża, Wieczery Pańskiej czy Szopki Betlejemskiej, na których autor zamieścił 60 postaci z najbliższej rodziny i znajomych. Co łączy te często różne stylistycznie obrazy?

Głównym tematem twórczości prof. Olszty jest człowiek, jego przeżycia, psychika, jego bogactwo nastrojów: smutek, radość, zaduma, gniew wyrażone poprzez mimikę twarzy... Autor nie przywiązuje dużej uwagi do zewnętrznego podobieństwa, bardziej interesuje go ludzka psychika, którą stara się pokazać kolorem, fakturą, materią malarską. W postaciach Wenantego Olszty czuje się pasję tworzenia, energię, z jaką powstawały obrazy. Ten ślad zdradza, że artysta się śpieszy, pragnie malować więcej, lepiej, by zdążyć! Bo *Ars longa, vita brevis* – sztuka jest wieczna, życie krótkie.

Prof. Grzegorz Dobiesław Mazurek

Otwarcie wystawy było kameralne, uczestniczyła w nim rodzina, bliscy znajomi, życzliwi z najbliższego otoczenia i koledzy profesorowie: Rudolf Burek, Waldemar Cieślak, Klaudiusz Lenik oraz Józef Kuczmaszewski z żoną, były rektor Politechniki w latach od dwa tysiące drugiego do dwa tysiące dziewiątego roku. Pani profesor Anna Halicka, prorektor Politechniki, na dzień przed otwarciem wystawy, osobiście przeproszała za swoją nieobecność.

Rok dwa tysiące dwudziesty był początkiem pandemii koronawirusa covid-19, który spowodował ograniczenia w kontaktach między ludźmi, zakaz pobytu w urzędach, lokalach publicznych, szkołach, kinach, hotelach, teatrach itp. To znacznie utrudniło załatwianie bieżących spraw urzędowych i prywatnych. Był to trudny rok dla wszystkich, zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych, nakaz pobytu w domu i zakaz przemieszczania się odbił się negatywnie na gospodarce i psychice ludzi. Na uczelniach nie odbyły się spotkania wigilijne seniorów i inauguracje roku akademickiego, zamiast zaproszeń otrzymałem z tych okazji życzenia następującej treści:

Szanowny Pan
Prof. dr hab. inż. Wenanty Olszta

Obecna sytuacja epidemiczna nie powala Nam spotkać się osobiście na Uroczystej Wydziałowej Inauguracji roku akademickiego 2020/2021.

Liczymy jednak, że Nasza dotychczasowa współpraca będzie przebiegać pomyślnie i mamy nadzieję, że w następnym roku akademickim będziemy mogli spotkać się z Panem osobiście.

*Z wyrazami szacunku
Prof. dr hab. inż. Beata Kowalska
Dziekan Wydziału Inżynierii Środowiska
wraz ze Społecznością Akademicką*

Z życzeń tych dowiedziałem się, że zmieniło się kierownictwo Wydziału i że jego dziekanem została moja była asystentka i współpracownica z dawnej Katedry ZWiUŚ – Beata Kowalska. Byłem również mile zaskoczony jej nominacją na profesora tytularnego. Przebywałem wtedy na wsi, nie zwlekając w czasie przesłałem jej odręcznie napisane podwójne gratulacje – z racji nominacji profesorskiej z rąk prezydenta RP i objęcia funkcji dziekana Wydziału Inżynierii Środowiska, wyrażając nadzieję na rozwój i dobrą atmosferę pracy na Wydziale.

Brak kontaktu z otoczeniem to brak informacji, który stawia nas niekiedy w niezręcznej sytuacji. W okresie pandemii nawet okolicznościowe spotkania były odwoływane, ulice świeciły pustkami, ludzi można było spotkać – z zachowaniem dystansu – tylko w sklepie i aptece, porady lekarskie odbywały się telefoniczne, a recepty wystawiane były elektronicznie. Trwały gorączkowe zabiegi o pozyskanie szczepionki przeciw wirusowi COVID-19.

Początek szczepień dla seniorów i służby zdrowia nastąpił w styczniu dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku. Rejestracja rozpoczęła się na początku roku, ja zarejestrowałem się na KUL-u i pierwszą dawkę szczepionki otrzymałem pod koniec stycznia, a drugą dawkę podano mi osiemnastego lutego dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku.

Wiosna dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku była czasem złagodzenia obowiązujących restrykcji pandemicznych. Wcześniej wyjechałem na wieś, by przygotować się do adaptacji pomieszczenia gospodarczego – dawnej obory – na przyszłą większą galerię moich obrazów i rzeźb. Zgromadzone dotychczas prace sprawiły, że nie miałem już miejsca na ich ekspozycje. Zdecydowałem się zatem na kolejny wysiłek finansowy i fizyczny, sposobem gospodarczym podjąłem próbę remontu, zamieniając poddasze budynku na pomieszczenia wystawowe o powierzchni około siedemdziesięciu metrów kwadratowych. Bartek, mój młodszy syn, wspominał, że chciałby kiedyś zagospodarować tę przestrzeń na domek zimowy. Ja wcześniej w ogóle o tym nie myślałem, a tym bardziej nie zastanawiałem się wtedy, mając osiemdziesiąt trzy

lata, czy będę w stanie fizycznie podjąć się takiego wysiłku. Okazało się, że silna motywacja czyni cuda, odzyskałem siły i chęci do realizacji tego przedsięwzięcia.

Czasy się zmieniły, wieś była wyludniona i trudno było o robotników, materiały budowlane okazały się dostępne, ale znacznie droższe. Należało wymienić dach, okna dachowe, drzwi, posadzki, podłogi i ścianki działowe, instalację elektryczną, tynki z płyt gipsowo-kartonowych, wykonać prace mularskie, a na końcu malowanie, a zatem był to remont generalny – dużo pracy na całe lato. Na początku należało zgromadzić materiały budowlane i znaleźć pracowników do pracy, co okazało się niełatwym zadaniem organizacyjnym. Nadal obowiązywały bowiem niektóre nakazy pandemiczne, ludzie ograniczali kontakty, by uniknąć wirusa, panika ta objawiała się również na wsi w Borowie.

W pierwszej kolejności należało wymienić pokrycie dachowe, eternit na blachę. To złożona operacja, rozbiórkę trzeba było zgłosić do Urzędu Miasta w Anopolu, następnie do Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego w Kraśniku, wreszcie na końcu zwrócić się do wykonawców z uprawnieniami wymiany eternitu. Nadal panował zakaz przyjmowania interesantów w urzędach, dlatego na zewnątrz ustawiały się długie kolejki, a do pomieszczeń wpuszczano ludzi pojedynczo, to dodatkowo komplikowało załatwianie spraw administracyjnych.

Wcześniej udało mi się załatwić w Stalowej Woli ekipę do wymiany pokrycia dachowego. Było gorąco, zajęcia rozpoczynali późno, prace przedłużały się, bowiem równolegle, by nie tracić zleceń, pracowali na kilku budowach. Między ich przerwami miałem czas na uzupełnienie brakujących materiałów oraz drobne działania porządkowe. Trudno było wszystko przewidzieć, wykonując tak wiele prac równocześnie, bez projektu i harmonogramu, przy pomocy jedynie zawodnej pamięci, a poza tym pojawiały się wciąż nieoczekiwane przypadki i zdarzenia.

Planowane zakończenie wymiany dachu przypadło na koniec maja, przedłużyło się jednak do końca czerwca, na pozostałe prace pozostało zatem lato i jesień. Większość tych robót musiałem wykonać sam, przy pomocy synów Bartka i Mariusza. W pierwszej kolejności czekała nas budowa ścianek działowych, z drewna i pustaków, następnie założenie instalacji elektrycznej, ocieplenie dachu i ścianek działowych, położenie tynków z płyt gipsowo-kartonowych i podłóg, a na końcu malowanie ścian. Nie było łatwo, dla mnie ze względu na wiek był to duży wysiłek, musiałem robić dłuższe przerwy w pracy. To nie koniec zadań – na przyszły rok pozostały schody wejściowe na poddasze, demontaż stropu betonowego i wykończenie parteru, jest to zajęcie na kolejne lato i jesień. W tym czasie starałem się też odrywać wnuki od komputera, z trudem udawało mi się namówić Antka do rozegrania partyjki szachów, zabawy z piłką na podwórku czy pobytu w szklarni w piramidzie, to osobliwe miejsce, przeznaczone również do gry w szachy i odpoczynku.

Czułem się tu wolny i nieskrępowany, choć każdego dnia odczuwałem przymus pracy i tworzenia, tak powstawały kolejne obrazy, rzeźby i meble – stoły, fotele czy ławy, stylem i wyglądem nawiązujące do przeszłości. Zawsze lubiłem majsterkować,

pomagał mi w tym Antek, wykazując przy tym zainteresowanie i zdolności manualne. Również Hania, moja dziesięcioletnia wnuczka, zdradza zainteresowania artystyczne, tworząc w szkole wspaniałe wyroby ceramiczne z gliny, które zachwycają kolorem, kształtem oraz formą artystyczną, oby tak dalej. Część tych prac i moich zborów z kolekcji planuję wystawić w przygotowywanej galerii na strychu.

Po długim wysiłku organizm się broni i zmusza do dłuższego odpoczynku, wtedy wracają wspomnienia, które pojawiają się zwłaszcza gdy jestem sam na wsi. Jestem ciągle dręczony scenami z dzieciństwa. Wydaje się, że tamte wydarzenia były tak dawno, ale to piętno tkwi nadal głęboko i trudno się go pozbyć, wciąż do tego wracam z obsesją maniaka. Każde miejsce w domu w Borowie naznaczone jest cierpieniem, życiem i dorastaniem bez ojca, wojną i okupacją niemiecką, ucieczkami, powrotami i strachem przed tym, co będzie jutro, pomocą matce w gospodarstwie i odbudową siedliska, cotygodniowymi pieszymi piętnastokilometrowymi wędrówkami z wałówką na plecach do Liceum Ogólnokształcącego w Zaklikowie. To nie koniec, pamiętam też długie lata w ubóstwie na wsi w okresie powojennym poprzedniego system, na dwuhektarowym gospodarstwie, a także czas późniejszych upokorzeń i walki z przeciwnościami losu. Trudno się pozbyć tych wspomnień, tkwią zbyt głęboko, by się przed nimi bronić. Każdy dźwiga na barkach swój los, ale mój był zbyt bolesny.

Na wsi w Borowie, w miejscu dawnych i obecnych zdarzeń, nie pamiętam, co działo się wczoraj, chociażby jaki film obejrzałem w telewizji, natomiast cała przeszłość wraca we wspomnieniach jak w kalejdoskopie, podobnie jak w momencie wypadku, jakiemu uległem w czasie pobytu w USA, gdy całe życie przemknęło mi przed oczami.

Nigdy nie zabiegałem o stanowiska i zaszczyty, zawsze w oczekiwaniu na propozycje robiłem swoje, nie zważając na kolegów ciężko pracowałem w zakładzie pracy i u siebie we własnym domu na wsi i w mieście. Zawsze byłem nagradzany na szarym końcu, być może dlatego, że nie miałem wpływowych sponsorów i byłem bezpartyjny.

Pewne algorytmy definiują naszą przeszłość i przyszłość, podobnie jak w nauce również w życiu osobistym szukamy prawdy oraz głębi i sensu istnienia. Nie wiem, jak potoczyłyby się moje losy, gdyby żył ojciec, wiem natomiast, że w dzieciństwie wiele wycierpiałem, podobnie jak moja siostra i matka. W wyniku tego całe moje życie było naznaczone uczuciem krzywdy – osierocenia, które musiało się odbić głęboko na mojej psychice. Nie potrafiłem stawiać czoła swoim przeciwnikom, ale miałem szczęście do przyzwoitych szefów i ludzi, którzy mnie otaczali i mi pomagali, są to osobowości o dużej etyce i moralności.

Ci przyzwoici, oprócz matki, której zawdzięczam wiele, to, licząc od początku, mój nauczyciel w szkole podstawowej i liceum Michał Pierzchała, na uczelni profesor Józef Prończuk, w IMUZ – profesor Zygmunt Sochoń, profesor Saturnin Zawadzki oraz docent Jan Gawlik – uczciwy człowiek i dobry kolega. Na Politechnice rektorzy: profesor Iwo Pollo i profesor Józef Kuczmaszewski oraz na Wydziale IBiS dziekani: profesor Jan Kukielka i profesor Zdzisław Krzowski. Słowa podziękowania kieruję także do prorektora do spraw nauki profesora Wojciecha Franusa oraz dyrektor Centrum

Informacji Naukowo-Technicznej doktor Katarzyny Weinper. Chciałbym również podziękować doktor Magdalenie Chołojczyk za redakcję i Katarzynie Pełce-Smętek za przygotowanie składu tej książki. Oczywiście trudno tu nie wymienić najbliższej rodziny: żony Hanny i synów Mariusza i Bartosza oraz teściów Lucyny i Władysława Hurko. Teść jako architekt wiele mi pomagał przy budowie domu przy ulicy Dzieci Zamojszczyzny, to on zaprojektował ten budynek, w którego budowę włożyliśmy wspólnie wiele wysiłku fizycznego i organizacyjnego.

Wiele zawdzięczam wszystkim wymienionym, to, czego dokonałem w swoim niełatwym życiu, było ich udziałem, za co serdecznie dziękuję. Jestem wdzięczny za pomoc, a zwłaszcza za wsparcie duchowe i moralne w trudnych momentach.

Przytoczę tu słowa księdza Jana Twardowskiego: „kochajmy ludzi, bo tak szybko odchodzą”, ojciec zbyt szybko odszedł, nie zdążyłem go poznać i pokochać. Dzieciństwo bez niego stało się balastem na całe życie. Matka to wyjątkowa postać, uczciwa i pracowita, zawsze wszystkim pomagała. Ojciec, jako męczennik, zapłacił za Ojczyznę najwyższą cenę, matka poświęciła się dzieciom, wychowaniu ich w nieludzkich, okrutnych warunkach okupacji niemieckiej i powojennego, niemniej upokarzającego systemu ucisku, jakim był komunizm. Zbyt wczesnie odeszła, podobnie jak siostra, ich śmierć bardzo mnie zabolowała i nadal boli.

To, co jest najcenniejsze, często pozostaje w ukryciu, matka jest dla mnie właśnie takim ukrytym skarbem, dlatego – by uczcić jej zasługi i pamięć – własnoręcznie wybudowałem dwie kapliczki przydrożne i kapliczkę z pomnikiem na posesji. Ludzie, którzy ją pamiętają, składają tam kwiaty i okazjonalnie zapalają znicze. Uwieczniłem ją również na wielu obrazach, które planuję umieścić w izbie pamięci rodziców, jaka znajdzie się w przygotowywanej aktualnie galerii mojego malarstwa i rzeźby. Oby wystarczyło mi czasu i siły, by to dzieło i tę książkę dokończyć.

Spędzając swój czas na wsi, wspominam miejsca i posadzone drzewa, nawet zabudowa i ogrodzenia wiążą się ze wspomnieniami. Wszystko wydaje się tam prawdziwe i naturalne, kryje się tam historia prawie całego mojego – z krótkimi przerwami – życia. Jestem z tym miejscem związany emocjonalnie. Podczas każdego wyjazdu zagranicznego myślałem w Borowie, wracałem do kraju prosto na wieś, by tam odpocząć, z dala od cywilizacji, wszystko jest tam naturalne, panuje cisza i spokój.

Każde miejsce tam, drzewa i budynki są symbolami, które kryją określone przesłanie, pragnienia, upodobania, zainteresowania i włożony wysiłek. Problem w tym, że nie wszyscy potrafią dostrzec i docenić walory przyrodnicze i sentymentalne tego miejsca i wszystkiego, co nas tam otacza, tego co osiągnęliśmy wkładem i wysiłkiem własnej pracy i wyobraźni.

Rok dwa tysiące dwudziesty pierwszy był pracowity, podobnie jak poprzednie lata, ale tym razem pomagali mi synowie Bartek i Mariusz. Pracowaliśmy przy wspomnianej już adaptacji budynku gospodarczego na galerię oraz przy rozbiórce starego domu, wybudowanego po wojnie przez matkę. Zwlekałem z tą rozbiórką, gdyż kryło się w tamtym miejscu wiele wspomnień ze wspólnego życia, z licznych spędów rodzinnych, a także spotkań z kolegami i koleżankami.

Na strychu natrafiliśmy na skrzynię pełną zeszytów siostry i moich ze szkoły podstawowej. Była to bardzo interesująca i pouczająca lektura, wskazująca na wysoki poziom ówczesnego nauczania i wysokich wymagań nauczycieli. Forma i estetyka szkiców, schematów i pisowni wzbudziła nasz podziw i szacunek do nauczycieli – Anny i Michała Pierzchałów. Zaslugują na uznanie za ich pracę w kształceniu wielu pokoleń mieszkańców Borowa.

Moje marzenia się wypełniły, mimo przeciwności losu pokonałem wiele przeszkód towarzyszących mi od wczesnego dzieciństwa. Te spełnione marzenia to studia, ożenek z miłości, wymarzony dom, rodzina, a zwłaszcza żona Hanna, synowie Mariusz i Bartek, wnuki Hania i Antoś, podróże zagraniczne bliskie i dalekie, profesura, kierownictwo Katedry i Wydziału (jako prodziekan), członkostwo w New York Academy of Science oraz w innych krajowych i zagranicznych towarzystwach naukowych, odbudowane siedlisko na wsi. Dopełnieniem tego stała się pokaźna kolekcja amatorskich obrazów i rzeźb, bibelotów i innych zbiorów gromadzonych w różnych okresach mojego życia, w biedzie i dostatku. Moją aktywność artystyczną zamierzam nadal realizować z nadzieją, że mój dotychczasowy dorobek kolekcjonerski przetrwa, jeśli docenią go wnuki i zadbają o niego właściwie w przyszłości, z pietyzmem i szacunkiem do przeszłości i pamięci o dziadku oraz o swoich pobytach wakacyjnych na wsi.

Większość z nas wywodzi się z chłopów i nie znamy praojców i ich języka. Już Żeromski surowo nakazywał chłopskim pisarzom notować każde słowo usłyszane na wsi, bo świat, z którego wyszliśmy, znika bezpowrotnie. Dlatego też wspomnienia o mojej wsi podsumuję, cytując wiersz w gwarze moich dziadków:

Moja borowska ziemia

*Najpiękniejsza moja borowsko zimio. Kocho ciebie sercem każdy z nos.
Pola rodne, pioski, mgły jesieni, Wisła modru, Sanne, stary las.
Tyś naszemu sercu bardzo blisko – tutaj dramat przeżył każdy z nos.
Martwych dzieci, chałup spoliniska, takich wspomnień nie zaciro czas.*

*Piękna zimi mo, tu melodia trwo, w falach Wisły, klekocie bociana,
Latem w zogunach zbóż, przy żniworzach tuż, w słowach:
„Szczyńść Boże” od rana. Polsko, Tobie śle ukłon serce me i melodia
Ludowa mych myśli. Pary spracowanych rąk zrobisz wnet krąg –
Uściskowa Cię jak wstęga Wisły.*

*W nadwiślański wyrosłizwa zimi, a ji pikno ciungiem zachwyco nos.
Nasych ojców pieśniu urzeczeni; ich melodie, piosnki wrosły w nos.
Odrodzuno moja rodzinno zimio, tu pracować chce dziś każdy z nos.
Po robocie śpiewać, chulać chcewa – stare piosnki rozkochały nos.
Pieknio zimio mo...²⁸*

²⁸ J. Podolski, *Folklor Borowa i okolic*, Borów 2006, s. 299–300.

Wiele razy przebywałem zagranicą, miałem też propozycję pozostania tam na dłużej. Był rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci, byłem w Holandii, gdzie panował dobrobyt, widziałem uginające się od towarów półki, stragany pełne cytrusowych owoców i warzyw, kolorowe pola tulipanów i ludzi z całego świata na ulicach, wszystko tam, a zwłaszcza koloryt i różnorodność, budziło podziw i zachwyt. Polska była wtedy za żelazną kurtyną, a więc dominowały w niej szarość, bieda i prześladowania poprzedniego systemu. Dysproporcje między tymi dwoma krajami były ogromne. Pomimo tego Borów i matka, sprawiły, że zawsze wracałem do korzeni. Choć moje dzieciństwo było trudne, to wspominam je jako pełne miłości i nadziei, mimo że byliśmy kochani tylko przez jednego z rodziców.

Rodzina i spotkania świąteczne to siła, która przyciąga do domu. Zawsze wracałem do Borowa, by celebrować święta, a teraz moje dzieci każdego roku przyjeżdżają na ten czas do Lublina. Wyjątkiem był ubiegły rok, gdyż ze względu na pandemię większość rodziny musiała zostać we własnych domach.

W grudniu dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku Bartek wraz z rodziną, mimo pandemii, planował spędzić okres świąt bożonarodzeniowych z rodzicami, babcią Lucyną i starszym bratem Mariuszem w dawnym domu w Lublinie. Magia świąt udzielała się wszystkim, nie tylko dzieciom, tym bardziej, że poprzednie święta spędziliśmy sami bez wnuków.

Od dawna zamierzałem w Borowie urządzić dzieciom i wnukom wigilię i święta z okazją czterometrową choinką, starając się odwzorować atmosferę świąt z mojego dzieciństwa, ze słomą na podłodze i dużą szopką betlejemską, a o północy ze zbiorowym wyjściem na pasterkę. Niestety, wymagało to dużego wysiłku organizacyjnego i logistycznego. Zawsze kończyło się podobnie – jednodniowym wyjazdem i powrotem do Lublina. Chciałem, by moje dzieci i wnuki przeżyły i poznały dawną atmosferę świąt Bożego Narodzenia na wsi ich ojców i dziadków.

Niestety, los bywa złośliwy, także tym razem otrzymałem telefon od Bartka, że jego syn Antek jest na kwarantannie z powodu wirusa, co oznaczało, że kolejne święta zapowiadały się bez udziału najbliższych, ukochanych wnuków i syna. Wspólny posiłek i prezenty musiały poczekać na inną okazję. Trudno cieszyć się ze świąt spędzonych bez bliskich, zresztą wielokrotnie takich sytuacji doświadczyłem w swoim długim życiu, wiele lat przeżyłem już bez matki i siostry, kilka razy świętowałem też poza granicami kraju, daleko od domu i rodziny, wspomnień i polskich kolęd.

Pandemia izolowała rodziny i ludzi, dzieci przeszły pod koniec grudnia i na początku stycznia na zdalne nauczanie w domach. Obostrzenia zapowiedziano również na uczelniach, co sprawiło, że również w dwa tysiące dwudziestym pierwszym roku nie odbyły się spotkania seniorów przy wspólnym stole na tradycyjnym Spotkaniu Noworocznym. Zacytuję więc życzenia ubiegłoroczne, przesłane emerytowanym pracownikom przez rektora profesora doktora habilitowanego inżyniera Zbigniewa Patera:

Szanowni Państwo,

z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia przesyłam w imieniu własnym oraz pracowników Politechniki Lubelskiej serdeczne życzenia zdrowia, pogody ducha, spełnienia wszystkich marzeń. Aby przy świątecznym stole nie zabrakło ciepła, rodzinnej atmosfery, a nowy rok niósł ze sobą szczęście i pomyślność.

Szczególnie w tym trudnym czasie, gdy wszyscy zmagamy się z pandemią, pamiętajmy, jak ważna jest ludzka solidarność i życzliwość. I choć pierwszy raz od wielu lat nie spotykamy się przy wspólnym stole na tradycyjnym Spotkaniu Noworocznym, to chciałbym, aby w zbliżającym się świątecznym okresie czuli Państwo wsparcie społeczności akademickiej Politechniki Lubelskiej.

Wesołych Świąt

Lublin, 24 grudnia 2020 r.

*Rektor Politechniki Lubelskiej
Prof. dr hab. inż. Zbigniew Pater*

W tym roku otrzymałem od rektora Politechniki podobne życzenia:

Niech nadchodzący rok 2022 spełni pokładane w nim nadzieje, przynosząc dobre i szczęśliwe chwile. I choć już po raz drugi nie zasiądziemy wspólnie przy stole na tradycyjnym Spotkaniu Noworocznym, to chciałbym, żeby te życzenia były dla Państwa wyrazem naszej pamięci i bliskości.

Zamieściłem te życzenia i wsparcie ze strony rektora Petera ze względu na to, że wspomina on o pamięci i bliskości, gdyż organizowane przez Politechnikę Lubelską Spotkanie Noworoczne to jedyny dzień w roku, kiedy możemy się zobaczyć z kolegami i władzami uczelni. Jest ono dla mnie niezwykle ważne, odczuwam potrzebę takich spotkań, zwłaszcza teraz na emeryturze, kiedy można poczuć się osamotnionym, usuniętym na margines społeczny.

FILOZOFIA ŻYCIA

Każdy ma swoją filozofię życia, ale warto czerpać z doświadczeń innych. Budując swoją przyszłość, korzystamy z wiedzy pochodzącej z książek i różnych przekazów, a także od autorytetów i bliskich nam osób. Proszę więc nie lekceważyć opinii pojedynczych ludzi.

W przyrodzie jest pełno zdumiewających zachowań i reakcji zwierząt, szczególnie w kwestiach budowy schronienia, zdobywania pożywienia, sytuacji na zagrożenia, współpracy i utrzymania dominacji w stadzie. Wiele nas różni od zwierząt, chociażby to, że posiadamy sumienie, moralność i język, służący do porozumiewania się. To, co nas łączy, to resztki instynktu (intuicja), który w przypadku zwierząt pozwala na podtrzymanie gatunku. Podobnie jest w świecie roślin, ale mniej brutalnie i widowiskowo.

Jak więc mamy żyć, aby nasz gatunek mógł przetrwać? Po co żyjemy i jaką mamy rolę do spełnienia? Co pozostawimy po sobie? Jak postępować, nie niszcząc innych, siebie i środowiska przyrodniczego? Oto dylematy, jakie stawiamy sobie na każdym etapie naszego życia, mniej lub bardziej świadomie. Gdzie szukać nowych motywacji do działania, jak zachować siły i umiar w postępowaniu? Na te i inne pytania będę starał się tu odpowiedzieć.

Każdy ma określone oczekiwania i marzenia, ale nic nie jest za darmo, dlatego, aby funkcjonować w świecie nierówności, agresji, cierpienia, przypadków losowych, musimy ciężko pracować, oszczędzać, wybaczać i stwarzać motywacje do dalszych działań i osiągnięcia celów.

Życie nigdy nie jest czarno-białe, wiele w nim odcieni szarości, jest to również pasmo niekończących się przypadków i cierpienia. Nie można istnieć, nie zaznając bólu, człowiek cierpi przez całe życie, jedynie z krótkimi przerwami, uczy ono empatii oraz rodzi nadzieje na lepsze życie.

Ważne jest to, co pozostanie po nas, dlatego warto być kreatywnym, wspaniałomyślnym, wstrzemięźliwym, godnym, mieć poczucie własnej wartości, poważanie dla innych, zawsze mieć dla drugiej osoby dobre słowo, które wzmacnia i zachęca do działania.

Sprostanie tym wyzwaniom jest szczególnie trudne w dzisiejszych czasach, gdy zmagamy się z zagrożeniami wobec całego świata, takimi jak epidemie, zmiany klimatyczne, polityczne, ekonomiczne, energetyczne i środowiskowe. Nie wystarczą tu słowa, stawianie celi, dobre intencje, plany i obietnice zmian. Potrzebne są czyny i osiągnięcia. Należy zacząć od siebie, od zadania sobie pytań o to, kim jestem i dokąd zmierzam. Według mnie receptą na sukces i powodzenie w życiu są motywacja, organizacja oraz dyscyplina. Tymi właśnie trzema hasłami zachęcałem swoich studentów i asystentów do nauki i obecności na wykładach. Sam też zawsze postępowalem w zgodzie z tymi zasadami, uczestnicząc w czasach studiów w niemal wszystkich wykładach i zdając egzaminy przed terminem, dzięki czemu w czasie sesji i wakacji wy-

jeźdzałem na wczasy w góry, nad morze lub zagranicę. Poniżej opiszę, jak rozumiem te oraz inne ważne hasła.

MOTYWACJA pozwala nam na dążenie do określonych celów. Dla każdego może być czymś innym, przykładowo motywować może nas chęć realizacji zainteresowań, spełnianie marzeń, pieniądze, kariera zawodowa, sława, wielka miłość, podróże zagraniczne czy pragnienie spokojnego życia.

Pasja i emocjonalny wymiar podejmowanych dążeń może pomóc w ich realizacji. Musimy mieć tzw. emocjonalny kontakt z tym, co robimy i czego oczekujemy. Życie bez pasji, kogoś i czegoś wyjątkowego jest smutne, dlatego zawsze pragnęłam robić coś znaczącego. Stąd też wzięły się moje cele i zadania wyznaczane sobie na każdy dzień, a także na tę bliższą i dalszą przyszłość. W ten sposób studia, praca naukowa, profesura, budowa domów, zainteresowania artystyczne i kolekcjonerstwo, a także podróże zagraniczne stały się treścią mojej działalności i twórczości całego mojego długiego życia.

Czym jest więc twórczość? Jakie jest jej źródło i od czego ona zależy? Niektórzy twierdzą, że jej podstawą jest osobowość człowieka. Należy jednak zauważyć, że równie ważnymi czynnikami niezbędnymi do zaistnienia twórczości są rozmaite siły natury i cechy jednostki, które na pierwszy rzut oka nie wydają się mieć nic wspólnego z talentem. Do tych czynników zaliczyć można naturalne skłonności: intelektualne, moralne, emocjonalne, a nawet organiczne danej osoby. Prócz tego działają tu bodźce bardziej złożone, jak zamiłowania i zainteresowania, chęć posiadania. W moim przypadku, oprócz zdolności, to właśnie siła woli, praca, wytrwałość i cierpliwość okazały się niezbędne do tworzenia.

ORGANIZACJA – to długi element konieczny do tego, aby osiągnąć cel. Gdy budzę się rano, planuję, co będę robił po przyjsciu do pracy i w poszczególnych porach dnia: rano, w południe i wieczorem. Przy natłoku spraw, które mnie obciążają, muszę porządkować je pod względem tego, jak bardzo są istotne, ile wysiłku będą one wymagały, a także ile czasu będę potrzebować na ich wykonanie. Ogrom zadań, które wciąż na nas czekają, obciąża nas psychicznie i ogranicza mentalnie, dlatego pozbycie się przynajmniej kilku z nich poprawia naszą sprawność w realizacji kolejnych.

Zadania ważne, do jakich niezbędny jest wysiłek i trzeźwość umysłu, załatwiam w godzinach porannych, natomiast sprawy organizacyjne i porządkowe – popołudniami. Tak jest codziennie, postępuję tak od czasów studiów, podobnie funkcjonowałam także gdy pracowałam zawodowo.

Jestem człowiekiem, który lubi pracę, sądzę, że wywodzi się to z mojego domu rodzinnego. Pamiętam z dzieciństwa, jak ciężko pracowała matka, ja także pomagałam jej całymi dniami, od świtu do nocy będąc na nogach. Do dziś nie lubię siedzieć beczynnie, na przykład w czasie oglądania telewizji rozwiązuję krzyżówkę. Każdy

kwadrans bezczynności czy odpoczynku mnie męczy, dlatego lubię przebywać na wsi, tam zawsze jest jakieś zajęcie.

Gdy jedna praca mnie nuży, zabieram się do drugiej, tak było i jest nadal zarówno w przypadku mojej działalności naukowej, jak i artystycznej, a także w przypadku pracy fizycznej – przy budowie kolejnych domów na wsi i w mieście. Dużym moim błędem było to, że nie umiałem korzystać z ofiarowanej mi pomocy, nie potrafiłem wyręczać się innymi, być może dlatego, że życie nauczyło mnie działania bez pomocy i udziału innych.

Gdy podczas malowania za dużo czasu poświęcałem jednemu obrazowi i coś mi nie wychodziło, zniechęcałem się, odczuwałem zmęczenie i czułem, że dzień jest stracony. Nauczyłem się, żeby w takich chwilach zacząć malować drugi obraz, skupiając się na innym temacie, a jednocześnie nie tracąc kontaktu wizualnego i emocjonalnego z poprzednim dziełem. Często po nałożeniu kilku luźnych plam, poprzedni obraz odżywał w mojej wyobraźni, wtedy nie tracąc czasu wracałem do niego bądź zaczynałem pracę nad trzecim, spędzając w ten sposób cały dzień nad trzema płótnami. Oto przykład dobrej i efektywnej organizacji pracy, bez odczuwania zmęczenia. Podobnie wyglądała moja praca naukowa, jeden temat przeradzał się w drugi. I tak było od dzieciństwa, w szkole, na studiach, a także na emeryturze – wciąż towarzyszył mi ciągły pośpiech bez wytchnienia.

Dziecko chciałoby być starsze, aby siedzieć z dorosłymi przy stole, pójść do szkoły i kontaktować się ze starszymi kolegami. Uczeń ze szkoły podstawowej pragnie być starszy, by uczyć się w liceum. Student chciałby jak najszybciej skończyć studia i uzyskać dyplom. Gdy ma już dyplom magistra, marzy o doktoracie. Potem też nie będzie mieć spokoju, czeka na niego habilitacja i wreszcie profesoru. Jedynie wyda mu się, że dobiegł do mety, niestety okaże się, że to nie koniec. Nie zazna spokoju póki nie zostanie profesorem zwyczajnym i członkiem Akademii Nauk. Gdy i to osiągnie, to czy zatrzyma się w tym pędzie i pośpiechu ku przyszłości? Nie, bo zaczął już inną pracę lub otrzymał nowy grant. Czy zwolni, gdy przejdzie na emeryturę? Niestety nie, będzie chciał dokończyć coś, co zaczął – bo wciąż się coś zaczyna, a prawie każde kończenie, jest rozpoczynaniem czegoś nowego, nowym śpieszeniem się do końca. Zajęty, przejęty przyszłością dzieci i wnuków, wciąż do czegoś dążący człowiek nie ustanie w wysiłkach.

W moim przypadku, na każdym etapie drogi istotne znaczenie miało świadome planowanie i organizacja pracy. Czuję się już zmęczony. A może to tylko zmęczenie po długim życiu, należy chwilę odpocząć i zdyscyplinować się do dalszej pracy. Muszę zatem wcześniej zaczynać pisanie i później je kończyć.

DYSCYPLINA to kolejny element niezbędny do tego, aby osiągnąć zamierzone cele. Każde dążenie w życiu społecznym i prywatnym wiąże się z dyscypliną, punktualnością, koncentracją oraz wysiłkiem. Jeśli coś nie wymaga pracy, wysiłku i bólu, to zapewne nie ma wartości.

Każda praca, a praca naukowa w szczególności, wymaga przede wszystkim dyscypliny i nie chodzi tu o irracjonalną dyscyplinę narzucaną nam przez władzę, a o tę racjonalną, jaką nakładamy sami na siebie, bez nadzoru z zewnątrz. Bez takiej dyscypliny, życie się rozmydla, staje się chaotyczne, rozproszone, mało efektywne i niewydajne.

Nie osiągniemy dobrych wyników, jeśli nie będziemy postępowali w sposób zdyscyplinowany i to nie tylko w przypadku działalności naukowej czy artystycznej, ale jest to zasada tycząca się całego życia. Dobrym przykładem mogą być Chiny, oprócz zdolności i pracowitości narodu, to głównie za sprawą dyscypliny stały się one drugą potęgą gospodarczą świata. Ich osiągnięcia na wielu polach mogą inspirować do ich naśladowania.

To, co się wpływa na wydajność i efektywność naszej pracy, to – oprócz dyscypliny – koncentracja, która jest niezbędnym warunkiem opanowania każdej sztuki, a naukowej zwłaszcza. Wie o tym każdy, kto kiedykolwiek próbował coś stworzyć, a mimo to koncentracja jest w naszej kulturze czymś jeszcze rzadszym niż dyscyplina, jest o wiele trudniejsza do osiągnięcia, bowiem wszystko zdaje się jej przeciwstawiać. Koncentracja to oddanie się w całości w danym momencie jednej rzeczy. Tymczasem zbyt wiele czasu tracimy na nieistotne rozmowy, plotki, insynuacje, złośliwości czy inne zbędne czynności.

Innym czynnikiem koniecznym do osiągnięcia celu jest cierpliwość. Jest ona szczególnie ważna w działalności artystycznej. Każdy, kto kiedykolwiek próbował opanować jakąś umiejętność, wie, że bez cierpliwości nie osiągnie się w życiu niczego. Jeśli ktoś pragnie zostać mistrzem w jakiejś dziedzinie, musi jej poświęcić albo przynajmniej podporządkować niemal całe życie. Znam to z doświadczenia, na zorganizowanie wystawy mojego amatorskiego malarstwa potrzebowałem dziesięciu lat cierpliwej i mozolnej pracy, a na zostanie profesorem ponad dwadzieścia lat wysiłku, dyscypliny, motywacji, koncentracji i świadomej organizacji w dochodzeniu do prawdy i uznania.

Człowiek staje się narzędziem, które ciągle się doskonali, narzędziem, które ma być sprawne, zdolne do wypełniania powierzonych mu zadań i obowiązków. Zatem, ten, kto ma ambicje, aby stać się mistrzem w swojej dziedzinie, musi zacząć od silnej motywacji, dyscypliny, skupienia i cierpliwości oraz roztropności we wszystkich sferach swojego życia. Jeśli te cnoty nie wystarczą, bądź są trudne do spełnienia, pozostaje nam wiara, miłość i nadzieja. Czym są te wartości i jak – w odróżnieniu do poprzednich – motywują nas w dążeniach do celu?

Istnieją współzależności między czynnikami religijnymi, naukowymi, artystycznymi, politycznymi, ekonomicznymi i społecznymi, które wywierają wpływ na całokształt dążeń i doznań człowieka. Prawa rządzące życiem wywodzą się nie tylko ze zjawisk fizycznych, lecz mają również swe źródło w duchowości człowieka i nie chodzi tu o wiarę w Boga.

W obliczu duchowego, moralnego i politycznego kryzysu dzisiejszego świata, a także wobec technologii, która wyzwoliła twórcze siły i energię człowieka, uświadamiamy sobie coraz bardziej, że duch i natura nie są odrębne i różne od siebie, że intuicja i rozum muszą odzyskać znaczenie jako środki w postrzeganiu i scalaniu wewnętrznej, duchowej istoty człowieka z zewnętrzną rzeczywistością. Wydaje się więc, że nauka musi w końcu dojść do interpretacji fizycznego świata materii i energii w kategoriach biologicznej koncepcji organizmu. Życie polega bowiem na napięciu, jakie się wytwarza się między duchem a materią. Wiedza w tej dziedzinie może uwolnić nas od niszczycielskiej siły lęku, wskazać drogę do celu, jakim jest przywrócenie właściwego znaczenia ludzkiej woli oraz odrodzenie wiary i zaufania do człowieka.

WIARA – w powszechnym użyciu słowo to ma wielorakie znaczenia, związki frazeologiczne głoszą, że wiara czyni cuda, porusza góry, zakłada się więc jej siłę sprawczą. Jak jednak wykorzystać ją w życiu? Przede wszystkim należy pozbyć się kompleksów, uwierzyć w siebie, w drugiego człowieka, lepszą przyszłość i w sens istnienia.

W coraz większym stopniu dąży się do przywrócenia godności, integralności i samouświadomienia ludzkiej jednostki. Są to nienaruszalne prawa człowieka, który teraz może kierować procesami zmian, świadom swojego celu i oczekiwań. Życie nabiera sensu i wartości, warto więc żyć i pracować dla siebie, rodziny i kraju.

Jesteśmy u progu nowej epoki, w której życie poszukuje nowych form. Oddzielenie człowieka od natury, czasu i przestrzeni było błędem, wiążąc nagromadzoną mądrość ludzką z nową rzeczywistością, ogromny postęp nauki, którego szczytowym osiągnięciem są realia subatomowego świata, podbój kosmosu czy ostatnio internet, zdołał w znacznym stopniu osłabić wiarę w duchową i moralną wartość człowieka, w jego znaczenie w układzie i w związku z kosmosem. Sądzę, że teraz świadomość harmonijnego połączenia człowieka ze wszechświatem, ze społeczeństwem i z sąsiadami może się ponownie narodzić i wreszcie może nie poprzez modły, ale poprzez czyny i pracę.

Niepokoje, cierpienia i nadzieje ludzi tej epoki mają swoje źródła w wewnętrznym dramacie rozdartej w sobie ducha oraz w niewidzialnych siłach, jakie rodzą się w sercach i umyśle człowieka. Dawne pojmowanie historii jako dziejów postępu, właściwe prorokom postrzeganie Boga jako czynnika sprawczego dobra, a natury jako objawienia obecnie musi ustąpić miejsca nowej historii obejmującej inną kosmologię. Głęboki to przełom w myśleniu, rodzący się z niewidzialnego wszechświata, jakim jest umysł, wrażliwość, nadzieja i serce (miłość) człowieka, oraz pojmowania na nowo sensu życia, zła i sprawiedliwości.

Chrześcijaństwo tłumaczyło zło i sprawiedliwość wolą Boga, co wymagało od wyznawców zaufania i posłuszeństwa. Duchowe i moralne cierpienia człowieka wyczerpały jednak jego wiarę i nadzieję. Został pozostawiony sam, a jego męczarnie nie doczekały się wyjaśnienia. Podobnie było w moim przypadku, wiele wycierpia-

łem w życiu i nadal nie znam odpowiedzi dlaczego. W rezultacie przestałem wierzyć w Boga i człowieka.

Zwierzę walczy i zabija tylko wtedy, gdy jest głodne i dla zachowania gatunku. Człowiek walczy i zabija równie brutalnie, co zwierzę, ale także wtedy, gdy jest nasycony i z wielu innych błahych powodów: chęci dominacji, zazdrości, zawiści, nienawiści. Potrzebne jest nowe spojrzenie na człowieka, na jego zachłanność, a także na miejsce i rolę, jaką spełnia w przyrodzie i w świecie. Co nam więc w tym naprawdę smutnym i groźnym położeniu czynić wypada? Należy postępować w zgodzie z wiarą, miłością i nadzieją. To właśnie one wielokrotnie decydowały o moim życiu, różnych ważnych i mniej istotnych decyzjach, ewentualnych powrotach z zagranicy czy wreszcie o wyborze partnerki życia.

MIŁOŚĆ – podobnie jak wiara, to głębokie uczucie może wiele zdziałać, zwłaszcza w stosunkach między ludźmi i społeczeństwami. Co więcej, miłość jest ważna również w pracy i w spełnianiu celów życiowych. Jeśli lubię swoją pracę, to mnie ona nie męczy i osiągam w niej wymierne wyniki, co zwykle przynosi satysfakcję i chęć do dalszego wysiłku w podejmowaniu kolejnych zadań i realizacji nowych celów.

Czym jest więc uczucie miłości, jak ją zdefiniować i w jaki sposób determinuje ona nasze życie i pomaga w osiągnięciu celów? Dzięki miłości rozumiemy, kim jesteśmy, na co nas stać i do jakiego wysiłku i poświęcenia jesteśmy zdolni dla ukochanej osoby czy kraju. Zdolność jednostki do miłości zależy od wpływu, jaki kultura wywiera na charakter i wrażliwość człowieka. Miłość nie jest zasadniczo ukierunkowana na jedną osobę, jest ona postawą, pewną właściwością charakteru, która określa stosunek człowieka do świata w ogóle, a nie tylko do wybranego obiektu uczuć.

Zdolność do miłości kształtuje się we wczesnym dzieciństwie, niemowlę potrzebuje bezwarunkowej miłości matki i jej opieki, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Z psychologii rozwojowej dziecka wiemy, że po ukończeniu szóstego roku życia dziecko zaczyna potrzebować miłości ojca, jego autorytetu i przewodnictwa w poznawaniu świata. Rolą matki jest zapewnienie mu bezpieczeństwa w życiu, zaś rolą ojca jest uczyć je radzić sobie z funkcjonowaniem w społeczeństwie.

W moim przypadku brak ojca odbił się trwale na mojej psychice i wpłynął na całe moje życie. Z wykształcenia jestem nauczycielem i wiem, że miłość ojca powinna kierować się pewnymi zasadami: być cierpliwa i wyrozumiała, nie sięgać po groźby i narzucanie swojego autorytetu. Miłość ta musi dawać rosnącemu dziecku coraz większe poczucie własnej siły, aby mogło ono zacząć kierować się swoim rozumem i obywać się bez autorytetu ojca. Zmuszony byłem dorastać bez tego autorytetu, wcześniej musiałem zatem usamodzielnic się emocjonalnie. Jednak moje sumienie pozostało już na zawsze matczyne – czułe na krzywdę i cierpienie innych.

W pierwszych latach życia kontakt ojca z dzieckiem jest ograniczony i nie da się porównać go z rolą, jaką odgrywa matka. Ale gdy dziecko dorasta, ojciec zaczyna reprezentować drugi biegun ludzkiego istnienia: świata myśli, przedmiotów, które są

dziełem rąk ludzkich, prawa i ładu, dyscypliny, podróży, kontaktów z ludźmi i przyrodą. Matka kocha i pokazuje, jak kochać. Ojciec jest tym, który uczy dziecko, tym, który wskazuje mu drogę. Niestety, ja w dzieciństwie nie otrzymałem takich wskazówek, a gdy sam zostałem ojcem byłem zbyt zajęty nauką i pracą i być może dlatego nie sprawdziłem się jako ojciec. Życie mnie nie rozpieszczało i zapewne dlatego byłem zbyt wymagającym i za mało tolerancyjnym.

Miłość, obok zysku z wykonywanej pracy, jest jedynym naturalnym i zadawalającym rozwiązaniem problemu ludzkiego istnienia. Każdy układ społeczny, który wyklucza rozwój i znaczenie miłości, musi po jakimś czasie zginąć na skutek sprzeczności z podstawowymi wymogami natury, o najwyższej i prawdziwej potrzebie drzemącej w każdej ludzkiej istocie, tak pisze Erich Fromm w książce *O sztuce miłości*²⁹. Sądzę, że pod tym względem świat stacza się po równi pochyłej. Automatyzacja, komputeryzacja, podbój kosmosu i sztuczna inteligencja (SI) prowadzą do likwidacji wielu dziedzin życia.

Leszek Kołakowski pisze w swoich *Mini wykładach o maxi sprawach*, że na ziemi będą jeszcze żyły tylko dwa pokolenia ludzi. Komputery doskonałą się i jest to proces nieuchronny, nikt nie zdoła go powstrzymać. Osiągną one w niedalekiej przyszłości poziom inteligencji ludzi, a kiedy go przewyższą, ludzie nie będą już im potrzebni, więc ich unicestwią³⁰. SI jest wydarzeniem unikatowym, budzi więc uzasadnione obawy wielu środowisk i klas społecznych, przykładowo klasy średniej i robotniczej. Boimy się tego, jak w przyszłości algorytmy zmienią nasze zachowania i ludzkie możliwości. Wydaje się jednak, że jest to proces nieunikniony, porównywalny do tego, jak wcześniej rewolucja przemysłowa, pokonała ograniczenia analityczne naszych umysłów i znacznie zwiększyła wydajność pracy.

Doskonale znam zalety postępu, jakie oferuje komputeryzacja. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku, przebywając w USA, dzięki wykorzystaniu komputera w ciągu zaledwie roku napisałem pracę habilitacyjną, symulując wiele zjawisk przyrodniczych, zachodzących w odmiennym czasie i przestrzeni, w różnych warunkach klimatycznych, hydrogeologicznych i glebowo-wodnych. Za sprawą komputera możliwe było wykonanie niewyobrażalnej ilości obliczeń i wariantów pogodowych, przy symulacji wzrostu i plonowaniu różnego rodzaju roślin.

Wtedy w całym Lublinie był jeden komputer ODRA, który był dostępny na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, a przeznaczony był do celów dydaktycznych, natomiast dziś nie wyobrażamy sobie życia bez komputera czy internetu. Są to podstawowe narzędzia na niemal każdym stanowisku pracy, podobnie jak samochód jest niezbędny do życia na co dzień.

Nie dziwię się filozofom i historykom, że spekulują, jakie działania będą podejmować komputery, by utrzymać się przy życiu, jeśli spełni się ten złowrogi scenariusz. Nie sposób przewidzieć stosunków między komputerami, czy wykształcą w sobie

²⁹ E. Fromm, *O sztuce miłości. Biblioteka myśli współczesnej*, przeł. A. Bogdański, Warszawa 1971, s. 26.

³⁰ L. Kołakowski, *Mini wykłady o maxi sprawach*, Kraków 2002, s. 310.

zawiść, przyjaźń, a może wiarę, miłość i nadzieję? Dla kogo będą pracowały i czyje potrzeby będą realizowały? Nie sądzę, aby zajmowały się filozofią albo sprawami religijnymi, gdyż będą wiedziały, iż w tych dziedzinach, choćby były one nadzwyczaj interesujące, nie znajdą żadnych odpowiedzi ani wiarygodnych metod ich weryfikacji. Nastąpi więc wreszcie od tak dawna oczekiwany koniec religii i koniec filozofii, a także przy okazji koniec gatunku ludzkiego – pod warunkiem, że taki właśnie będzie los przemian ewolucyjnych.

Do czego prowadzić może postęp i jak nim sterować, aby nie podzielić losu dinozaurów? Jest to pytanie na czasie, zwłaszcza wobec postępującego efektu cieplarnianego, zmian klimatycznych, topniejących lodowców, ginących gatunków fauny i flory, konfliktów granicznych, licznych pożarów i powodzi.

NADZIEJA – że problemy rozwiążą się same bądź ktoś rozwiąże je za nas daje niewiele, ale pozwala nam nieraz przetrwać trudne chwile. Ponadto, aby coś osiągnąć, trzeba mieć nadzieję na sukces. Wszyscy ci, którzy nie mają nadziei na inne życie, już są niczym martwi, podobnie jak miłość może żywić się odrobiną nadziei, ale zupełnie bez niej istnieć nie zdoła. Dopóki jest życie, jest też nadzieja, że coś zmieni się na lepsze, że jutro nastanie nowy dzień i zaświeci słońce, pojawią się nowe możliwości, może los okaże się dla nas łaskawszy. Warto zatem czekać na to, co przyniesie kolejny dzień. Myślenie i fantazjowanie o przyszłości może być ważniejsze od wiedzy. Wiedzę buduje się z faktów, jak dom z kamienia, ale zbiór faktów nie jest wiedzą, podobnie jak stos kamieni nie jest domem. Wykształcenie i mądrość jest tym, co pozostaje, kiedy zapomina się rzeczy wyuczone.

ZAKOŃCZENIE

Istnieje w każdym człowieku chęć przekazania przyszłym pokoleniom nie tylko swoich naukowych osiągnięć i odkryć, lecz także doświadczeń i własnych przemyśleń. To pragnienie utrwalenia historii, widzianej własnymi oczyma, nie tylko jako tragedii i niedoli z dzieciństwa, ale również osiągnięć i walki z przeciwnościami w dorosłym życiu.

Ta chęć stworzenia bilansu życia zrodziła się u mnie dość późno i nieoczekiwanie. Zapraǳiałem opowiedzieć o sobie, swoim pracowitym losie, poszukiwaniu prawdy i sprawiedliwości. Gdy piszę to zakończenie zbliża się właśnie osiemdziesiąta czwarta rocznica moich urodzin. Lata mijają szybko, wyczerpały się siły i pamięć, ale nie skończył się pośpiech i praca oraz patrzenie przed siebie, żeby dożyć jeszcze następnego dnia, by ukończyć to dzieło.

Opowieść o moim życiu jest związana z epoką kilku systemów politycznych. Urodziłem się w sanacji międzywojennej, dorastałem i uczyłem się w komunizmie, a dorosłe życie i starość spędzam w nowym systemie, który trudno jest mi nazwać, sądzę, że mentalnie i zachowawczo żyjemy w post-komunie. Opisałem to, co mnie spotkało, całe zło i dobro, te uczucia pamiętam do dziś, zalegają głęboko w pamięci, zostały we mnie trwałe ślady. Piszę również o rzeczach, które przemawiają do mojej wrażliwości w postrzeganiu świata w skali lokalnej i globalnej, jego piękna, prawdy, sprawiedliwości oraz opowiadam o tym, jak w moim odbiorze wyglądał miniony niełatwy czas. Wracam też do wrażeń z podróży zagranicznych, głównie służbowych.

Zapisałem swoje wspomnienia, by ocalić to, co przeżyłem i odczuwałem w różnych okresach historycznych mojego życia: w czasie wojny, okupacji niemieckiej, upadku komunizmu, odbudowy kraju, podczas nauki, pracy i podróży po kilku kontynentach. Chciałem upamiętnić to, jak wyglądał świat wschodu i zachodu, przekazać to wszystko młodemu pokoleniu, aby mogli lepiej zrozumieć swoich rodziców i dziadków, pomyśleć o czasie, który przeminął.

Ta biografia opowiada o doświadczeniach chłopca z małej biednej wioski na skraju dawnego zaboru rosyjskiego, który w wieku czterech lat stracił ojca i musiał szybko dorosnąć, by stawić czoła przeciwnościom losu. Uczyć się i postrzegać świat przez pryzmat własnych przeżyć, ale także przez pryzmat drugiego człowieka – nauczyciela, kogoś z innej klasy społecznej czy politycznej bądź z innego kraju.

Bohaterem tej opowieści jest również czas, który zmienia całe nasze życie, trudno go zatrzymać, szczególnie teraz na starość. Minione lata nie były łatwe, nie tęsknię za przeszłością, ale nie chciałbym, aby została zapomniana. Świat szybko się przeobraża, mogą nastać gorsze czasy, trwające spory polityczne, zmiany klimatyczne i ekonomiczne mogą przekształcić świat na gorsze.

Od wczesnego dzieciństwa musiałem się mierzyć z wieloma problemami. W wieku czterech lat Niemcy zamordowali mi ojca w obozie jenieckim, nieco później w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku spacyfikowali wieś i zabili większość

mieszkańców Borowa i sąsiednich wiosek. Rozmiar cierpienia i strat w czasie okupacji niemieckiej przekracza ludzkie wyobrażenia. Pamiętam zgłiszcza spalonych domów i ciał ludzkich, tułaczkę zimą, w lutym, po lasach i sąsiednich wioskach u boku samotnej matki, szukającej schronienia z dwójką małych dzieci. Życie w ciągłym strachu i zagrożeniu w skrajnie trudnych warunkach bytowych, zatrzymując się kątem u obcych ludzi, prosząc o przechowanie do końca wojny. Owrzodzone ciało i wszawica potęgowały cierpienia i osłabiały wiarę w przetrwanie. Ile samotnej matce z dwójką dzieci potrzeba było odwagi i woli walki, aby sprostać wyzwaniom tamtych czasów.

Niektóre matki są ze swoimi dziećmi przez chwilę, a inne całe życie. Ja ciągle myślałem o tym, ile moja matka musiała wycierpieć w swoim samotnym życiu, nie doczekawszy się spokojnej śmierci oraz satysfakcji z egzystencji w dostatku. Kiedy tracimy najbliższych, każdy chce poznać prawdę, w moim przypadku chciałem wiedzieć, jak zmarła matka i jak zginął ojciec, gdzie leży jego ciało, być może gdzieś w lesie w zbiorowej mogile.

Zahartowanego w okresie dzieciństwa, życie poddawało mnie kolejnym próbom, przetrwałem naukę w liceum, wieloletnie starania o indeks na studia. Po studiach zająłem się pracą naukową, uderzyła we mnie przedwczesna i nagła śmierć siostry i matki, ale także czekała mnie realizacja kolejnych marzeń z dzieciństwa, ciężka praca i ciągły pośpiech w dążeniu do doskonałości, jakim była profesura i etat na uczelni, a także czas spędzony z rodziną.

Opublikowałem ponad dwieście prac naukowych, wiele referatów, recenzji, opinii, programów badawczych i innych opracowań. Byłem członkiem kilku komitetów PAN i stowarzyszeń naukowych, krajowych i międzynarodowych: ISSA, ICID, IPS. Uczestniczyłem w licznych ważnych konferencjach naukowych w kraju i za granicą, przykładowo w Meksyku, Chinach, Egipcie oraz w ośmiu krajach Europy. Ponadto byłem wielokrotnie wyróżniany i nagradzany m.in.: Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim OOP oraz Medalem Komisji Edukacji Narodowej, otrzymałem złote odznaki: SITWM, NOT, PTG. Wreszcie dość pokaźna kolekcja malarstwa i rzeźby zamyka moją aktywność zawodową i amatorską całego mojego niełatwego życia.

Ta biografia jest historią mojego życia, zmagania się z przeciwnościami losu. To opowieść o rozwoju mojego naukowego warsztatu w procesie tworzenia dorobku zawodowego i zdolności artystycznych w działalności amatorskiej oraz wielu wrażeń i doznań poznawczych i kształcących z licznych podróży zagranicznych, szczególnie tej dookoła Stanów Zjednoczonych i Chin.

Informacje autobiograficzne, mówiące o tym, co robiłem, co widziałem, czego dokonałem i o czym marzyłem, są również uzupełniane o zapiski na temat ludzi, których znałem, z którymi spotykałem się w kraju i za granicą, kolegów z pracy, niektórych z nich pełnili najwyższe stanowiska partyjne, rządowe i naukowe.

Nic nie jest za darmo. Nic nie zostało mi подарowane, o nic – czy prawie o nic – się nie wystarałem, niczego nie wyprosiłem, zawsze musiałem odczekać w kolejce, sądzę, że taka była moja dola. Zło przeplata się z dobrem, są to dary losu, które przy-

mujemy z pokorą. Osiągnięcia naukowe i inne zawdzięcza się szczególnym zdolnościom, jak również, a może głównie, wysiłkowi, organizacji i silnej motywacji w dążeniu do celów.

Sztuka jest formą komunikacji przeszłości z przyszłością, bez zbędnych słów. Jest niema, ale pozostawia dla następnych pokoleń nasze emocje, pragnienia, wysiłek, przeżycia, wrażliwość, zwyczaje, upodobania, koncentrację w poszukiwaniu piękna, spokoju i sensu życia, pokazuje też nasz sposób na spędzanie czasu. Sztuka wymaga dyscypliny i dużego wysiłku, ale by coś osiągnąć, należy wznieść się ponad cierpienie i przeciwność.

Malarstwo, rzeźba i kolekcjonerstwo to moje zainteresowania i hobby pozazawodowe, a po przejściu na emeryturę stały się one treścią mojego życia. Zgromadziłem pokaźną kolekcję płócien i rzeźb, bibelotów, znaczków pocztowych oraz polskich i zagranicznych monet. Większość moich obrazów to kopie albo inspiracje twórczością malarzy, takich jak Rembrandt, Vincent van Gogh, Paul Gauguin, Henri de Toulouse-Lautrec oraz polskich współczesnych artystów, jak Stasys Eidrigevicius, Stanisław Łazarek czy Witold Pałka. Malarstwo moje obejmuje pejzaże, martwe natury, sceny rodzajowe oraz portrety przedstawiające mnie samego, członków rodziny, znajomych, kolegów, polityków i artystów.

W dwa tysiące dziewiętnastym roku z okazji osiemdziesiątych urodzin, w Galerii Sztuki Nowoczesnej Politechniki Lubelskiej, zorganizowano wystawę mojego malarstwa, gdzie spośród ponad dwustu wybrano około stu piętnastu obrazów. Aktualnie przygotowuję projekty na kolejną wystawę, tym razem będzie to wernisaż malarstwa i rzeźby mojego autorstwa.

Po przejściu na emeryturę jeszcze długo czułem się sprawny fizycznie i mentalnie, nie odczuwałem starzenia się i regresji. Być może dlatego, że stawiałem sobie nowe cele, zaczynałem nową robotę, gdy skończyłem poprzednią i tak jest do dziś. Poza tym większość prac wykonuję sam, dlatego nie mam wolnego czasu na odpoczynek, stosownie do mojej filozofii, że odpoczynek polega na zmianie rodzaju pracy.

Mówi się, że życie jest długą podróżą z przygodami, miałem ich wiele, ktoś inny stwierdził, że życie jest plażą, a spacer wśród głaskających brzeg morza fał jest z pewnością doskonałą metaforą jesieni życia. Moja jesień życia to pobyt na wsi w Borowie, realizacja marzeń z przeszłości, a oprócz pracy są to grzybobrania i spacer po lesie oraz wypoczynek i praca w szklarni piramidzie. Tu chętnie się relaksuję i przypominam sobie przyjemne okresy i momenty z przeszłości.

Wspominam zwłaszcza wycieczki zagraniczne do Bułgarii, Jugosławii i na Krym, nurkowanie w krystalicznie czystym Morzu Czarnym i Adriatyku, wyjazdy krajowe do Krynicy i Zakopanego oraz latem studenckie wczasy nad morzem w Międzyzdrojach, Łebie i Mielnie. W Karwi byłem już z rodziną, żoną Hanną i synami Mariuszem i Bartoszem, a zimą wypoczywaliśmy w Jaworkach, pamiętam długie wędrówki na szczyty górskie i naukę jazdy na nartach. Pamiętam też nasze spacery po lesie sosnowym w Karwi, gdzie zbieraliśmy borówki, a po sztormie chodziliśmy na plażę w po-

szukiwaniu muszelek i bursztynu. Wspominam również moje długie piesze wycieczki po plaży wzdłuż wybrzeża do sąsiednich Dombek czy Jastrzębiej Góry.

Śpieszę więc z ukończeniem tego dzieła, mając nadzieję, że to co zostało tu zapisane, nie zostanie zapomniane – dedykuję to motto, umieszczone na początku książki, moim wnukom Hani i Antosiowi jako mój testament.

Całe życie brakowało mi czasu, nie potrafiłem wyręczać się innymi, dziś jest podobnie, większość prac wykonuję w Borowie sam. Potrzebuję jeszcze dużo czasu, aby osiągnąć cel i zostawić po sobie trwałą ślad w postaci galerii sztuki, której budowę już udało mi się ukończyć, ogrodzenia posesji oraz urządzenia przestrzeni parkowej wokół zabudowy, jakie planuję zakończyć w przyszłym roku.

Reasumując, życie składa się z wielu mniejszych bądź większych sukcesów i porażek. Gdy zbliża się koniec, bohater milczy i cierpi z racji straconego czasu, niespełnionych pragnień i emocji. Niektóre emocje są przeceniane, szczególnie na starość, kiedy życie staje się męczące, na tym więc kończę swoją historię.

BIBLIOGRAFIA

- A duch wieje kędy chce... Almanach poezji religijnej*, red. M. S. Hermaszewski, Lublin 2012.
- Aleksandrowicz S., *Nasz chleb powszedni*, Lublin 1983.
- Baines J., Malek J., *Egipt*, przeł. T. Derda, Warszawa 1995.
- Biblia Tysiąclecia – Księga Wyjścia i Księga Rodzaju*, Poznań 2005.
- „Biuletyn informacyjny Politechniki Lubelskiej” 2002, 1(7).
- Bocheński J. M., *Podręcznik mądrości tego świata*, Kraków 1992.
- Borecka G., Błazik-Borowa E., Cichosz J., Halicka A., *Wydział Budownictwa i Architektury Politechniki Lubelskiej w latach 1965–2015*, Lublin 2015.
- Brzozowski T., *Malarstwo*, Warszawa 1987.
- Clinton H. R., *Tworząc historię – wspomnienia*, przeł. P. Amsterdamski, Warszawa 2003.
- Co mi dały studia ochrony środowiska*. Wywiad ze studentami, dodatek do „Kuriera Lubelskiego” 1999, 2.12.1999.
- Davies N., *Sam o sobie*, Kraków 2019.
- de Goncourt E., de Goncourt J., *Sztuka XVIII wieku*, przeł. J. Guze, Warszawa 1981.
- de Rynck P., *Jak czytać malarstwo – rozwiązanie zagadek, rozumienie i smakowanie dzieł dawnych mistrzów*, przeł. P. Nowakowski, Kraków 2006.
- Dobrowolski T., *Sztuka polska od czasów najdawniejszych do ostatnich*, Kraków 1974.
- Domoślawski A., *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010.
- Fogelman L., Komar M., *Warto żyć*, Warszawa 2018.
- Fromm E., *O sztuce miłości. Biblioteka myśli współczesnej*, przeł. A. Bogdański, Warszawa 1971.
- Grabiec Z. M., *Dzieje Borowa nad Wisłą i jego okolic*, Sandomierz 2016.
- Gruntowna wiedza*. Wywiad z L. Pawłowskim, dodatek do „Kuriera Lubelskiego” 1999, 2.12.1999.
- Hamilton R., *Starożytny Egipt. Królestwo faraonów*, przeł. M. Boguta, Bath 2008.
- Józefczuk G., *Kazimierz, czyli Łazorek*, dodatek „Kultura”, „Gazeta Lubelska” 2001, 12.01.2001.
- Kantor-Gukovskaya A., *Paul Gauguin in Soviet Museums*, Leningrad 1988.
- Klasyki sztuki*, t. 3: Rembrandt, t. 8: Van Gogh, t. 24: Modigliani, t. 23: Rubens, Warszawa 2006.
- Kołąkowski L., *Mini wykłady o maxi sprawach*, Kraków 2002.
- Kortko D., Pietraszewski M., *Kukuczka. Opowieść o najsłynniejszym polskim himalaiście*, Warszawa 2016.
- Kowal M., *Poskładać szept do szeptu*, Annopol 2011.
- Leksykon malarstwa od A do Z*, red. naukowa P. Szubert, P. Trzeciak, przeł. M. Czarzasty, A. Gałęzowski, Warszawa 1998.
- Longhena M., *Wielkie Cywilizacje*, t. 10: *Starożytny Meksyk*, przeł. E. Jastrzębowska, Barcelona 2008.
- Maj E., *Dzieje miasta Annopola, czyli Rachowa*, Kraków 2015.
- Mann W., *Kazimierz Mann – artysta. Opowieść o moim ojcu*, Kraków 2018.

- Menedżer XXI w. Nowoczesne zarządzanie, XIV Międzynarodowe Sympozjum Naukowe, red. Ł. Zagojski, Lublin 2006.
- Miłosz Cz., *Traktat moralny*, Lublin 1981.
- Morningstar S., *Wielka encyklopedia wiedzy tajemnej*, przeł. C. Murawski, Warszawa 2003.
- Nasionowicz-Gołaszewska M., *Twórczość a osobowość twórcy*, Lublin 1958.
- Okruszko H., *Instytut Melioracji i Użytków Zielonych 1953–1995. Księga pamiątkowa*, Falenty 1996.
- Olszta W., *Malarstwo*, Lublin 2018.
- Olszta W., Segeren W., *Anattempt to determine the permeability coefficient of crecked soils (Próba określenia współczynnika przepuszczalności gleb spękanych)*, „Polish Journal of Soil Science” 1968, vol. I, no. 2.
- Olszta W., Zaradny H., *Określenie rozstawy i głębokości drenów metodą symulacji numerycznej*, „Wiadomości IMUZ” 1996, t. XIX, z. 1.
- Podolski J., *Folklor Borowa i okolic*, Borów 2006.
- Podróże marzeń. Meksyk*, red. J. Zaborowska, przeł. A. Wolski, J. Podgórski, Warszawa 2005.
- Politechnika Lubelska – 50 lat*, Lublin 2003.
- Pollo I., Szabelski K., *Wywiad Kształcić dla przyszłości*, „Dziennik Akademicki”, dodatek do „Dziennika Wschodniego” 1996, 3.11.1996.
- Profesja na czasie*. Wywiad z W. Stępniewskim, dodatek do „Kurier Lubelskiego” 1999, 2.12.1999.
- Program kierunku inżynierii środowiska*, [w:] *Informator ECTS*, Lublin 2002.
- Prończuk J., *Aforyzmy polskie na co dzień*, Warszawa 1992.
- Starzyk M., *Moje spojrzenie na dzieje Zawichostu*, Zawichost 1994.
- Szabelski K., *Przedmowa*, [w:] *Politechnika Lubelska, 1953–2003*, red. A. Wac-Włodarczyk i inni, Lublin 2003.
- Szafranec J., *Przedsiębiorczość personalistyczna. Od stagnacji do kreacji*, Warszawa 2009.
- Szymanek W., *Powiat janowski w okresie okupacji austro-węgierskiej w latach 1915–1918*, „Regionalista” 1996, nr 6.
- Szymanek W., *Z dziejów Kraśnika i okolic w okresie okupacji niemieckiej w latach 1938–1944*, Kraśnik 1989.
- Świrko S., *Z pieśnią i karabinem: pieśni partyzanckie i okupacyjne z lat 1939–1945: wybór materiałów z konkursu ZMW i „Nowej Wsi”*, Warszawa, 1971.
- Uczni polscy o sobie*, red. I. Stasiewicz-Jasiukowa, t. 1, Warszawa 1988.
- Uziak S., *Pół wieku w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej*, t. 1 i 2, Lublin 2001.
- Walewski R., *Jaworki. Mały przewodnik po okolicy*, Falenty 1998.
- Walther I. F., *Pablo Picasso (1881–1973)*, przeł. E. Wojciechowska, Poznań 1991.
- Wańkowicz M., *Królik i oceany*, Kraków 1992.
- Wojtyła K., *Trzy poematy*, Kraków 1980.
- Zawistowski L., *Polska encyklopedia szlachecka*, t. IX, Warszawa 1937.



WENANTY OLSZTA ur. w 1938 r. w Borowie. W 1951 r. ukończył Szkołę Podstawową w Borowie, w 1955 r. Liceum Ogólnokształcące w Zaklikowie, w 1961 r. Studium Nauczycielskie na Wydziale Matematycznym w Ostrowcu Świętokrzyskim. W 1966 r. uzyskał tytuł magistra inżyniera na Wydziale Melioracji Wodnych SGGW; w 1973 r. tytuł doktora nauk technicznych w Instytucie Melioracji i Użytków Zielonych w Falentach; w 1983 r. tytuł doktora habilitowanego nauk technicznych na SGGW; w 1992 r. tytuł profesora w Instytucie Melioracji i Użytków Zielonych; w 1993 r. tytuł profesora nadzwyczajnego Politechniki Lubelskiej; w 1997 r. tytuł profesora zwyczajnego Politechniki Lubelskiej. Jego specjalność naukowa to inżynieria środowiska.

Podjęmowana przez niego tematyka badawcza dotyczy przyrodniczych podstaw w kontekście kształtowania i planowania przestrzeni produkcyjnej, głównie w zakresie prognozowania nawadniania, modelowania transportu wody i zanieczyszczeń w glebach, dla potrzeb doskonalenia regulacji stosunków wodnych w ekosystemach. Wiele z jego prac porusza temat: fizyki gleb i gruntów, fizyki atmosfery, zjawisk termicznych łanu oraz gospodarki wodnej w systemie gleba – roślina – atmosfera. Ogółem opublikował około 200 tekstów naukowych, w tym 67 w Politechnice Lubelskiej. Pod jego opieką powstało około 200 prac magisterskich i kilka doktoratów. Był kierownikiem Pracowni Fizyki Gleb IMUZ w Lublinie; kierownikiem Katedry Zaopatrzenia w Wodę i Usuwania Ścieków na Wydziale IBiS PL; prodziekanem ds. ogólnych i nauki na Wydziale Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej PL; kierownikiem Zakładu Gospodarki Wodnej WIŚ PL. Członek Rady Naukowej Instytutu Agrofizyki PAN; Komitetu Melioracji PAN; Komitetu Agrofizyki PAN; Polskiego Towarzystwa Gleboznawczego; Międzynarodowego Towarzystwa Gleboznawczego (ISSS); International Commission on Irrigation and Drainage (ICID); Polskiego Krajowego Komitetu do Współpracy z Międzynarodowym Stowarzyszeniem Torfowym; Międzynarodowego Stowarzyszenia Torfowego (IPS); Nowojorskiej Akademii Nauk (New York Academy of Science); przewodniczący Zespołu Wody Glebowej Komisji Fizyki Gleb PTG; członek SITWM-NOT. Brał udział w wielu ważnych konferencjach naukowych w kraju i zagranicą, m.in. w Meksyku, Chinach i Egipcie. Odbił staże naukowe w USA i Holandii. Wielokrotnie wyróżniany i nagradzany, m.in. Złotą Odznaką SITWM (1982); Złotą Odznaką PTG (1982); tytułem Zasłużonego Pracownika Rolnictwa (1984); Złotym Krzyżem Zasługi (1986); Złotą Odznaką NOT (1997); Nagrodą II Stopnia Rektora PL za osiągnięcia w działalności naukowej (1997); Krzyżem Kawalerskim OOP (1999); Medalem Komisji Edukacji Narodowej (2001); Nagrodą II Stopnia Rektora PL za osiągnięcia w działalności naukowej (2004).

Jego hobby to malarstwo, rzeźba i kolekcjonerstwo. Zbiera polskie i zagraniczne znaczki pocztowe, monety i bibeloty z podróży zagranicznych, a także chińską porcelanę. Zgromadził pokaźną kolekcję własnych rzeźb, zdjęć, rysunków i obrazów, pośród których znajdują się liczne kopie słynnych malarzy: Rembrandta, van Gogha, Modiglianiego, Gauguina, Picassa i Lautreca, a także współczesnych twórców: Stasysa, Pałki i Łazorka.

